

Judith O'Brien

Arystokraci

Prolog

Richmond, Wirginia, sierpień 1865 roku

Upał był nie do zniesienia. Constance Lloyd raz po raz ocierała skronie chusteczką, zniszczoną i wystrzępioną, lecz za to świeżo wypraną i wyprasowaną. Z przegubu dłoni zwisała jej ściągana rzemykiem sakiewka, zawierająca kilka ostatnich unijnych dolarów, jakie miała. Constance nie odważyła się zostawić ich w pensjonacie sióstr Smithers, choć wyszła tylko na krótko na pocztę. Starsze panie były urocze, a mieszkańcy pensjonatu wydawali się niezwykle szacowni, mimo to Constance nie była na tyle niefrasobliwa, by spuścić z oczu swe doczesne dobra. Inaczej nijak nie udałoby jej się przeżyć ostatnich czterech lat.

Po nie brukowanej ulicy toczył się wózek. Za nim podnosiły się tumany pyłu, więc Constance przystanęła i mocno zacisnęła powieki.

Czy kiedykolwiek było w Richmond tak gorąco?

- Dzień dobry, panno Lloyd.

Constance otworzyła oczy i ujrzała pana Bryce'a, mężczyznę o ostrych rysach i wychudzonej twarzy, który uchylał przed nią kapelusza. Pan Bryce, chociaż był mniej więcej rówieśnikiem jej ojca, dopiero co wrócił ze służby w wojskach Konfederacji. Gdy wojna się skończyła, wiele miesięcy szedł do domu pieszo.

- Dzień dobry, panie Bryce. - Constance uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie tego człowieka sprzed wielu lat. Kiedy przychodził w odwiedziny na plantację Lloydów, zawsze ukradkiem wciskał jej do ręki lukrecjowe pałeczki.

- Wystarczy pani taki skwar? - Od gorąca twarz pokryła mu się ciemnymi plamami, a rzadkie siwe włosy były przy skórze mokre od potu.

- Nie bardzo, panie Bryce - odrzekła szczerze. - Dlatego udaję się dziś na południe, w stronę poczty. Mam nadzieję, że tam nie będzie ani krzty chłodu.

Pan Bryce roześmiał się, choć bardziej przypominało to gdakanie, a śmiech natychmiast wywołał atak kaszlu. Constance uprzejmie udała, że tego nie zauważa. Pan Bryce raz jeszcze uchylił kapelusza, pozdrowił ją uniesieniem dwóch palców i ruszył dalej swoją drogą.

Dziwne były te spotkania z ludźmi, których znała od niepamiętnych czasów. Teraz wydawali się obcy, odsunięci od siebie przez straszne doświadczenie, które właściwie powinno ich zbliżyć. Owszem, początkowo porażka konfederatów ich zjednoczyła. Ale w miarę jak mijały tygodnie, a potem miesiące, wszyscy po kolei zaczęli szukać winnych, stawali się nieufni, po prostu ogarniał ich lęk o przyszłość. Niedogodności codziennego życia sprawiały, że nawet najoczywistsze fakty jawiły się w krzywym zwierciadle. Skończyły się patriotyczne śpiewy i przemowy; ci, którzy przeżyli, wytykali coraz częściej palcami sąsiadów i oskarżali ich o sympatyzowanie po kryjomu z Jankesami. Zamiast żyć dalej swoim życiem, większość

rozgrzebywała minione sprawy, oddając się rozważaniom, „co by było, gdyby było”. Poza podejrzeniami istnieli wyłącznie bohaterowie, którzy oddali życie w walce. Tylko ich zostawiano w spokoju.

Constance zerknęła na dwa budynki nie tknięte przez wojnę, siedzibę/parlamentu stanowego i Białe Dom Konfederacji. Oba stały majestatyczne jak zawsze, otoczone resztkami murów i skorupami wypalonych w środku domów - widmowymi ruinami, stanowiącymi pozostałość wielkiego miasta, jakim kiedyś było Richmond. Nad obydwoma dachami unosiły się wielkie amerykańskie flagi, łopoczące mimo sierpniowego żaru. Widok tych flag wciąż wydawał się Constance dziwny.

Czy kiedykolwiek był w Richmond taki upał?

Przed pocztą Constance nie zwróciła uwagi na trzech żołnierzy Unii, którzy mamrocząc pod nosem słowa pozdrowienia, odsunęli się od drzwi, żeby mogła wejść. Obojętność Constance wcale nie brała się jednak z niedawnego zwycięstwa Unii ani wrogości wobec mieszkańców Północy. Constance po prostu nie miała już siły. A poza tym ta postawa była również objawem zmian, jakie zaszły w Richmond. Już nie wszystkich można było traktować jak przyjaciół.

Jeszcze nie tak dawno zostałyby surowo skarcona za samotne chodzenie po ulicy. Gdyby zobaczył ją Wade Cowen, wpadłby we wściekłość. Ale Wade, jej narzeczony, od czterech miesięcy nie żył.

Chociaż nie widzieli się ponad dwa lata, listownie, po szybkiej i beznamietnej wymianie korespondencji, ustalili, że po wojnie się pobiorą. Ostatnio Constance zastanawiała się nawet, czy Wade, którego znała od dzieciństwa, naprawdę ją kochał, tak jak mężczyzna powinien kochać kobietę. Ale teraz nie miało to już znaczenia. Dzień po zawarciu pokoju Wade, który nigdy nie był wybitnym jeźdźcem, zginął, prowadząc żołnierzy do ataku na obozujący oddział Unii.

Pochowano go jak bohatera. „Ostatni z poległych konfederatów”, napisano na kamieniu nagrobnym. Ale oficer, kolega Wade'a, powiedział Constance prawdę. Biedny Wade po prostu stracił panowanie nad koniem. Gdy zorientował się, że jedzie prosto na grupę zdumionych Jankesów, prawdopodobnie wybrał śmierć w chwale bohatera, by nie wystawić się na pośmiewisko. W ostatniej chwili, ze wszystkich sił starając się utrzymać w siodle, wyszarpnął z pochwy szablę i zaczął nią wymachiwać, bardziej by utrzymać równowagę niż żeby zagrozić przeciwnikom.

Ci krzyczeli do niego, żeby się zatrzymał, a ponieważ nie mógł, strzelili i trafili go w czoło. Oficer, który zabił Wade'a, napisał do Constance list o jego bohaterstwie i wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że musiało go bardzo gryźć sumienie z powodu tego strzału.

Kolejka na poczcie była długa, tak jak Constance przewidywała. Wszyscy żyli nadzieją na pieniądze, przesłane przez jakąś litościwą duszę z Północy. Mieszkańcy Wirginii, którzy jeszcze niedawno stanowczo odzęgnywali się od wszelkich kontaktów z Jankesami, wysyłali teraz paniczne listy, prosząc o pożyczki i przypominając powinowatym z Nowego Jorku, Ohio i Vermont o znaczeniu więzów krwi.

Ludzie wolno posuwali się do przodu, w miarę jak jedyny urzędnik przecząco kręcił głową, odpowiadając na prośby o bezpłatne nadanie przesyłki i pytania o paczki, które bez najmniejszego wątplenia lada dzień miały nadejść.

- Biedna panna Lloyd.

Nie było to pozdrowienie. Po prostu ktoś za jej plecami dał wyraz swoim odczuciom.

- Oj, biedna, biedna - przyznała inna kobieta.

Constance nawet nie mrugnęła. Zdążyła się już przyzwyczaić do szeptania znajomych, którzy się nad nią użalali. Wydawało się absurdem, że po czterech latach gwałtownych śmierci, chorób, moralnego zepsucia, po tragedii, jaką rzadko widuje się na świecie, smutny los osiemnastoletniej Constance Lloyd poruszał nawet najbardziej zatwardziałe serca w Richmond.

To prawda, że ojciec Constance zmarł na świnkę wkrótce po wstąpieniu do wojsk Konfederacji. Niedługo potem odeszła z tego świata jej matka; zapadła na chorobę, która okazała się gorsza od zwykłego przeziębienia. Mniej więcej w tym samym czasie główny budynek na plantacji stanął w ogniu, a służących czy też niewolników, jak zwali ich Jankesi, było za mało, by mogli zrobić coś więcej niż stać i gapić się na pożar.

Śmierć Wade'a stanowiła ostateczny cios, chociaż Constance i tak była już otępieła z bólu, więc nawet nie przeżyła tej ostatniej straty zbyt boleśnie. Podczas wojny wszyscy cierpieli. Nikomu nie udało się od tego uciec. Ale Constance, której droga do dojrzałości była wyjątkowo usiana nieszczęściami, najwyraźniej budziła litość absolutnie wszystkich.

Było to nie do wytrzymania. Nie miała sposobu, by uciec od zasmuconych twarzy i spojrzeń przepełnionych współczuciem.

- ...a potem jej ukochany narzeczony, Wade Cowen... Constance zacisnęła palce na sakiewce z taką siłą, że aż pobielaly jej knykcie.

- ...i jej matka. Nie zapominajmy o matce. Widziałam jej pierwszy bal. Drugiej tak pięknej dziewczyny nie znalazłaby pani w całej Wirginii. Była rodowitą Angielką.

Rozmowa stawiała się coraz głośniejsza. Constance grała w niej główną rolę. Była mowa o domu z marmurowymi kolumnami, w którym dorastała, o ojcu, wzorze wszelkich cnót, i matce, aniele wcielonym, a także o biedzie Constance i o łacie na spódnicy.

Dziewczyna z trudem powstrzymywała się od krzyku. Jakąż przyjemność sprawiłoby jej, gdyby mogła odwrócić się do tych starych kwok i walnąć je torebką po głowie albo powiedzieć pani Witherspoon, że jej ukochany synalek przepuścił rodzinne srebra na whisky Jankesów.

Ale tylko przesuwiała się w milczeniu wraz z kolejką.

- Mam dla pani list, panno Lloyd - powiedział urzędnik, gdy w końcu dotarła do okienka. Jakby mu ulżyło, że wreszcie może coś komuś dać. Kucnął przy półkach i po chwili wrócił z wymiętą kopertą. - Z Anglii - oznajmił głośno.

Po sali przetoczył się pomruk. Tymczasem Constance ujęła list w dłonie - kiedy ostatnio miała na nich rękawiczki? - i odeszła od okienka. Ręce jej drżały.

- Proszę cię. Boże - szepnęła, uświadamiając sobie, że od dawna się nie modliła. Kciukiem obluzowała skrzydełko koperty, tylko na chwilę zatrzymując palec podczas tej czynności. - Proszę, Boże - powtórzyła.

Na to czekała. Napisała do kuzynów matki z pytaniem, czy jacyś ich znajomi nie potrzebują guwernantki. Była to dla niej ostatnia deska ratunku, ostatnia próba stawienia czoła losowi. Gdyby to nie pomogło, nie miała już do kogo się zwrócić.

Schowowała się w kącie sali, żeby mieć choć złudzenie odosobnienia, wiedziała bowiem, że nie powstrzyma się z otwarciem koperty do chwili, aż znajdzie się w swym pokoiku u sióstr Smithers. Przecież trzymała w rękach swoją przyszłość.

Zaczerpnęła tchu, wyjęła list i ułożyła pierwszą z wielu, jak się zdawało, stronic w taki sposób, by padało na nią światło.

Moja droga kuzynko Constance,

Z przyjemnością zawiadamiamy, że jest dla Ciebie posada w Anglii. Przyjedź, jak tylko możesz najszybciej. Załączamy pieniądze na podróż w jedną stronę...

Tyle zdołała przeczytać, zanim łzy przesłoniły jej widok. Przycisnęła dłoń do ust, ale i tak było słyhać, jak z ulgą wypuszcza powietrze.

Była ocalona.

Jeszcze raz głośno odetchnęła i po chwili wychodziła z urzędu, wstrząsana przejmującym szlochem. Łzy płynęły jej strumieniami po policzkach.

Nie płakała od lat. Ale nie miało to znaczenia, nic teraz nie miało znaczenia.

Była ocalona.

- Biedna panna Lloyd. Na pewno znowu dostała jakąś złą wiadomość - powiedziała pani Witherspoon, gdy Constance wybiegła z budynku, wpadła na mosiężną spluwaczkę i nieprzytomnie zaczęła ją błagać o wybaczenie. - Nie ma chyba na świecie dziewczyny, której los mniej by sprzyjał.

1

Cowes, wyspa Wight, Anglia, sierpień 1874 roku

Mój Boże, panno Lloyd! Pani to ma szczęście! Jak ja pani zazdroszczę! Chyba nie ma na świecie dziewczyny, której los bardziej by sprzyjał.

Constance uśmiechnęła się, unosząc welon nad głowę.

- Wątpię, Melody. Bardzo wątpię. Poza tym wydaje mi się, że skoro mam już dwadzieścia siedem lat, to dziewczyną przestałam być dość dawno.

- A wie pani, jak pani zazdroszczą inne dziewczęta? Przecież to był nasz pierwszy bal. A kto dostał nagrodę? Kto przetańczył z księciem Walii trzy walce z rzędu? Komu oświadczył się syn księcia? Mojej guwernantce! Słowo daję, panno Lloyd, że znienawidziłabym panią, gdybym tak pani nie uwielbiała.

Constance zerknęła na swą byłą podopieczną.

- Och, Melody - westchnęła. - Ja też w to nie mogę uwierzyć.

Ostry podmuch świeżego, słonego wiatru znad morza poruszył zasłonami w pokoiku Constance. Wydawało jej się niemożliwością, że po dziewięciu latach pracy guwernantki u pani Whitestone i, co ważniejsze, serdecznej przyjaźni z chlebobawczynią, za tydzień przyjdzie jej opuścić ten dom i przenieść się do rodzowego majątku narzeczonego. Narzeczony miał po nią przyjechać powozem ojca, z książęcym herbem na drzwiach, i zawieźć ją do jej nowego domu.

Naturalnie miał to być tylko tymczasowy dom, Constance nie wątpiła bowiem, że po ślubie narzeczony zechce zamieszkać z nią osobno. Może w Londynie... A może ma inny pomysł, którego jeszcze jej nie zdradził, po prostu dlatego, że wydarzenia potoczyły się w zawrotnym tempie.

Narzeczony. To słowo brzmiało dla niej dość niezwykle. Budziło całkiem inne odczucia niż narzeczeństwo z Wade'em podczas wojny. Wade wydawał jej się bardzo dziecinny, może dlatego, że znała go od dziecka i pamiętała nawet z lat, gdy był chłopcem z piegowatą buzią i ułamanym przednim zębem.

Teraz w samym słowie „narzeczony” zawierały się tajemnica, niespodzianka i romantyczna przygoda.

- Och, panno Lloyd, niech mi pani jeszcze raz o tym opowie. Proszę. Całą historię.

Melody westchnęła i wsparła głowę na dłoni. Była ładniejszą z dwóch sióstr Whitestone i mimo starań Constance, która próbowała trochę zachwiać jej wysokim mniemaniem o sobie, dobrze знаła swoje atuty, a w dodatku bezlitośnie je wykorzystywała. Była krągłutka i miała dziecięco delikatne rysy, co przywodziło na myśl wyidealizowanego amorka, u którego najbardziej zwracają uwagę różowiutkie policzki i złociste loczki.

Constance, dla kontrastu, była śniada i wysoka, niektórzy twierdzili nawet, że zanadto. Ale dla guwernantki wzrost nieco ponad metr siedemdziesiąt był zaletą. Czuła się nim zakłopotana tylko w pierwszych chwilach tańca z korpulentnym księciem. Zamiast patrzeć prosto w małe, wylupiające oczka jaśnie wielmożnego pana, musiała spoglądać w dół, wprawdzie nieznacznie, lecz zauważalnie.

Jej śniada cera, ciemne włosy i bladoniebieskie oczy zainteresowały również niektórych sąsiadów Whitestone'ów oraz ciekawskich, którzy obserwowali bal. Zresztą członkowie elity zauważali ją już wcześniej, zawsze podczas krótkiego sezonu towarzyskiego w Cowes. Pierwszy raz stało się to za sprawą lady Montclair, której koń wyłamał się z grupy idących stępą wierzchowców, dosiadanych przez dostojne amazonki, trzymające obie nogi po tej samej stronie grzbietu zwierzęcia, jak na damy przystało. Constance Lloyd w swej praktycznej szarej sukni, oryginalnie przybranej przy kołnierzyku gałązką suszonego lauru, chwyciła za wodze spłoszonego konia i uspokoiła zarówno zwierzę, jak i pojękującą lady Montclair.

Za tę przysługę lord Montclair zaproponował jej kieliszek sherry. Wdzięcznie odmówiła, ze swym czarującym miękkim amerykańskim akcentem.

Kieliszka sherry odmówiła, ale z całą pewnością została zauważona. Ponieważ zaś wyróżniała się urodą i zadziwiająco wprawnie radziła sobie z końmi, co stanowiło u guwernantki dwie absolutnie niespotykane cechy, niejeden z postronnych obserwatorów wyraził przypuszczenie, że może ta panna Lloyd jest półdzika. Bądź co bądź przyjechała z Ameryki. A takie ciemne i lśniące włosy jak u niej rzadko idą w parze z oczami w odcieniu drogiego turkusowego.

Potem rozeszła się pogłoska, że jej dziadek był indiańskim wojownikiem, dla jednych z plemienia Cherokee, dla innych Mohawk, i w dzień urodzin matki Constance oskalpował babkę, angielską piękność szlacheckiego rodu. Indiański wojownik naturalnie chciał mieć syna, nie córkę, więc oskalpowanie stanowiło jedyną słuszną karę za rozczarowanie, które przeżył. Podobno takie zdarzenia nie były w Ameryce niczym niezwykłym.

Constance nie próbowała odsunąć od siebie tego bezpodstawnego podejrzenia. Z niego również czerpała korzyści jako guwernantka. Gdy dzieci, którymi się opiekowała, były jeszcze małe, słuchały jej ze strachu, że Constance w każdej chwili może znów stać się dzika. Ona zresztą umiejętnie podsyciała to przekonanie, po każdym występku podopiecznego regularnie bowiem zatrzymywała wzrok na jego czole w miejscu, gdzie zaczynały rosnąć włosy.

Nie widziała sensu w tłumaczeniu, że jej dziadkowie ze strony matki byli w istocie rodzonymi londyńczykami, a najbardziej barbarzyńskim zachowaniem dziadka, jakie pamiętała, był jego zwyczaj jedzenia zielonego groszku za pomocą nabijania na ostrze noża.

- Proszę, panno Lloyd - błagała Melody. - Niech mi pani opowie wszystko, co się stało w ten wieczór, kiedy był bal.

- Przecież sama tam byłaś, Melody. - Constance roześmiała się, ostrożnie składając delikatny welon. Przysłała go matka jej narzeczonego, prawdopodobnie w nim właśnie brała ślub z księciem. - Widziałaś więcej niż ja, bo patrzyłaś z boku. A ja się bawiłam, więc niejedno mi umknęło.

Melody opadła na łóżko i przetoczyła się na wznak, przyciskając do piersi poduszkę w koronkowej poszewce.

- Tyle się tam działo, że nie bardzo pamiętam, co widziałam. Ale kiedy pani zeszła ze schodów w sukni mamy, od razu wiedziałam, że ten wieczór będzie wyjątkowy.

- To było bardzo miłe ze strony twojej mamy, że nie tylko pozwoliła mi iść na bal, lecz jeszcze pożyczyła suknię. - Ciężko napracowały się nad tym strojem z Harriet i nawet Melody pomagała doszywać falbanę na dole, dopasowywać stan i dobierać ozdoby od innych kreacji. Końcowy wynik oszołomił nie tylko szwaczki, lecz również wszystkich, którzy go widzieli. Była to zwiewna suknia po części blad różowa, po części w odcieniu kości słoniowej; miała śmiały dekolt, który eksponował smukłe, alabastrowe ramiona Constance. Gęste włosy, lśniące nie mniej niż atlas sukni, Constance związała różowymi wstążkami. Chyba jeszcze nigdy zwykła guwernantka nie była tak wystrojona, mimo że nie ugięła się od nadmiaru klejnotów.

Był to pożegnalny gest, ostatni przejaw wielkiej życzliwości ze strony szczodrej Harriet Whitestone. Od śmierci kapitana Whitestone'a przed kilkoma laty rodzinny majątek stawał się coraz szczuplejszy, było więc zrozumiałe, że po debiucie Melody w towarzystwie Constance będzie musiała poszukać sobie innej posady. Pani Whitestone po prostu nie było stać na luksus utrzymywania guwernantki dla trojga dorosłych dzieci, zresztą Constance wcale tego nie oczekiwała.

Jednakże pani Whitestone załatwiła, by Constance znalazła się na liście uczestników balu Marynarki Królewskiej. Nazwisko niedawno zmarłego kapitana wciąż jeszcze coś znaczyło w kręgach wojskowych, choć spuścizna po kapitanie miała raczej charakter honorowy i nie można jej było przełożyć na dobra materialne. Był to niesłychany gest, by zaprosić guwernantkę, najmniej widoczną postać spośród domowników, na tak eleganckie zgromadzenie. Harriet Whitestone wiedziała jednak, że Constance stanie na wysokości zadania, co więcej - poradzi z nim sobie znakomicie. Bądź co bądź, zanim wojna domowa w Ameryce drastycznie obniżyła jej status, majątek Lloydów traktowano w Anglii z należnym szacunkiem i rodzina ta cieszyła się nieposzlakowaną opinią.

Melody zamknęła oczy, przypominając sobie wieczór sprzed kilku tygodni.

- Gdy zeszła pani po schodach, Miles aż syknął. Słyszała to pani?

- Jak mogłabym nie słyszeć? - Constance uśmiechnęła się. - Myślałam, że znowu dostał ataku czkawki. Pamiętasz, jak często mu się to zdarzało kilka lat temu?

- Już prawie zapomniałam. Ale Miles zawsze panią lubił. Wprawdzie pani się nim opiekowała, ale między wami jest tylko pięć lat różnicy.

- Istotnie, panicz Miles bardzo często i chętnie to podkreślał. - Constance roześmiała się.

- Panno Lloyd, czy pani go wcześniej widziała?

- Milesa? Naturalnie. - Na policzku pojawił jej się dołek, dla znajomych wymowny znak, że Constance stara się powstrzymać uśmiech.

- Och, nie. Mam na myśli jego. Pani narzeczonego. Constance zamyśliła się, niezdecydowana, czy powiedzieć

Melody całą prawdę. Było bowiem tak, że bardzo dobrze wiedziała, jak wygląda Philip Cyril St. John Arthur Albert Hastings, młodszy syn jaśnie wielmożnego księcia Ballsbridge. Przez ostatnie siedem lat widywała go, jak przejeżdża koło domu Whitestone'ów podczas krótkiego, dwutygodniowego sezonu towarzyskiego w Cowes. Zawsze dosiadał pięknego wierzchowca i zawsze miał na sobie nowiutki strój jeździecki najmodniejszego kroju.

Krótko mówiąc, był wspaniały.

Nigdy nie zdarzyło się, by Constance wypowiedziała na głos jego imię. To było jej najskrytsze marzenie, fantazja, którą ożywiała i wzbogacała podczas długich godzin spędzanych w pokoju do nauki albo w jej pokoiku. Deszcz stukał o małe szybki, sezony mijały, tygodnie i miesiące zamieniały się w lata, i oto któregoś dnia znowu przychodził czas, by zobaczyć młodego lorda Hastingsa, przejeżdżającego obok domu, w którym była zatrudniona. Proste plecy, wyrazisty, męski profil, jasne włosy powiewające na wietrze.

Raz wydało jej się, że lord spojrzął w jej stronę... Ale może zainteresowała go ptasia awantura w pobliskich zaroślach, bo na niej wzroku nie zatrzymał. Tego dnia miała na sobie szarą, bardzo niepozorną suknię, w której, jak przystało na guwernantkę - w ogóle nie rzucała się w oczy. Do kołnierzyka, jak zwykle, miała przypięte gałązki lauru, nabrała tego przyzwyczajenia podczas wojny, gdy biżuteria była tylko odległym wspomnieniem, a wonny dodatek nie tylko ozdabiał jej coraz mniej urozmaiconą garderobę, lecz również podsycił wątłą nadzieję na zwycięstwo.

Lord Hastings, którego nazwisko podał jej miejscowy kowal, był ubrany w różne odcienie zieleni i czerń, a buty z cholewami lśniły mu nawet w chmurne popołudnie.

Nawet jej nie zauważył. Nikt nigdy nie widział poczciwej Constance Lloyd, czekającej na lepsze czasy w schludnym pokoiku na poddaszu.

Ale wtedy, gdy tańczyła z księciem Walii, nawet on ją dostrzegł. Wszyscy zobaczyli Constance Lloyd. Wszystko się odmieniło w ciągu zaledwie dwóch godzin.

- Czy mogę, jaśnie wielmożny panie?

To były pierwsze słowa, jakie usłyszała z ust Philipa. Stał tuż obok księcia, pochylony przed nim w sztywnym ukłonie. Na wargach igrał mu uśmiezek. Księżę roześmiał się i odpowiedział coś, czego Constance nie umiała sobie przypomnieć. A potem nagle znalazła się na parkiecie z Philipem Cyrilem St. Johnem Arthurem Albertem Hastingsem, synem księcia Ballsbridge.

- Czy my już się znamy?

To były pierwsze słowa, które do niej skierował. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i pokręciła głową, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Wyczuwała nikły zapach brandy i cygar, który wcale nie był przykry i znakomicie do niego pasował.

Kiedy wyszli na dwór, by napić się ponczu, Philip podał jej ramię. Wieczór był mglisty i chłodny. Rozmawiali o jego domu, tytule i nadziejach na wybór do parlamentu, do Izby Gmin z okręgu, w którym znajdowała się jego rodowa siedziba, Ballsbridge.

Jako młodszy syn, Philip nie miał zapewnionego miejsca w Izbie Lordów. Starszy brat zamierzał w przyszłości skorzystać z prawa zasiadania w wyższej izbie parlamentu, jak również przejąć rodzinny majątek. Philip nie był zawistny, chyba nie miał nic przeciwko

temu, że jeśli nie zdarzy się tragedia w rodzinie, jest na zawsze skazany na rolę młodszego syna, zapasowego potomka, urodzonego po dziedzicu, zbierającym wszystkie splendory.

Inną cechą Philipa był całkowity brak zainteresowania przeszłością Constance. Nie wydawał się ani trochę zaciekawiony tym, co porabiała przed ich pierwszym walcem. Raz spytał, czy jest Amerykanką, więc potwierdziła. Potem spytał jeszcze, z jakiej części Stanów Zjednoczonych pochodzi; wtedy zaczęła mu opisywać Wirginię i plantację, która dawno temu była jej domem, ale on zapatrzył się w ocean i po chwili spytał, czy może zapalić cygaro.

Constance zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio spotkała dżentelmena, który spytałby ją o pozwolenie na zrobienie czegokolwiek. Naturalnie, palenie w obecności damy w ogóle pozostawało w sprzeczności z dobrymi obyczajami. Ale Philip był lordem, a ona guwernantką, więc pytanie wydało jej się bardzo uprzejmym gestem, wręcz przejawem delikatności.

Po balu odjechała do domu powozem wynajętym przez Whitestone'ów. Bal był uroczym interludium, czarodziejską chwilą przed powrotem do rzeczywistego świata. Melody Whitestone kipiała z podniecenia i ze wszystkimi chciała się dzielić nowinami. Pani Whitestone uśmiechnęła się i zapatrzyła na Constance, której zdawało się, że wciąż czuje resztki zapachu lorda Hastingsa na pożyczonych rękawiczkach i w załamaniach wachlarza chlebobawczyń.

Następnego ranka Constance skończyła pakować bagaże i napisała do swych nowych chlebobawców w Bath list z wiadomością, kiedy mogą się jej spodziewać. Była to młoda rodzina z czworgiem dzieci i piątym w drodze. Gdy była zajęta przygotowaniami do wyjazdu, zjawił się lord Hastings, tym razem ubrany w piękny rubinowy frak. Harriet Whitestone, która dopiero niedawno skończyła czterdzieści lat i nadal pozostawała romantyczką w każdym calu, poprosiła Constance, żeby jeszcze trochę odłożyła wyjazd, bo dom bez niej zrobi się przeraźliwie pusty. Constance miała więc zaczekać, aż przyjdzie w odwiedziny Melicent, najstarsza córka Harriet, która poślubiła pana Furmana z Newcastle.

Naturalnie Harriet chciała po prostu, żeby młodszy syn księcia miał trochę czasu na zacieśnienie więzi z panną Lloyd. I rzeczywiście, po czterech dniach, uzyskawszy zgodę matki, Philip wystąpił z oświadczeniami.

Dla Constance wciąż jednak było to marzeniem, bajką, która w niewytłumaczalny sposób się urzeczywistniła.

Czy powinna powiedzieć Melody, czy nawet przyszłemu mężowi o tym, jak przyglądała mu się z daleka? Zerknęła na podopieczną, choć wciąż błędziła w krainie marzeń. Może powinna zachować dla siebie to, że zwróciła uwagę na Philipa na długo przed tym, jak się poznali.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoiku na poddaszu weszła Harriet Whitestone, - O, jesteście obie. - Uśmiechnęła się. Mimo czterech lat, które minęły od śmierci kapitana Whitestone'a, Harriet wciąż nosiła ślady żałoby, którą symbolizowały akcenty szarości i czerni w stroju oraz prosta broszka ze splecionych włosów męża, oprawionych w złoty pierścień.

To, że królowa Wiktoria chodziła w żałobie ponad dziesięć lat, było wyjątkowo fortunate dla finansów rodziny. Status wiecznej wdowy wszedł w modę, aczkolwiek w przypadku Harriet zdecydowała ekonomia, a nie wszechogarniający smutek. Można było latami chodzić w tej samej żałobnej sukni, nie narażając się na uwagi sąsiadów, natomiast bardziej kolorowe szaty podlegały zgoła innym regułom.

- O, pani Whitestone. - Constance wstała, a Harriet wybuchnęła śmiechem.

- Och, moja droga. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że za miesiąc będziesz nosić tytuł lady Hastings? Pozwól, że to ja zacznę przyzwyczajać się do wstawania na twój widok.

- Mamo, czy to nie najbardziej podniecająca i romantyczna historia na świecie? - Melody Whitestone znów westchnęła.

- Oj, tak, tak, Melody. Ale przed chwilą przyszedł list, Constance. Z domu Hastingsów. Chciałam ci go jak najszybciej doręczyć.

Harriet podała list Constance; ta wpatrywała się przez chwilę w nieznaną charakter pisma. Litery były nieduże i bardzo równe, Constance uznała więc, że postawiła je ręka matki Philipa.

- Czy mogę? - Machinalnie przed otwarciem listu spytała chlebodawczynię o pozwolenie, nie zauważyła natomiast, że ta, zanim skinęła głową, puściła oko do córki.

Rozerwawszy kopertę, Constance stwierdziła, że list jest od Philipa.

- Dziwne - mruknęła, zanim jeszcze zaczęła czytać.

- Czy coś się stało? - Harriet była zbyt dobrze wychowana, by zaglądać przez ramię. Stała w stosownej odległości.

- Nie, tylko nigdy przedtem nie widziałam pisma Philipa.

- Jest bardzo schludne - stwierdziła Harriet, starając się nie uśmiechnąć zbyt szeroko. - Przypuszczam, że wkrótce dowiesz się dużo więcej o swoim przyszłym mężu. Chodź, Melody. Damy panie Lloyd chwilę zasłużonego spokoju.

Ale Constance uniosła rękę.

- Ojej. - Zmarszczyła czoło, przebiegając wzrokiem treść listu.

- Mam nadzieję, że nie dostałaś złej wiadomości. - Harriet przystanąła.

- Nie, nie. Ale to dość dziwne. Philip jednak nie będzie mógł zawieźć mnie do Hastings.

- Naprawdę?

- Tak. Jego matka uważa, że powinien raczej poświęcić czas zdobywaniu wyborców niż tracić cztery dni na towarzyszenie mi w podróży. - Kręcąc głową, zamrugnęła. - Pewnie ma rację. Przecież Philip mieszka ostatnio w Londynie, więc ludzie w Ballsbridge znają go tylko z nazwiska.

- Cztery dni do Yorkshire? - Zdziwiona Harriet przekrzywiła głowę. - Podróż koleją zajęłaby mniej czasu.

- Z tego, co tu jest napisane, wynika, że jego matka nie ufa kolei. - Constance znów pokręciła głową. - Uważa, że to jest nienaturalne, a może nawet grzeszne. Dlatego życzy sobie, żebym pojechała powozem.

- Szkoda. - Melody wyciągnęła rękę i dotknęła przegubu dłoni Constance. - Cieszyłam się, że zobaczę znów tego przystojnego lorda. Zwróciłaś uwagę na jego nos, mamo? Ma przepiękny kształt. Prawie królewski. Panno Lloyd, jestem pewna, że zwróciła pani uwagę, jaki wspaniały nos ma pani przyszły mąż.

- Owszem - przyznała Constance z uśmiechem. - Wspaniały i bardzo atrakcyjnie umiejscowiony. Między oczami i powyżej ust.

Harriet roześmiała się i czule uściskała Constance.

- Nie masz pojęcia, moja droga, jak będę za tobą tęsknić. Bardzo zazdroszczę tym szczęściarzom w Hastings House.

- Och, czeka ich prawdziwa ucztą. - Constance odwzajemniła uścisk.

- Panno Lloyd... - Melody pierwsza podeszła do drzwi. - Jak pani dostanie się do Hastings House, skoro lord Hastings nie będzie pani towarzyszył? Czy nic pani nie grozi? Boże, czytałam tyle strasznych historii o naszych drogach w nocy. Złodzieje i mordercy czyhają w zaroślach na każdym zakręcie. Odkąd jeździ kolej, drogi są prawie bezлюдne. Z pewnością narzeczony nie oczekuje, że pani wyruszy w podróż sama.

- Nie, i właśnie to jest dziwne. Lord ma przysłać po mnie swojego przyjaciela ze szkolnej ławy. Zaraz... - Znów zajrzała do listu. - O, jest. To jego najlepszy przyjaciel ze szkoły i potem z Oksfordu. Niejaki pan Joseph Smith.

- Joseph Smith? - Melody zmarszczyła czoło, ale uświadomiwszy sobie, że od wykrzywiania twarzy może dostać zmarszczek, natychmiast przybrała neutralną, pogodną minę. - To strasznie pospolite nazwisko. Nie sądzę, żeby był to ktoś poważany, na pewno nie jest parem. Niemożliwe, żeby był coś wart.

- No, no, panno Whitestone, co za snobizm - skarciła ją matka. - Muszę porozmawiać na ten temat z guwernantką szanownej panny.

I wszystkie trzy razem zeszły na popołudniową herbatę, wesoło się śmiejąc.

Znowu mam coś dla ciebie zrobić, Hastings - mruknął Joseph Smith, upiwszy duży łyk whisky.

Philip unióśł palec, dając tym samym znak nieskazitelnie ubranemu kamerdynerowi; ten w milczeniu postawił kryształową karafkę na mahoniowym stole między dwoma obitymi skórą krzesłami. W zaciszu ulicy Pall Mail nie było słychać odgłosów miasta, barbarzyńskich wrzasków londyńskich wyrostków ani zgrzytu kół powozów; grube ściany i ciężkie draperie w klubie dodatkowo tłumiły odgłosy z zewnątrz. Jeśli ktoś musiał być w Londynie, to tu właśnie znajdował najbardziej cywilizowane miejsce, jeśli nie liczyć Marlborough House, rezydencji księcia Walii, którą rzecz jasna, powszechnie uważano za najlepiej prowadzony dom w Londynie, czyli w gruncie rzeczy na całym świecie.

Philip żywił wielkie nadzieje, że już niedługo otrzyma zaproszenie do odwiedzenia domu jego wysokości. Widział przecież błysk w oczach księcia Walii, gdy ten tańczył z panną Lloyd, a był to najpewniejszy z pewnych sygnałów, że każdy człowiek towarzyszący pannie Lloyd będzie chętnie podejmowany przez przyszłego króla. Philip nie miał wątpliwości, że wkrótce po tym, jak panna Lloyd zostanie jego żoną, znajdzie się dla niego miejsce wśród bywalców Marlborough House. Może nawet dostanie propozycję wstąpienia do ekskluzywnego klubu Marlborough, prywatnego bastionu księcia Walii, oddalonego o rzut kamieniem od Marlborough House.

Uśmiechnął się do przyjaciela, rozpaczliwie niemodnego Josepha Smitha.

- Daj spokój, Smith. Przywiezienie jej do mnie zajmie ci tylko cztery dni, a wiem, że musisz sprawdzić, co słychać z twoją nową fabryką. Gdzie ona właściwie jest?

- Na pewno nie w okolicach wyspy Wight. Na miłość boską, Philipie, dlaczego nie możesz poślubić dziewczyny z Londynu i oszczędzić nam czas stracony na podróż?

Philip wiedział, że przyjaciel jest zły. W takich sytuacjach tracił swój wystudiowany akcent, stanowiący mieszankę pozostałości po Oksfordzie i Cambridge, a w jego mowie pojawiały się śpiewne kadencje rodem z lat dzieciństwa, spędzonych w Walii. Philip nigdy nie wiedział, z którego miasta pochodzi Joseph. Od przyjaciela usłyszał kiedyś tylko, że jest to bardzo długa nazwa z bardzo niewieloma samogłoskami; nie drażył więc temu.

- Zwracam ci uwagę, że ona ma być twoją żoną. Powinieneś sam ją przywieźć. Chyba o tym wiesz? - Joseph dołał sobie whisky.

- Matka nalega, żebym utrzymywał dystans. - Philip zainteresował się nagle swoimi paznokciami; zaczął sprawdzać, czy nie ma na nich jakiś skaz.

- Opowiedz mi o niej coś więcej, Hastings. Wiem tylko, że jest Amerykanką z dobrej rodziny. Tyle do tej pory zdradziłeś. Gdzie mieszkała w Ameryce?

- Zdaje się, że na wschodzie. Słyszałeś, że Randolph Churchill jest w mieście? Muszę z nim porozmawiać o ożenku z Amerykanką. Ciekawe, czy jego żona zna moją narzeczoną. Wiesz, jak to rodaczki.

- Poczciwy, stary Agrest. - Joseph uśmiechnął się, wspominając przezwisko ich wspólnego przyjaciela. W Eton był okryty niesławą nicponia. Nawet ci, którzy skończyli szkołę lata później, znali go ze słyszenia. Churchillowi nie wrócono wielkiej przyszłości, panowała dość powszechna opinia, że resztę życia zajmie mu płamienie chlubnej przeszłości rodziny. - Więc, jak ona się nazywa?

- Powinieneś pamiętać, Joseph. Kiedyś nazywała się Jennie Jerome, córka Leonarda Jerome'a z Nowego Jorku, a obecnie lady Churchill. Lada dzień urodzi pierwsze dziecko, bez wątpienia chłopaka. Amerykanki mają szczęście do chłopaków. W każdym razie tak twierdzi moja matka.

Joseph Smith zaczerpnął powietrza głęboko do płuc i pokręcił głową. W odróżnieniu od przyjaciela, który był blady, elegancki i do szpiku kości arystokratyczny, on miał bardzo niemodną opaleniznę od przebywania na świeżym powietrzu. Philip nosił imponujące faworyty, nieco ciemniejsze od jasnych włosów na głowie; Joseph był gładko wygolony i wcale nie zakrywał prawie niezauważalnej, choć, zdaniem Philipa, odrażającej blizny na lewym policzku, zupełnie nie przejmując się tym, że cały świat może ją obejrzeć.

Rezygnacja z zarostu była u Josepha bardziej wynikiem jego niecierplivej natury niż manifestacją poglądów na modę. Po prostu nie znajdował upodobania w poddawaniu się nieskończonym zabiegom pielęgnacyjnym, niezbędnym do utrzymania imponujących baków. Joseph Smith, którego kasztanowe włosy były za długie, skóra zbyt śniada, a ciało zbyt muskularne jak na eleganckiego mężczyznę, nie miał nawet cierpliwości, by wywiązywać się z obowiązków towarzyskich wobec pozostałych członków klubu Carlton.

A jednak należał do klubu. Jego bogactwo, mimo iż świeżej daty, sprawiało, że zarówno w większości klubów, jak i najelegantszych salonów witano go z otwartymi ramionami. W dodatku wiele kobiet - nie tylko te, które były gotowe otwarcie się do tego przyznać - ulegało fascynacji jego osobą i uważało jego przyprawioną odrobiną szaleństwa męskość za ożywcze urozmaicenie towarzystwa najbardziej wyrafinowanych dżentelmenów.

- Philipie, pytam o twoją narzeczoną, a nie o żonę Agresta. Jak ona się nazywa?

- Och, Constance. No, właśnie. O ile wiem, jest sierotą, chociaż jej rodzina, zdaje się, była kiedyś dosyć bogata. Constance Lloyd.

- I pochodzi ze wschodniego wybrzeża Ameryki? Czy możesz mi powiedzieć, skąd dokładnie?

- Jak to skąd? Josephie, twoje obsesyjne zainteresowanie szczegółami bywa dość męczące.

- Jeśli mam spędzić długie godziny zamknięty w powozie z tą kobietą, to chciałbym się o niej jak najwięcej dowiedzieć. Na początek, skąd pochodzi. Spróbuj sobie przypomnieć, czy z Maine, czy może z New Jersey?

Philip wzruszył ramionami, bynajmniej nie zainteresowany tematem.

- Ułatwię ci sprawę, Hastings. Ona jest z wybrzeża. Teraz się zastanów: z górnej części czy z dolnej?

- Nie pamiętam. Dobrze wiesz, Joseph, że nigdy tam nie byłem. Czekaj. Wirginia. Tak, ona jest z Wirginii. A może z Karoliny Południowej?

- Czyli stronniczka Konfederacji - domyślił się Joseph. - Ciekawe. - Uśmiechnął się do przyjaciela. - Rozumiem, że podbiła twoje serce, gdy tylko ją ujrzałeś.

- No, wiesz...

- Nie musisz się przede mną krygować. Za dobrze cię znam. Dlaczego, u licha, lord Hastings, znakomita partia, miałby się żenić z sierotą bez złamanego pensa przy duszy, guwernantką pochodzącą ze stanu konfederatów? Naprawdę jestem ciekaw. Powiedz mi to.

- Dobrze. Powiem ci. Bo nikt inny by mnie nie chciał.

Joseph nie był przygotowany na taką odpowiedź. Gdyby w ogóle przyszło mu do głowy, że tak mogłaby zabrzmieć, chwilę wcześniej nie pozwoliłby sobie na duży łyk whisky i po usłyszeniu jej nie plunąłby trunkiem prosto w twarz przyjaciela.

- Nie na moje faworyty, Smith! Dopiero co kazałem je przystrzyc i wypudrować! - Philip starannie otarł zmoczony zarost.

- Przepraszam, Philipie, ale co właściwie miałeś na myśli, mówiąc, że nikt inny by cię nie chciał? Nie tam, bardziej w lewo.

Philip spojrzał groźnie na przyjaciela, z irytacją odnotowując na jego spalonej słońcem twarzy wyraz szczerzego rozbawienia.

- Wszystko przez mojego ojca. Do pioruna, śmierdę jak gorzelnia.

- To nic niezwykłego. A co ma z tym wspólnego twój ojciec?

- Wiesz dobrze, tak samo jak wszyscy, że ma opinię ekscentryka. Czy fular też mam mokry?

- Nie. Jest jak zawsze nieskazitelny. Mówisz, że twój ojciec ma opinię ekscentryka? Ale ma też opinię jednego z najbogatszych parów w Anglii, a to chyba ma znaczenie.

- Naturalnie. Chociaż to ty ze swoimi propozycjami inwestycji przyczyniłeś się do utrzymania naszego statusu finansowego dużo bardziej niż nasze grunty. Barwniki chemiczne, leż coś! Kto by pomyślał, że syntetyczne indy go uratuje nas od klęski? Ale mniejsza o to, Smith. Czy wiesz, że ojciec spędza całe dnie na ryciu tuneli w Hastings House? Czy wiesz, że właśnie zbudował salę balową na ponad dwieście osób?

- Naprawdę? To powinno być bardzo przydatne pomieszczenie w tym domu.

- Byłoby, ale on zbudował tę salę pod ziemią, pod sadem z jabłoniemi. Trzeba przejechać przez te jego tunele specjalnym wózkiem z ręcznym napędem. - Philip złożył chustkę i schował ją do kieszeni. - Dobrze wiem, że w towarzystwie nie mówi się o ojcu inaczej jak „człowiek kret”. I przestań robić głupie miny, Smith. Nie do twarzy ci z tym uśmieszkiem.

- Przepraszam. Prawdę mówiąc, wyjątkowo lubię twojego ojca. Okazał mi znacznie więcej szczerych uczuć niż moi krewni z Walii. Jest dobrym i bardzo życzliwym człowiekiem. Na twoim miejscu, Philipie, byłbym z niego dumny.

- Dumny? Nie rusza się z majątku od piętnastu lat! Jedyna droga, jaką byłby gotów wyjechać, to tunel, a wtedy uparłby się, żeby wziąć z sobą wiadro pełne jedzenia, bo jest święcie przekonany, że gdy człowiek ma przy sobie żywność, nie stanie mu się nic złego. Podejrzewam, że jego ostatecznym celem jest dokopanie się do Londynu, żeby nigdy więcej nie musiał ryzykować podróży drogą lądową. Moja biedna matka...

- Twoja biedna matka jest bardzo zadowolona z tej sytuacji - wpadł mu w słowo Joseph. - Lubi mieć poczucie, że nad wszystkim panuje, zwłaszcza nad prowadzeniem majątku i interesami. I nad tobą - dodał pod nosem.

- Gazety odmówiły opublikowania ostatniego napisanego przez nią nekrologu - rzekł Philip, jakby nie dosłyszał ostatnich słów przyjaciela. Bardzo ją to zirytowało, Smith. Powiadam ci, bardzo.

- Czyżby twoja matka wciąż wysyłała do „Timesa” fałszywe nekrologi? Przecież one tylko zachęcają ludzi do gadania. Nikt nie uwierzy w śmierć twojego ojca. Gdy w końcu przyjdzie jego czas, a miejmy nadzieję, że, z Bożą pomocą, nie nastąpi to szybko, będziesz musiał ciężko się napracować, by przekonać kogokolwiek, z jego lekarzem włącznie, że księżę odszedł z tego świata. Jaki powód śmierci podała matka tym razem?

- Wypadek na polowaniu. Joseph Smith parsknął śmiechem.

- Twój ojciec nie poluje od lat!

- To nie jest śmieszne, Smith. Matka miała nadzieję, że jeśli ojciec zejdzie mi z drogi... a w każdym razie tak wyda się ludziom, to będę miał szansę na jedną z lepszych partii, które debiutują w towarzystwie w tym sezonie. Pamiętaj, że jestem młodszym synem, nie mam źródeł utrzymania, zyskałem sobie natomiast reputację lekkoducha.

- Och, Phi lipie, nie jest chyba aż tak źle.

- Jest nawet gorzej. Oświadczyłem się w tym sezonie ni mniej, ni więcej tylko pięciu kobietom i wszystkie mi odmówiły. Nawet Lillian Lisie.

Joseph zachichotał.

- Jak się czuje panna Lisie? Od ostatniego Bożego Narodzenia jakoś nie miałem okazji jej widzieć.

- Ma następny kamień, a jej wąsik staje się coraz wyraźniejszy. Ale nawet Lillian Lisie miała czelność wyśmiać mnie, kiedy wyznałem jej miłość.

- A czegoś ty się spodziewałeś, Hastings, na miłość boską? Nie dalej jak w zeszłym roku wysłałeś jej sekator, żeby przycięła sobie wąsik. Nie powinno cię dziwić, że Lillian nie chce do końca życia trzymać na toaletce narzędzi ogrodniczych.

Philip przez chwilę milczał.

- Tfu, czyżby ten incydent z sekatorem był tak niedawno? Prawie już o nim zapomniałem. Byłem wtedy pijany jak bela, sam wiesz.

- Wiem. A co z innymi niedoszłymi narzeczonymi?

- Wszystkie się boją, że w mojej rodzinie dziedziczy się choroby umysłowe. To przez ojca. Żadna kobieta nie chce poślubić syna obłąkanego „człowieka kreta”.

- Twój ojciec nie jest chory umysłowo. Jest jednym z najtrzeźwiej myślących ludzi, jakich w życiu spotkałem. Po prostu zręcznie unika kontaktów z towarzystwem, a to świadczy o tym, że naprawdę nie brak mu mądrości.

- Mniejsza o to. Mojego brata rodzinna choroba jakoś się nie ima. Na pewno znajdzie żonę bez kłopotu, pewnie dlatego że jest pierworodny. Dziedziczy cały majątek. Nawet gdyby był naprawdę zwariowany, sezon w sezon może do woli wybierać i przebierać wśród kandydatek.

- Przed ołtarzem jeszcze nie stanął.

- Ale niewiele mu do tego brakuje, i w tym rzecz. Matka nie przejmuje się Dishym. Ona martwi się o mnie. Wiesz, Smith, jakie krążą plotki o moich, tak zwanych, eskapadach. Nie wszyscy mają talent do zaharowywania się na śmierć, tak jak ty, staruszk.

- I nie wszyscy muszą go mieć - dodał ponuro Smith. - Tak czy owak, udało ci się znaleźć piękną oblubienicę. Słyszałem, że jest olśniewająca. Wnoszę również, że musiałeś się zakochać, bo jeśli nie, to skąd taki pośpiech w dążeniu do ceremonii?

Philip wzruszył ramionami.

- Matka nalega, żebym ożenił się przed wyborami.

- Po co, na Boga?

- Widzisz, jestem kawalerem, dobrze po trzydziestce. Matka obawia się, że może być mi to poczytane za dziwactwo. Przyjechałem do Cowes z zamiarem znalezienia żony. Już byłem bliski załamania, gdy na balu zobaczyłem jego wysokość, tańczącego z piękną młodą kobietą. Księżę promieniał, a księżna Walii bardzo uważnie przyglądała się tej kobiecie. Przeczekałem więc trzy walce i wyprzedziłem tego Rafferty'ego z blizną na twarzy. Och, przepraszam, nie chciałem cię urazić.

Smith tylko się uśmiechnął i nieznacznie skinął głową.

- Zaprosiłem tę istotę do tańca - mówił dalej Hastings. - Matka potem szybko sprawdziła... jak wiesz, ma swoje źródła. Panna najwyraźniej pochodzi z porządnej rodziny, a jej rodzice nie żyją, co zrobiło na matce jak najlepsze wrażenie.

Tym razem Smith nie wypuścił whisky, ale omal się nią nie udławił.

- Dlaczego, u licha, miałyby to robić dobre wrażenie?

- Jeśli nie ma rodziny, nie będziemy musieli się martwić o ładowanie na statek bandy hałaśliwych Amerykanów, którzy potem najechaliby Hastings House. Nie będzie ordynarnych mamusi, które tylko patrzą, jak schować za pazuchę coś z biżuterii, i wtrącają się do wychowania moich synów.

- Synów?

- Amerykanki zawsze mają synów. Poza wyborami jest to główny powód mojego małżeństwa. Matka sprawdziła, czy ona ma dostatecznie szerokie biodra, by być matką... wzięliśmy miarę do uszycia sukni ślubnej.

- To bez sensu. Czy ty cokolwiek wiesz o kobiecie, która ma zostać twoją żoną, Philipie? Jaka ona jest?

- Ładna. Ma ciemne włosy, jeśli dobrze sobie przypominam, i znośny akcent.

- I to wystarczy, tak?

Przy lewym ramieniu Josepha pojawił się kamerdyner; trzymał srebrną tacę, na której leżał zapieczętowany liścik. Adresu zwrotnego nie było widać, jak zawsze w przypadku, gdy dżentelmen dostawał korespondencję w klubie. Reputacja wielu dam byłaby zszargana raz na zawsze, gdyby ujawniono ich listy przesyłane do klubów.

- List do pana, sir. Joseph wziął kopertę.

- Dziękuję - mruknął, otworzył kopertę i przebiegł wzrokiem treść listu. W miarę jak czytał, na jego czole pojawiały się coraz wyraźniejsze bruzdy. Wreszcie złożył list i schował go do koperty.

- Czy będzie odpowiedź, sir? - spytał kamerdyner, wykonując nieznaczny ukłon.

- Nie, Baker. Odpowiedź nie jest konieczna, ale bardzo ci dziękuję.

Philip poczekał, aż kamerdyner się oddali, i dopiero wtedy się odezwał.

- Więc jak, Smith? Zrobisz to dla mnie? Przywieziesz Constance do Hastings House? - Mimo zmoczonych faworytów lord Hastings wyglądał w tej chwili jak zatroskany młokos.

- Naturalnie. Wygląda na to, że jednak mam coś do załatwienia w tamtych stronach. - Joseph milczał przez chwilę, wpatrując się w kominek. - Pamiętaj tylko, że któregoś dnia to ja poproszę cię o przysługę, a będzie to wyjątkowo kosztowna i niewygodna przysługa.

Philip zachichotał.

- Niczego innego się nie spodziewam. Dziękuję ci, Josephie. Jesteś prawdziwym przyjacielem. - Uniósł kieliszek i wzniesli toast za przyjaźń.

2

Konstancie trzeci raz zerknęła na zegar kominkowy. Była ubrana w nowy strój podróżny, ciemnokasztanową suknię ściśle dopasowaną do ciała niż te, do których przywykła jako guwernantka. Strój przysłano poprzedniego dnia z Hastings House, razem z kilkoma innymi. Liścik dołączony do paczki, napisany przez matkę Philipa, był zwięzły i konkretny. Suknie były na wszelki wypadek, żeby Constance nie czuła się zażenowana z powodu niestosownego odzienia.

Od narzeczonego nie było ani słowa. Nawet dopisku. Nie było też w liście wzmianki o zbliżającym się ślubie. Zupełnie jakby księżna nie chciała rozwodzić się nad tym wydarzeniem. Constance zastanowiło, czy Philip w ogóle wie o tej paczce.

W hallu domu Whitestone'ów stał jej jedyny kufer oraz zniszczona deska do pisania na kolanach. Wszystkie rzeczy Constance mieściły się w zniszczonym kufrze, nawet po tym, jak otrzymała przesyłkę z sukniami, które miały oszczędzić jej upokorzenia. Przyjechał z nią z Richmond przed prawie dziesięciu laty. Teraz znów towarzyszył jej w drodze do nowego życia.

Deska do pisania należała kiedyś do jej matki i była pociechą Constance w najbardziej ponurych chwilach życia. Czasem jednak Constance nie mogła się zdobyć na to, by uchylić wieczka na zawiasach i zerknąć na zakorkowane kryształowe flakoniki z atramentem oraz gęsie pióra, wciąż jeszcze mające ciemne czubki po ostatnich słowach, jakie napisała matka.

W sekretnej przegródce Constance trzymała kilka pożółkłych kartek z inicjałami, których matka używała do notowania. Zamówiono je wiele lat przed wojną. Deska do pisania była wszystkim, co przypominało Constance minione czasy, zanim została guwernantką. Tylko tyle zabrała z domu w podróż.

- Niedługo powinien przyjechać, Constance. - Harriet Whitestone uśmiechnęła się, widząc niecierpliwość byłej guwernantki jej dzieci. - W liście napisał bardzo wyraźnie, że będzie między dziesiątą a wpół do jedenastej, a jest dopiero dwadzieścia po dziesiątej. Byłabym zdziwiona, gdyby się spóźnił.

Constance przytaknęła.

- Ja też. Z jego korespondencji wynika, że bardzo dba o punktualność.

- To nie jest taka zła cecha, moja droga. Nie powinnaś być zła na niego tylko dlatego, że to nie on miał ci towarzyszyć w drodze do Hastings House. Twój narzeczony ceni tego Josepha Smitha wystarczająco, by powierzyć mu to, co dla niego najcenniejsze. Chwilowo jedyna wada tego człowieka polega na tym, że nie jest lordem Hastingsem. O, słyszę nadjeżdżający powóz.

Obie kobiety nie ruszyły się z miejsc, nasłuchując, jak pokojowa Whitestone'ów, Betty, otwiera drzwi.

Constance usłyszała głos mężczyzny, niski i wcale nie przykry dla uszu. Potem otworzyły się drzwi salonu i Betty weszła małymi kroczkami do pokoju, zaróżowiona, z lekko przekrzywionym czepkiem.

- Pan Joseph Smith, proszę pani. - Przytrzymała drzwi, a gość wszedł do małego pokoju.

Constance spodziewała się kogoś zupełnie innego. Mimo dość pospolitego nazwiska wyobraziła sobie mężczyznę w typie Philipa, smukłego, eleganckiego, starannie ufryzowanego, z imponującymi bakami. Tymczasem John Smith był wysoki, chyba nawet wyższy niż Philip, ale przy tym bardzo szeroki w ramionach. Wydawało się, że bez wysiłku mógłby przerzucić ciężkie krzesło na drugi koniec pokoju. Włosy miał gęste, ciemne, z miedzianym połyskiem, proste, zupełnie niepodobne do jasnych włosów Philipa. Jego oczy trudne były do opisanie, ich kolor był nieokreślony. Constance odniosła jednak wrażenie, że, podobnie jak włosy, są w odcieniu przydymionej miedzi. Twarz, dokładnie ogolona, była niesłychanie sympatyczna i pociągająca. Constance przyzwyczaiła się do mężczyzn maskujących wyraz twarzy brodą. Widok takiej ilości skóry bez zarostu, nawet na policzkach, wydał jej się więc niecodzienny i intymny, zwłaszcza że strój Johna Smitha był bez zarzutu. To zestawienie bardzo rzucało się w oczy, co więcej - niepokoiło.

- Czy panna Lloyd? - zwrócił się do Harriet. Ta spłonęła rumieńcem i pokręciła głową.

- Przykro mi, ale nie, panie Smith. Jestem Harriet Whitestone. Panna Lloyd stoi tam.

Constance skinęła głową i po chwili wahania uśmiechnęła się. Nie wiadomo dlaczego, ten mężczyzna wprawiał ją w zakłopotanie.

- Przepraszam, panno Lloyd. - Zdawało się, że już na nią nie patrzy. Zainteresował się rękawiczkami, które przełożył do drugiej ręki, jakby jedno spojrzenie na Constance wystarczyło mu, by wyrobić sobie o niej zdanie. Z jego miny można było wyczytać, że nie jest bynajmniej pochlebne. - Chciałbym wyruszyć w podróż jak najszybciej. Czy polecić woźnicy, żeby załadował pani kufry? - Już cofał się w stronę drzwi.

- Słucham? Tak, tak, naturalnie. - Constance zerknęła na Harriet Whitestone; ona również wydawała się zaskoczona obcesowością pana Smitha. - Mam tylko jeden kufer. I deskę do pisania.

- Tylko jeden kufer? I deskę do pisania? - powtórzył z niedowierzaniem, po czym skinął głową. - Rozumiem.

Raz jeszcze zmierzył Constance wzrokiem, co wyrobiło w niej nieodparte przekonanie, że pan Smith odnosi się z dezaprobatą nie tylko do niej, lecz również do faktu, że w jej posiadaniu znajduje się zaledwie jeden kufer, a co gorsza -jeszcze deska do pisania.

Zanim przestała myśleć, przyjęła sztywną postawę i splotła przed sobą dłonie. Miała nadzieję, że zdoła zachować spokój.

- Od prawie dziesięciu lat jestem guwernantką, panie Smith. Bogatej garderoby raczej nie potrzebowałam. Jest mi więc bardzo przykro, jeśli przeszkadza panu, że mam tylko jeden kufer, ale chwilowo nie mogę nic na to poradzić. A co do deski do pisania.... nie widzę ani potrzeby, ani powodu tłumaczenia się przed panem z jej posiadania.

Znieruchomiał, po czym bez pośpiechu zmierzył ją wzrokiem. Zaczął od głowy, na chwilę zatrzymał się na skroni, na której nagle pojawiła się pulsująca żyłka, zerknął na gałązkę wawrzynu przy kołnierzyku, przesunął wzrok niżej i po dłuższej chwili dotarł aż do pantofli, które - Constance, niestety, zdawała sobie z tego sprawę - nie były najwyższej jakości. Matka Philipa zapomniała ją spytać o numer obuwia.

Co też mi przyszło do głowy, żeby wygłosić taką przemowę? - skarciła się w myślach Constance. Wcale nie zdziwiłaby się, gdyby Philip, usłyszawszy o tym, zerwał zaręczyny i odesłał ją do...

Z zamyślenia wyrwał ją śmiech. Joseph Smith stał w salonie Whitestone'ów i wydawał radosne dźwięki przypominające gulgotanie. Harriet najpierw pobladła, potem z powrotem nabrała kolorów, wreszcie i ona wybuchnęła śmiechem. Po dłuższej chwili przybysz odzyskał mowę.

- Proszę mi wybaczyć, panno Lloyd. Philip zawsze ruga mnie za bezceremonialność, ale nigdy nie zrobił tego tak gorliwie i skutecznie. Musi pani być wspaniałą guwernantką, panno Lloyd.

- O, tak, panie Smith! - Harriet postąpiła krok naprzód. - Nie mam pojęcia, jak sobie dam bez niej radę.

Constance zamrugła, zdziwiona zmianą, jaka zaszła w tym mężczyźnie, który zjawił się w pokoju niczym burzowa chmura, a teraz uśmiechał się jak ugodowo nastawiony i najbardziej uroczy człowiek na ziemi.

- Ja... - bąknęła Constance.

- Poczekam przed domem, panno Lloyd. Na pewno chce pani w spokoju pożegnać się z panią Whitestone. - Skłonił się obu kobietom i szybko wyszedł.

- Dziękuję, panie Smith - powiedziała Constance do zamykających się drzwi.

- Nie ma za co - usłyszała odpowiedź z hallu. Skrzywienie przesuwanego kufra zagłuszyło jego głos, więc jeśli nawet Joseph Smith jeszcze coś dodał, to nie dane jej było tego usłyszeć.

- Ojej, Constance. - Harriet, objęła ją. - Będziesz miała ciekawą podróż do Hastings House, by nazwać rzecz oględnie.

Constance przytuliła się do swej byłej chlebodawczyni.

- Będę za panią tęsknić. Za panią i za wami wszystkimi. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się odwdziżyć. Była pani dla mnie taka dobra, taka niesamowicie dobra. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie przyjęła mnie pani pod swój dach.

- Psst, nie mów tak - zaprotestowała Harriet, dobrze wiedząc, że i jej cisną się do oczu łzy. - Bez ciebie na pewno nie dalibyśmy sobie rady, moja droga, droga Constance. Teraz już wszystko jest dobrze. Moja najstarsza córka i syn są szczęśliwi w swych małżeństwach, Melody ma za sobą debiut, a ty zadałaś sobie tyle trudu, żeby się nimi opiekować i dać im wychowanie. Teraz sprawiedliwości staje się zadość, przyszła kolej na ciebie. A jak ci się udało! Poślubiasz syna księcia! Wkrótce będziesz jadła obiady z księciem Walii, może nawet z samą królową! Och, Constance, nie byłabym z ciebie bardziej dumna, gdybyś była moją własną córką!

Constance przełknęła ślinę i skinęła głową, nie ufała już bowiem swemu głosowi. Długo żyła, nie okazując uczuć, nie poddając się atakom hysterii, tak modnym wśród dobrze wychowanych panien. A jednak bała się, że gdyby pozwoliła sobie w tej chwili na luksus okazania uczuć, które zawsze przerażały ją swą gwałtownością i siłą, to potem nie mogłaby ich okiełznać. Straciłaby panowanie nad sobą raz na zawsze.

- Poczekaj, pomogę ci. - Harriet zręcznie przytrzymała gęste włosy Constance i wpięła szpilkę w kapelusze. Uśmiechnęła się, przypomniała sobie bowiem, ile godzin jej córki spędziły na zabawie z pięknymi włosami panny Lloyd. Kształtowały ten sięgający do pasa, jedwabisty

szal na najbardziej fantazyjne sposoby, ale panna Lloyd starannie niweczyła wszystkie te fryzury natychmiast po zaśnięciu dzieci.

- Napiszę do pani, gdy tylko przyjadę na miejsce - obiecała cicho Constance, biorąc małą torebkę.

- Trzymam cię za słowo. - Harriet w milczeniu odprowadziła ją do drzwi i razem zeszły po schodkach na dziedziniec.

- Niech pani powie Melody, żeby się nie dąsała, kiedy coś ją rozżłości - szepnęła Constance przez ściśnięte gardło. - I proszę powiedzieć, że rozumiem, dlaczego jej tu dziś nie ma. Rozumiem.

- Wiem - odrzekła Harriet. - Jesteś jedną z niewielu osób, które rozumieją, jaka sentymentalna jest Melody. Biedaczka zawsze źle znosiła pożegnania.

- Kiedy już się tam zdomowię, musicie koniecznie mnie odwiedzić. Chciałabym, żeby mogła pani przyjechać na ślub, ale to nie zależy ode mnie...

- Ależ naturalnie! Nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby się wpraszać. Ja, wdowa i... o, jest pan Smith.

Joseph Smith zjawił się nie wiadomo skąd.

- Otoczę pannę Lloyd dobrą opieką, szanowna pani. - Skłonił się przed Harriet, a ta skinęła głową.

- Wiem. Wobec tego nie przedłużajmy już pożegnań. Jestem pewna, Constance, że wkrótce się zobaczymy. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Constance przytaknęła, uświadomiwszy sobie, że nie ma powodu dalej tu tkwić. Nadszedł czas wyjazdu. Zerknęła za plecy Harriet, gdzie nieco z tyłu stali Betty, ogrodnik Ben oraz stary Conner, były kamerdyner.

- Do widzenia - powiedziała, ale zanim zdołała się uśmiechnąć, Betty wybuchnęła szlochem i wbiegła do domu. - Boże, można by pomyśleć, że jadę na egzekucję.

Harriet zachichotała i ostatni raz uściskała Constance.

- Z Bogiem, moja miła.

Joseph poczekał jeszcze chwilę, a potem pomógł Constance wsiąść do krytego powozu. Gdy pojazd potoczył się żwirową drogą w stronę promu, który miał ich przewieźć do Anglii, wychyliła się przez okno, usiłując zachować w pamięci jak najwięcej szczegółów. Oto brama z zardzewiałymi zawiasami, ogród, w którym dawała dzieciakom lekcje botaniki, okno jej pokoiku na poddaszu, teraz zakryte okiennicami.

Tak bardzo pochłonęły ją rozmyślenia, że nie zwróciła uwagi na zakręt, więc gdy powóz się przechylił, poleciała prosto na współtowarzysza podróży.

- Przepraszam - wymamrotała, poprawiając kapelusz. Szybko odsunęła się na drugi koniec skórzanego siedzenia, jak najdalej od ciepłego ciała Josepha Smitha.

Nie odezwał się.

Constance głęboko odetchnęła i zamknęła oczy, wiedząc, że czeka ją długa, długa podróż.

Drogi były suche, a morze spokojne, toteż dopłynęli do Southampton przed spodziewanym terminem.

- Czy chciałaby pani odpocząć i trochę się odświeżyć?

Głos Josepha Smitha zaskoczył ją. Do tej pory jechali wiele godzin, nie zamieniwszy nawet jednego słowa. Gdyby Constance nie wiedziała, jak się sprawy mają, mogłaby pomyśleć, że

jej towarzysz słabo mówi po angielsku, jego ojczystym językiem jest rosyjski albo włoski, a on przybrał niemal komicznie pospolite nazwisko, żeby wydawać się Brytyjczykiem.

Coś podobnego widziała w dzieciństwie, w Richmond. Tuż przed wojną sprowadziła się do miasta niemiecka rodzina. Wszystkie dzieci urodziły się w Stanach Zjednoczonych, więc mówiły po angielsku bez obcego akcentu. Natomiast rodzice przyjechali pod nazwiskiem Jones, John i Mary, chociaż wymawiali swoje nazwisko „Johans” i często trzeba było odzywać się do nich po kilka razy, by wywołać jakąkolwiek reakcję. Po wybuchu wojny przenieśli się na Północ, a Constance czasem próbowała odgadnąć, jak potoczyły się losy tej rodziny, małżonków, którzy wydawali się całkiem zagubieni, i ich trojga dzieci.

- Panno Lloyd?

Podskoczyła na siedzeniu. Joseph Smith wydawał się lekko poirytowany.

- Pytałem, czy pani miałaby ochotę na odpoczynek i coś odświeżającego?

- Dziękuję, panie Smith. To bardzo dobry pomysł.

U Whitestone'ów odbyła się gorąca dyskusja na temat tego, czy kucharka powinna zapakować dla Constance kanapki na podróż, a jeśli tak, to czy przygotować również dodatkową porcję dla pana Smitha. W końcu Harriet z kucharką doszły do zgodnego wniosku, że nigdy nie słyszały, żeby człowiek ze szlacheckim tytułem wyjmował kanapki w podróży, ponieważ zaś Constance miała otrzymać tytuł po mężu, nie powinna nic przeżuwać, a tym bardziej obsypywać okruskami nowej sukni. Ostatecznie rozwiązała dylemat kwestia napoju. Harriet uznała bowiem, że bez względu na to, w jakim naczyniu Constance weźmie herbatę, wodę czy jabłecznik, będzie to wyglądało tak, jakby popijała brandy albo wino.

Spoglądając na współtowarzysza podróży, Constance stwierdziła jednak, że wzięcie brandy albo wina - albo nawet whisky - wcale nie byłoby złym pomysłem.

Joseph Smith się nie uśmiechał. Jeśli nie liczyć nad wyraz krótkiego momentu, który spędzili w salonie z Harriet Whitestone, wydawał się dość niedostępny. Był zatopiony w myślach, sprawiał takie wrażenie, jakby bez końca rozważał coś, co nie miało nic wspólnego z mijanymi przez nich krajobrazami.

Powóz, wyglądający raczej na wynajęty niż należący do księcia, przystanął przed zajazdem. To było coś, co Constance bardzo się w Anglii podobało, zaciszne zajazdy i oberże. W Ameryce nie było przy drogach tylu miejsc, gdzie można się zatrzymać i wypocząć. Naturalnie dla niej Ameryka ograniczała się do Południa, gdzie podczas wojny nie było czasu na budowanie zacisznych oberży. Constance przypuszczała jednak, że Ameryka Północna jest po prostu zbyt wielkim i zbyt krótko znanym kontynentem, by mogła mieć zajazdy, jakimi szczyliła się Anglia.

Chciała powiedzieć coś na ten temat i z na wpół otwartymi ustami odwróciła się do swego towarzysza.

Patrzył na nią. Ale w chwili, gdy pochwycił jego wzrok, odwrócił się do okna.

Wydało jej się głupie, że chciała mu opowiedzieć o swoim upodobaniu do angielskich zajazdów, wszak nie powinna błahostką odwracać jego uwagi od nurtującego go problemu. Po chwili Joseph Smith stał już przed drzwiami powozu i polecił otworzyć dla niej drzwi. Schodki natychmiast znalazły się na miejscu, a on spokojnie czekał.

Nie patrząc mu w oczy, Constance zaczęła schodzić na ziemię bardzo uważając, by ominąć błoto. Delikatnie ujął ją za rękę i pomógł jej znaleźć odpowiednie miejsce do stąpienia.

- Dziękuję panu - bąknęła, wciąż uciekając przed jego wzrokiem. Tylko przez ułamek sekundy ich oczy znalazły się na jednej wysokości, a potem znów była od niego niższa o przynajmniej piętnaście centymetrów.

Dobrze jej się zdawało. Miał oczy w niezwykłym odcieniu brązu, prawie miedziane.

I znów bez słowa Joseph Smith zaprowadził ją do oberży Pod Złotym Orłem. Miejsce robiło przyjemne wrażenie, a Constance mimo woli ucieszyła się czymś tak codziennym, jak przechadzka. Wprawdzie ich podróż nie trwała jeszcze długo, lecz czuła już wszystkie kości, a ręce i nogi zeszywniały jej od siedzenia w jednej pozycji.

Nie pierwszy raz była wdzięczna modzie, że usztywnienia wielkich krynolin lnianym płótnem lub końskim włosiem ustąpiły miejsca turnirom. Dzięki temu siedzenie przestało być torturą, a stało się jedynie niezbyt wygodne. Wprawdzie jak na swoje przyzwyczajenia miała nieco zbyt bogaty strój podróżny, zdobiony jedwabnymi zapinkami, zaczynającymi się pod szyją i kończącymi na wysokości talii, lecz na szczęście ozdoby nie wydawały się niepotrzebne, wręcz śmieszne, jak czasem widywała. Kołnierzyk i mankiety były z aksamitu, ale kasztanową barwą pasowały do reszty sukni.

Jako guwernantka Constance nie zwracała uwagi na modę, ale nawet ta skromna wyprawa panny młodej, którą otrzymała od przyszłej teściowej, stanowiła dla niej czytelny sygnał, że już wkrótce kwestie ubioru nabiorą dla niej znaczenia. Westchnęła i zerknęła na nowe rękawiczki z kozłczej skóry, również podarunek od księżnej. Melody powiedziała jej, że damie jest potrzebna przynajmniej para rękawiczek na dzień, a powinny być tak dopasowane do dłoni, by na palcu było widać zarys paznokcia.

Jednakże Constance, której większą część życia zabrała walka o przetrwanie, trudno było traktować poważnie problem doboru rękawiczek.

Wnętrze zajazdu było dość mroczne, oświetlone mrugającymi mosiężnymi lampami i nielicznymi świecami. Z unoszącego się tam niezbyt natarczywego, lecz wyraźnego zwierzęcego zapachu należało wnosić, że świece są łożowe.

Gospodarz, człowiek drobnej postury - pomijając nos, który wydawał się stanowczo za duży w porównaniu z resztą - ochoczo zaprowadził ich do saloniku, oddzielonego od głównej sali. W tym pomieszczeniu zamiast twardych ław stały stoliki i krzesła. Nie było tylko drzwi odgradzających salonik od głównej sali. Mimo to mało eleganccy goście prawie nie zwrócili uwagi na ich wejście, a wielka kobieta nalewająca piwo obrzuciła ich tylko przelotnym spojrzeniem.

Joseph Smith odsunął krzesło i poczekał, aż Constance usiądzie. Doznała dziwnego wrażenia, bo przez chwilę czuła dotyk jego palców na plecach, jakby się zastanawiał, co dalej.

Jadłospis wisiał tuż obok ich stolika. Nagle towarzysz Constance się rozpromienił.

- Mają świeże ostrygi! - Był wyraźnie zadowolony z tego powodu.

- Czyżby? - Constance wolałaby nie mówić tego, co właśnie pomyślała, była jednak przekonana, że uczciwość jej to nakazuje. - Panie Smith, przykro mi to powiedzieć, ale czuję, że muszę.

Natychmiast zaczął jej się bacznie przyglądać.

- Proszę bardzo, panno Lloyd. Proszę mówić wszystko, co pani uważa za konieczne.

- Hm... - Rozejrzała się ostrożnie, żeby sprawdzić, czy nie ma w pobliżu gospodarza. - Radzę panu nie zamawiać świeżych ostryg.

- Dlaczego nie? Czy dlatego, że są posiłkiem prostych ludzi, jedzonym w najbiedniejszych domach? Dlatego, że nie są modne? Dlatego, że...

- Dlatego, że ostatnio notowano wiele przypadków zachorowań, które, jak się powszechnie uważa, miały coś wspólnego zjedzeniem świeżych ostryg. - Obok nich przeszedł gospodarz, więc Constance zniżyła głos i póki mężczyzna nie znikł w przyległym pomieszczeniu, mówiła ciszej.

Joseph Smith chyba stracił pewność siebie; westchnął.

- Panno Lloyd, doceniam pani troskliwość, ale jestem człowiekiem mocnej konstytucji. Ostrygi jem od dziecka, w każdym razie jadłem je zawsze, kiedy dopisało mi szczęście i mogłem mieć je na talerzu. W tej chwili też mam na nie apetyt. Proszę, niech pani nie odbiera mi jedynej dzisiejszej przyjemności.

Już miała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język i przyjrzała twarzy swego towarzysza. Oboje w tej samej chwili pojęli sens tych słów.

- Ach, tak. - Odwróciła głowę, byle nie patrzeć dłużej na tego człowieka, dla którego jedzenie niezdrowych ostryg miało być jedyną jasną chwilą w ciągu tego dnia.

- Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało, panno Lloyd. Nie to miałem na myśli.

Wciąż nie mogła się zdobyć na to, by spojrzeć mu w oczy, więc z wielkim zainteresowaniem studiowała jadłospis.

- Proszę, niech pani na mnie spojrzy. Z ociąganiem spełniła jego prośbę.

- Powinniśmy być ze sobą szczerzy - zaczął. - Jestem tutaj ze względu na moją przyjaźń z Philipem. Prawdę mówiąc, załatwiałem w pobliżu pewną sprawę, ale przede wszystkim mam dowieźć panią zdrową i całą do pani nowego domu. Jak więc pani widzi, nie jest to dla mnie ani niedogodność, ani przykry obowiązek. Rzecz jest w moim szorstkim usposobieniu. To nie ma nic wspólnego z panią, panno Lloyd. Nie chcę też, by moje złe maniery w jakikolwiek sposób wpłynęły na pani stosunek do Philipa. Jestem gburem, najmniej odpowiednim człowiekiem na towarzysza podróży, jakiego można sobie wyobrazić. Z góry więc przepraszam, bo z pewnością często będzie pani żądać ode mnie przeprosin za moje zachowanie.

Przez chwilę Constance się nie odzywała. Patrzyli na siebie i nagle zapanowało między nimi jakieś dziwne porozumienie. Na chwilę przed tym, jak Constance się uśmiechnęła, tuż przy kąciku jej ust pojawił się dołeczek, lecz tylko z prawej strony.

Joseph Smith zapatrzył się w niego i nagle uzmysłowił sobie, że Constance się uśmiecha.

- Dziękuję panu za szczerłość. Czy teraz z kolei wolno mi coś powiedzieć?

- Jak najbardziej.

- Na pana miejscu unikałabym świeżych ostryg jak zarazy. Odwzajemnił uśmiech.

- Dziękuję, panno Lloyd. A czy pani już coś dla siebie wybrała? - Dał znak gospodarzowi, by podszedł do stolika.

- Owszem. Poproszę kurczaka w potrawce.

Powtórzył gospodarzowi życzenie Constance, a potem głośno polecił sobie podać jak największą porcję ostryg.

- Jak je ugotować, sir?

- Nie gotować. Podać surowe.

Constance się wzdrygnęła, a Josepha Smitha tak rozbawiła jej reakcja, że nie zauważył podobnej reakcji gospodarza.

- A do picia, sir?

- Dla pani odrobinę sherry, a dla mnie kufel piwa.

- Służę. - Zawahał się jednak, jakby bardzo chciał coś powiedzieć. Ale w tej chwili wielka kobieta w obszernym zielonym fartuchu, zawołała zza kontuaru:

- Horace! Pospiesz się, człowieku! Gospodarz skinął głową i zwrócił się do Josepha:

- Moja żona - syknął, jakby to wszystko wyjaśniało. I już go nie było.

- No, to proszę mi powiedzieć, panno Lloyd, z której części Stanów Zjednoczonych pani pochodzi?

Zaskoczył ją. Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś pytał o jej przeszłość.

- Ja? Z Wirginii. Mieszkałam tuż pod Richmond.

- To piękne miejsce.

- Był pan tam?

- Owszem. Przed paroma laty zastanawiałem się, czy nie zająć się importem tytoniu, więc byłem tam przez parę miesięcy. A większość tego czasu spędziłem właśnie w Richmond.

- Już po wojnie?

- Naszej czy waszej?

- Naszej. Czy był tam pan już po naszej wojnie?

- Tak. Dokładnie dwa lata temu.

- Naprawdę? - Pochyliła się ku niemu, bardzo podekscytowana. - Jak teraz wygląda miasto? Czy je odbudowano? Bo kiedy wyjeżdżałam, wciąż było pogorzeliem. Nad parlamentem powiewał gwiazdzisty sztandar... dziwny widok po tylu latach, gdy widziało się tam flagę Konfederacji. A czy poznał pan kogoś w Richmond... - Urwała i zamrugnęła, jakby nagle obudziła się ze snu. Przez chwilę z lekko rozchylonymi wargami wpatrywała mu się w twarz, potem przycisnęła dłoń do czoła i bezwładnie opadła na oparcie krzesła.

Joseph, którego bardzo ucieszyło jej nagłe ożywienie, czekał na dalszy ciąg. Ale Constance zamilkła. Wbiła wzrok w dłoń i nieśmiało się uśmiechnęła.

Coś ścisnęło go za gardło, coś, czego nie doświadczył już dawno. Nie próbował jednak zastanawiać się nad tym uczuciem. Nadal wpatrywał się w Constance, której padało na twarz migotliwe światło. Rysy miała delikatne, cerę prawie idealną. Wydawała się wcieleniem łagodności.

- Niech pani mówi dalej - zachęcił ją tak cicho, że tylko ona mogła usłyszeć te słowa.

Pokręciła głową.

- Nie. To naprawdę nie ma znaczenia. Wtedy byłam kimś zupełnie innym. Chciałam spytać o kilkoro dawnych znajomych, ale prawda jest taka, że dziś zapewne nie mielibyśmy już o czym rozmawiać. Jestem tylko guwernantką.

- Nieprawda. Ma pani poślubić człowieka z tytułem, panno Lloyd. Przypuszczam, że pani znajomi zaczną wtedy szukać okazji do odnowienia znajomości.

Nie okazała radości, w ogóle nie okazała żadnej reakcji. Joseph przyjrzał jej się dokładnie i odniósł wrażenie, że nagie ogarnął ją smutek. Dziwne, pomyślał. Wkrótce miała zdobyć w Anglii wysoką pozycję społeczną, która tylko dla niewielu jest osiągalna, a mimo to wcale nie wydawała się zachwycona swym nowym statusem. Zbiło go to z tropu. Nawet chciał zapytać, dlaczego jest taka powściągliwa.

- Niech mi pan powie, proszę - uprzedziła jego pytanie - jaką pan ma fabrykę?

- Fabrykę? Och, produkuję barwniki do tkanin. To zupełnie nowa gałąź wiedzy, wytwarzanie sztucznych barwników. Roślinne są dostępne w bardzo ograniczonym zakresie, stają się więc coraz droższe i coraz trudniejsze do zdobycia.

- To ciekawe. Musi pan mnóstwo wiedzieć o chemii i znać różne tajemnice nauki.

- To prawda, panno Lloyd. Pracuję również nad kilkoma innymi pomysłami. Mamy nadzieję rozwinąć działalność; stosując nowy proces, wynaleziony przez Francuzów. Liczymy, że dzięki niemu będzie można bezpiecznie pić różne płyny.

- Naprawdę?

Constance była zafascynowana zmianą, jaka w nim zaszła, gdy zaczął mówić o swej pracy. Wstąpił w niego wigor, przesycone żarem słowa padały mu z ust tak szybko, że trudno było je zrozumieć.

- Tak. Widzi pani, zawsze zastanawiałem się, dlaczego wielu ludzi choruje po napiciu się wody, która wydaje się całkiem zwyczajna albo...

- Albo po zjedzeniu surowych ostryg. - Nie mogła powstrzymać się od tego wtrętu, ale on, zamiast się rozżłościć, przesłał jej uśmiech. Zobaczyła błysk białych zębów.

- Słusznie! Pracując nad uzyskaniem jak najtrwalszych barwników, jednocześnie badam ten właśnie problem.

- I jak pan sądzi, na czym on polega?

- Bez wątpienia choroba może się przenosić w różny sposób. Ale jeśli umiemy zabić zarazę, która jest w wodzie, zabić tak, że znika raz na zawsze, prawdopodobnie możemy zrobić to samo z mlekiem i innymi płynami. Byłoby to wielkie odkrycie dla ludzi, gdyby wiedzieli, że mogą bezpieczniej się odżywiać.

Tego się nie spodziewała. Josephowi Smithowi chodziło nie tylko o zdobycie pieniędzy, lecz również o rozwiązanie problemu, który powodował śmierć tysięcy ludzi rocznie.

- A jeśli się taki płyn przegotuje?

- To jest cząstkowe rozwiązanie. W przypadku mleka zawodzi. Poza tym do zagotowania wody potrzeba opału, a większość biedaków, zwłaszcza w miastach, może nie mieć dostępu do węgla, drewna czy nawet do paleniska. A jeśli nawet mają piec lub kominek, to trzymają bezcenny opał, by zamienić go na ciepło. Trudno jest pomóc tym ludziom, zwrócić im uwagę na konieczność stosowania zasad higieny. Myśl, którą wypowiem, nie zyskuje poklasku, ale odwiedzając domy tych ludzi i pokazując im, co już wiedzą naukowcy, można by ocalić setki tysięcy chorych, zwłaszcza dzieci. Potrzebujemy też sposobu na bezpieczne przewożenie mleka ze wsi do miast. Musimy wziąć pod opiekę dzieci w miastach, nie możemy ich dłużej lekceważyć, odwracać się do nich plecami i liczyć, że przykre zjawiska znikną same. Dobrze, że mówi się o skróceniu czasu pracy kobiet, jestem za tym i gorąco to popieram. Ale jeśli kobieta jest za bardzo chora, żeby ustać, to jaką różnicę jej robi, czy ma pracować osiem godzin, czy osiemset? Jej życie jest podłe i do tego krótkie.

Constance czuła, że musi zmienić temat, zanim entuzjazm Josepha Smitha za bardzo ją poruszy. Jeszcze nie widziała takiej pasji u rozmówcy. Było w nim coś intrygującego, w jego minach, gestach, tonie głosu.

- Jak pan poznał Philipa?

Zamrugnął i zaczerpnął tchu. Trochę opanował głos, charakterystyczny zaśpiew stał się mniej zauważalny.

- Ach, jego. W szkole. A potem razem studiowaliśmy w Oksfordzie. - Nie zdążył jeszcze dostosować się do nagłej zmiany nastroju Constance.

- A skąd pan pochodzi?

- Z Walii. Środki na naukę miałem z datku anonimowego darczyńcy, więc w szkole mną gardzono, byłem dzieckiem żyjącym z czyjejś łaski. Philip okazał się na tyle miły, że zaprosił mnie na ferie, kiedy miałem prawie dziewięć lat.

- Tak zrobił? - Wydawała się tym ucieszona, więc Joseph pochwalił się w duchu, że nie snuł tej opowieści dalej. W rzeczywistości zaproszenie pochodziło bowiem od księcia, który sądził, że jego rozpieszczeni chłopcy mogliby nauczyć się skromności od nieszczęsnej sieroty. Był to bezpieczniejszy pomysł na lekcję niż wysłanie Philipa na obchód zaułków Londynu. Wychowawca klasy osobiście zapewnił księcia, że mały Smith nie poderżnie im gardła podczas snu.

Księżę opowiedział o tym Josephowi całkiem niedawno, przy butelce dobrego bordeaux. I chociaż Smith śmiał się wspólnie z księciem z tej opowieści, wspomnienie dawnych upokorzeń nie było przyjemne.

- Pana rodzice nadal są w Walii?

- Tak, ale od ponad dwudziestu pięciu lat nie żyją.

- Przepraszam.

Przez chwilę milczał.

- Pani rodzice też nie żyją, prawda? - spytał po jakimś czasie.

- Tak.

- No, właśnie. Spotkały się dwie sieroty, zdane na kaprysy losu. - Gospodarz postawił przed nimi napoje, Joseph uniósł kufel. - Przepijemy do siebie?

- Wspaniały pomysł, panie Smith, ale, o ile wiem, etykieta zabrania nam przepijania. Inni, owszem, mogą, ale nam, czcigodnym, nie wolno.

- Wobec tego bądźmy niesforni i zlekceważmy etykietę, zgoda? - Pękatym kuflem piwa dotknął smukłego kieliszka sherry.

Constance odwzajemniła jego uśmiech.

- Wobec tego za nas - powiedziała. - Za dwie sieroty.

Wypili. On pociągnął uczciwy łyk, ona ledwie umoczyła usta. Zaraz potem wrócił gospodarz, z dumą stawiając przed nią potrawkę z kurczaka.

- Mam nadzieję, że będzie pani smakowało - rzekł. - To jest najlepsza stawa, jaką można dostać na południe od Londynu. Słyszałem to od wielu gości.

Z pewnym wahaniem postawił przed Josephem wielki garnek ostryg. Być może coś by powiedział, gdyby nie to, że powietrze przeszył ostry głos jego żony.

- Horace! - Zawierało się w tym jednocześnie ostrzeżenie i groźba. Gospodarz szybko postawił przed nimi jeszcze chleb i ser i znów uciekł, mruczając do siebie: „moja żona”.

- Jak tam pańskie ostrygi? - spytała Constance, gdy Joseph przełknął pierwszą.

- Wyśmienite. - Uśmiechnął się do niej z tak wielkim zadowoleniem, że tylko skinęła głową. - Czy chce pani skosztować?

- Nie, dziękuję.

- Pani strata, jak sądzę.

- Dziękuję za pamięć i troskę, panie Smith, ale w zupełności wystarczy mi moja potrawka.

Jej współbiednik kazał gospodarzowi podać jeszcze jeden kufel piwa, a dla niej drugi kieliszek sherry, ale Constance podziękowała energicznym ruchem głowy.

Strasznie wielka ta porcja ostryg, pomyślała, zaraz jednak przegnała tę niepokojącą myśl.

Panie Smith - odezwała się krzepiącym tonem, gdy powóz najechał na jakąś nierówność, prawdopodobnie pień sporego drzewa. - Mam w torebce lekarstwo, które zawsze skutkuje na niestrawność.

Joseph, którego twarz przybrała nietypowy odcień zieleni, pokręcił głową.

- Nic mi nie jest, panno Lloyd - powiedział przez zaciśnięte zęby, ale ponieważ musiał nabrać powietrza w połowie zdania, bardzo osłabiło to stanowczość tego twierdzenia.

Głowę miał odchyłoną na oparcie i niepokojąco często przełykał ślinę.

- Niech pan przynajmniej pozwoli, że rozluźnię panu fular i kołnierzyk. - Nie odpowiedział, ale uniósł rękę.

Constance nie bardzo wiedziała, jak zinterpretować ten gest, po namyśle uznała go jednak za przyzwolenie i zaczęła rozwiązywać jedwabny fular pod szyją Josepha.

Nie spojrział jej w oczy, ale i tak ze swych doświadczeń guwernantki wiedziała, że posiłek w zajeździe skończy się dla niego jak najgorzej.

Rozwiązując fular, przyjrzała się jego twarzy, wyjątkowo pociągającej, mimo zielonkawego odcienia. Kawałek jedwabiu ustąpił łatwo, podobnie jak wykrochmalony kołnierzyk, przypięty do lnianej koszuli w dobrym gatunku.

Joseph głośno nabrał powietrza i opuścił powieki.

- Panie Smith, nie radzę panu zamykać oczu...

Nie zdążyła dokończyć tego zdania, jej towarzysz podróży zerwał się bowiem z siedzenia i zabębnił w dach powozu.

- Stop!

Woźnica go usłyszał; zanim konie się zatrzymały, Joseph Smith wyskoczył z powozu.

Stali ponad dziesięć minut. Konie nerwowo grzebały kopytami w żwirze na trakcie, a woźnica przemawiał do nich uspokajająco. Wreszcie Joseph wrócił do powozu.

- Lepiej się pan czuje?

Wymuszony uśmiech, który jej przesłał, gdy znów usiadł obok, był tak niespodziewany, że aż rozbajający.

- A skąd przyszło pani do głowy, że coś mi jest? Przygryzła wargę, żeby głośno się nie roześmiać.

- Uznałam, że to z tego powodu wyskoczył pan na łeb na szyję z jadącego powozu.

- Wcale nie na łeb na szyję. Dobrze obliczyłem ten skok. - Zapukał w dach i ponownie mszyli.

- W takim razie cieszę się, panie Smith, że nie jesteśmy na klifach Kornwalii.

Cicho zachichotał.

- Ja też. - Kilka razy zmienił pozycję na siedzeniu, żeby usiąść jak najwygodniej. Chociaż wewnątrz powozu było dobrze wyposażone, na siedzeniu było akurat tyle miejsca, żeby dwie dorosłe osoby mogły na nim prosto usiąść.

Constance przyglądała się jego wysiłkom, przez cały czas tłumiąc wybuch śmiechu.

- Panie Smith, czy mogę coś poradzić? Znieruchomiał.

- Prawdę mówiąc, jest to druga rada, której chce mi pani udzielić w ciągu naszej krótkiej znajomości. Z pierwszej, przy lunchu, nie skorzystałem. W tej sytuacji byłbym kompletnym imbecylem, gdybym nie zamierzał poważnie rozważyć następnej.

- Nie chcę, żeby zabrzmiało to nazbyt śmiało... - zaczęła z wahaniem i spojrzała na jego żalospną minę. - Ech, co tam. Nie mamy tu wiele miejsca, a pan musi wygodnie się rozlokować. Może położy pan głowę na moich kolanach?

Spodziewała się sprzeciwu i była już gotowa wyłuszczyć argumenty na poparcie swojej propozycji, począwszy od tego, że ma na sobie liczne halki, a skończywszy na tym, że była guwernantką. Ale sprzeciw nie nastąpił. Pan Smith uśmiechnął się potulnie.

- Dziękuję - rzekł i położył głowę na jej kolanach. Wkrótce zamknął oczy, a jego oddech stał się głęboki i regularny.

Dziwne uczucie, pomyślała o ciężarze, który spoczywał na jej udach. Żaden mężczyzna nie położył jeszcze głowy na jej kolanach. Nigdy. Głowa ją grzała, a wrażenie było całkiem przyjemne. Pierwszy raz w życiu Constance troszczyła się o dorosłego mężczyznę.

Joseph spał, a jej kotłowały się w głowie najrozmaitsze myśli. Odgarnęła mu kosmyki z czoła. Zdziwiło ją, że gęste włosy mogą być takie miękkie. Z przodu powinno się je przyciąć. Gdy byli w zajeździe i jej towarzysz mówił o swojej pracy, niesforny loczek bez przerwy zasłaniał mu oczy; za każdym razem musiał potrząsać głową albo odgarniać go ruchem ręki.

To dziwne, że włosy mężczyzny mogą być takie miękkie.

Niedługo potem również jej powieki zaczęły się zamykać, ale nawet gdy już drzemała, wciąż przesuwiała dłonią po włosach Josepha.

Panie Smith - powtórzyła szeptem prosto do jego ucha.

Joseph miał piękny sen. Szczegółów nie pamiętał, ale czuł, że jest bezpieczny, że otacza go ciepło i miłość. Nie przypominał sobie, by doznał na jawie kiedyś czegoś podobnego, ale we śnie miał niezwykle poczucie spełnienia.

W pewnej chwili usłyszał delikatny, miły głos kobiety.

- Panie Smith - powtórzyła bardziej stanowczo. - Lepiej będzie, jeśli pan się zbudzi.

Niechętnie otworzył oczy. I wtedy przypomniał sobie, że jechał powozem, rozchorował się po zjedzeniu ostryg - na tę myśl żołądek znów podszedł mu do gardła - a potem zasnął na kolanach panny Lloyd. Powoli usiadł, wciąż zamroczony i bynajmniej nie wolny od skutków niedyspozycji.

- Dlaczego stoimy?

Panna Lloyd pomogła mu się wygodniej usadowić, a zanim zdążył powtórzyć pytanie, odpowiedź stała się dla niego całkiem jasna.

Spoglądał prosto w lufę pistoletu.

3

W pierwszej chwili Joseph znieruchomiał.

- Czy jest pani ranna, panno Lloyd? - spytał pewnym głosem i lekko poskrobał ją po dłoni.

Mężczyzna trzymający pistolet szerzej otworzył drzwi. Skórzane zawiasy zaskrzypiały.

- Wychodzić, wy tam oboje. Chcę widzieć wasze ręce.

Joseph powoli wygramolił się z powozu, po czym wyciągnął rękę, by pomóc Constance. Twarz miała białą jak kreda. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Joseph niezauważalnie puścił do niej oko. W odpowiedzi jej dołeczek, który był zapowiedzią uśmiechu, na chwilę się pogłębił.

- Jazda! Chyba umiecie ruszać się szybciej.

Joseph próbował dyskretnie ocenić sytuację. Najpierw zobaczył dwóch mężczyzn, zaraz potem kątem oka dwóch następnych, którzy odczepiali konie od dyszla, by dowieźć je do swoich lichych szkap.

Było więc dwa do czterech, niezbyt korzystny układ sił, zwłaszcza że jedna osoba z tych dwóch do niedawna zajmowała się opieką nad dziećmi.

Woznica siedział bezwładnie na koźle, Josephowi pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie jest ciężko ranny, aczkolwiek podarte ubranie, brud oblepiający mężczyzn ciągnących kufer Constance, a także ich zachowanie świadczyły o tym, że zbójce są zdolni do wszystkiego.

Joseph zapomniał o swoich dolegliwościach. Myślał tylko o jednym: musi zapewnić bezpieczeństwo Constance. Spokojnym ruchem sięgnął do kieszeni płaszcza.

- To się na nic nie zda, łaskawy panie.

Joseph zauważył, że człowiek z pistoletem ma tylko jeden ząb, do tego złamany i pożółkły. Nie odpowiedział.

- Jeśli ten pistolet wydaje się panu znajomy, to dlatego, że wyjęto go panu z kieszeni - poinformowała go Constance. Zrobiła to cicho, ale uzbrojony rabuś musiał usłyszeć, bo wyraźnie się ucieszył.

Joseph zrobił wściekłą minę. Broń była istotnie jego, wziął ją na wszelki wypadek, gdyby coś niebezpiecznego przytrafiło im się w podróży, choć wydawało mu się to nieprawdopodobne.

Głuchy łoskot od strony wozu zwrócił uwagę wszystkich.

- Do diabła, Eustice! Ta damulka wcale nie ma klejnotów, ani jednego kamyka! - Bardzo zawiedziony niski mężczyzna, zepchnął kufer z dachu powozu na ziemię. Kufer roztrzaskał się, a dobytek Constance, nowe suknie i bielizna, wypadły na trawę w błoto i pozaczepiały się o sękaty pnienie jak najzwyklejsze śmiecie. Zbój ze złością podarł starannie opakowany welon, wyraźnie rozbawiony dźwiękiem, jaki wydawał tuł w jego kostropatych łapskach. Ostatnim kawałkiem odzieży, który upadł na ziemię, był gorset.

Potem zbój dostrzegł deskę do pisania. Z trzaskiem wyrwał wieczko z zawiasów i jednym kopnięciem, wymierzonym w dno płaskiego zasobnika, wyrzucił w błoto resztę papeterii po matce Constance. Następnie potłukł wszystkie flakoniki z atramentem, które nawet w kawałkach nie przestały błyszczeć, a w końcu połamał pióra i rozgniół je w tej samej kałuży co papier.

Constance ani drgnęła.

Bezzębny zbój z pistoletem zarechotał do wtóru swemu kompanowi, a potem spojrzał na podróżnych.

- Dobra, dość tego. Dawajcie pieniądze. Wszystkie, bo swędzą mnie ręce, żeby wypróbować tę żelazną zabawkę.

Constance dała mu zgniecioną torebkę. Rabuś brutalnie ją otworzył i zaczął wysypywać z niej flaszeczki i flakoniki na ziemię, gdzie wszystko z wyjątkiem korków zamieniało się w lśniące okruchy szkła.

- Nie mam pieniędzy - stwierdziła Constance.

Zbój bez słowa obrócił się do Josepha, który chciał sięgnąć do płaszcza.

- To nie dla ciebie robota. Niech twój portfel poszuka ta dama.

Dwaj inni napastnicy zarechotali z uznaniem. Constance nie zareagowała.

- Powiedziałem, że masz nam dać pieniądze. Szybko!

Zaczerpnęła tchu i zwróciła się do Josepha. Zobaczyła spokój na jego twarzy i poczuła się nieco lepiej, zupełnie jakby nie było dookoła bandy rzezimieszków, mających stanowczo za mało zębów i za dużo rąk. Jedynym dowodem poruszenia Josepha była żyła pulsująca mu na skroni.

Ostrożnie dotknęła jego ramienia, natychmiast jednak dumnie uniosła głowę i zwróciła się do mężczyzny z pistoletem:

- To jest wyjątkowo niestosowna propozycja, panie. Nie dotknę tego mężczyzny, jestem zaręczona z kim innym.

Wyprostowała się, a Joseph bardzo się starał zachować obojętny wyraz twarzy.

Co ona robi, u licha? Czyżby nie zdawała sobie sprawy, do czego są zdolne te zbiry? Stężony zapach bijący od trójki stojącej w pobliżu wskazywał, że wypili coś znacznie mocniejszego od herbaty. I na pewno sobie nie żałowali.

Mężczyzna z pistoletem uniósł krzaczastą brew.

- Panowie, chodźcie tutaj. Będzie przedstawienie!

Trzej pozostali stanęli w półkolu wokół herszta, szeroko się uśmiechając. Jeden dźgnął sąsiada łokciem i otarł sobie usta wierzchem dłoni.

Constance nadal kipiała oburzeniem.

- Panowie, proszę, pozwólcie mi wrócić do powozu,

- Dotknij go. - Zbir poruszył ręką z pistoletem. - Chcemy popatrzeć, jak znajdujesz jego pieniądze. Miejmy nadzieję, że są grube i dobrze schowane.

Dwaj inni zachichotali z nadzieją na widowisko.

- Nie - odparła tak spokojnie, jakby dziękowała za kanapkę z ogórkiem na eleganckiej herbatce.

- Panno Lloyd, radzę zrobić, co pani każą, choćby to budziło w pani wstręt - wymamrotał Joseph.

Przesłała mu jadowite spojrzenie.

- A więc dobrze - syknęła, nie patrząc mu w oczy. Od strony bandy znów doleciały rechoty i parsknięcia, niewątpliwy dowód dobrej zabawy.

Z wahaniem dotknęła ramienia Josepha, potem przedramienia.

- On nie ma pasa na ramieniu, pani. Szukaj niżej.

Joseph zobaczył, jak Constance spuszcza oczy. Zdziwiło go to. Przedtem wydawała mu się silniejsza, mniej lękliwa. Tyle że wtedy nikt nie mierzył jej z pistoletu w plecy.

Dotknęła jego boków, dotknęła wewnętrznej kieszeni, w której trzymał portfel, ale przesunęła ręce dalej, jakby nic nie zauważyła.

Co się stało? Przecież musiała wyczuć portfel.

Dotarła aż do nogi i wtedy jeden z drabów gwizdnął z uznaniem. Constance przesuwając rękę dalej, wreszcie na ułamek sekundy ją zatrzymała.

Wyczuła to, czego szukała. Pistolet od pary. Joseph stał absolutnie nieruchomo, w ogóle nie pokazując po sobie, że przez głowę przebiegają mu setki pytań.

Zanim podjął decyzję, co robić dalej, Constance wstała.

- Ojej, zaraz zemdleję - szepnęła. Jej akcent, przedtem prawie nieamerykański, teraz natychmiast zdradzał pochodzenie z Południa.

Mężczyźni ruszyli w jej stronę. Joseph wykonał taki ruch, jakby chciał ją złapać, Constance zatrzepotała ramionami, ale nagle całkiem pewnym mchem się wyprostowała.

- Nie ruszać się! - rozkazała. W dłoniach trzymała pistolet, który wyciągnęła Josephowi z nogawki.

Jak ona to zrobiła?

- Rzuć broń! - Skierowała lufę na herszta; ten zawahał się, nie wiedząc, co zrobić. Zaskoczyła go, gdy trzymał pistolet lufą w dół. - Rzuć broń! Szybko! - powtórzyła zdecydowanie Constance.

Drab usłuchał wezwania.

- Na pewno macie więcej broni. Proszę położyć ją na ziemi, obok pistoletu pana Smitha.

Nikt się nie poruszył. Mężczyźni stali jak skamieniali, chociaż sytuacja była bardzo napięta.

- Radzę odłożyć broń, panowie. - Zamiast słabnąć, jej głos nabierał mocy. - Ostatnia Szansa!

Znów nikt się nie poruszył.

Constance zniecacka wycelowała i strzeliła. Bandzior, który jeszcze niedawno trzymał ją na muszce, stracił kapelusz.

Mężczyźni, nie wyłączając Josepha, głośno nabrali powietrza do płuc.

Jak ona to zrobiła? Drugi raz Joseph próbował się domyślić, w jaki sposób Constance wyjęła mu ukryty pistolet. A strzeliła albo z niesłychanym szczęściem, albo z wprawą rewolwerowca. Aż otworzył usta ze zdziwienia. Podniósł ręce tak samo jak bandyci.

Constance zerknęła na niego kątem oka.

- Och, na miłość boską, panie Smith. Pan nie.

Woźnica, którego strzał wyrwał z zamroczenia, także podniósł ręce. Patrzył na Constance z najczystsza trwogą w oczach. Constance wskazała go pistoletem.

- Ty też możesz opuścić ręce. - Westchnęła z irytacją. Popatrzyła na herszta i przez chwilę w milczeniu mierzyli

się wzrokiem, oboje zakłopotani, aż w końcu zbir również opuścił ręce.

- Nie bój się, James, nic ci nie grozi - powiedział Joseph do osłupiałego woźnicy.

Po lewej stał drab z czerwoną chustą na szyi.

- Hej, dziewczyno, bierz. - Do pistoletu leżącego na ziemi dołączył następny i następny.

- Jeszcze coś? - Mówiła spokojnie, lecz stanowczo.

Do stosu dołączono maczugi, łańcuchy i kilka innych przedmiotów, których nie potrafiła rozpoznać.

- Panie Smith, czy jest w tym zbiorze coś, co się panu podoba?

Smith, wyrwany z oszołomienia, szybko chwycił swój drugi pistolet, potem dołożył jeszcze do niego trzy inne; wetknął je za pas i do kieszeni.

Przez cały czas usilnie dumał nad następnym krokiem.

Może gdyby czuł się lepiej, gdyby nie zjadł tych przeklętych ostryg, mógłby myśleć jaśniej. Tymczasem zniecacka złapał go następny atak mdłości.

Nie mógł okazać słabości przed zbójami. Natychmiast odzyskaliby panowanie nad sytuacją, z bronią czy bez. Przełknął ślinę i skupił się na nieruchomym trzymaniu ręki. Przynajmniej na tyle musiał się zdobyć. Ani on, ani Constance nic więcej nie mogli zrobić, dopóki czegoś nie wymyślą albo ktoś przejeżdżający powozem nie wybawi ich z opresji. Trakt był dobry i uczęszczany. Nie powinni czekać długo na...

- Przepraszam - bąknął Joseph i dał nura za najbliższe drzewo.

Cztery pary przekrwionych oczu zwróciły się ku Constance.

Joseph oczyścił żołądek z następnej porcji ostryg i wreszcie głęboko zaczerpnął tchu.

Miał nadzieję, że przez ten czas Constance utrzymała czterech zbirów pod bronią. Nie doleciały go żadne niepokojące odgłosy, sądził więc, że wszystko układa się pomyślnie. Constance ze zbrojami byli blisko, za drzewem, widział nawet jej kasztanową suknię.

Nagle usłyszał hałas z zupełnie innej strony.

Wolno cofnął się w gęste zarośla. Po jego lewej ręce stali dwaj inni mężczyźni, jeszcze więksi i mniej sympatyczni z wyglądu niż tamci czterej. Liście jakimś cudem dały mu przed nimi osłonę.

- Co robimy? - spytał wyższy i potężniejszy. Drugi uniósł rękę, dając znak kompanowi, by zamilkł.

- Nie wiem. Ale właśnie sobie coś przypomniałem.

- Co takiego? - spytał pierwszy.

- Dawno już nie miałem kobiety.

Drugi roześmiał się prostacko. Constance mogła ich usłyszeć, ale nie usłyszała, obaj jednak na wszelki wypadek przypadli do ziemi.

- Tyją złap za nogi, ja zabieram pistolet - zachrypiał drugi.

W chwili gdy uzgodnili plan, Joseph wypęzł z zarośli za ich plecami. Byli tak zajęci rozmową, że nie usłyszeli szelestu liści.

Ale woźnica oczami wielkimi od trwogi zobaczył dwu nowych ludzi i Josepha za nimi.

Zanim jednak zdążył wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, Joseph chwycił obu rzeźmieszków za kołnierze i zderzył ich głowami. Rozległ się głośny trzask i niższy z obwiesiów osunął się na ziemię.

Wyższy, zamroczony uderzeniem, zamachnął się na Josepha; ten jednak zrobił unik i pchnął przeciwnika na pobliskie drzewo tak, że zbroj wyrznął karkiem o pień.

- Przykro mi - mruknął Joseph do nieruchomych postaci rozciągniętych na ziemi i pospieszył z powrotem do Constance.

Gdzie on uciekł?

Constance wyprostowała się z nadzieją, że ręka nie zacznie jej drżeć.

W tej chwili woźnica wydał dziwny okrzyk i na ułamek sekundy rozproszył jej uwagę.

Herszt bandy zauważył jej wahanie i ze złowrogim uśmiechem mszył naprzód.

Była kiedyś otoczona przez bandę maruderów wojsk Unii. Chcieli ją zabić albo zrobić coś jeszcze gorszego, ale im nie pozwoliła. Wspomnienie tamtej potwornej sceny wróciło do niej w tej chwili.

Dziesięć lat temu, na pokrytej pyłem drodze Wirginii, odniosła triumf. Teraz też musiała zwyciężyć.

- Panie Smith! - zawołała, gorączkowo usiłując coś wymyślić. Nic innego nie miało znaczenia. Nagle doznała olśnienia. - Niech pan szybko wraca!

Dwaj zbroje wymienili spojrzenia.

- O Boże - jęknęła. To musiało poskutkować. Innej szansy nie miała. - Znowu dostał ataku.

- Co to znaczy? - spytał nieufnie herszt.

- Zawsze tak jest, zanim zacznie zabijać.

Znaczenie tych słów dotarło do drabów dopiero po chwili.

- Zabijać? - Nie była pewna, kto zadał pytanie, ale głos bez wątpienia nieco drżał.

Pokręciła głową i przesunęła wzrokiem po twarzach zbirów.

- Bardzo mi przykro - wyszeptała współczująco.

- Co mówiłaś o zabijaniu? - spytał najdalej odsunięty od niej zbój, a dwaj kompani mu przytaknęli.

- On ma nie po kolei w głowie - wyznała. - Co pewien czas zdarza mu się... no, atak. Doktor w Szwajcarii nazywał to „epizodami”, ale gdy sam zobaczył tę masakrę... Cóż, biedak jest teraz pacjentem tego samego zakładu dla umysłowo chorych. Na te ataki nie ma rady. Pan Smith podobno cierpi na nie od czasu, gdy w Bengalu pogryzł go wściekły tygrys. Zawsze jest tak samo. Dostaje torsji. Rozumiecie, najpierw choruje mu żołądek, potem choroba przenosi się do głowy...

Milczenie trwało kilka sekund, przerywały je tylko odgłosy zmagania Josepha z żołądkiem, słyszalne zza drzewa.

- Nie wierzymy ci, dzierlatko. - Herszt postąpił kolejny krok naprzód. Mężczyźni zrobili się niespokojni. Wyraźnie do czegoś się szykowali. - Jeśli on jest taki niebezpieczny, to dlaczego z nim jechałaś?

Constance nie dała się zaskoczyć.

- Jestem jego pielęgniarką. I może zapanowałam nad jego atakiem, gdybyś, panie, nie zniszczył mu lekarstwa. Przypominasz sobie flakoniki w torebce? Te, które rozbiłaś?

Herszt niespokojnie spojrział w lewo, potem w prawo. Jego ludzie mierzyli go bardzo niechętnym wzrokiem. Zerknął na woźnicę.

- Czy ten człowiek jest szalony?

Woźnica, nie mniej przerażony od innych, przygryzł wargę.

- Nie wiem - odrzekł nerwowo. - Najął innie wczoraj. Ale przyszedł jakiś taki, jakby miał nerwy. Był nieswój. Kawalek jechał z wielkim mężczyzną ubranym po szkocku, takim gigantem z gór. Gigant wysiadł na krótko przed tym, jak wsiadła ta dama. A on zrobił się bardzo zły.

- Mężczyzna w szkockim stroju, no właśnie. - Constance nie miała pojęcia, o czym mówi woźnica, ale grała na całego. - To też jest jego pielęgniarz. Taki wysoki, barczysty? - Woźnica skinął głową. - To jest jedyny człowiek, który potrafi sobie / nim poradzić. Miałam go zastąpić, żeby odpoczął. Specjalnymi Ickami zwykle jestem w stanie uspokoić pana Smitha. Ale teraz, bez nich... Herszt przełknął ślinę.

- Co się teraz stanie?

Jego głos zabrzmiał błagalnie.

- Epizody zawsze mają taki sam przebieg - odrzekła sucho. - Za chwilę pan Smith wyjdzie z zarośli i będzie udawał, że nic mu nie dolega. A właśnie kiedy wszystkiemu zaprzecza, jest najbardziej niebezpieczny. Wtedy może się rzucić.

- Rzucić?

- Jak tygrys. Wygląda na to, że po tym pogryzieniu jego konstytucja zmieniła się raz na zawsze. W czasie ataku staje się prawie zwierzęciem, wstępują w niego siły kilkunastu mężczyzn. To naprawdę straszny widok.

Woźnica wydał dziwny odgłos i ze spopielała twarzą wskazał za plecy Constance. Czterej ludzie spojrzeli w tym samym kierunku, nie bardzo wiedząc, co spowodowało taką reakcję woźnicy.

- Och, ten biedak zobaczył rozdrażnionego pana Smitha. Mówiłam, że to straszny widok.

Dla spotęgowania efektu zadrzała, a w tej samej chwili Joseph wyłonił się zza pnia drzewa i wszedł pomiędzy nich krokiem, który w założeniu miał wyglądać pewnie. Wszyscy zauważyli jego zakrwawioną koszulę.

- Lepiej się pan czuje? - spytała Constance, nie odrywając wzroku od zbirów.

- O czym pani mówi? - odburknął.

Co ona wyrabia? Zaraz powie tym zbójcom, że prędzej zabrudzi im buty, niż ich zastrzeli. Dlaczego nie powiedziała im prawdy o tych piekielnych ostrzygach? - Nigdy nie czułem się lepiej, panno Lloyd. Właśnie porozmawiałem z dwoma zbójcami, którzy siedzieli w krzakach. Teraz i ona zauważyła czerwone plamy na jego koszuli.

Przez głowę przebiegła jej następna myśl. Nie jest sama. Przynajmniej raz ktoś ją wspiera w trudnej chwili.

Zaczerpnęła tchu i ponownie skupiła uwagę na czterech zbójcach. Pokręciła głową.

- Porozmawiał pan z dwoma i jeszcze panu nie dość? Nie wiem, czy zniosę ten widok.

- Niech pani nas puści!

- Szanowna pani, nas już tu nie ma! Na miłość boską, błagamy...

Constance zwróciła się do Josepha.

- Nie, panie Smith. Tego widoku nie zniosę. Niech pan puści wolno tych ludzi. Trudno, jeśli trzeba, niech pan się nasyci moim ciałem!

Skierowała pistolet w jego stronę.

- Co pani robi, do stu piorunów! - zagrmiał.

Zanim zdążył zadać następne pytanie, czterech rzezimieszków znikło w zaroślach. Woźnica, nie myśląc długo, puścił się ich śladem. Potykając się, gnał przed siebie, co kilka kroków oglądając się przez ramię.

- Panno Lloyd, domagam się...

- Zaraz, panie Smith. Chwileczkę. - Odrzuciła głowę do tyłu i wydała najbardziej przeraźliwy krzyk, jaki zdarzyło mu się słyszeć. Zamilkła, uśmiechnęła się do niego, po czym powtórzyła krzyk, jeszcze bardziej rozdzierająco.

Joseph zaniemówił. Spojrzał w miejsce, gdzie przed chwilą stali czterej rabusie, ale usłyszał tylko odległe wrzaski bardzo przestraszonych ludzi, oddalające się z każdą chwilą.

- Powinniśmy ruszać w drogę, panie Smith. - Ale zatrzymała wzrok na jego zakrwawionej koszuli, więc przystanąła. - Czy pan jest ranny?

Spojrzał w to samo miejsce, co ona.

- O - zdziwił się, zerknąwszy na knykie, stwierdził bowiem, że w walce z drugim zbirami, zdarł sobie z nich skórę. - Nie. Nic mi nie jest.

- Panie Smith... - Zniżyła głos i odwróciwszy oczy, dodała: - Dziękuję.

Zapadło dziwne milczenie, które wcale nie było milczeniem. W tej chwili rozumieli się bez słów, poddali się dziwnej mocy, która była tak wielka, że Constance aż cofnęła się o krok, żeby ją osłabić. Ale to nie pomogło.

- Nie ma za co - odparł.

- Dobrze. - Wyprostowała się i przybrała bardzo energiczny ton. Uśmiechnął się, bo Constance rozpoczęła oględziny stosu broni.

- Ciekawe. Nie sądziłam, że tacy zbójcy używają jeszcze łańcuchów.

- Panno Lloyd...

- Mam nadzieję, że nie zapłacił pan woźnicy z góry. Nie zarobił nawet stawki za jeden dzień, a poza tym okazał się tchórzem.

- Panno Lloyd, proszę mi powiedzieć, co tu się przed chwilą stało?

Rumieniec zalał jej szyję i zaczął wpełzać na twarz, zdradziecko ujawniając uczucia, nad którymi Constance jeszcze nie śmiała się zastanowić. Skąd on mógłby wiedzieć?

- Pytam, panno Lloyd, dlaczego oni uciekli?

Zerknęła na rąbek sukni i strzepnęła z niego grudkę błota. Jak w tak krótkiej chwili można doznać jednocześnie olbrzymiej ulgi i głębokiego rozczarowania?

- Powiedziałam im, że jest pan umyślowo chorym mordercą. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza. Ci czterej dżentelmeni są przekonani, że o włos uniknęli śmierci, a pan w tej chwili mnie pożera. Niestety, woźnica uznał, że lepiej czuje się w takim nieciekawym towarzystwie niż z nami.

Wyraz niedowierzania na twarzy Smitha zamienił się w szeroki uśmiech. Constance już miała odwrócić głowę, ale jego nowe wcielenie, które ujrzała, tak ją zafascynowało, że nie mogła odwrócić od niego wzroku. Usta, które od początku wydawały jej się pociągające, w zestawieniu z równym rzędem białych zębów wyglądały jeszcze lepiej.

Aż zaparło jej dech, gdy uświadomiła sobie nagle, jaki Joseph Smith jest przystojny. Naturalnie, nie w tuzinkowym znaczeniu tego słowa; nie tak jak elegancki, ugładzony Philip. Była w nim nieodparta siła, która niemal hipnotyzowała. Nie sprawiało tego odzienie ani fryzura. Philip zawsze zwracał jej uwagę nieskazitelnym wyglądem. Natomiast Joseph Smith miał niepowtarzalny czar, z którym trzeba się urodzić.

Przełknęła ślinę, spoglądając mu w oczy. Były bardzo, bardzo brązowe, nawet w blasku popołudniowego słońca. Podobała jej się też reszta twarzy: mocno zarysowany podbródek, wystające kości policzkowe, które uśmiech jeszcze uwydatniał, prawie niezauważalna blizna, no i gest, którym odgarniał włosy spadające mu na czoło.

- Jest pani niezwykle błyskotliwa, panno Lloyd. Niech tylko powiem Philipowi...

Brutalnie przerwał jej rozmarzenie, jakby oblał ją kubłem zimnej wody.

- Nie! Proszę, błagam, niech pan mu nic o tym nie mówi!

- Dlaczego?

- Bo... bo... - Dlaczego właściwie nie chciała, żeby Philip się dowiedział? Nagle to sobie uświadomiła. Zniżyła głos. - Bo to nie było godne damy. Nie mam ochoty niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Proszę.

Uśmiech na twarzy Josepha zgasł.

- Nie umiem powiedzieć, czy było to godne damy, ale wolę zostać przy życiu niż ściśle przestrzegać wymogów etykiety.

- Proszę, niech pan nie mówi Philipowi.

Zanim odpowiedział, uważnie jej się przyjrzał; zobaczył, jak rumieniec na jej twarzy szybko się pogłębia, i zrozumiał, że Constance się zawstydzila. Nie chciał wprawić jej w jeszcze głębsze zakłopotanie, chociaż bardzo zaniepokoiła go sugestia, że bystrość może być czymś wstydlivym.

- Jak sobie pani życzy - odparł w końcu bez śladu uśmiechu na twarzy.

Stali w milczeniu. Constance odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Co teraz zrobimy, panie Smith? Zastanawiam się, ile drogi dzieli nas od najbliższej osady.

Z bliska zauważyła, że Joseph ma piegi. Można było je dostrzec, tylko bardzo uważnie się przyglądając, ale miał je niewątpliwie. Zaskoczyło ją, nie spodziewała się dziecięcego rysu w tej bardzo męskiej twarzy.

- Niestety, nie wiem, panno Lloyd. Nigdy nie jechałem tą drogą.

- Trzeba opatrzeć panu ręce - powiedziała cicho.

Przełknął ślinę, spoglądając na jej twarz. Ma piękne oczy, pomyślał. Były przejrzyste, niebieskie i bez cienia nieszczerości. Zaskoczyło go, że czuje zaufanie do tej kobiety. Jak sięgał pamięcią, nigdy żadnej nie ufał.

Constance cofnęła się i potknęła o spódnicę. Bez wahania wyciągnął ramię i ją podtrzymał. Obie jego dłonie znalazły się na jej talii.

Odchrząknął, zaczerpnął tchu i cofnął ręce. Ale w chwili gdy to zrobił, zapragnął znów poczuć ciepło jej ciała, znów go dotknąć.

Nie. Constance była narzeczoną Hastingsa. Chociaż jej ufał, nie całkiem ufał sobie. Ale gdy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwał tylko nieznacznym ślad tych rozterek.

- Chyba powinniśmy tu poczekać. Pewnie niedługo będzie jechał inny powóz.

- Ale tamci mogą wrócić - powiedziała spokojnie Constance. - Kiedy poczują się bezpiecznie, zrozumieją, że wystrychnęliśmy ich na dudka. Nie sądzę, żeby im się to podobało.

- Słusznie, panno Lloyd. Ci panowie raczej nie mają sportowego ducha.

Zerknął na resztki bagaży i odzienia Constance, porzucane na ziemi.

- Przykro mi z powodu pani kufra i deski, panno Lloyd. - Wskazał głową połamane drewno, zabłocone suknie i halki.

. Constance przyjrzała się zniszczeniom. Strzępy jej życia leżały utaplane w błocie, to co dawne i to co nowe było bezpowrotnie zniszczone.

Joseph Smith stanął nad stosem ubrań, porwanych książek, poszarpanych pantofli, schylił się i ostrożnie podniósł rozdartą niebieską spódnicę, po czym upuścił ją na ziemię.

- Przepraszam.

Strata ubrań nie zrobiła na niej wrażenia. Co innego deska do pisania, deska jej matki. Zawsze bardzo o nią dbała, nacierała ją woskiem i pilnowała, żeby drogocenne kawałki papieru, których dotykała jej matka, leżały nie tknięte. W jednej chwili lata starań zamieniły się w drzazgi.

To był tylko przedmiot, tłumaczyła sobie w myśli.

- Nic się nie stało - powiedziała cicho.

- Słucham? - Joseph podszedł do niej i gwałtownie przystanął.

- Powiedziałam, że nic się nie stało. - Nawet w jej uszach zabrzmiało to nieprzekonująco. - Musiałam to powiedzieć, pan rozumie?

- Jak to?

- Gdybym nawet panu zdradziła, jakie to wszystko było dla mnie ważne, i tak nic bym tym nie zmieniła. Och, nie chodzi mi o ubrania, chociaż przyznaję, że były bardzo ładne. Ale nie wolno zanadto przywiązywać się do rzeczy. To wielki błąd, bo rzecz można zniszczyć albo ukraść.

- Serce też jest rzeczą - rzekł w zamyśleniu Joseph, obserwując jej twarz.

- Hm, pewnie tak. Ale deska do pisania, pan rozumie, należała do mojej matki. - Stanęła nad połamanym kawałkiem drewna, widziała jednak ostatni obraz matki wyryty w pamięci, obraz, który miał podzielić los deski.

- Wspomnienie zachowa pani na zawsze - powiedział.

- Matki nie ma w tej desce, jest w pani, jest pani częścią.

Zmarszczyła czoło i spojrzała na Josepha tak, jakby zobaczyła go pierwszy raz.

- Los doświadczył nas oboje. To jest po prostu jeszcze jeden jego kaprys. - Wskazał resztki kufra i bezużyteczny powóz.

- Ale uważam, że obojgu należy nam się teraz dużo szczęścia. A pani?

- Tak - wybąkała. - Naturalnie, ale...

- Ale co?

- Nic.

- No, więc dobrze. Powinniśmy się stąd oddalić tak szybko, jak tylko możemy. Nie mamy wyboru, panno Lloyd. Jak pani słusznie wspomniała, oni mogą wkrótce wrócić. Czy ma pani wystarczająco wygodne trzewiki do szybkiego marszu?

- Mam nadzieję.

- Dobrze. Czy wobec tego idziemy do najbliższej osady?

- Broń - zwróciła mu uwagę, wskazując stos porzuconych łańcuchów i noży.

- Naturalnie. Ale nie możemy zabrać wszystkiego. Chyba powinniśmy część schować, w razie gdyby wrócili.

Skinęła głową. Znaleźli odpowiednią stertę liści i szybko ukryli w niej żelastwo.

- To musi wystarczyć. - Ujął ramię Constance. - Czy jest coś, co chciałaby pani zabrać z kufra?

Zastanawiała się chwilę. Omal nie sięgnęła po kartkę z papeterii matki, zatrzymała jednak rękę. Joseph chciał coś powiedzieć, ale go uprzedziła.

- Może powinnam wziąć ciepły szal.

- Nie sądzę, by był potrzebny. - Uśmiechnął się. Miał ochotę jej dotknąć, jakoś ją pocieszyć, ale nie mógł znaleźć stosownych słów. - Zrobiło się ciepło, a przed północą na pewno dotrzemy do zajazdu. Dzięki pani rabusie nie tknęli moich pieniędzy.

- Mimo to wydaje mi się, że okrycie mogłoby się przydać w razie nagłego chłodu.

- Panno Lloyd, proszę mi zaufać. Niesienie ciężkiego okrycia będzie w najlepszym razie kłopotliwe. Założę się, że w ciągu godziny dotrzemy do osady, a wtedy ktoś tu wróci po nasze rzeczy.

- Ile chce pan postawić?

- Słucham?

- Chciał się pan założyć. Postanowiłam przyjąć zakład. O pięć funtów, panie Smith?

Roześmiał się i przecesał dłonią włosy.

- Niech będzie. Pięć funtów, stoi. Zgoda, panno Lloyd? - Podał jej ramię. Jeszcze raz spojrzeli na powóz i ruszyli nie znaną drogą, z nadzieją, że w pobliżu leży jakaś osada.

4

Uderzenie pioruna było tylko drobnym zaskoczeniem dla Constance i Josepha. Prawdopodobnie przeżyliby większy wstrząs, gdyby wcześniej huraganowy wiatr i ulewa nie zmiotły ich z drogi i nie przemoczyły do suchej nitki.

Po pierwszym złowrogim grzmocie Joseph natychmiast ściągnął z ramion lekki płaszcz i okrył nim ramiona Constance. Ale ponieważ deszcz się nasilał, płaszcz stanowił jedynie dodatkową warstwę wilgotnego materiału. Było jasne, że dalej iść nie mogą.

Włosy opadały Constance na plecy jak grube, ciemne liny. Szpilek naturalnie dawno już w nich nie było, a kapelusz wyrzuciła, gdy jego rondo okazało się rynną, z której strużki wody spływały na ramiona. Nowa suknia podróżna, niegdyś kasztanowa, szybko blakła, bo deszcz zmywał barwnik. Wprawdzie odzienie pociemniało od wody, lecz mimo to wyraźnie było widać, że traci kolor.

Joseph zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć w deszczu. Przedzierali się przez plaskające błoto. Powoli wyciągnął rękę, żeby strzepnąć kroplę z policzka Constance, ale powstrzymał dłoń, jak sądził, niepostrzeżenie.

A jednak to zauważyła i zwróciła ku niemu twarz. Na czole pojawiła jej się wąska bruzda, znak nie postawionego pytania. Mina Constance nie wyrażała ani sprzeciwu, ani zgorszenia, jedynie zaciekawienie.

- Pani suknia traci kolor! - krzyknął, by usłyszała go w łoskocie nawałnicy. Zupełnie nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

Zamrugła, spojrzała w dół i uśmiechnęła się.

- Na to wygląda - przyznała.

- Opracowuję syntetyczny barwnik, który nie będzie się zmywał. - W chwili, gdy wypowiedział te słowa, poczuł się jak skończony głupek. Dopiero co ich obrabowano, trzymano pod bronią, teraz wędrowali, nie wiadomo dokąd, zapomnianym traktem pośród burzy, rzadkiej jak na Anglię w swej gwałtowności. A on opowiada o barwnikach syntetycznych.

Nie tylko zganił się za to w myślach, lecz postanowił zamilknąć, by znów się nie wygłupić.

- Naprawdę? - Jej głos zabrzmiał głośno, ale nie był piskliwy.

Joseph nienawidził przenikliwego piszczenia kobiet, na szczęście Constance miała dźwięczny i ciepły tembr, nawet gdy mówiła głośno.

- Powinien pan się pospieszyć. - Zaśmiała się, potrząsając rąbkiem sukni. - Obawiam się, że tu pańska interwencja bardzo by się przydała*

Droga łagodnie odbijała w prawo, a za zakrętem stał niewielki dom. Pobiegli tam najszybciej, jak mogli, chyląc głowy, by deszcz nie siekł ich po twarzach.

Budynek okazał się opuszczony, ale połamany szyld, kołyszący się na wietrze, świadczył o tym, że kiedyś była tu oberża. We wnętrzu unosił się wilgotny odór stęchlizny i ostry zapach czegoś bardzo starego i gnijącego. Deszcz lał się do środka przez liczne dziury w dachu, chociaż część izby wydawała się stosunkowo sucha.

Mimo niekompletnego dachu, w oberży było ciemno, jakby już zapadła noc.

- Tutaj, panno Lloyd - powiedział Joseph Smith, potykając się o połamane krzesło.

- To dziwne, nie sądzi pan? - mruknęła Constance. - Budynek stoi przy samej drodze, nie ma w pobliżu innego miejsca, gdzie można się zatrzymać, a mimo to został opuszczony.

Smith wzruszył ramionami i zajął się rozcieraniem łydki, którą właśnie zawadził o stół.

- To nie jest takie dziwne. Odkąd jeżdżą koleje, drogi opustoszały. Są w bardzo złym stanie, jak sama pani widzi.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego odbywamy tę podróż powozem, a nie koleją?

Westchnął z rezygnacją.

- Matka pani narzeczonego uważa, że to jest nienaturalne, a może nawet grzeszne. Osobiście nie bardzo wiem, co budzi jej sprzeciw: wagony, szyny czy może prędkość.

- Pewnie chce, żeby jej przyszła synowa była powolna. - Uśmiechnęła się.

Joseph parsknął śmiechem.

- Pewnie coś w tym rodzaju. O, zdaje się, że znalazłem wygodny kąt, a w każdym razie mniej niewygodny niż inne w tym miejscu. i

Wziął ją za rękę i zaprowadził w tę część izby, którą trochę uprzętnął.

- Wydaje mi się dziwne, że księżna poleciła panu przyjechać po mnie. Jeśli tak dba o maniery i pozory, mogła po prostu przysłać przyzwoitkę.

- Sam o tym myślałem. - Usiedli razem na podłodze. - Może chciała, żeby przyjechała pani do Hastings House jak najszybciej, a wie, że prowadzę interesy, więc nie stać mnie na opóźnienia.

- Och, jakże mi przykro, panie Smith. Jeszcze nawet nie przeprosiłam pana za niewygody, na które pana naraziłam.

- Nie powinienem był tego mówić. - Ledwie go było słyhać. - Serdecznie przepraszam, panno Lloyd. Znowu dowiodłem, że jestem bufonem.

- Stanowczo pan nim nie jest. - Powiedziała to z takim naciskiem, że aż podskoczył, więc musiała bardzo się starać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. - Nie ma pan w sobie nic z bufona. Zapewne ktoś kiedyś tak pana nazwał, a pan, na swoje nieszczęście, mu uwierzył. W każdym razie ktokolwiek tak uważał, był w błędzie.

Nie odpowiedział, a ona zaczęła przyglądać się spódnicy.

- Może dam początek nowej modzie: obłażąca suknia. Niech pan mi powie, kiedy pana syntetyczne barwniki będą do kupienia?

- Mam nadzieję, że niedługo.

- Jak to się stało, że pan się tym zajął?

- Zawsze byłem niezły z chemii. Studiowałem teologię na uniwersytecie, ale w swoim pokoju zawsze eksperymentowałem. - W miarę jak mówił, błyskawicznie odzyskiwał energię. - Na kontynencie naukowcy robią zadziwiające rzeczy. W Niemczech i Francji, nawet w pani kraju, uniwersytety dają światu ludzi nauki, którzy ułatwiają życie wszystkim, nie tylko uprzywilejowanej garstce.

Mimo słabego światła dostrzegł jej skinienie.

- Rozumiem więc, że miał pan być duchownym, a nie fabrykantem.

- Tak. I wielu ludzi przeżyło rozczarowanie, że nie znalazłem sobie parafii na odludziu, najlepiej na krańcach Walii, i nie zająłem się reformowaniem miejscowych wsi. Ja od początku wiedziałem, że nie pójdę tą drogą, ale grałem rolę wdzięcznego studenta aż do dnia, gdy skończyłem edukację. Czasem mam wrażenie, że to nie było całkiem uczciwe.

- Zdecydowanie nie. - Zrobiła krótką pauzę. - Robimy to, co musimy robić, żeby przetrwać, panie Smith. Nie jest łatwo żyć na tym świecie. Nie podlega też dyskusji, że obecnie czyni pan więcej dobra, zatrudniając wielu ludzi i wytwarzając użyteczne produkty, niż gdyby wygłaszał pan kazania w kościele pełnym wiernych, którzy nie mają najmniejszego zamiaru się zmienić. Nie, panie Smith. To, czym pan zajmuje się teraz, przynosi korzyści wszystkim.

Oparł się o nierówną ścianę. Co powiedziała Abigail o jego zainteresowaniu nauką? Typowe dla niższych warstw. Tak. Najpierw się roześmiała, a potem powiedziała mu, że paranie się nauką jest beznadziejnie typowe dla niższych warstw. Wciąż pamiętał jej włosy i sposób, w jaki załamywało się na nich światło. Kiedyś powiedział, że są ze złotych nici. Nie było to zbyt oryginalne, ale wtedy tak mu się zdawało.

Potem wszystko potoczyło się niesłychanie szybko. Abigail się zmieniła. Teraz, spoglądając wstecz, widział oznaki tego, co miało nastąpić. Przestało ją bawić jego zainteresowanie nauką.

- Ojciec mówi, że to jest typowe dla niższych warstw - powtórzyła. - Mówi też, że jeśli ktoś musi słuchać muzyki, to niech wynajmie skrzypka, a nie gra sam. Gra na instrumencie deklasuje arystokratę.

- Och - zachnął się Joseph. - Ale ja nie jestem arystokratą, więc mnie chyba wolno grać na skrzypkach.

Abigail przejęła trwoga.

- Pan gra na skrzypkach?

Gdy przyznał się, że kiedyś grał, odsunęła się od niego. Nie tylko tego dnia, lecz już na zawsze.

Abigail, obecnie lady Merrymeade. Nie widział jej od...

- Przepraszam, panie Smith.

Constance coś do niego mówiła. Nie usłyszał z tego ani słowa.

- Proszę mi wybaczyć, panno Lloyd. Byłem myślami bardzo daleko i nie słyszałem, co pani mówi.

- Jeśli daleko, to mam nadzieję, że było tam ciepło i sucho. - Otaczał ich mrok, ale jej głos był wesoły. - Zastanawiałam się, jacy są Hastingsowie.

- Rodzina Philipa?

- Tak. Poznałam tylko Philipa, ale słyszałam dziwne plotki o jego ojcu. Proszę, niech pan nie powtarza nikomu moich słów, ale...

- Powiem pani jedno, panno Lloyd. Książę Ballsbridge okazywał mi zawsze mnóstwo życzliwości. Jest serdeczny, ma poczucie humoru i kocha swoją rodzinę.

- Czy jest ekscentryczny?

- Nie, w każdym razie nie dla kogoś takiego jak ja, kto go dobrze zna i rozumie. Owszem, książę czuje nie bezpodstawną odrazę do towarzystwa i znalazł sposób, żeby nie utrzymywać niepożądanych kontaktów. Chroni go przed tym właśnie miano ekscentryka, które przypisano mu w towarzystwie. Myślę, że bardzo go bawi udawanie człowieka lekko szalonego. Ale kiedy książę nie jest skrępowany czyjąś obecnością, staje się uosobieniem swobody i życzliwości.

- A księżna?

Przez dłuższą chwilę Joseph milczał, próbując zdecydować, co powiedzieć. Czy to, że przyszła teściowa Constance interesuje się wyłącznie wspinaczką po szczeblach drabiny społecznej? Że kocha pozory i w najwyższym stopniu zadziwiła go wyrażeniem zgody na zaręczyny Philipa z biedną guwernantką? Przestał się dziwić dopiero wtedy, gdy usłyszał, że Philip zdążył już wystawić się na pośmiewisko całej Anglii, bez powodzenia oświadczywszy się chyba wszystkim wolnym kobietom w kraju i dodatkowo dwóm w Indiach,

- Pana milczenie jest bardzo wymowne.

- Och, nie. - Uświadomił sobie, że zaprzeczył zbyt skwapliwie. - Nie. Ale widzi pani, księżna nie była przygotowana do zajęcia tak eksponowanej pozycji w społeczeństwie. Gdy poznała obecnego księcia, nikt się po nim nie spodziewał, że odziedziczy tytuł. Dopiero stosunkowo niedawno, gdy ojciec księcia zginął tragicznie wraz z dwoma synami, tytuł przeszedł na trzeciego syna z kolei.

- Po tym, co pan powiedział, jeszcze bardziej mnie dziwi, że księżna zgodziła się na te zaręczyny. - Constance była zdezorientowana. - Przecież na pewno wie, że Philip ma wielkie szanse zostać księciem. A skoro sama nie pochodzi z arystokracji... Hm, to jeszcze dziwniejsze.

- Co w tym dziwnego?

- Ci, którzy nie zawsze cieszyli się przywilejami, mają skłonność do ściślejszego przestrzegania reguł.

- Jest pani wyjątkowo bystra, panno Lloyd.

Chociaż powiedział to z uśmiechem, Constance ogarnął dziwny smutek. Zrozumiała, że ktoś kiedyś musiał go ciężko urazić. Nie wiedziała, czy Joseph zdaje sobie sprawę ze swego bólu, ona jednak wyczuwała go wyraźnie. Zrozumiała nagle, że zna tego człowieka. Może nie szczegóły jego życia, nie zdarzenia i nazwiska ludzi, lecz mimo to zna go dobrze i już zawsze będzie go znała.

Oboje nie pasowali do żadnego ze światów. Ona urodziła się wśród ludzi obdarzonych przywilejami i stała się kimś stawianym niewiele wyżej od wiernego sługi. On rozpoczął życie w upokarzającej biedzie, ale wybił się dzięki sumiennej pracy i zdolnościom. Dlatego oboje nie mogli sobie znaleźć miejsca, zawsze bowiem pamiętali, kim byli kiedyś.

Nagle poczuła, że nie może złapać tchu. Gorset stał się za ciasny. Widocznie skurczył się od deszczu i wilgoci. Tak, to musiało być to.

- Panno Lloyd?

Śmieszne. Czuła się jak małe dziecko złapane na robieniu czegoś surowo zakazanego. Ale każdy oddech sprawiał jej teraz ból. Bała się, że jeśli natychmiast nie zapanuje nad uczuciami, to się rozplacze. A przecież nie płacze się przed całkiem obcym człowiekiem.

- Panno Lloyd... Constance... Czy pani jest chora? Pokręciła głową.

- Nie, tylko... - Urwała.

Zanim zdążyła złożyć w całość następane zdanie, objął ją i przyciągnął do siebie. Zrobiło jej się ciepło i wygodnie. Miała wrażenie, że lepiej być nie może. I co z tego, że powinna się oburzyć i uprzejmie, lecz stanowczo zwrócić mu uwagę na wyjątkowo niestosowne zachowanie?

Kiedy ostatni raz ktoś ją tak pocieszał? Nie mogła sobie przypomnieć. Chyba gdy była dzieckiem, bardzo małym dzieckiem.

Zamiast przypomnieć mu zasady etykiety, swobodnie oparła się o jego ramię. Było to mocne ramię, co wcale jej nie zaskoczyło.

- Pst - szepnął, głaszcząc ją pogłowie. Miała pani straszny dzień. Proszę się odprężyć. O, tak. Wtuliła się w niego jeszcze mocniej, a on zaczął ją głaskać po twarzy, mokrej od łez.

Poczuła, że jest bezpieczna i troskliwie strzeżona. Powieki zaczęły jej się zamykać.

Joseph coś mówił, ale nie rozumiała już jego słów, słyszała tylko krzepiące brzmienie głosu z melodyjnymi kadencjami. Mimo zamroczenia zdołała jeszcze zauważyć, że nie mówi po angielsku. To był walijski, a sądząc po regularnym rytmie, recytował jakiś wiersz, dawno wyuczone słowo z przeszłości.

Nie miało dla niej znaczenia, że ich nie rozumie. Doskonale bowiem rozumiała ich znaczenie.

Objął ją jeszcze mocniej, gdy otworzyła dłoń i położyła mu ją na torsie. Wkrótce oboje smacznie spali.

Constance poruszyła się, całkiem już rozbudzona, wyciągnęła ramiona i otworzyła oczy. Mimo to nic nie widziała. Czyżby oślepla? Jeszcze nigdy nie otaczał jej taki nieprzenikniony mrok. Oczy miała szeroko otwarte, a mimo to widziała tylko czern.

- Constance. - Obejmowały ją męskie ramiona. Nie była w stanie się poruszyć. Przypomniła sobie mężczyzn z pistoletami. Zbója z czerwoną chustą na szyi. - Constance! - Głos brzmiał zdecydowanie. - To ja, Joseph. - Z głośnym westchnieniem ulgi chwyciła go za rękę. - Joseph Smith. Jesteśmy w oberży bez dachu. Niech się pani nie próbuje poruszyć... jest nów i ciemno jak w grobie. Bardzo proszę... bo może sobie pani zrobić krzywdę.

Wszystko sobie przypomniała, rumieniec zalał jej twarz.

- Ojej. - Ledwie było ją słychać. - Pan Smith.

- Tak, panno Lloyd - powiedział zrezygnowanym tonem. - Czy nie sądzi pani, że skoro jesteśmy tu zupełnie sami, mogłaby pani zwracać się do mnie po imieniu.

- Gdzie pan jest?

- Tutaj... au! To jest moje oko.

- Proszę mi wybaczyć. Jestem trochę zagubiona.

- Może jeśli... moja ręka, panno Lloyd. Obcas pani trzewika jest na mojej ręce. - W jego głosie słychać było napięcie.

- Przepraszam.

- Jak powiedziałem, jeśli pani pozostanie nieruchoma, może uda się pani zorientować w swoim położeniu.

- Czy jest tu latarnia?

- Nie przypominam sobie, żeby widział. Ale nawet gdyby było sto latarni, nie zmieniłoby to sytuacji. Wszystko w tej oberży, nie wyłączając nas, jest albo mokre, albo przemoczone, albo płynne. Nie ma mowy o tym, żeby cokolwiek się zapaliło.

- Rozumiem. - Z powrotem usiadła przy nim, wdzięczna za ciepło, które od niego płynęło. - Czy przypomina pan sobie nazwę tego miejsca?

- Zdaje się, że na szyldzie był napis „Pod Rynną”.

- Myli się pan. Napis głosił „Wodopój”. Wiele słyszałam o tym miejscu.

Zachichotał.

- Mhm. Trunki płyną jak woda.

Roztarła ramiona, a on poczuł, że się poruszyła.

- Czy pani zmarzła?

- Odrobinę, panie Smith.

- Josephie.

- Niech będzie, Josephie. - Gdy używała imienia, zdawało jej się, że chodzi o kogoś innego. Imię brzmiało miękko, przyjaźnie. Było imieniem prawego człowieka, któremu zawsze można ufać. - Do pioruna, ale jest zimno - mruknęła pod nosem.

Poczuła, jak Joseph opiera się bezwładnie o jej ramię, a potem zaczyna się trząść ze śmiechu.

- Ale bohatera ma pani za opiekuna w drodze. Trzęsie się z zimna.

- Jestem całkiem zadowolona, byle pan nie zemdlał - odparła.

Znów otoczył ją ramieniem, tym razem jednak Constance w ogóle nie zastanawiała się, jak zareagować. Natychmiast oparła się o niego, jakby robiła to setki razy i miała robić jeszcze tysiące.

- Mogę przynajmniej się starać, żeby pani było ciepło. Powinno mi się udać - szepnęła.

Nie odpowiedziała, ale półświadomie zaczęła się zastanawiać, jak spałoby jej się w ten sposób każdej nocy, do końca życia. Aż się uśmiechnęła.

Joseph głaskał ją po ramieniu, ten delikatny ruch był źródłem ciepła, które rozchodziło się po całym jej ciele.

- Tak lepiej? - spytał chrapliwie.

Miała powiedzieć, że tak, jest jej cieplej, że już nie trzeba się martwić o jej wygodę. Ale powiedziała tylko:

- Mmmm.

Roześmiał się, a ona przysunęła się do niego jeszcze bliżej i oparła dłonie na jego muskularnych ramionach. Joseph przestał się śmiać.

Oboje wstrzymywali oddech i czekali, co będzie dalej.

- Powinna pani pospać - rzekł w końcu.

Skinęła głową, wiedziała bowiem, że jest to najlepszy z możliwych pomysłów.

Gdy zamknęła oczy, skupiła się na powstrzymaniu myśli przed dryfowaniem w niewłaściwym kierunku.

Halo! Jest tam kto?

Jaskrawe słoneczne światło wpadało ukosem do zatęchłej izby przez dziury w dachu, a w powietrzu unosiły się drobiny kurzu i pyłu. Ani Constance, ani Joseph nie zauważyli, kiedy minęła noc. Ocknęli się już dość dawno, ale oboje udawali, że śpią. Intymna sytuacja, w jakiej znaleźli się wieczorem, sprawiła, że oboje byli teraz onieśmieleni i skrępowani.

- Zajrzyj tutaj, Mikę - rozległ się drugi głos. Czyjeś ciężkie buty łamały gałęzie i stąpały po gruzie, ktoś odrywał przegniłe deski.

Constance uniosła powieki i zobaczyła oczy Josepha, skierowane wprost na nią.

Uśmiechnął się do niej.

Zaskoczona przyjrzała się, jak otrzepuje spodnie, potem wyciąga rękę w jej stronę i delikatnie wyciąga gałązkę z jej włosów.

Odgłosy z zewnątrz przy wróciły ją do rzeczywistości. Zdała sobie sprawę z zagrożenia. Zbóje ich odnaleźli.

Joseph powoli otoczył ją ramieniem, jakby tym gestem mógł zapewnić jej ochronę. Ale nie mieli gdzie uciec ani się ukryć.

- Mogą być tutaj. - Głosy się zbliżały.

Joseph drgnął i Constance przez chwilę sądziła, że wstanie. Potem zobaczyła, że jego wolna ręka wsuwa się w fałdy płaszcza. W dłoni Josepha błysnął jeden z pistoletów. Pochylił się nad nią i unosząc jedną brew zadał pytanie bez słów. Skinęła głową, więc dał jej pistolet, a sam sięgnął po drugi.

- Mógł być też tam, Mikę.

Chrzęst butów rozlegał się coraz bliżej; usłyszeli kilka stłumionych przekleństw, brzęczących dość złowrogo.

Joseph i Constance przygotowali broń do strzału. Constance poczuła chłodny powiew na ramionach, bo Joseph przestał ją obejmować. Wrażenie chłodu towarzyszyło jej, nawet gdy starała się opanować drżenie prawej ręki.

- Nie. Nie sądzę, żeby pan Smith i panna Lloyd byli jeszcze dalej. Już daliby nam o sobie znać. - Głos mężczyzny najwyraźniej się oddalał.

Constance zerknęła na Josepha; ich spojrzenia się spotkały. Oboje mieli zatroskane miny.

- Czy Brown ma jeszcze jakiś pomysł, gdzie oni mogą być? Zanim drugi z mężczyzn zdążył odpowiedzieć, Joseph wstał.

- Panowie?

Mężczyźni z-zadziwiającą zręcznością weszli na ganek z tyłu budynku. Constance natychmiast zorientowała się, że nie są to zbójce. Obaj byli porządnie ubrani w stroje myśliwskie i wysokie buty. U boku mieli strzelby.

- Jest pan, panie Smith! Ale nas pan zaskoczył.

Joseph schował pistolet do kieszeni płaszcza i pomógł wstać Constance. Pierwszy z mężczyzn wyciągnął przed siebie rękę i energicznie potrząsnął dłonią Josepha, potem uchylił kapelusza przed Constance. Miał bardzo okrągłą twarz z bujnymi bakami i szeroki uśmiech. Spod krzaczystych brwi spoglądały błyszczące oczka.

- To jest pan Crimmins. A to jest pan Walker. - Joseph wskazał drugiego mężczyznę. - A to panna Lloyd. Towarzyszyłem jej w podróży do majątku narzeczonego. Po drodze zostaliśmy napadnięci przez zbójców.

- Wiemy. Miejscowy konstabl ich złapał, byli mu niezwykle wdzięczni za bezpieczne miejsce w areszcie. Tylko woźnica był w stanie wydukać kilka względnie sensownych zdań. Pozostali pletli jak dzieci. Jeden nawet ucałował podłogę w celi. Znalaziono też dwóch innych rzezimieszków. Leżeli koło drzewa...

- Dziękuję, panowie - przerwał ich wyjaśnienia Joseph. Mężczyzna skinął głową ze zrozumieniem i mówił dalej:

- Miał pan szczęście, Smith. Banda, która na was napadła, miała na sumieniu kilka innych rozbojów i niejedną śmierć.

Obaj mężczyźni zmierzli Constance nieufnym wzrokiem. Wreszcie drugi z nich się odezwał.

- Panie Smith, przywozimy wiadomość od pana Browna. Jest pan mu pilnie potrzebny.

Walker, starszy z mężczyzn, z czupryną siwych włosów i nosem pokrytym siatką czerwonych żyłek, podał Josephowi grubą żółtą kopertę. Smith złamał czerwoną woskową pieczęć i zaczął czytać. Tymczasem Crimmins i Walker nieśmiało uśmiechali się do Constance.

Wreszcie Joseph skończył czytać list.

- Panno Lloyd - odezwał się bardzo oficjalnym tonem - ci dwaj dżentelmeni odwiozą panią do najbliższego zajazdu, takiego z dachem. Tam znajdzie pani zawartość swego kufra. Może pani odpocząć, wysuszyć się, a od jutrzejszego ranka panowie Walker i Crimmins będą pani towarzyszyć w dalszej drodze do Hastings House.

Zdumiona, omiotła spojrzeniem wszystkich trzech mężczyzn.

- Jak to? A pan dokąd jedzie?

- Proszę mi wybaczyć, panno Lloyd. - Ton mu złagodniał, wyraz twarzy również. - Mam ważną sprawę do załatwienia w Szkocji.

- W Szkocji! - Czyli setki mil stąd. Inny kraj, inny świat.

- W Szkocji - potwierdził. - Czekaj już powóz, który zawiezie mnie na najbliższą stację kolejową.

- Aha. - Nic innego nie przyszło jej do głowy. - Aha, rozumiem.

- Tak, panno Lloyd. Życzę pani bezpiecznej podróży. Sądzę, że zobaczymy się w dniu pani ślubu.

- Ach, tak. - Miała wrażenie, że świat zawirował. Wypadki toczyły się w tak zawrotnym tempie, że nawet nie miała czasu, by znaleźć nazwę dla uczuć, które ją ogarnęły.

- Powinniśmy jechać, panno Lloyd - rzekł Crimmins. Walker mu przytaknął.

Joseph ruszył do powozu, jego muskularne plecy były coraz dalej. Przez głowę przebiegła jej zaskakująca myśl: nigdy więcej go nie zobaczy. Albo gdy go zobaczy, dla mężatki nie będzie to już miało znaczenia.

- Panie Smith!

Przystanął i się odwrócił. Z jego twarzy trudno było teraz cokolwiek wyczytać. W dwóch krokach znalazła się znów przy nim.

Wolno wyciągnęła przed siebie rękę. Oboje wpatrywali się w jej dłoń.

- Dziękuję za wszystko - szepnęła.

Przez chwilę Joseph Smith stał nieruchomo. Polem również wyciągnął rękę, jednak nie w geście oznaczającym pożegnanie, lecz coś znacznie więcej. Zaciśnął palce na jej dłoni, otoczył ją ciepłem i przez chwilę trzymał. Dopiero po kilku, jakże krótkich, sekundach uwolnił jej dłoń.

Odszedł bez słowa, już się nie odwracając.

- No, cóż panno Lloyd... - Pan Crimmins klasnął w dłonie, jakby chciał zwrócić jej uwagę.

Wolno, jak w odrętwieniu odwróciła się do niego.

- Poszukamy filiżanki gorącej herbaty? - spytał.

Potem próbowała sobie przypomnieć, czy w odpowiedzi twierdząco skinęła głową, podziękowała dżentelmenowi czy wcale nie zareagowała. Prawdę mówiąc, w ogóle nie pamiętała, w jaki sposób opuściła zimną rudę bez dachu i znalazła się pod wygodną, ciepłą kołdrą w następnym zajeździe, gdzie rzeczywiście dostała gorącą herbatę.

Tego wieczoru, podciągając koce pod brodę, nie mogła nie myśleć o poprzednim wieczorze, gdy spała w ramionach wspaniałego mężczyzny.

Gdy powóz wtoczył się na żwirowy podjazd przed Hastings House, niebo było bezchmurne.

Constance miała mnóstwo wrażeń. Obejrzała wspaniale utrzymane grunty należące do Hastingsów, nieskończone połacie równo przystrzyżonej trawy, altanę ze stalowych rurek, która lśniła w słońcu jak klejnot. Ale największe wrażenie zrobił na niej mężczyzna na drzewie.

Ujrzała go chwilę wcześniej niż dwór. Był to starszy człowiek, ubrany w piękny, niebiesko-czarny napoleoński mundur. Siedział zupełnie sam na nagiej gałęzi. Wyglądało to tak, jakby spędził tam mnóstwo czasu i przeszkodził liściom, które miały okryć tę gałąź.

W pobliżu nigdzie nie było drabiny, więc Constance zupełnie nie mogła sobie wyobrazić, w jaki sposób mężczyzna zdołał się podciągnąć dobre sześć metrów nad żwirowy podjazd.

Wychyliła się przez okno i wyciągnęła szyję, żeby lepiej przyjrzeć się nieznanemu. Gdy przejeżdżali pod nim, z ponurą miną pomachał im dłonią. Constance odwzajemniła pozdrowienie i zobaczyła, jak przez wargi mężczyzny przemyka uśmiech. Zwróciła się do panów Crimminsa i Walkera, którzy siedzieli naprzeciwko niej na ławach przestronnego powozu.

- Tam na drzewie był człowiek!

Obaj wymienili zdziwione spojrzenia, co podczas tej podróży zdarzało im się często, po czym wrócili do lektury gazet i czasopism.

- Ten człowiek był w mundurze!

Tym razem tylko pan Crimmins oderwał wzrok od gazety, by po chwili wznów zająć się czytaniem.

Przez całą podróż prawie w ogóle się do niej nie odzywali i wydawali się niemal przestraszeni wszystkim, co miała im do powiedzenia. Była to wyjątkowo krępująca sytuacja, Constance cieszyła się więc, że już prawie ma ją za sobą.

Choć czekała na spotkanie z Philipem Constance nie mogła przestać myśleć o Josephie. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była pewna, że towarzysz, podróży po prostu starał się ją rozgrzać. Całą resztę musiała podsunąć jej wyobraźnia.

Gdy wyglądała przez okno, obojętna na mijane krajobrazy, była święcie przekonana, że panowie Crimmins i Walker dokładnie przejrzeni jej myśli. Gdyby bowiem nie nadeszli wtedy, gdy nadeszli, Constance mogłaby ulec pragnieniu i zacząć błagać pana Smitha o pocałunek. Twarz spłonęła jej rumieńcem. Kątem oka widziała dwóch mężczyzn, którzy zachowywali się obojętnie, ale obserwowali każdy jej ruch.

Nie była w stanie wydobyć od nich nawet strzępka informacji, nie wiedziała więc, skąd znają Josepha Smitha ani kim są. Tylko raz pan Walker pozwolił sobie na nieostrożność i wtedy wymknęło mu się pytanie:

- A więc zdążymy wrócić na Gillie's Hall?

Crimmins odpowiedział kompanowi morderczym spojrzeniem, więc nie padło już żadne słowo. Constance bardzo chciała zapytać, kim są Gillie. Czy znajomymi Philipa? Ale się powstrzymała.

Powóz toczył się naprzód, a Constance zachwyciła się pięknem ziemi należącej do Hastingsów. Wreszcie ujrzała domostwo.

Nie był to zwykły dom. Był to olbrzymi dwór, jakiego jeszcze nigdy nie widziała, większy niż największy dom plantatora w Wirginii. Wydawało jej się prawie niemożliwe, że na świecie może być tyle szkła i marmuru, zwłaszcza że wszystko to zużyto do budowy Hastings House.

Zachodzące słońce skąpało dwór w ciepłym, bursztynowym świetle, sprawiając takie wrażenie, jakby budynek był żywą istotą. W wielkich oknach odbijał się staw, ciągnący się za budynkiem, najwyraźniej bowiem podjeżdżali do dworu od tyłu.

Constance zaparło dech z wrażenia. Czyżby to tutaj wychowywano Philipa, czyżby tutaj spędził dzieciństwo i dorastał? Sama myśl, że można mieszkać w tych murach, wydawała jej się nie z tej ziemi, a jeszcze dziwniej robiło jej się, gdy próbowała sobie wyobrazić, że to miejsce może być dla kogoś domem.

- Jakie wrażenia? - Pan Walker mrugnął do Constance. - Czy będzie pani umiała się tu zadomowić?

- Och, nie wiem.

Widok był gorzej niż przytłaczający. Był przerażający.

Powóz zatoczył półkole wokół skrzydła dworu i znalazł się przed jego frontem. Constance ucieszyła się, że podjechali od tyłu, bo na widok przeładowanego ozdobami frontu natychmiast przyszła jej do głowy myśl, że za chwilę wejdzie do środka weselnego tortu. Dosłownie każdy skrawek fasady był zdobiony albo wolutami, albo żłobieniami, albo marmurowymi popiersiami ponurych mężczyzn z dziwacznymi fryzurami.

Zatrzymali się. Po wielu godzinach obijania się na siedzeniu powozu, naprzeciwko milczących panów Crimminsa i Walkera, wreszcie miała poznać swoją nową rodzinę.

Głęboko zaczerpnęła tchu, wyprostowała ramiona i przygładziła dłonią włosy. Nie była ubrana tak, jak zamierzała, bo po rozbiciu kufra i wysypaniu jego zawartości na ziemię

okazało się to niemożliwe. Jedyny jej strój, który w cudowny sposób wyszedł z opresji prawie bez szwanku, stanowiła ta okropna szara suknia guwernantki, w której była niewidoczna właściwie w każdym otoczeniu. Nawet gałązka lauru przy kołnierzyku i nowe rękawiczki nie zmieniały ponurego wrażenia.

- Nic już na to nie poradzę - mruknęła Constance pod nosem.

Otworzyły się olbrzymie potrójne drzwi, których framugę zdobiły dokazujące nimfy. Na progu ukazała się starsza, sztywno wyprostowana kobieta, w królewskiej pozie.

Jej teściowa. Matka Philipa.

Kobieta schodziła po niskich marmurowych schodkach, a panowie Crimmins i Walker pomagali tymczasem Constance wsiąść z powozu.

Im bliżej podchodziła kobieta, tym Constance czuła się pewniej. W twarzy księżnej było coś łagodnego, a gdy ich spojrzenia się spotkały, na wargach starszej pani pojawił się nieznaczący, powitalny uśmiech. Nie była przystojna, ale z tym uśmiechem wydawała się bardzo sympatyczna.

Constance przełknęła ślinę. To miała być jej nowa matka. Przewodniczka, wprowadzająca ją w finezyjną, harmonię świata arystokracji.

Ta życzliwa kobieta miała się nią zająć.

- Panna Lloyd? - Jej głos był nie mniej królewski niż postawa, pewny siebie, dystyngowany i... Jesieni gospodyni, nazywam się Garrity.

Constance zdążyła się powstrzymać i nie zgięła się w głębokim ukłonie, który długo ćwiczyła.

Gospodyni?

Twarz musiała zdradzić jej zmieszanie, bo kobieta pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Księżna ma migrenę, więc odpoczywa. Poleciała mi jednak, bym pokazała pani jej pokój. Księżna spotka się z panią na herbatce.

Dwaj młodzi ludzie zbiegli ze schodów i gospodyni zaczęła się rozglądać za bagażem. Widząc to, woźnica zdjął z dachu obwiązany liną kufer z falbaniastą bielizną, wystającą zeń po bokach. Służący wymienili zdziwione spojrzenia, ale wzięli bagaż. Jeden z nich, był, zdaje się, bliski parsknięcia śmiechem.

- Dziękuję - wybąkała Constance, zdezorientowana i bardzo zażenowana.

- Czas się pożegnać - powiedział Crimmins. Walker uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak, naturalnie. - Wymienili uściski dłoni.

Constance bardzo chciała zaprosić obu panów na herbatę, ale przecież nie była u siebie.

- Bardzo dziękuję za opiekę w podróży - bąknęła.

- To nic takiego. - Pan Walker wsunął rękę w spodnie. -Wszystko załatwił Brown w imieniu pana Smitha. Pan Brown bardzo dba o pana Smitha, prawda? - Zwrócił się do Crimminsa, któremu wystąpiły na twarz purpurowe plamy, najwyraźniej z wściekłości.

Walker zaczerwienił się i spuściwszy wzrok, zaczął wygniatać czubkiem buta linię w żwirze, a Crimmins po raz ostatni skłonił głowę przed Constance.

- Powodzenia, panno Lloyd.

Obaj wspięli się z powrotem do powozu i po chwili już ich nie było. Constance wciąż nie wiedziała, kim są, skąd pochodzą ani też kim jest ów tajemniczy pan Brown.

Nie miało to większego znaczenia. Idąc za panią Garrity po schodkach, zaczerpnęła tchu, przygotowując się na spotkanie z księżną.

Jej pokój był zadziwiająco skromny.

Constance ulżyło, gdy pani Garrity minęła wystawne, kapiące złotem apartamenty i zaprowadziła ją do pokoju na trzecim piętrze, gdzie nie było złocień ani marmurów. Wyposażenie składało się z dosyć wąskiego łóżka, dwóch komód, małego kącika do mycia i biurka. Okno było tylko jedno, zasłonięte kotarami z błękitnego adamaszku.

- Herbatę podaje się o wpół do piątej - poinformowała pani Garrity. - Na dole, w czerwonym salonie. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dać mi znać. Sznur od dzwonka jest przy łóżku, ktoś na pewno tu przyjdzie. Może pani tymczasem położyć się i odpocząć.

Gospodyni z uśmiechem zostawiła Constance samą. Po chwili nieśmiało zapukała pokojową, pytając, czy potrzebna jest pomoc w rozpakowaniu kufra. Stary kufer obwiązany liną przedstawiał żalostny widok, Constance zapewniła więc pokojową, że poradzi sobie sama. Dziewczyna grzecznie dygnęła i wyszła z pokoju.

Gdy Constance znów została sama, usiadła na łóżku.

Do zejścia na herbatę miała niecałe trzy kwadranse, ale była okropnie głodna. Kiedy ostatnio zatrzymali się na posiłek? W południe pan Walker bardzo chciał zrobić postój i napić się piwa w oberży, ale pan Crimmins stanowczo zażyczył sobie, by jak najszybciej dotrzeć do Hastings House. Odniosła nieodparte wrażenie, że Crimmins bardzo się niecierpliwi, bo Ballsbridge w hrabstwie Yorkshire jest mu zupełnie nie po drodze.

Czy Philip jest w domu? Nie padła żadna wzmianka o jej narzeczonym ani o jego starszym bracie. Czyżby była tu sama z księciem i księżną?

Ale wzmianki o księciu też nie było. W istocie, przechodząc przez zachodnie skrzydło dworu, nie zauważyła najmniejszych śladów obecności mężczyzny.

Z westchnieniem zaczęła rozpakowywać swój dobytek, oblepiony zaschniętym błotem i pyłem. Większość ubrań była podarta bądź postrzępiona. Deska do pisania stanowiła tak żalostny widok, że Constance wyrzuciła ją po drodze, za bardzo poruszona, by wziąć te szczątki do nowego domu.

Przypomniało jej się coś jeszcze. Powinna wyjaśnić księżnej, że drogocenny welon również uległ zniszczeniu. Trudne to było zadanie, bo żadna suma pieniędzy nie mogła zastąpić tak pięknej rzeczy.

Wkładając swoje rzeczy do szuflad, znów pomyślała o Josephie. Cóż to za nadzwyczajny człowiek, nie tylko przejęty szczytnymi ideałami, lecz mający energię i wytrwałość, by je urzeczywistnić.

Gdzie był teraz jej towarzysz podróży? Gdzie był Joseph?

Joseph Smith z roztargnieniem przetarł dłonią czoło.

Przed nim stało na drewnianym stojaczku kilka zakorkowanych próbek. Każda miała nalepkę pokrytą jego równym pismem.

„Balmoral. 3 września 1874. Kuchnia”. Na drugiej nalepce napisano: „Balmoral. 28 kwietnia 1874. Komnata Jego Wysokości”. Inne drewniane stojaczki miały nalepki: „Osborne”, „Windsor”, „Buckingham”, „Sandringham” i „Marlborough House”. Wszystkie próbki były opatrzone datami i bardziej szczegółowymi określeniami miejsc, z których je pobrano.

W londyńskim laboratorium, w którym Joseph pracował nad barwnikami, jeden kął był poświęcony temu właśnie niezwykle doniosłemu zagadnieniu. Tylko jeden człowiek był w nie dokładnie wtajemniczony, Brown, któremu Joseph, naturalnie, ufał bez zastrzeżeń. Inni

pogardzali szkockim górale, raziły ich jego zadufanie, akcent, a najbardziej kilt, który nosił jak rok długi, wraz z grubymi wełnianymi skarpetami i sporranem, sakwą z borsuczej skóry. Ale Joseph Smith i John Brown poznali się na sobie od pierwszej chwili. Smith, bogaty Walijczyk, nie mogący sobie znaleźć miejsca w społeczeństwie, i Brown, totumfacki samej królowej Wiktorii. Ostatnio krążyły nawet na ten temat „plotki”, w złośliwych pamfletach nazywano owdowiałą królową „panią Brown” lub czyniono aluzje, że sługę i jego panią łączą intymne stosunki.

Joseph tym się jednak nie przejmował. John Brown, bezpośredni, obcesowy człowiek ze zjadliwym poczuciem humoru, był ciałem i duszą oddany królowej. Trwał u jej boku ponad dwanaście lat, od czasu śmierci małżonka, księcia Alberta. Za królową bez wahania oddałby życie.

Mimo to zarówno Joseph Smith, jak i John Brown nie należeli do towarzystwa, przeto większość tak zwanej arystokracji odnosiła się do nich podejrzliwie i z pogardą. Było tajemnicą poliszynela, że książe Walii ma Browna w głębokiej pogardzie. Z drugiej strony, do Smitha odnosił się uprzejmie, acz niezbyt gorąco, wykazywał za to szczere zaciekawienie, gdy chodziło o jego niektóre publikacje naukowe.

Być może książe Walii nie miał uprzedzeń wobec celtyckich przodków i niskiego pochodzenia Browna. Być może po prostu gryzła go zazdrość, że byle służący ma nieustanny dostęp do jego matki, królowej.

Książe mógł też pamiętać siłę rąk Browna, który niegdyś wytargał go za uszy. Wszyscy już zapomnieli, jakie przewinienie spowodowało tę karę, bez wątpienia była ona jednak uzasadniona. Ale na widok Browna, a nawet na dźwięk jego nazwiska, książe wciąż odczuwał upokorzenie i gniew.

Powszechnie wiadomo, że Wiktorii nie ma wysokiego mniemania o swym pierworodnym synu i nie dopuszcza go do dokumentów państwowych najwyższej wagi. Za to u swego służącego zasięgała opinii na wszelkie tematy, od wiarygodności dworzan i członków parlamentu począwszy, na najlepszym miejscu do spędzenia wakacji skończywszy. Czasem Brownowi powierzano nawet sekrety wagi państwowej.

Nic dziwnego, że książe Walii go nienawidził.

Joseph przystanął, ostrożnie wyjął probówkę ze stojaka, wstrząsnął zawartością i popatrzył, jak osad zawirował w cieczy. Dwanaście lat temu Constance Lloyd była dziewczynką z Wirginii, która wkrótce miała doświadczyć na własnej skórze jednej z najbardziej krwawych i najokropniejszych wojen w dziejach ludzkości.

Jaka wtedy była? Bez wątpienia piękna, bo piękno takie jak jej nie rodzi się z dnia na dzień, lecz rośnie i zakwita jak rzadki kwiat. Pewnie również rezolutna, ale jej bystrość jeszcze nie przeszła próby, gdyż Constance wciąż była dzieckiem żyjącym w bezpiecznym schronieniu, zapewnianym jej przez rodziców, którzy potem podczas wojny mieli opuścić ziemski padół. Opuścić miało ją również poczucie bezpieczeństwa, a właściwie jego resztki pozostałe po wybuchu wojny, która uniemożliwiła Constance zaspokojenie podstawowych potrzeb i pozbawiła ją wszelkich marzeń i oczekiwań.

Mimo że Constance Lloyd była wtedy jeszcze bardzo młoda, miała dość rozumu, by nawiązać kontakt z dalekimi krewnymi i zapewnić sobie posadę guwernantki. Wprawdzie posada była, łagodnie mówiąc, niezbyt pasjonująca, niemniej jednak w sytuacji Constance ucieczka za ocean stanowiła przejaw desperackiej walki o przeżycie.

Dziewczyna musiała bardzo bać się tej podróży. Każda fala oddalała ją od tego, co znała, od świata, w którym zajmowała jakąś pozycję i była poważana. W Anglii skazano ją na pokój guwernantki, zapomniany kąt w domu oraz towarzystwo dzieci, a czasem zapewne również służby.

A jednak i z tej próby wyszła zwycięsko. Nie tylko zyskała ciepłe uczucia i szczerą przyjaźń chlebobawczyń, lecz również zaręczyła się z młodszym synem bogatego księcia.

- A niech to wszyscy diabli - mruknął i z powrotem odstawił próbkę na stojak.

Był wyczerpany. Źle spał od wielu dni, odkąd zostawił Constance pod kompetentną, lecz pozbawioną ciepła opieką Crimminsa i Walkera. Jednak nie ci dwaj ludzie budzili jego niepokój.

Ilekoć zamykał oczy, widział Constance, inteligentną, pełną ciepła i miłości Constance w ramionach swego najlepszego przyjaciela Philipa.

Philipa, którego znał od dzieciństwa. Philipa, który miał dobre serce, lecz niewielką szansę, by to światu pokazać. Przez lata Joseph nauczył się korzystać z pomocy lorda Hastingsa, który, choć uważany za lekkoducha, nieraz ratował go z drobnych kłopotów, zagrażających jego dobrej reputacji. Nieraz też Philip korzystał ze swej utrwalonej pozycji w arystokratycznym świecie, by wspomóc karierę Josepha. I Joseph bardzo dobrze wiedział, że jest tolerowany, a nawet mile widziany w wielu miejscach tylko dzięki niepowtarzalnej kombinacji ciężko zapracowanego bogactwa i elegancji z drugiej ręki. Philipowi bowiem można było zarzucać wiele, ale nie brak elegancji, a towarzystwo w gruncie rzeczy nie wymagało od niego niczego więcej.

Ostatnio po kraju rozeszły się pogłoski. Joseph słyszał coś, czego inni może nie słyszeli albo nie traktowali poważnie.

Miliony Brytyjczyków chciały końca monarchii. Rozpowszechniano pamflety o korzyściach wynikających z republikanizmu i o potrzebie zrobienia podobnej czystki, jakiej rewolucja francuska dokonała sto lat wcześniej.

Niektórzy całkiem otwarcie nawoływali do usunięcia, a nawet stracenia królowej i jej rodziny.

Próbowano już dokonać zamachu na jej życie. Potrzebny był tylko mądry anarchista, który miałby w tym swój interes i dysponował środkami, by puścić koło w ruch.

Co teraz robiła Constance?

Ona, o dziwo, nie czuła się lepsza od sieroty z walijskiej wioski górników. Nawet nie mrugnęła okiem, gdy dowiedziała się, że chodził do szkoły z cudzej łaski. Nie przeszkadzało jej, że zajmuje się handlem, że wytwarza dobra na sprzedaż, dla osiągnięcia zysku. Zresztą, prawdę mówiąc, odniósł wrażenie, że jego poszukiwanie sposobu na zapewnienie ludziom z niższych klas zdrowych, nie skażonych napojów bardzo ją zainteresowało.

Czy Constance zdawała sobie sprawę z tego, że do niedawna i jego traktowano jak członka klasy niższej?

- Pracuj, do diabła, pracuj! - Zacisnął zęby i wyprostował plecy. Oparcie krzesła go uwierało.

To było najważniejsze zadanie, jakiego kiedykolwiek się podjął. Ten zestaw próbek, zaledwie kilka litrów cieczy, to była nie tylko jego przyszłość, lecz przyszłość całego narodu.

Miał szczerą nadzieję, że gdy doprowadzi ten pomysł do końca, w Anglii będzie się dużo lepiej żyło. Nie wybrańcom, lecz wszystkim.

Konstance nie ośmieliłaby się spóźnić na pierwsze spotkanie z księżną.

Chociaż swojego stroju nie mogła upiększyć, to wyszczotkowała i starannie upięła włosy. Obejrzawszy się w lustrze, odniosła wrażenie, że widzi praktyczną guwernantkę w beznadziejnie niemodnej sukni.

- Nic na to nie poradzę. - Westchnęła do swego odbicia i poszła szukać czerwonego salonu.

Kłopot był w tym, że wszystkie pokoje miały w wystroju wiele czerwieni. Jeden był czerwono-fioletowy, inny czerwono-zielony, jeszcze inny czerwono-niebieski. Wszystkie kombinacje kolorystyczne wydawały się wyczerpane. Najgorsze, że również stylów było nie mniej.

Im dłużej Constance chodziła po przestronnych, wysokich korytarzach Hastings House, tym lepiej widziała, jak mamie dwór jest urządony. Chodziło nie tylko o to, że wystrój wewnątrz jest nieatrakcyjny czy zanadto ozdobny. Wszystkie pomieszczenia sprawiały wrażenie agresywnie udużonych. Najwyraźniej zwracano uwagę przede wszystkim na wielkość i kolor mebli. Wszystkie krzesła, wszystkie stoły, wszystkie dywany były za wielkie i krzykliwe w tonacji, przy czym zupełnie nie dbano o to, by przedmioty do siebie pasowały. Z tego powodu trudno było poczuć się tu jak w domu. Hastings House stanowił po prostu zbiór pokoi, wypełnionych kosztownymi gratami, tyleż ozdobnymi, co niegustownymi.

Dzieła sztuki też były dziwne. Znajdowało się wśród nich kilka portretów bardzo postawnego mężczyzny w kobiecych szatach. Constance to poruszyło. Słyszała kiedyś o zaburzeniach osobowości, które powodują, że mężczyzna najbardziej pragnie zmienić płeć, a zatem również ubierać się jak kobieta. Raz podczas sezonu w Cowes słyszała nawet o mężczyźnie przebierającym się za kobietę, by zdobyć prawo wstępu do damskich garderób, choć, jak jej się zdawało, przyświecał mu zgoła inny cel niż ponuremu mężczyźnie z portretu.

Pocieszające było natomiast, że Hastingsowie nie ukrywali portretów tego biedaka, lecz godzili się z jego słabościami. Mógł to być dobry znak. Gdyby jej się udało ignorować wystrój dworu i skupić uwagę na ludziach, to może przestałby ją przerażać bardzo wystawnie pokazany brak smaku.

Krótko mówiąc, Hastings House był absolutnie odpychający. Mogłoby mu pomóc chyba tylko doszczętne spalenie i wybudowanie od nowa.

Mimo oszołomienia pompatycznością tego miejsca, Constance zdołała znaleźć pokojową, zajęta odkurzaniem ohydneho popiersia mężczyzny z portretu w stroju, który wyglądał na suknię balową, i zapytać ją o czerwony salon. Pokojowa z wstydlwym uśmiechem dygnęła i wskazała pokój, którego Constance jeszcze nie miała.

Wszedłszy do środka, Constance ujrzała bardzo krzepkiego mężczyznę, stojącego pośrodku na dywanie. Nosił przebogato zdobioną suknię w kolorach fioletowym i zielonym, a na głowie diadem. Istny koszmar. To właśnie ten mężczyzna był bohaterem portretów i gargantuicznego posągu.

- Panna Lloyd?

Wstrząs, jaki przeżyła, musiał się odmalować na jej twarzy. W tym momencie uświadomiła sobie bowiem, że mężczyzna w sukni jest księżną.

- Proszę mi wybaczyć, wasza wielmożność. - Głęboko się skłoniła.

- Ten dom musi być dla panny dość oszałamiającym odkryciem - powiedziała księżna z nie ukrywaną dumą.

- Och, wasza wielmożność nawet nie wie... - bąknęła Constance, usiłując zapanować nad mimiką.

Usatysfakcjonowana księżna pokazała jej krzesło, obite tkaniną w deseń z główek kapusty oraz żółdzi.

- Niech panna usiądzie. Chcę jej się lepiej przyjrzeć.

Czując się jak okaz przyrodniczy pod lupą, Constance spełniła życzenie księżnej. Nawet była jej wdzięczna za okazję do zebrania myśli. Po obejrzeniu domu i przyszej teściowej poczuła się bowiem tak, jakby miała przywidzenia, które, na co liczyła, szybko ustąpią.

- No, no. - Starsza pani cmoknęła. - Już rozumiem, co tak ujęło mojego syna. Nie powiedziałabym, że panna jest Amerykanką.

Constance uśmiechnęła się słodko.

- To bardzo miły komplement. - Słyszała go już od Anglików, którzy najwyraźniej uważali, że najwyższą możliwą pochwałą dla obcokrajowca jest fakt, że Anglik weźmie go za rodowitego mieszkańca swojego kraju.

- No, tak, panno Lloyd. Ale panny biodra nieco mnie rozczarowują.

- Słucham, wasza wielmożność?

- Ech, na to chyba nic nie można poradzić. Czy kiedykolwiek rodziła panna dziecko?

- Wasza wielmożność, nigdy nie byłam mężatką!

- Tak, ale obie wiemy, że małżeństwo często ma niewiele wspólnego z rodzeniem dzieci. Rozumiem więc, że nigdy nie była panna przy nadziei?

- Skądże!

- Szkoda. Wtedy wiedzielibyśmy na pewno, czy panna jest płodna.

Constance nie wiedziała, co na to powiedzieć, więc tylko patrzyła, jak księżna obraca się pośrodku salonu i podchodzi bardzo wystudiowanym krokiem do dużej kanapy. Lewą ręką odgarnęła sobie z drogi tren i usiadła. Przez dłuższą chwilę zajmowała się wygładzaniem metrów sukni, wreszcie znów spojrzała na Constance.

Jej twarz składała się głównie ze zmarszczek. Małe oczka spoglądały spośród fałdów skóry na policzkach i czole. Duże, szerokie usta wyglądały jak wzięte w nawias przez zmarszczki. Najbardziej jednak zafascynowały Constance włosy księżnej. Nie dość, że było ich mnóstwo, to miały jaskraworudy odcień, o wiele bardziej rady, niż zwykła darowywać ludziom natura. Bez wątpienia kolor ten był skutkiem starannych zabiegów.

- O, widzę, że panna podziwia moją koronę. - Księżna się uśmiechnęła. - To jest korona książęca, ma ponad pięćdziesiąt lat. Jak panna widzi, jest wykonana ze złota i ozdobiona ornamentami w kształcie liści truskawek, wysadzanych brylantami. Zawsze ją noszę z okazji zbliżającej się koronacji. W ten sposób ja jedna będę przyzwyczajona do ciężaru korony, gdy nastanie czas, że książę Walii zostanie królem.

Znów jej się to przytrafiło. Constance z wrażenia straciła głos. Ponieważ jednak księżna czekała na odpowiedź, zdobyła się na odwagę i wreszcie wydusiła z siebie:

- Ja, niestety, nie mam korony, wasza wielmożność.

- Niech panna nie będzie śmieszna. Tylko książętom i księżnym wolno nosić korony. To byłoby bardzo niestosowne, gdyby panna tego spróbowała. Niezamężna dama nie powinna nosić nawet diademu. To jest i wyzywające, i niestosowne, panno Lloyd.

- Będę o tym pamiętać.

- Koniecznie, niech się panna nie zapomni. A dlaczego to panna nie włożyła jednej z sukien, które jej posłałam?

- Bo po drodze nas obrabowano.

- „Nas”? To znaczy kogo?

- Podróżowałam z panem Smithem, przyjacielem Philipa. Gdzie on teraz jest?

- Skąd mam wiedzieć? Pewnie włóczy się gdzieś po opłotkach Walii albo myje głowę mydłem z węglowego miała.

- Philip z węglowym miałem we włosach?

- Wielkie nieba, gdzieżby?! - Księżna wybuchnęła gwałtownym, ochryplym śmiechem.

Constance zwróciła uwagę na jej ręce; były wielkie jak u rolnika albo rzeźnika. Nigdy nie widziała u kobiety tak wielkich dłoni. Mimo woli zerknęła na stopy przyszłej teściowej. Pasowały do rąk.

- Wasza wielmożność, trudno, muszę to teraz powiedzieć... welon, który wasza wielmożność była łaskawa mi przesała, zniszczył się podczas napadu.

Księżna spojrzała na nią tak, jakby właśnie zobaczyła u niej miotełkę z piór, wyrastającą z czubka głowy.

- O czym panna mówi?

- O koronkowym welonie, wasza wielmożność. Był razem z sukniami, które wasza wielmożność mi przesała. Piękny welon z kremowej koronki.

- Nic takiego nie pamiętam. Och. Ojej... -Zaczęła się śmiać bardzo niepokojąco, niemal złowieszczo, jakby za chwilę miał się wyrwać na wolność nieznany żywioł natury. - Z koronki? Panno Lloyd, to był obrus na stół. W dodatku wykonany maszynowo. Skończyła mi się bibułka, więc użyłam go do pakowania sukien. Dlaczego, na Boga, miałabym pannie przysyłać piękny koronkowy welon? Ojej, a to się ubawiłam.

Constance siedziała i przyglądała się księżnej, której twarz poczerwieniała ze śmiechu.

- No, dobrze. Czy ma panna ochotę na herbatę?

- Tak, dziękuję.

- Stoi tam, na srebrnej tacy. Ja poproszę z dwiema łyżeczkami cukru i odrobiną śmietanki.

Wciąż z uśmiechem na twarzy Constance wstała i nalała księżnej filiżankę herbaty, uważając, by przygotować ją dokładnie według instrukcji, mimo że najchętniej wsypałaby sześć łyżeczek cukru i nalała mnóstwo śmietanki.

- Chciałabym też coś słodkiego - powiedziała księżna.

Constance wróciła do tacy, włożyła na mikroskopijny talerzyk kilka ciasteczek i przyniosła je księżnej.

- I kanapkę. Z rzeżuchą.

Znow stanąwszy przy tacy, Constance wybrała żadaną kanapkę, dołożyła na wszelki wypadek kanapkę z pomidorem i podała obie księżnej. Jako że sama była głodna, zjadła drugą kanapkę z rzeżuchą. Wiedziała, że jeśli nie zostanie poczęstowana jedzeniem, będzie to jej jedyny posiłek przed kolacją.

- Panna też może sobie nalać herbaty.

- Dziękuję, wasza wielmożność - powiedziała z ulgą Constance.

Księżna skinęła głową i upiła łyk herbaty. Filiżankę trzymała w wielkiej, nie wypielęgnowanej dłoni. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, skosztowawszy napoju, przyrządzonego dokładnie według jej życzeń.

- Philip powinien wrócić pod koniec tygodnia.

- Pod koniec tygodnia? - powtórzyła Constance. - Gdzie on jest?

- Wysłałam go na objazd Ballsbridge, musi zjednać sobie wyborców.

Constance rozsądnie nie wspomniała, że wieś Ballsbridge leży w odległości zaledwie kilku kilometrów.

- Dlaczego nie wraca tutaj codziennie na nocleg?

- Ponieważ, moja droga, musi mieć czas na politykę. Musi przygotowywać mowy, obmyślać sprytne plany, żeby porwać za sobą tłum, ćwiczyć długotrwałe stanie bez ruchu, ścisnąć dłonie prostym ludziom i robić jeszcze mnóstwo innych rzeczy. Poza tym chciałam, żebyśmy miały trochę czasu dla siebie i mogły się poznać. O właśnie, niech panna tu podejdzie, zanim zapomnę.

Constance posłusznie stanęła obok księżnej. Starsza pani otworzyła szufladę i wręczyła jej puzderko.

- To jest dla panny.

- O, dziękuję.

- To jest panny zaręczynowy pierścionek.

- Mój zaręczynowy pierścionek? Może powinnam poczekać na Phi lipa, żeby to on mi go dał?

- Bzdura. Nie zaszkodzi, jak się panna do niego przyzwyczai. No, niech panna przymierzy.

Constance otworzyła czarne aksamitne puzderko. W środku leżał jeden z najdziwniejszych przedmiotów, jakie kiedykolwiek widziała. Oczko pierścionka było z żółtego kamienia wielkości gałki od drzwi, a oprawa miała ornament przedstawiający węże, a może jaszczurki.

- Ojej, jaki uroczy - powiedziała.

- Naturalnie, że jest uroczy. Sama go wybrałam. Philip nie ma na to czasu. Bardzo modny wyrób, w stylu włoskim.

- Rozumiem, że jesteśmy zaręczone, wasza wielmożność - powiedziała Constance z uśmiechem.

- Bzdura! Ja już mam męża. Poza tym jestem kobietą, więc nie możemy się zaręczyć. Myślę też, że jestem dla panny za stara. Nie, panno Lloyd, to panna i Philip jesteście zaręczeni. Wkrótce ustalimy datę ślubu, najlepiej jeszcze przed wyborami.

- Byłoby cudownie. - Wolno wsunęła pierścionek na palec serdeczny lewej ręki. Pasował znakomicie, co stwierdziła z zamierającym sercem. Wróciła do tacy.

- No, dobrze. A czy na tacy nie było jeszcze jednej kanapki z rzeżuchą?

- Przykro mi, ale ją zjadłam - wyznała Constance.

- Zjadła panna moją kanapkę z rzeżuchą?

- Ja... - Zrozumiała, że stawianie oporu nic tu nie da. - Tak, wasza wielmożność.

- O, będziemy musiały wygładzić panny maniery, żeby panna mogła pokazać się w towarzystwie. Niech panna tu podejdzie, to jej się przyjrzę.

Constance wróciła na krzesło, trzymając w dłoni filiżankę herbaty. Przełknęła łyk z nadzieją, że zdoła opanować drżenie ręki i filiżanka odstawiana na spodeczek nie brzęknie.

Niespodziewanie uświadomiła sobie, że znacznie swobodniej czuła się w obliczu uzbrojonych rabusiów niż sam na sam z tą kobietą.

- No, dobrze - oświadczyła księżna, choć chyba nigdzie szczególnie jej się nie spieszyło. - To miałyśmy poczęstunek. Panna może teraz iść. Kolacja jest o siódmej trzydzieści, proszę się nie spóźnić.

Constance wstała, dygnęła i opuściła salon z przekonaniem, że najgorsze już ma za sobą. Kolacja mogła wypaść tylko lepiej.

Do kolacji Constance tak zgłodniała, że z nostalgią wspominała kanapkę z rzeżuchą, którą zjadła do herbaty. Ale przykre uczucie głodu przynajmniej odrywało jej uwagę od znacznie bardziej rozstrajających spraw, takich jak bardzo niefortunne pierwsze spotkanie z matką Philipa. Albo jak Joseph Smith, którego nijak nie mogła zapomnieć.

Miała właśnie zająć się swoim wyglądem, gdy rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała Constance i do środka weszła jedna z niezliczonych w tym domostwie pokojowych.

- Księżna przysłała pani tę suknię, żeby włożyła ją pani do kolacji. Będą dzisiaj goście, więc jej wielmożność sądzi, że powinna pani mieć strój wieczorowy.

- To bardzo miło z jej strony, że o mnie pomyślała. - Constance uśmiechnęła się do pokojowej; ta z wahaniem odwzajemniła uśmiech i położyła suknię na łóżku. Chociaż jak na gust Constance, była stanowczo za ozdobna, niewątpliwie stanowiła ostatni krzyk mody i musiała być bardzo kosztowna. Granatowy stanik z atłasu, dość śmiało odkrywający ramiona, był wykończony licznymi falbanami w kolorze kości słoniowej. Wielka spódnica miała atłasowy rąbek tego samego koloru co falbany. Pokojowa dała Constance również wszystkie potrzebne dodatki: pończochy, delikatne pantofelki i jeszcze delikatniejsze rękawiczki z koźlącej skórki, zdobione małutkimi guziczkami z masy perłowej.

- Skąd to się, u licha, wzięło? - zdumiała się Constance, gdy wreszcie odzyskała głos.

- Nie wiem. Czy pomóc pani w ubieraniu albo w czesaniu się?

Przez chwilę Constance tylko przyglądała się młodej pokojowej. Dziwnie się czuła, gdy po tylu latach nagle dostała służącą, która pyta, czego jej trzeba. Przywykła do tego, że to ona jest służącą.

- Dziękuję. Myślę, że dam sobie radę.

Po wyjściu pokojowej z zadowoleniem pomyślała o chwili samotności. Mogła porozkoszować się dotykiem nowego stroju, sprawdzić, jak się nosi jedwabne pończochy, tak różniące się od czarnych pończoch z bawełny lub wełny, które zwykle nosiła. A suknia, chociaż nieco raziła nadmierną strojnością, była przecież piękna.

Constance wyjątkowo starannie ułożyła włosy; wyszczotkowała je do połysku i zakręciła kilka loczków tak, by całość sprawiała wrażenie twórczego nieładu. Skończywszy pracę, uznała, że jest gotowa do zejścia na dół, cokolwiek miało ją tam spotkać.

Po szmerze głosów zorientowała się, gdzie jest jadalnia. Przekroczywszy próg, musiała ominąć wielką palmę, ustawioną w ceramicznej donicy o kształcie głowy morsa, i stanęła, mając przed sobą przynajmniej dwadzieścia par oczu. Wszystkie były skierowane na nią.

Nie była to zwyczajna kolacja, lecz biesiada. Natychmiast pojęła, że jest na niej albo gościem honorowym, albo głównym daniem.

Wyprostowawszy plecy, postanowiła, że pod żadnym pozorem nie pozwoli się zjeść, nawet gdyby miała być popijana najprzedniejszym bordeaux.

- Dobry wieczór - powiedziała wyraźnie, przyzwyczajając oczy do migotania świec.

Mężczyźni mieli na sobie ciemne smokingi, a kobiety bez wyjątku wieczorowe suknie, zdobione klejnotami. Można było obejrzeć niemały zbiór koliai z brylantami i połyskujących kolczyków.

- O, panno Lloyd, jak uroczo panna wygląda - powiedziała księżna. W jej głosie nie było słycać fałszywej nuty.

Constance przedstawiono wszystkim obecnym. Mężczyźni stawali przy krzesłach, kobiety chyliły głowy. Do wszystkich mówiło się „milordzie”, „milady” albo „sir”, a nazwiska gości brzmiały tak, jakby byli drugoplanowymi postaciami z modnej sztuki.

Księżna, skrępowawszy swe gigantyczne ciało gorsetem, w którym wyglądała mniej więcej jak klepsydra, zastąpiła koronę prostszym diademem, najbardziej przypominającym kratę osłaniającą kominek. Po zakończeniu prezentacji zwróciła się do gości i zakreślając ręką łuk, powiedziała z wyrozumiałym uśmiechem:

- Jak państwo wiedzą, panna Lloyd jest Amerykanką.

Rozległy się nieśmiało przytaknięcia i uprzejme pomruki zrozumienia, jakby sam fakt bycia Amerykanką stanowił usprawiedliwienie wszelkich dziwaczych zachowań, wyjaśniał ekscentryczne skłonności i brak dobrego smaku.

Właśnie wtedy Constance zauważyła obecność Philipa.

Wstał, na ustach miał lekki uśmiech. Najwyraźniej się wahał, spoglądał na matkę, jakby oczekiwał od niej znaku aprobaty, podpowiedzi, co robić dalej. Jak zwykle był nieskazitelnie wystrojony w czarny smoking, faworyty miał świeżo wyszczotkowane i wypudrowane, jedwabny fular zawiązany po mistrzowsku i spięty szpilką z jedną jedyną perłą.

- Constance - powiedział w końcu. - Proszę, usiądź przy mnie. - Podeszedł do niej i, śledzony z uwagą przez wszystkich obecnych, pocałował ją w policzek.

Constance ujęła narzeczonego za ramię, starając się nie zwracać uwagi na zaciekawione spojrzenia i szeptki gości. Philip zaprowadził ją na miejsce, a ona tymczasem zdołała trochę zapanować nad zamętem myśli i uczuć. Obecność narzeczonego była dla niej niespodzianką, lecz wcale nie dodała jej pewności siebie.

- Ładna pogoda - zwróciła się do sąsiadów przy stole, gdy Philip odsunął dla niej krzesło. Nikt nie zareagował, jeśli nie liczyć jednego czy dwu zdawkowych uśmiechów.

Nie mogła znieść tego milczenia. Wszystko byłoby lepsze niż wlepione w nią oczy i milczenie, brnęła więc dalej, paplając lak beztrósko, że omal nie oszukała tym samej siebie:

- Tam, gdzie się urodziłam, o tej porze roku jest jeszcze bardzo gorąco, aż trudno oddychać.

Nikt nie podjął rozmowy, więc rozłożyła serwetkę z nadzieją, że w końcu ktoś się odezwie.

Dlaczego Philip, który dobrze widział jej zażenowanie, w ogóle nie starał się jej pomóc? Ale on był za bardzo pochłonięty przyglądaniem się księżnej.

Milczenie stało się bardzo kłopotliwe, aż wreszcie łysy mężczyzna przy końcu stołu się odezwał:

- Jest wrzesień.

No, do tego przynajmniej można było nawiązać.

- To prawda. - Constance skinęła głową. - Jest wrzesień. Łysy mężczyzna się rozpromienił.

- Tak - rzekł z jeszcze większym przekonaniem. - Zdecydowanie jest wrzesień. Połowa miesiąca, jeśli się nie mylę.

Kilkoro gości potwierdziło to domniemanie, dodając, że jest drugi czwartek września. Po chwili ożywienia, związanego z ustalaniem daty, przy stole znów zapadła cisza.

- Byłem kiedyś w Stanach Zjednoczonych, panno Lloyd - oznajmił mężczyzna siedzący przy końcu stołu.

- Naprawdę? Mam nadzieję, że się tam panu podobało.

- O, tak. Bardzo, chociaż nie sądzę, bym kiedykolwiek był w miejscu, gdzie wszystko jest takie... hm, jak to wyrazić?

- Nieokrzesane? - podsunęła jedna z dam.

- Bez ogłady? - sugerowała druga.

- Brutalnie dzikie? - spróbowała jeszcze raz pierwsza, radośnie podniecona.

- Nie, nie! Wcale nie! Panno Lloyd - mężczyzna się uśmiechnął - chciałem tylko powiedzieć, że wszystko jest bezkresne. Jeziora są tak olbrzymie, że nie widać drugiego brzegu. Rzeki są takie szerokie, że łodzią płynie się na drugi brzeg godzinami. A formy mają tyle ziemi, że gdyby człowiek chciał przejechać konno od granicy do granicy posiadłości, dnia by mu na to nie starczyło. A niektóre domy są tak olbrzymie, że można się w nich zgubić.

- Rozumiem, sir - przyznała Constance. - Ale widzi pan, ja pochodzę z Wirginii. Jako konfederaci byliśmy dumni z tego, że u nas wszystko jest na mniejszą skalę i dzięki temu łatwiej tym zarządzać. Niestety, okazało się, że to dotyczy również armii. Była dość mała, by łatwo się nią dowodziło, lecz nie dość wielka, by zwyciężyć.

Kilkoro gości się uśmiechnęło, a jeden z panów wydał odgłos, który przypominał stłumiony chichot.

- To przykre, że pani strona przegrała wojnę - mruknął mężczyzna z wąsiskiem morsa. - Zawsze zdawało mi się, że stany Konfederacji są wierniejsze angielskim ideałom. Pani rozumie, domy, maniery. O wiele mniej rażące niż na Północy.

Kilku innych mężczyzn przytaknęło, a kobiety ślepo powtórzyły gesty panów. Siwiejący starszy pan, zajmujący miejsce przy końcu stołu, wtrącił głośno: „Takie buty!”, jakby trwała gorąca debata parlamentarna.

- Musiała pani być bardzo młoda, panno Lloyd, gdy skończyła się wojna. Miała pani szczęście, że uniknęła pani większości okrucieństw - powiedział wąsacz.

- Dziękuję za komplement dla mojej młodości. - Constance usiadła wygodniej, a służący nalał jej wina do kielicha. - Ale byłam już wystarczająco dorosła, by rozumieć, co się dzieje. Poza tym, niestety, plantacja mojego ojca często zamieniała się w pole bitwy.

- To straszne - zachnęła się dama z piórami we włosach. - Mam nadzieję, panno Lloyd, że nikt z pani rodziny nie ucierpiał zbyt dotkliwie.

- No cóż - powiedziała cicho Constance. - To było dawno, bardzo dawno.

Znów zapadło milczenie. Na szczęście podszedł do niej służący z wazą pełną zupy; przyglądała się nalewaniu do talerza kremowej ciecicy, jakby to było przedstawienie w teatrze. Miała nadzieję, że za chwilę ktoś przy tym wielkim stole się odezwie, by zmienić temat.

- Biedaczko - zwróciła się do niej dama z piórami.

Philip spojrział na narzeczoną z dość zaskoczoną miną, jakby nic nie wiedział o jej wojennych przeżyciach. W gruncie rzeczy sprawiał takie wrażenie, jakby w ogóle jej wcześniej nie widział. Na jego twarzy o harmonijnych rysach odmalowywało się dziwne skupienie.

- Philipie, garbisz się - skarciła go matka. - Proszę, usiądź prosto.

Na te słowa większość gości się wyprostowała i zaczęła nieśmiało manipulować sztucami przy jedzeniu albo popijać wino.

Constance czuła, że musi coś powiedzieć, coś, co rozładowałoby kłopotliwe milczenie.

- Muszę przyznać, że pobyt w Anglii u zarania epoki imperialnej jest o wiele bardziej przyjemny niż pobyt w Wirginii w roku zakończenia wojny.

- Też tak sądzę - zgodziła się z nią księżna.

- Proszę nam zdradzić, panno Lloyd: co pani się najbardziej podoba w naszym narodzie? - spytał z krzepiącym uśmiechem łysy mężczyzna.

- Muszę wyznać, że bardzo podoba mi się pojęcie szlachectwa i monarchia.

- To mnie dziwi - odrzekł łysy dżentelmen. - Myślałem, że wszyscy Amerykanie chwalą sobie demokrację. Nieraz sprzeczałem się z goszczącymi u nas w klubie Jankesami, bo wszyscy jak jeden twierdzili, że gardzą naszymi tytułami.

- Och, to wcale nie jest prawda. Zazdrościmy wam porządku, który tytuły nadają społeczeństwu. Jest coś uspokajającego w tym, że każdy wie, ile szczebli drabiny jest pod nim. Amerykanie tak naprawdę zdają sobie sprawę z istnienia warstw społecznych nie mniej niż Anglicy, ponieważ jednak nie mamy nikogo, kto przewodziłby elicie, ani króla, ani królowej, ani nawet księcia, powoduje to duże zamieszanie podczas sezonów towarzyskich.

- Właśnie - włączyła się do konwersacji milcząca dotąd kobieta. - Czy pamiętacie, ile hałasu było wokół wizyty księcia Walii w Ameryce w latach sześćdziesiątych? Jak słyszałam, niemal wszystkie kobiety prawie rzuciły się na jego wysokość.

- A podłoga nie zapadła się pod ciężarem takiego tłumu? - spytała rozbawiona dama z piórami.

- Och, zapadła się, naturalnie. - Constance uniosła brwi.

- A tłum składał się ponad wszelką wątpliwość z dam należących do towarzystwa i ich córek na wydaniu. W ten sposób wreszcie poznaliście nasz najbardziej ponury sekret. Oto, czego w istocie pragną wnuczki rewolucji.

Wąsacz chrząknął nieco zdezorientowany.

- A cóż takiego miałyby to być, droga panno Lloyd? - zapytał.

- Wszystkie chcemy ni mniej, ni więcej tylko szansy, by móc zostać królową Anglii. - Upiła łyk wody. - A jako Amerykanki, skażone demokracją, uważamy, że mimo wszystko należy nam się prawo ubiegania się o ten tytuł.

Początkowo nikt nie zareagował. Po chwili łysy mężczyzna zaczął się krztusić od tłumionego śmiechu, a twarz podejrzanie mu spurpurowiała. Widząc to, inni goście mu zawtórowali, mężczyźni niskimi, ochrypłymi od palenia cygar głosami, kobiety - piskliwym chichotem.

Philip, upewniwszy się, że jego matka sprawia wrażenie zadowolonej, w końcu się uśmiechnął.

- A co z Konfederacją? Czy wszystkie chciałyście również rządzić Południem?

- No cóż... - odrzekła zadumany tonem. - Myślę, że na tym polegał nasz największy problem.

- Jak to? - Philip z trudem powstrzymał uśmiech, a inni goście zatrzymali sztucce w pół drogi do talerzy, oczekując odpowiedzi.

- Każda z nas była przekonana, że jako mieszkanka Południa już ma godność królewską. Łatwo sobie wyobrazić, że doprowadziło to do potwornego zamieszania.

Wokół stołu znów rozległy się odgłosy ogólnego rozbawienia i aprobaty.

Dobry Boże, pomyślała Constance, wyjątkowo łatwo ich rozbawić.

Intrygował ją jednak Philip. Podczas innych zgromadzeń wyraźnie nadawał ton towarzystwu. Tu bez przerwy spoglądał na matkę, szukał u niej nawet wskazówek, jak zachowywać się wobec narzeczonej.

- Proszę mi powiedzieć, panno Lloyd - zagrział krągły mężczyzna z idiotycznie wyglądającymi, obwisłymi bakami, przedziałkiem pośrodku i włosami wygładzonymi gęstą warstwą oliwy. - Czy słyszała pani kiedyś sławny krzyk konfederatów?

- Szczerze mówiąc, sir, sądzę, że właśnie ten krzyk rozległ się na szalenie atrakcyjnym balu w Nowym Jorku, gdzie podejmowano księcia Walii. To zaś oznacza, że wydawały go eleganckie mamy z pannami na wydaniu, a nie walczący mężczyźni. Chociaż muszę przyznać, że cel tego krzyku, czyli odstraszenie wroga, pozostał ten sam.

Tak przebiegł cały posiłek, podczas którego Constance nieustannie skupiała na sobie uwagę. Philip siedział uśmiechnięty i zachęcał narzeczoną do popisów. A ona spełniała jego oczekiwania. Myśląc o tym po kolacji, uznała, że było to jedno wielkie przedstawienie. Na tyle bezsensownego szczebiotania nie musiała się zdobywać nawet w dziecięcych pokojach swych byłych podopiecznych. Philip wydawał się absolutnie zachwycony jej osobą.

Księcia nigdzie nie było widać, mimo że Constance nieraz przesuwiała wzrokiem po twarzach kołyszących się nad stołem w mdłym pomarańczowym świetle świec. Zastanawiała się, czy to możliwe, że podczas wymiany uprzejmości z tyloma ludźmi po prostu nie zwróciła na niego uwagi. Pod koniec wieczoru odkryła, że blondyn siedzący przy końcu stołu jest starszym bratem Philipa, wicehrabią Cavendish. Wszyscy goście nazywali go jednak nie inaczej, jak Dishy.

Z zaciętej miny księżnej wywnioskowała też, że przesadziła, swym przedstawieniem za bardzo zwróciła uwagę na siebie, a panią domu pozostawiła w cieniu. Nie wątpiła, że następnego dnia usłyszy od księżnej o swoich potknięciach.

Constance i Philip mieli krótkie interludium we dwoje. Goście już wyszli, a księżna udała się na spoczynek.

Wicehrabia Cavendish również schronił się w swych apartamentach, zresztą, prawdę mówiąc, był nieobecny już znacznie wcześniej, jeśli nie ciałem, to na pewno duchem. Constance miała wrażenie, że przez cały wieczór nie odezwał się ani słowem; ani niczego nie zganił, ani nie pochwalił.

Księżna i jej starszy syn wydawali się niezadowoleni z atmosfery panującej podczas kolacji. Philip może tego nie zauważył, ale Constance była o tym przekonana.

- Nie jestem pewna, czy zyskałam sojuszników w pańskiej matce i bracie - powiedziała, gdy w jadalni rozpoczęła się milcząca krzątania służby.

- Głupstwa pani mówi, Constance. Podbiła pani wszystkie serca. - Od węgielka w kominku zapalił cygaro, zaciągnął się dymem i wydmuchnąwszy chmurę, usiadł na krześle naprzeciwko narzeczonej.

Czyżby to był obrazek z ich przyszłego życia? Constance szybko przegnała tę myśl. Nie miało sensu zamartwiać się o przyszłość. Sama jak mało kto, wiedziała, że oczekiwania i rzeczywistość rzadko chodzą w parze.

- Na Jowisza, Constance, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział tak rozradowanego lorda Trendome! Dobra robota, moja droga. - Philip zamknął oczy, rozkoszując się zapachem dymu. Przy lewej ręce miał duży kieliszek pełen brandy, już trzeci.

- Gdzie był pana ojciec, Philipie? Miałam nadzieję go poznać.

- Ach, ojciec. - Ściszył głos, lecz nie zadał sobie trudu, by otworzyć oczy.

Constance zauważyła, że ma bardzo jasne rzęsy, prawie przezroczyste, zupełnie jak rzęsy królika.

- On je kolacje u siebie, w swoich... hm, pokojach - wyjaśnił. -Nawiasem mówiąc, ta anegdota o kobietach z Charleston była wyborna! Mortimer, ten to się śmiał. Tak rozbawionego jeszcze go nie widziałem. Wie pani, ten człowiek z pożółkłymi zębami, który siedział przy końcu stołu.

- Nie wiem, Philipie. Wszystkie twarze mi się zlewają. A pożółkłe zęby miał niejeden dżentelmen.

Roześmiał się.

- W każdym razie ten Mortimer z pożółkłymi zębami ma przyjaciela, który pisuje do „Puncha”. Sam Mortimer również czasem to robi. Wychodząc, pytał mnie, czy może przytoczyć niektóre z pani dykteryjek, naturalnie podając źródło. Dałem mu pozwolenie.

- Tak? A dlaczego pan mi o tym nie wspomniał, Philipie?

- Nie przyszło mi do głowy, że mogłaby pani mieć coś przeciwko temu, moja droga. - Mimo zamkniętych oczu pewnie przytknęła kieliszek do warg. Upił duży łyk brandy i znów się odezwał. - Doskonale, naprawdę doskonale.

- Mówi pan o brandy?

- Nie. To znaczy brandy jest doskonała na swój sposób. Ale ja mówiłem o tym, co pani zrobiła dziś wieczorem. Doskonale zabawiała pani gości. To bardzo mi pomoże w karierze.

- W karierze?

- Naturalnie. Zawojowała pani wszystkich. Oni przyszli tutaj zobaczyć właśnie panią, dziką Amerykankę. Większość z tych ludzi jeszcze nigdy u nas nie była, nie zniżyłaby się do tego bez szczególnej zachęty.

Constance milczała, więc Philip z błyszczącymi oczami dalej wyrażał zachwyty. W ogóle nie zwrócił uwagi na nagle pobladłą twarz narzeczonej.

- To było wspaniałe. Nie zdziwię się, jeśli dostaniemy zaproszenie od księcia Walii. Wie pani, on ma słabość do Amerykanów. Uwielbia egzotykę wszelkiego rodzaju. A jeśli nas zaprosi, to wszyscy przestąpiliśmy próg.

- Jaki próg, Philipie?

- Domów elity, naturalnie. Tych, którzy bywają w Marlborough House. To wspaniałe. Absolutnie wspaniałe.

- Chyba już się położę, Philipie.

Wreszcie otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

- Zasługuje pani na odpoczynek, moja droga. - Wstał, ale nie wypuścił z rąk ani cygara, ani kieliszka.

Gdy tak stali, Constance zauważyła ich odbicie w oprawnym w złote ramy lustrze, wiszącym nad kominkiem. Widoczne były tylko popiersia, ale nawet przy tym ograniczeniu jej olśniewająca suknia stanowiła bardzo ostry kontrast dla beznamietnego wyrazu twarzy. A Philip wpatrywał się w kieliszek brandy i stanowił wzorcowy przykład bywalca eleganckich klubów.

Wszystko było nie tak jak trzeba. Nie tylko stroje, w których brakowało harmonii. Nie, chodziło o coś więcej. Philip pochylił się, by cmoknąć ją w policzek, i wtedy ich twarze ukazały się w lustrze obok siebie.

Między nimi nic nie było. Nie przeskoczyła iskra, która znaczyłaby: „Ci dwoje należą do siebie”. Nie połączyła ich niewidzialna więź. Philip nie patrzył jej w oczy, nie czuł się naprawdę razem z nią nawet w chwili, gdy musnął wargami jej policzek.

- Dobranoc, moja droga. - Zanim jeszcze Constance wyszła z pokoju, już siedział z powrotem na krześle.

Gdy zerknęła kątem oka od drzwi, zobaczyła, że dolewa sobie brandy i znów przymyka oczy. Niewątpliwie dalej marzył o swej przyszłej chwale.

Idąc po schodach, zastanawiała się, dlaczego ona nie może, a co ważniejsze, nie chce zastanawiać się nad przyszłością.

Do diabła! - syknął Joseph.

Znowu nie udał mu się eksperyment.

Oczywiście wyobraźni bez przerwy widział Constance, w ogóle nie mógł skupić się na pracy. Przez to wylał niechcący ostatnią próbkę z Balmoral. A bez niej cała seria doświadczeń była na nic.

Znużonym ruchem przetarł oczy. Sen go ostatnio omijał, jego, Josepha Smitha, który zawsze umiał zasnąć, nawet na stojąco. Raz czy dwa ta umiejętność mu się przydała. Krótko mówiąc, ze snem nigdy nie miał kłopotów.

Dopóki nie spotkał Constance Lloyd.

- Nie - powiedział. - Nie wolno mi do tego dopuścić.

Nawet Abigail tak go nie oczarowała. Abigail była bardziej marzeniem, wizją, jaką sam stworzył w swojej wyobraźni. Czasem dziwił się, że zderzenie marzeń, które pielęgnował przez długie okresy ich rozstania, z rzeczywistością było tak gwałtowne.

Ale Constance Lloyd nie potrafiłby stworzyć w wyobraźni nawet człowiek obdarzony niezwykłą siłą fantazji. Już samo jej imię, pochwała stałości, było zarazem zaprzeczeniem faktów i należnym hołdem, bo w rzeczywistości stała była w tej kobiecie jedynie zdolność zaskakiwania i budzenia zachwyty.

Właśnie tym Constance ujęła Josepha podczas ich krótkiej znajomości. Gdy spuszczał powieki, wciąż ją widział, przypominały mu się spędzone z nią chwile, jej uśmiech, twarz zwrócona w dal, niebieskie oczy, przenikliwe i przejrzyste, mrugające w odpowiedzi na jego słowa.

Przypominał mu się też głos Constance, jej cięte uwagi i dobroduszne żarciki. Nie było w niej nic sztucznego, udanego, nie było śladów wielogodzinnego ćwiczenia sztuki konwersacji. Mówiła to, co myślała, choć, na swoje nieszczęście, nie zawsze potrafiła przewidzieć, co z tego wyniknie.

Krótko mówiąc, była zachwycająca.

Była też narzeczoną Philipa, darem losu, który przyjaciel dostał zbyt łatwo, by go odrzucić.

Małżeństwo z Philipem oznaczało jednakże klęskę dla Constance.

Nie zniszczyłoby jej w melodramatycznym sensie, jak w tanich powieściach, lecz zabiłoby jej świeżość i spontaniczność. Po roku mieszkania w Hastings House i trzystu sześćdziesięciu nudnych wieczorach z księżną straciłaby te cechy bezpowrotnie. Prawie to widział. Dishy siedzi na swoim krześle, Philip czyta starą londyńską gazetę, a Constance wychodzi z siebie, żeby nie zwariować.

Druga możliwość była jeszcze gorsza. Constance groziło wejście do kręgu towarzyskiego otaczającego księcia Walii. Składał się on z arystokratycznych nudziarzy, wyćwiczonych do perfekcji w sztuce niemyślenia, nauczonych trzymać się z dala od książek i sztuki oraz wszystkiego, co mogłoby zagrozić wyspie, na jakiej żyli.

Constance była naprawdę bystra i obdarzona poczuciem humoru, daleka od błazeństw jarmarcznych wesołków. Co pomyślałaby o zabijaniu nudy wojną na syfony albo zjeżdżaniem na tacy ze schodów Marlborough House? Najbardziej jednak niepokoiła Josepha myśl o Constance wziętej na języki. Gdyby nie potrafiła dorównać jadowitością najbardziej zawziętym plotkarom z towarzystwa, zniszczono by ją z tych samych powodów, z jakich powinno się ją podziwiać.

Philip nie miał pojęcia, jaki skarb ofiarował mu los.

Joseph lekko się uśmiechnął, bo oczyma duszy znów zobaczył twarz Constance. Potem, koncentrując się znacznie bardziej niż zwykle, wrócił do pracy.

6

Dni Constance miały nużąco do siebie podobne. I codziennie czas od pierwszego, spożywanego w milczeniu posiłku porannego włókł się jej coraz bardziej, im bliżej było do jedenastej wieczorem, obowiązkowej godziny udania się na spoczynek. Któregoś razu Constance uciekła się nawet do przesunięcia po kolacji wskazówek zegara na kominku w czerwonym salonie, żeby przyspieszyć koniec dnia. Philip widział to, siedział bowiem i udawał, że czyta książkę, ale gdy zegar wydzwonił jedenastą, nie odezwał się ani słowem. Również wicehrabia Cavendish przyglądał się jej, jak w milczeniu otwiera szafkę i przesuwając wskazówki, lecz i on nic nie powiedział na ten temat. Tylko ich matka nie miała pojęcia, że mnóstwo czasu bezpowrotnie się zmarnuje wyłącznie z powodu niecierpliwości Constance, która chce iść do siebie i zostać sam na sam ze swoimi myślami.

Księżna nigdy nie wspominała pierwszego wieczoru Constance w Hastings, chociaż znaczący był sam fakt, iż to powitalne przyjęcie było zarazem ostatnią okazją, gdy do Hastings House zaproszono gości. Starsza pani traktowała przyszłą synową z pełnym godności dystansem, nigdy przyjaźnie, choć także nigdy wrogo. Odnosiła się do niej raczej obojętnie, co wprawdzie nie stanowiło ideału, lecz było do zniesienia.

Philip był gościem w domu i zawsze spieszył się na następny wiec lub mityng, wciąż ćwiczył mowy, które kupował u swego przyjaciela Mortimera. Constance uważała, że kampania wyborcza narzeczonego przebiega dobrze, chociaż nie opowiadał jej o tym wiele. Prosił ją natomiast o różne anegdoty, które mógłby wpleść do swoich wystąpień. Gdy jakaś jej uwaga wydała mu się wyjątkowo cięta albo przynajmniej zręczna, natychmiast ją notował, żeby przekazać potem Mortimerowi.

Co zaś do wicehrabiego Cavendish, Constance była dla niego prawie niewidoczna. Dishy - ten przydomek nigdy nie chciał jej przejść przez gardło, sugerował bowiem szczyptę wesołości i humoru, których, jak dotąd, Constance nie była w stanie u przyszłego szwagra wykryć - patrzył na nią z drugiej strony stołu przy śniadaniu, obiedzie, kolacji, z drugiego końca salonu podczas popołudniowej herbatki, ale nigdy się do niej nie odzywał. Nigdy nie dał znaku, że zauważa jej istnienie. Nawet kiedy się zdawało, że na nią patrzy, sprawiał takie wrażenie, jakby miał przed sobą kogoś przezroczystego, podobnie jak człowiek głęboko zamyślony skupia wzrok na określonym przedmiocie, lecz nie zdaje sobie sprawy z jego natury.

Księżna, jeśli rozmawiała z Constance, to wydawała jej polecenia lub przekazywała informacje. Nie stwarzała już pozorów dialogu. Constance miała zważać na wszystko, co starsza pani mówi, ale robić to w milczeniu.

„Członek rodziny para, popijając herbatę, zawsze kieruje mały palec dłoni trzymającej filiżankę na zewnątrz, o tak. Inaczej jest pospolicie”.

„Damę zawsze poznaje się po jej postawie. Prawdziwy arystokrata nigdy się nie garbi”.

„Nigdy, moja panno, nie niżaj się do indywidualnego traktowania służby. Zwracaj się do nich tak, jak należy zgodnie z ich pozycją. Oni nie oczekują, że będziesz mówić do nich po imieniu i, w gruncie rzeczy, nie będą cię szanować, jeśli zadasz sobie trud nauczenia się ich imion”.

Constance słuchała tego wszystkiego z uprzejmym zainteresowaniem, w myślach krytykując księżną przy prawie każdej uwadze. Mały palec odpowiednio ustawiony przy piciu herbaty? Dla niej było to sprowadzanie manier do absurdu, niewątpliwie wskazujące, że osoba pijąca herbatę jest bardziej zainteresowana stworzeniem złudzenia tresury, a nie dobrym wychowaniem. Arystokrata nigdy się nie garbi? A co z lordami i damami, których widywało się na spotkaniach podczas sezonu towarzyskiego w Cowes, by nie wspominać książąt i księżniczek, którzy bez przerwy garbili się spacerując, tańcząc, pływając jachtem? I nigdy, przenigdy nie należy zwracać się do służby po imieniu.

- Stello, czy widziałaś mój lewy niebieski pantofelek? - zawołała Constance i poddałszy suknię, opadła na kolana, by zajrzeć pod łóżko.

Młoda dziewczyna zjawiła się natychmiast. Na jej okrągłej, rumianej twarzy gościł uśmiech. Stella była niemal komiczna jako wzór wiejskiej dziewczyny, która została udomowiona. Była wesoła z natury, wychodziła z siebie, żeby zadowolić innych, a poza tym coraz bardziej krytycznie oceniała wewnętrzne stosunki w Hastings House.

- Niebieski pantofelek, proszę pani? - Wsparła się pod biodra.

- A co pani robi na czworakach w nowej niebieskiej sukni?

Constance chciała podnieść głowę i uderzyła nią w nogę łóżka. Wzdrygnęła się, jej pokojowa również.

- Nie mogę znaleźć pantofelka od pary - wyznała Constance, rozcierając bolące miejsce na głowie.

Stella bez wahania przeszła na drugi koniec pokoju i wydobyła brakujący pantofelek spod toaletki. Bez słowa podała go swojej pani.

- Dziękuję, Stello. - Constance uśmiechnęła się. - Jak wygląda ta suknia? To jeszcze jedna z tych, które ostatnio zamówiła księżna. Jej się chyba zdaje, że wkrótce zasypią nas zaproszenia.

- Oj, tak, proszę pani. Słyszałam, jak sam lord Hastings mówił, że, według jego przyjaciela, pana Mortimera, którego przyjaciel z kolei pracuje w tym okropnym magazynie „Punch”, cały Londyn jest pani bardzo ciekaw. Wszyscy chcą panią poznać.

- Dlaczego, na miłość boską, wszyscy chcą poznać guwernantkę? Większość tych ludzi sama zatrudnia guwernantki, a założę się o unijnego dolara, że nie zwracają na nie najmniejszej uwagi. Lepiej zrobiliby więc, gdyby siedzieli w domach i dalej nie zauważali swoich guwernantek, niż starali się poznać nową, żeby też jej nie zauważać.

- Pani tego nie rozumie, prawda?

- Szczerze mówiąc, Stello, nie.

- Widzi pani, ci wszyscy lordowie i te damy są do siebie przyzwyczajeni. Wyglądają jak dorośli, ale to są tylko duże dzieci, które wzięły ze sobą śluby. Wszyscy ci, których spotyka

się w tych kręgach, bawili się ze sobą w pokojach dziecięcych, tak samo jak ich matki i ojcowie.

- I jak dzieci cieszą się, kiedy od czasu do czasu zdarzy się coś nowego?

- Właśnie, proszę pani! - Stella zniżyła głos. - Ale tak naprawdę są bardziej podobni do dzieci, którym poprzestawiało się w głowie. Czy widziała pani kiedyś, jakie szczeniaki mają pies i suka z tego samego miotu?

Constance wolno pokręciła głową.

- Chyba nie.

- To straszny widok. Czasem szczeniaki mają tylko jedno oko, czasem mają za dużo nóg albo za mało. Jeden taki biedaczek, którego widziałam, tylko siedział i tak smutno patrzył. Nie chciał nic jeść i zaraz zdechł. A myśli pani, że wśród tych elegantów nie widziałam tego samego?

- Innymi słowy, arystokracja kojarzy się między sobą - szepnęła Constance.

- Właśnie, proszę pani!

- A ja jestem mieszańcem z zewnątrz, więc dlatego wiążą ze mną nadzieje?

- To już pani wszystko rozumie. - Stella cofnęła się i spojrzała tak, jakby widziała Constance pierwszy raz, po czym powiedziała ściszym głosem, prawie z nabożnym szacunkiem: - Ale pani jest śliczna.

- Dziękuję ci, Stello. Wiesz, księżna jest doprawdy bardzo dobra, że daje mi te wszystkie suknie i udziela rad, które, jej zdaniem, są mi potrzebne.

- Nie wiem, proszę pani, czy to ma coś wspólnego z dobrocią?

- Słucham?

- Księżna robi to dla siebie i swojego syna. Ona się pani boi. Wie, że jej syn pani potrzebuje, bo jego ojciec i ona nie są najlepszego pochodzenia, jeśli pani wie, co mam na myśli. Dlatego, dopóki księżna pani potrzebuje, będzie dobra. Nie skrzywdzi kury, która znosi złote jaja.

- Rozumiem. - Constance stanęła przed owalnym lustrem i sama przeżyła chwilę zdumienia. Dzięki niebieskiej sukni z atlasu, z pięknie plisowaną spódnicą i stanikiem bynajmniej nie zapinanym pod szyję, w niczym nie przypominała guwernantki.

Przez głowę przemknęła jej myśl o Josephie. Gdyby tak mógł ją zobaczyć...

Skąd się wzięła taka zabłąkana myśl? Jaki to ciemny kącik wyobraźni dalej podsuwał jej sny na jawie, mimo że znalazła się nagle pośrodku cudem urzeczywistnionej bajki?

- Czy zejdzie pani wkrótce na herbatę?

- Zaraz tam będę. Dziękuję, Stello. Pokojowa skłoniła głowę, dygnęła i wyszła.

Joseph... Prawdopodobnie był jeszcze w Szkocji. Zresztą teraz nie miało to żadnego znaczenia.

Constance wyszła z pokoju i ruszyła w stronę czerwonego salonu, gdzie podawano herbatę.

Cóż to za mężczyzna ten Joseph Smith. I takie zwykłe nazwisko u tak niezwykłego człowieka.

Gdy szła korytarzami Hastings House, myśląc o Josephie, z ust wyrwał jej się mimowolny chichot. W wyobraźni znów odgrywała tamte sceny, przypominała sobie, jak chorował po ostrygach i jak podobały mu się jej pomysły i uwagi. Nigdy żaden mężczyzna nie wyraził jej tyle podziwu.

Ale Joseph uciszał też jej lęki, pomógł jej wyjść z opresji, która mogła się tragicznie skończyć. I był dla niej tak miły, tak wyrozumiały, że napad wspominała prawie z przyjemnością.

Z przyjemnością, lecz również z poczuciem upokorzenia. Zachowała się niewyobrażalnie śmiało i jeszcze teraz czasem przypominała sobie jego dotyk albo dziwne spojrzenie i wiedziała, że za chwilę policzki zaleje jej rumieniec.

Zastanawiała się, czy Joseph w ogóle o niej myśli. A jeśli tak, to czy dobrze? Czy też się uśmiecha, gdy przypomina sobie przygodę, którą razem przeżyli? A przede wszystkim, czy zachował w pamięci tę noc, gdy trzymał ją tak blisko siebie w opuszczonej oberży, czy zachował w pamięci ciepło, którym się dzielili...

- Och, przepraszam! - Wpadła na kogoś z taką siłą, że aż odskoczyła do tyłu. I tak miała szczęście, ten ktoś leżał bowiem bezradnie na dywanie. - Najmocniej pana przepraszam!

Przewróciła kruchego, starszego pana z pasmami siwych włosów i twarzą tak wygoloną, że aż lśniącą. Wyciągnęła do niego rękę, on skorzystał z pomocy i wtedy zrozumiała, kogo ma przed sobą.

- Wasza wielmożność. - Skłoniła się głęboko. - Nie wiem, jak mam wyrazić przeprosiny. To moja wina, tylko i wyłącznie moja.

- Baniałuki, dziewczyno! Przede wszystkim nie powinienem był się pchać do tej części domu. To jest wbrew moim zasadom. A teraz pozwól, że cię dobrze obejrzę. Ty masz być żoną Philipa, prawda?

Starszy pan promieniował ciepłem i urokiem, więc Constance mimo woli odwzajemniła jego uśmiech. Oczy miał w niezwykle ciemnym odcieniu brązu, co zwracało uwagę, zwłaszcza w zestawieniu z siwiutkimi włosami. Brwi, krzaczaste i nierówne, poruszały się zabawnie w górę i w dół, w miarę jak książę mówił; przypominały Constance dwa królicze ogonki.

Szary strój księcia wydawał się w dużej mierze wzorowany na pruskim mundurze, aczkolwiek bliższe oględziny baretek i medali przekonywały, że są to jedynie mniej lub bardziej zabawne rysunki, przedstawiające jednorożce oraz narzędzia kuchenne i rolnicze.

- Ach, moje medale. Przyznała mi je moja wierna armia: ogrodnicy, kucharze i naturalnie trefnisie, którzy opiekują się zwierzętami. Jestem bardzo dumny z tych odznaczeń, panno Lloyd.

- Wasza wielmożność zna moje nazwisko?

- Owszem. Wszystko mi o pani opowiedziano. Dokąd się wybierasz, dziewczyno? Zdaje się, że bardzo żwawo gdzieś podążałaś?

- Na herbatę z księżną - odrzekła starając się, by i to zabrzmiało radośnie.

Książę musiał jednak zauważyć jej lęk, bo zgiął się jak aktor pokazujący, że ciężar spadł mu na ramiona, i dopiero po chwili wyprostował ciało.

- Jeśli wolno mi pozwolić sobie na śmiałość, to może zechce pani wypić herbatę w moim towarzystwie? - spytał.

Wahała się tylko chwilę. Księżna na pewno będzie wściekła. A Philip zły. Młody wicehrabia też naturalnie okaże niezadowolony.

- Mam doskonałe masło i kanapki z serem - kusił książę. - Tam nie ma ani tego, ani tego. Tylko u mnie. Poza tym kucharka robi specjalnie dla mnie ciasto rumowo-rodzynekowe. Palce lizać. Oni też nie dostają z tego ciasta ani plasterka.

- Wasza wielmożność - skłoniła przed nim głowę - z radością przyjmuję zaproszenie na herbatę.

- Znakomicie! Chodźmy więc do mojej części tego pomnika złego smaku.

Przystanąła i parsknęła śmiechem.

- Myślisz, że nie wiem, moja droga? Ech, przecież większą część ostatnich trzydziestu pięciu lat spędziłem na unikaniu tego miejsca.

- To co wasza wielmożność robi teraz w korytarzu na piętrze? Naturalnie nie chcę być impertynencka i narzucać się z pytaniami.

- Och, nie ma o tym mowy! Pytanie było jak najbardziej logiczne. Prawdę mówiąc, od lat nie słyszałem czegoś równie sensownego od mieszkańców tego domu. Badałem księgi.

- W bibliotece?

- Nie, nie, moja droga, chociaż tam też często zachodzę pożyczyć kilka książek. Nikt za nimi nie tęskni. Moi synowie i ich matka nie należą do zapalonych czytelników, z pewnością już to pani zauważyła.

Uśmiechnęła się i wsparła na ramieniu księcia.

- Nie, po prostu sprawdzałem, czy sytuacja finansowa na górze jest taka, jak powinna. Prowadzę większą część spraw tego majątku, rzecz jasna z dołu. Czasem księżna przekroczy budżet albo jeden z chłopców zainwestuje zbyt dużo w konie, wtedy muszę wkroczyć i opanować sytuację. Uwaga, skręcamy w lewo.

Często mijają te drzwi, ale ponieważ zawsze były zamknięte, a ozdobne płaskorzeźby zakrywały całą ich powierzchnię, jakby je maskowały, Constance uznała, że mieści się tam schowek na szmaty i miotły. Tymczasem za drzwiami zaczynało się dobrze oświetlone przejście. Marmurowe schody ze zgrabną mosiężną poręczą prowadziły w dół.

- Uważaj, nie potknij się. O, doskonale. Tędy.

Minąwszy dwa podesty, otworzyli następne drzwi. Za nimi ciągnął się najbardziej imponujący korytarz, jaki Constance kiedykolwiek widziała.

Wystrój miał prosty. Ściany w pięknym, ciemnym odcieniu zieleni były zawieszane wybitnymi dziełami sztuki, zarówno współczesnymi, jak mającymi za sobą stulecia, chodnik natomiast stanowił świadectwo niepowtarzalnego kunsztu perskich tkaczy, harmonijnie łącząc w sobie zieleń, czerwień i błękit. Oświetlenie stanowiły mosiężne kinkiety, niezbyt ozdobne, lecz z klasycznymi krzywiznami. Podobne Constance widziała kiedyś na plantacji w Petersburgu, jeszcze w Wirginii.

W korytarzu pachniało woskiem; przypomniała sobie ten zapach z dzieciństwa. Matka zawsze kazała polerować woskiem meble i podłogi.

Mimo to wrażenie było dziwne. Minęła dość długa chwila, nim Constance zorientowała się, czego jej tu brakuje.

Książę jakby czytał w jej myślach, bo odpowiedział na nie zadane pytanie.

- Tu, na dole, niestety nie ma dziennego światła. Jesteśmy pod ziemią, moja droga, więc jego brak mi doskwiera. Ale to jedyny brak, jaki odczuwam. Poza tym mam nadzieję, że będziesz mnie często odwiedzać, wtedy robi się tu słonecznie. O, jesteśmy na miejscu.

Znaleźli się w salonie, który, mimo iż niewątpliwie urządził go mężczyzna, był najbardziej przytulnym pokojem, jaki Constance знаła. Bezużyteczne bibeloty nie zajmowały każdego centymetra przestrzeni, pozostawało więc mnóstwo miejsca na fotografie, rysunki i obrazy,

przedstawiające ludzi i miejsca. Szczególnie spodobał jej się olejny portret psa, bardzo szlachetnego retrievera.

- Poczciwy pysk Samsona wydaje mi się o wiele bardziej krzepiący niż te portrety na górze. Widzę w nim rysy uczciwości, odwagi i przyjaźni.

- A na górze, sir?

Uśmiechnął się, a Constance wydało się, że twarz starszego pana promienieje światłem, emanującym z wewnątrz.

- Lepiej nie mówić.

Potem uwagę Constance zwrócił portret pięknej młodej kobiety. Autor doskonale uchwycił istotę jej urody: oczy, które zdawały się jednocześnie żarzyć i oskarżać. To połączenie wydało się Constance fascynujące.

- Ach, to jest Viola.

- Viola? Jakaś krewna? Jest przeurocza.

- Nie słyszałaś o niej? To dziwne. Viola ma poślubić mojego starszego syna.

- Dishy'ego?

- Tak. - Księżę przytaknął. - To bardzo dziwna sprawa, jeśli chcesz znać moje zdanie. Zawsze myślałem, że Violę poślubi Philip. Jako dzieci oboje strasznie łobuzowali i bez przerwy skakali sobie do gardeł.

Constance przypomniała się nagle Stella, mówiąca o arystokratkach, którzy razem bawią się w dzieciństwie. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić tej jasnowłosej piękności, jak łobuzuje, chociaż błysk inteligencji w jej oczach zdradzał, że może mieć więcej wigoru, niż pozwala na to obowiązująca moda. Ale nawet jeśli kiedyś rzeczywiście skakała rówieśnikom do gardeł, to trudno byłoby sobie wyobrazić, że teraz samotny mężczyzna mógłby mieć coś przeciwko temu, by to na nim skupiła uwagę.

Rozległo się ciche pukanie i drzwi się otworzyły. Pokojowa, której Constance jeszcze nie widziała, wtoczyła do salonu wózek z poczęstunkiem.

- Proszę, wasza wielmożność. Od tego powinno przybyć trochę ciała na tych kościach.

- Dziękuję, pani Hutchinson. Czy możemy dostać jeszcze jedną filiżankę? Goszczę dzisiaj moją przyszłą synową.

- Przewidziałam to, wasza wielmożność. Przywiozłam dodatkowe porcje wszystkiego, herbaty, kanapek i nawet tego ciasta, które wasza wielmożność tak lubi. Mam nadzieję, że i pani będzie smakowało, panno Lloyd.

- Dziękuję, pani Hutchinson. Jest pani doprawdy wspaniała.

- Tak właśnie mawiał niedawno mój zmarły mąż, wasza wielmożność. - Dygnęła i zostawiła ich samych.

Księżę z zadziwiającą zręcznością nalał Constance herbatę i nałożył jedzenie na talerzyk, nie pozwalając jej wstać z miejsca.

Przy herbacie wdali się w bardzo interesującą rozmowę o książkach i ideach, począwszy od poglądów Ruskina na edukację, poprzez Dickensa i postaci z jego powieści, po Amerykę Marka Twaina. Księżę zadawał jej inteligentne, zgrabnie sformułowane pytania dotyczące wojny domowej, a potem wyraził współczucie z powodu straty rodziny i pozycji.

- Musiało być ci bardzo ciężko, moja droga. Dzielna jesteś, że miałaś tyle odwagi, by zostać świetną guwernantką. Mogę tylko mieć nadzieję, że mój syn da ci szczęście, na jakie

zasługujesz. - Mówiąc, przyglądał jej się znad krawędzi filiżanki, a jednocześnie trochę nadgorliwie zajmował się kromką razowego chleba z masłem.

Przełknęła łyk herbaty i podziękowała za miłe słowa. Uświadomiła sobie bowiem, że książę jest pierwszym mieszkańcem tego domu, który rozmawia z nią normalnie i traktuje ją nie tylko jak potencjalną ozdobę.

Philip musiał mu o niej opowiedzieć. Bo inaczej, skąd by książę wiedział?

Wreszcie przyszedł czas zakończyć wizytę.

- Było mi bardzo przyjemnie, sir - powiedziała zgodnie z prawdą.

- Mnie też, moja droga. - Ujął jej ręce w swe wysuszone dłonie. - Proszę, odwiedzaj mnie tu częściej.

- Chętnie, wasza wielmożność. To były moje najprzyjemniejsze chwile w Hastings House.

Książę uśmiechnął się i odprowadził ją do drzwi.

- Ona nie zawsze była taka jak teraz - powiedział, spoglądając gdzieś za jej plecy.

- Księżna?

- Tak. Kiedy ją poznałem, była uroczą, życzliwą i delikatną dziewczyną. Naturalnie moi rodzice wpadli w wielki gniew, kiedy się pobraliśmy. Ponieważ jednak według starszeństwa byłem trzecim synem, nikt nie przypuszczał, że mogę kiedykolwiek zostać księciem. Ale zostałem i to wtedy ona się zmieniła. Zupełnie jakby te wszystkie tytuły i posiadłości ziemskie odebrały jej radość życia. Teraz trzymamy się od siebie jak najdalej.

- Szkoda - powiedziała Constance.

- Tak. Nie chciałbym, żeby jeszcze komuś się to przytrafiło, zwłaszcza w mojej rodzinie. Aha, panno Lloyd - dodał, jakby nagle coś sobie przypomniał. - Gratuluję bystrości tam, na trakcie, kiedy napadli was zbójcy.

- Słucham?

- Wiem wszystko o pani błyskotliwym pomysle. Uratowała pani nie tylko swoje życie, lecz również najprawdopodobniej życie innych niedoszłych ofiar. Jestem pod wielkim wrażeniem, moja droga. Nie wiem, czy sam Wellington w tych okolicznościach wymyśliłby coś lepszego. Znakomicie sobie poradziłaś.

Stała zaskoczona. Aż jej się zakręciło w głowie.

- Jak... kto... kiedy...

- Naturalnie Joseph Smith. Napisał do mnie długi list, w całości poświęcony pani, panno Lloyd. I powiem jeszcze, że, moim zdaniem, każdy człowiek, czy to mężczyzna, czy kobieta, który potrafi wyrzucić takie wrażenie na Josephie, zasługuje na szlachectwo. Do widzenia, panno Lloyd.

Bardzo zmieszana wróciła z podziemnej jaskini księcia do krzykliwego zamętu panującego na górze.

Była w swoim pokoju i ubierała się do kolacji, myśląc o tym, jak nieznośny będzie ten posiłek po miłym popołudniu spędzonym z księciem, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść, Stello. Czy sądzisz...

Drzwi się otworzyły i do środka wkroczyła księżna. Na dole, w pokojach bardziej dostosowanych do jej postury, niepodzielnie królowała, w skromnym pokoiku Constance wszystkie kąty i sprzęty wydawały się w jej obecności takie, jakby zaprojektowano je dla krasnoludków.

- Wasza wielmożność. - Czyżby księżna była zła z powodu herbaty, którą Constance wypila z księciem? A może zgniewało ją, że przyszła synowa ma czelność pospolitować się ze służącą, mówiąc do niej po imieniu. Krótko mówiąc, czy księżna przyszła za coś ją zbesztać?

Wszystko wydawało się możliwe. Wszystko tylko nie to, co nastąpiło.

- Moja droga, droga dziewczyna! - wykrzyknęła księżna. Dopiero wtedy Constance, coraz bardziej spłoszona, uświadomiła sobie, że starsza pani ma w oczach łzy, wielkie jak grochy.

- Moja droga, wspaniała dziewczyna! - I wtedy księżna objęła Constance.

Kiedyś Constance słyszała opowieść o człowieku zaduszonym na śmierć przez niedźwiedzia grizzly. Wstrząśnięta, zastanawiała się teraz, czy tak właśnie to wyglądało. Naturalnie niedźwiedź nie nosił brylantów wielkości śliwek, o krawędziach ostrych jak noże. Przez chwilę Constance bała się, że przyszła jej ostatnia godzina. Ale gdy świat zaczął się niebezpiecznie kołysać, księżna ją puściła.

- Udało ci się, dziewczyno! - Dopiero wtedy Constance uświadomiła sobie, że starsza pani wymachuje kremową kartką. - Jeszcze nawet nie ustaliliśmy daty ślubu, a już ci się udało!

- Co mi się udało? - Czy powinna przeprosić? Udać, że nie wie o niczym, co mogło spowodować takie zachowanie księżnej?

- Książę! Właśnie dostaliście z Philipem zaproszenie do Sandringham! Przez cały weekend będziecie gośćmi księcia i księżnej Walii! Jesteś tam, moja droga! Wszyscy jesteśmy! Muszę natychmiast wysłać gońca do lady Trendome. Wyobrażam sobie, w jaką wpadnie złość!

- A co z Philipem i jego kampanią? Czy nie powinien zostać tutaj i zjednywać sobie wyborców? Do wyborów zostało już niewiele czasu.

- Wielkie nieba, skądże?! Zaproszenie do Sandringham załatwi więcej niż rok wygłaszania mów i całowania przyszczatych dzieci. Zaproszenie do Sandringham! Książę może jeszcze nie być królem Anglii, ale bez wątplenia jest królem życia towarzyskiego. Zaproszenie!

Z tymi słowami księżna obróciła się na pięcie do drzwi. Najpierw jednak przesłała Constance jeszcze jeden uśmiech, który na jej twarzy wyglądał niemiło i zupełnie do niej nie pasował. Tak jakby koń pociągowy nagle zaczął śpiewać.

- Musisz dostać lepszy pokój, moja droga! Dzisiaj uczymy to wydarzenie, a potem przeniesiemy cię do złotego pokoju!

Constance zrobiła wszystko, co było w jej mocy, by odwzajemnić uśmiech. W głębi duszy miała jednak przygnębiające wrażenie, że o wiele, wiele lepsze było ignorowanie przez księżną niż nagłe znalezienie się w ośrodku jej wszechświata.

7

Sandringham było wielką rezydencją z kamienia i cegły, miało dużo dwuspadowych daszków i kosztowne okna. Robiło ogromne wrażenie. Podobnie jak wiele wiejskich posiadłości, wykazywało sporą niejednorodność stylistyczną. W tym przypadku architektura Tudorów i georgiańska zdominowały gotyką i klasycystyczną. Philip skwapliwie zwrócił jednak uwagę Constance, że rezydencja księcia Walii jest znacznie mniejsza i mniej urozmaicona architektonicznie niż Hastings House. Wyraźnie czerpał z tego faktu niezwykle satysfakcję.

Rezydencję księcia Walii dostał w prezencie na dwudzieste pierwsze urodziny. Wbrew zamierzeniu księcia małżonka Alberta, nie stała się jednak twierdzą cnoty młodego księcia, a potem również jego żony ani azylem, położonym w dobroczynnym wiejskim klimacie, lecz zamieniła się w jeszcze jedno miejsce rozrywek bywalców Marlborough House. Na zdrowy tryb życia w Sandringham patrzono niechętnie, dodatkową zaletą tej posiadłości zaś było jej

geograficzne oddalenie od Londynu. Z tego bowiem powodu wiadomości o wszelkich niecnym bądź moralnie wątpliwych postępkach jej mieszkańców docierały do uszu królowej z opóźnieniem.

Krótko mówiąc, Sandringham bardzo przypominało londyńską rezydencję Marlborough House, tyle że było tam znacznie więcej broni palnej i zwierzyny dla myśliwych.

Constance i Stella, awansowana na pokojową lady, siedziały razem na jednym siedzeniu powozu, naprzeciwko Philipa i jego pokojowca, Owena. Constance nie wiedziała, czy Owen to imię, czy nazwisko, ale Philipa takie pytania nie nurtowały.

- O to chodziło, Constance - powiedział Philip zadziwiająco bezbarwnym głosem. - W tym tygodniu oficjalnie wejdziemy do najelegantszego towarzystwa w Anglii. Od tej pory jesteśmy elitą. - Potem uśmiechnął się, jakby nagle przyszło mu do głowy, że powinien to zrobić,

Constance usiłowała zarazić się od narzeczonego choćby szczyptą entuzjazmu, ale była na to zbyt zmęczona. Przez cały tydzień poprzedzający podróż do Sandringham księżna pilnowała wielkiego szycia, którym zajmowały się trzy krawcowe, sprowadzone specjalnie z Londynu, i siedem innych, które tylko pomagały. Główna mistrzyni igły, madame Vendome, miała bardzo dezorientujący nawyk niespodziewanego faszzerowania wypowiedzi francuską wymową, jak wtedy gdy poprosiła o „skhawek tej cholehnej bhukselskiej kohonki”.

Podczas gdy Constance była poddawana nie kończącym się miarom i przymiarkom sukien do śniadania, sukien wieczorowych, sukien balowych, peniuarów, tweedowych kostiumów spacerowych, kostiumów do jazdy konnej (przed zamówieniem tego ostatniego księżna spytała nieufnie: „Umiesz jeździć konno, prawda?”), księżna bombardowała ją informacjami o rodowodach i słabostkach parów, którzy zapewne będą gośćmi w Sandringham. Słyszając pomówienia, które pochodziły w najlepszym razie z trzeciej ręki, Constance nieraz miała ochotę zawołać: A kogo to obchodzi! Czy naprawdę miało jakiegokolwiek znaczenie, że lord taki-a-taki całkiem jawnie romansuje z byłą kochanką księcia Walii, niegdyś pracownicą kręgielni, znaną pod przydomkiem Kręgielek? Albo że lady jak-jej-tam spakowała kiedyś manatki i czekała pod malowniczym mostkiem w Hyde Parku na australijskiego hrabiego, z którym miała wyjechać, lecz niestety przekonała się, że ta propozycja była jedynie karą, którą nałożono na hrabiego w klubie za przegranie brydżowego robra?

Constance nijak nie mogła zrozumieć powodu, dla którego miałyby poznać te wszystkie dość żałosne przyczynki do wiedzy o ludzkiej niedoskonałości.

Gdy wreszcie nastął dzień wyjazdu, w jej pokoju zjawiła się służąca z dolnej części domu, niosąc małe cynowe wiaderko, zawierające coś, co wyglądało jak lunch, starannie opakowany w szary papier.

- Od jego wielmożności, proszę pani - powiedziała, dygając. - Jego wielmożność życzy pani wszystkiego dobrego i przesyła to w podarunku. Jego zdaniem, mając pod ręką dobry posiłek, człowiek jest przygotowany na wszystko. Dlatego osobiście zapakował tu kanapki z serem i ciasteczka z rodzynekami.

Constance roześmiała się pierwszy raz od wielu dni. Roześmiała się ze zmęczenia, z bezsensu takiego podarunku, a wreszcie dlatego, że stary książę jeszcze raz okazał jej dobroć i najszersze przyjazne uczucia.

Księżna aż uniosła brwi ze zdziwienia, gdy stwierdziła, że Constance wyrusza do Sandringham z czterema starannie zapakowanymi kuframi, osobistą służącą, aksamitną

torebką, ma kapelusz z woalką i elegancki zielony kostium podróżny, a do tego trzyma w ręce cynowe wiaderko.

Podróż do Sandringham, najpierw koleją, potem powozem, przebiegła zaskakująco szybko. Po niewielu godzinach osiągnęli królewskie progi.

Przy frontowym wejściu, do którego prowadziły schody osłonięte markizą z falistymi brzegami, stało dwóch szkockich górali, chłopów na schwał z nogami jak pnie drzew, widocznymi spod grubych wełnianych kiltów. Stali tam, by witać gości, pomóc w wyładunku bagaży i wskazać drogę do środka. Constance miała wrażenie, że w razie potrzeby byłiby w stanie zarzucić na ramię fortepian albo barana.

Ponieważ Philip i Constance nie byli małżeństwem, lecz jedynie narzeczonymi, przeznaczono dla nich pokoje w różnych skrzydłach. Myśl o Philipie mniej lub bardziej bez odzienia, acz mglista, była dla Constance bardzo niepokojąca, po prostu dlatego, że trudno jej było wyobrazić sobie narzeczonego nie ogarniętego i nie wymuskanego.

Przed rezydencją zajeżdżały inne powozy. Wszystkie walczyły o jak najlepszą pozycję, a goście wytrwale czekali z wysiadaniem, póki nie udało im się zwrócić na siebie niepodzielnej uwagi przynajmniej jednego ze Szkotów, a najlepiej obu. Damy pozdrowiały się skinieniem głów, a długie pióra na ich kapeluszach chyliły się, jak w rytualnym ptasim powitaniu. Niektóre uśmiechały się, przez chwilę spoglądając sobie w oczy. Ale dopiero później, gdy służące rozpakują kufry, a damy przebiorą się w najnowsze suknie i wbiją w najciaśniejsze zasnurowane gorsety, miał przyjść czas na pogłębianie znajomości.

Mężczyźni witali się serdecznymi uściskami dłoni i nieszczerym śmiechem, towarzyszącym pytaniom o ostatnie trofea wędkarskie i najlepsze stanowiska do zasadzenia się na bażanty lub kaczki. Również dla panów prawdziwy weekend miał się zacząć dopiero wieczorem, w kłębach tytoniowego dymu, przy bilardzie, z kieliszkiem brandy w dłoni.

Za to całkiem szczerze i poważnie toczono rozgrywki towarzyskie, na wyścigi starając się zająć miejsce, w którym można zwrócić uwagę księcia lub księżnej, albo ostentacyjnie ignorując któregoś z gości. Opuszczenie powozu stanowiło jedynie krótki prolog do przygód, które miały się wkrótce zacząć.

Constance wiedziała, że jest obserwowana. Czują się jak podczas walca w Cowes, gdy książę poprosił ją do tańca i nagle wszyscy się dowiedzieli, kim jest Constance Lloyd. Miała dokładnie to samo wrażenie, tym bardziej że powtarzały się twarze ludzi, którzy wtedy byli w balowych sukniach i frakach, a teraz mieli na sobie tweedowe kostiumy podróżne i taksowali ją z nie mniejszym zaciekawieniem.

Philip i Owen poszli w jedną stronę, prowadzeni przez lokaja w białych pończochach, który, jak podejrzewała Constance, miał powiększone łydki. Szczuplejsi, mniej krzepcy służący często poprawiali sobie linię nóg poduszkami z końskiego włosia. Było to tak samo powszechne, jak hojniejsze opłacanie tych służących, którzy mieli muskularne łydki i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Zdziwiło ją nieco, że mężczyźni służący w królewskich posiadłościach wciąż noszą atłasowe spodnie do kolan i białe pudrowane peruki. Czyżby rodzina królewska nie zwróciła uwagi na niemile skojarzenia z ubiegłym stuleciem, takie jak amerykańska wojna o niepodległość, a przede wszystkim rewolucja francuska?

Constance i Stellę zaprowadziła do ich pokojów uroczą, młodą kobietą, ubraną w niebieską suknię i biały koronkowy czepek. Wyglądało na to, że zakwaterowano je w domku

myśliwskim, wszędzie było bowiem pełno wypchanych ptaków, a ściany i wszystkie inne możliwe miejsca zajmowały fotografie rodziny i przyjaciół.

Constance bardzo spodobał się pokój, niewielka sypialnia, w której panowała bardziej domowa niż dworska atmosfera. Nagle wyczuła zapach czegoś znajomego i prawie zapomnianego, tak lekki i ulotny, że kto inny mógłby nie zwrócić na niego uwagi. Zanim jeszcze odbyła jego źródło, do oczu napłynęły jej łzy.

Dereń. Na dużej mahoniowej toalecie, przykrytej delikatną koronkową serwetą, w prostym białym wazonie stał duży bukiet gałązek derenia. Wydawszy cichy okrzyk, Constance upuściła torebkę, cynowe wiaderko i podeszła do bukietu; ten zapach był dla niej tylko wspomnieniem, odkąd przed dziesięcioma laty wyjechała z Wirginii.

Rozległo się pukanie do drzwi. Constance, wciąż mając zamknięte oczy i twarz ukrytą wśród kwiatów, ledwie zdołała powiedzieć:

- Proszę.

Dereń. Wyobraźnia podsunęła jej obraz matki, przycinającej drzewka przed domem, i ojca z gałązką derenia wpiętą w klapę.

- Panno Lloyd, jak się pani podoba pokój?

- Jest piękny - odszepnęła. I odwróciła się do osoby, którą wzięła za służącą.

W jej pokoju stała Aleksandra, księżna Walii. Constance z szacunkiem dygnęła.

- Wasza wysokość.

Ale księżna niecierpliwie machnęła ręką.

- Proszę się wyprostować, panno Lloyd. Czy ten pokój pani odpowiada?

Księżna była piękna, oczy miała w odcieniu bladoniebieskiego lodu, skórę delikatną i wypielęgowaną, złote loki spływały jej z czubka głowy, kilka niesfornych kosmyków zabłądziło nawet na czoło. Głos, mimo wyraźnego duńskiego akcentu, wskazywał na osobę, która z niemal dziecięcą szczerością pragnie sprawić przyjemność innym.

- Jest wspaniały, wasza wysokość. I kwiaty. Nie wahałam kwiatów derenia, odkąd byłam dzieckiem.

- Bardzo się cieszę! - Księżna klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się, odsłaniając równy rząd białych zębów. - Wiem, że pani jest z Wirginii, więc znalazłam cieplarnię w Londynie, gdzie mają kilka dereniowych drzewek. Obawiałam się, że nie zdążę na czas, ale akurat dziś rano je dostarczono.

- Bardzo dziękuję. Troskliwość waszej wysokości jest wprost niezwykła.

- Pani szczęśliwa mina wystarczy mi za podziękowanie! Pewnie pani wie, że nie jestem Angielką, lecz Dunką. Często mi się zdarza, że tęsknię do domu i do tego wszystkiego, co znałam jako dziewczynka. Kiedy usłyszałam, że przyjechała pani do Anglii w młodym wieku i nie ma pani rodziny, zrozumiałam, jak czasem musi się pani czuć. Mam nadzieję, że te kwiaty sprawiły pani radość, a nie przywiodły na myśl smutnych wspomnień.

- Och, wielką radość, wasza wysokość. Naprawdę.

Księżna uśmiechnęła się i podeszła do niej bliżej.

- Z okazji pierwszej wizyty muszę pani to i owo powiedzieć. Herbatę pijemy o piątej. Goście wciąż jeszcze wtedy przyjeżdżają, inni odpoczywają po podróży, więc spotkanie jest całkiem nieoficjalne. Panowie w tym czasie pewnie będą chcieli wytropić jakieś niewinne zwierzęta, które zastrzelą jutro rano. A kolację podajemy dokładnie o wpół do dziewiątej. Książę jest bardzo punktualny, ale ja nie, więc niektóre zegary w sieni, jak może pani zauważyła, spieszą

się o kwadrans. Mój poczciwy małżonek zawsze ma nadzieję, że te zegary jakoś mnie popędzą, ale z przykrością stwierdzam, że nic z tego nie wychodzi. W każdym razie zegar u pani w pokoju chodzi dobrze.

- Herbata o piątej, kolacja o wpół do dziewiątej - powtórzyła Constance. - Jeszcze raz dziękuję, wasza wysokość.

- Aha, panno Lloyd...

- Słucham, wasza wysokość?

- Jeśli chce pani coś zjeść - zniżyła głos - proszę się spieszyć. Nie mamy zwyczaju siedzieć przy stole po pięć godzin. Kolacja kończy się bardzo szybko, bo książe opróżnia talerz w czasie, gdy reszta gości ledwo zdąży sięgnąć po widelec. Więc jeśli jest pani głodna, proszę nie tracić czasu na rozmowę z dżentelmenem po prawej ani z damą z naprzeciwka, tylko jeść! A na razie może pani odpocząć. Jeśli będzie pani miała ochotę, spotkamy się na herbacie, panno Lloyd.

- Dziękuję, wasza wysokość - zdążyła powiedzieć Constance i już księżnej nie było.

Aleksandra chodziła, lekko utykając, co wraz z częściową głuchotą było ubocznym skutkiem gorączki reumatycznej, która przed kilkoma laty omal nie pozbawiła jej życia. Ale księżna nie pozwalała, by fizyczne ograniczenia przeszkadzały jej w wypełnianiu obowiązków towarzyskich. Constance usłyszała, jak księżna zatrzymuje się przy następnych drzwiach i pyta:

- Lady Collins? Czy ma pani wygodny pokój?

Zadziwiająco, pomyślała Constance, zerkając na gałązki derenia. Naprawdę zadziwiająco.

Spotkanie przy herbacie rzeczywiście miało bardzo nieformalny charakter, mimo że Constance wbiła się w obcisłą, kremowo-brunatną jedwabną suknię z kwadratowym dekoltem i włożyła do tego kolczyki, pożyczone od matki Philipa. Mimo obecności księżnej Walii, a może właśnie dzięki niej, było bardzo przyjemnie. Księżna nadawała ton towarzystwu dyskretnie i tak naturalnie, że tłumiała wszelką chęć rywalizacji między damami.

Przyszła lady Collins, sąsiadka Constance zza ściany, była obdarzona darem opowiadania i żywiołowym poczuciem humoru. Starsza od niej lady Trent, wydawała się tak rozemocjonowana obecnością w Sandringham, że bez przerwy się uśmiechała i usiłowała okazać zachwyty absolutnie wszystkim, od dżemu po podstawkę do serwetek. Sałatka z homara, podawana zawsze do herbaty na życzenie księcia, wprawiła ją niemal w ekstazę. Nazwiska innych dam Constance nie знаła.

W pewnej chwili do salonu weszła młoda kobieta, smukła blondynka z tak jasnymi włosami, że wydawały się aureolą nad jej głową. Szła z wyjątkową lekkością, zdawała się bardziej szybko niż stawiać kroki. Dyg, jaki wykonała przed księżną, był studium wdzięku. Kiedy blondynka zwróciła się do Constance, ta natychmiast zorientowała się, że ma przed sobą osobę przedstawioną na portrecie wiszącym w Hastings House.

- Viola, moja droga kuzynko! - zaczęła Abigail Merrymeade, elegancka młoda kobieta, żona starego markiza, jak wynikało z konwersacji. Lady Merrymeade miała urodę klasycznej angielskiej piękności, od jasnych włosów po ciemnobrązowe oczy. Nos, wąski i dość długi, był idealnie prosty. Niestety, zęby również odpowiadały klasycznemu angielskiemu wzorcowi, były lekko wystające i żółtawe jak wosk. Nie miało to jednak znaczenia. Lady Merrymeade wyraźnie nauczyła się uśmiechać jak najrzadziej i raczej nie mówić więcej niż pięć słów jednorazowo. Czy była to metoda na odwrócenie uwagi od zębów, czy naturalna

skłonność, nie miało to większego znaczenia, bo niewątpliwie lady Merrymeade odnosiła z tego korzyść.

Za to Viola wydała się Constance fascynująca. Constance przypomniała sobie uwagę księcia i musiała się zgodzić, że ta kobieta pasuje do Philipa. Była urocza i elegancka.

- Panna Lloyd? - Viola wyciągnęła do niej rękę. - Witam. Zdaje się, że będziemy spowinowacane. Jestem Viola Rathbottom, obecnie zaręczona z Dishym.

- Obecnie? - zdziwiła się Constance.

- Tak, jesteśmy zaręczeni już chyba czwarty raz. - Viola usiadła obok.

- Piąty - poprawiła ją Abigail Merrymeade. - Nie zapominaj o balu na Boże Narodzenie.

- Wielkie nieba, zawsze mi to wylatuje z głowy. Trudno, poprawka zrobiona. Dishy i ja jesteśmy zaręczeni piąty raz. Mam nadzieję, że tym razem uda nam się stanąć przed ołtarzem.

- Viola pochyliła się do Constance. - Niech mi pani powie, jak się pani podoba nasza przyszła teściowa.

- No, cóż - zaczęła ostrożnie Constance. - Jest dość przerażająca.

Viola uśmiechnęła się, a Constance zaczęła się zastanawiać, dlaczego artysta sportretował osobę, która ma taki ujmujący uśmiech, z poważną miną. Cała jej twarz promieniała.

- Przerażająca? To bardzo trafna charakterystyka - przyznała. - Znam ją całe życie, bo posiadłość mojej rodziny graniczy z ziemią Hastingsów. I Philipa też znam od dziecka.

- Czy Dishy też tu przyjedzie? Nie przypominam sobie, żeby księżna Ballsbridge wspominała o jego obecności w Sandringham.

- Nie. Widzi pani, Dishy ma dość dziwny stosunek do towarzystwa. Zdaje mi się, że taką wizytę potraktowałby jak coś zbliżonego do tortur. Bardzo w tym przypomina swojego ojca i dlatego księżna pokłada wielkie nadzieje w Philipie. A nasze zaręczyny nie są jeszcze oficjalnie ogłoszone, więc nie było potrzeby ciągnąć tu Dishy'ego.

Constance uznała tę sytuację za dość dziwną. Narzeczona przyjeżdża z wizytą bez narzeczonego. Ale Viola jasno dawała do zrozumienia, że wcale nie zależy jej na towarzystwie przyszłego męża ani teraz, ani w przyszłości. Viola chciała jeszcze coś powiedzieć, ale lady Trent usiadła na krześle z drugiej strony Constance, dotykając brzegu poduszki z taką miną, jakby była to relikwia.

- Te frędzle są absolutnie wspaniałe - wyszeptała. - Niepodobne do żadnych innych. Tylko pomyślcie, panie. Królewskie frędzle! Czy chce pani ich dotknąć, moja miła? - Podała poduszkę Constance; ta uprzejmie odmówiła.

Tymczasem Viola zaczęła już rozmawiać z kuzynką o jakimś nie lubianym wspólnym znajomym.

Wszystkie kobiety zachowywały się wobec Constance z nienagannym taktem, biorąc w tym przykład z księżnej. Nie było aluzji do pijanych guwernantek ani wzmianek o ordynarnych Amerykanach. Ale z Violą już nie udało jej się porozmawiać.

Po herbacie większość kobiet rozeszła się do swych pokojów, by rozważyć wybór stroju do kolacji, Constance natomiast spytała, czy mogłaby zajrzeć do biblioteki. Otrzymała pozwolenie i wskazówki, jak tam trafić, więc nie trując się, by zmienić suknię, poszła poszukać jakiejś książki.

Ciężkie drzwi wolno się otworzyły. Natychmiast uderzył ją w nozdrza miły zapach skóry i papieru, typowy dla biblioteki. Nie dla każdej biblioteki jednakże, lecz tylko starej.

W pomieszczeniu panował półmrok, słońce zachodziło właśnie za drzewa, wyznaczające linię trawnika. Constance westchnęła i weszła do biblioteki.

- Dzień dobry, panno Lloyd.

Męski głos był tak cichy, że w pierwszej chwili przypisała go wyobraźni.

- Constance.

Zachłusnęła się powietrzem, zaskoczona, wiedziała bowiem, czyj głos usłyszała.

- Joseph - powiedziała, zanim jeszcze go zobaczyła. A on wstał od stołu, znajdującego się po prawej stronie drzwi. Na blacie leżało kilkanaście otwartych książek.

Spodnie Josepha wyraźnie wymagały odprasowania, a fular był rozluźniony. Może nieświadomie manipulował nim podczas czytania. Na czoło spadał mu kosmyk włosów, które w świetle zachodzącego słońca wydawały się miedzianobłękitne. Joseph energicznie odrzucił głowę do tyłu, żeby włosy mu nie przeszkadzały.

Opanował się szybciej niż Constance.

- Miło mi znowu panią widzieć - powiedział ciepłym tonem.

Żwawym krokiem przeszła przez bibliotekę i wyciągnęła rękę do Josepha, jakby był jej partnerem w interesach. Zawahał się, ale się uśmiechnął i uściśnął podaną dłoń.

- Mam nadzieję, że interesy w Szkocji poszły panu dobrze. - Głos jej się nieco łamał. Patrzyła mu w oczy; światło w przedziwny sposób igrało ich odcieniem. Ileż to razy myślała o nim przez ostatnie dwa tygodnie. Ileż razy wyobrażała sobie jego twarz lub jakąś szczególną minę. Ale Joseph Smith nie wiedział i nie mógł się dowiedzieć, jak często go wspominała.

- Dziękuję, dobrze.

- Cieszę się. - Zaczepnęła tchu. - Co pan czyta?

Przez chwilę tylko jej się przyglądał. Nagle się wyprostował.

- Słucham? Obawiam się, że nie usłyszałem, o co pani pytała.

- Pytałam tylko, co pan czyta.

- Czyta? Ach, chodzi pani o książki. Takie tam chemiczne. Ojej, proszę mi wybaczyć. Czytam różne książki na temat chemii, które są własnością księcia.

- Czy jest pan tego absolutnie pewien? Jego śmiech wypełnił całe pomieszczenie.

- W granicach zakreślonych rozsądkiem.

- Nie chciałabym spojrzeć na te stronicie i znaleźć tam zdjęcia francuskich artystek cyrkowych.

- Niestety, ktoś już zadał sobie trud pożyczenia tej książki, więc pozostało po niej wolne miejsce na półce. Dla mnie jest tylko Lister.

- I co dobrego ma do powiedzenia profesor Lister?

- Mówi, choć naturalnie nie przytaczam go dosłownie: Dobrze jest myć ręce.

- Światły człowiek.

- Owszem.

Znów nastąpiła przerwa w rozmowie, chociaż nie była ona krępująca ani niezręczna. Należałoby raczej powiedzieć, że oboje czuli się swobodnie i rozkoszowali smakiem bycia razem.

Joseph pokręcił głową, jakby znów chciał odrzucić z czoła kosmyk włosów, mimo że wcale go tam nie było. Ale gdy się odezwał, jego głos nie brzmiał znów beztrzesko.

- Jak się pani przystosowuje do nowego życia? Na pewno jest pani bardzo zadowolona. Bądź co bądź, dostała pani zaproszenie do rezydencji księcia Walii.

- Pan też, Josephie. Nie wspominał pan przy mnie, że obraca się pan w tak dystyngowanych kręgach. - Opuściła ręce i splotła dłonie przed sobą.

I wreszcie popatrzyli sobie w oczy, ich spojrzenia się spotkały, pierwszy raz naprawdę. Stanęli nieruchomo, zawieszeni w czasie. Constance widziała, jak rysy Josepha łagodnieją. Zapatrzył się w dołeczek przy kąciku jej ust. Zgadł, że za chwilę zobaczy pełny uśmiech.

- No, tak - bąknął, gorączkowo szukając pretekstu, by spojrzeć w górę albo wrócić do książek poświęconych chemii, które studiował przed jej wejściem. Zabębnił palcami po stole i podniósł jeden z tomów. Miał nadzieję, że zacznie go dalej czytać.

Ale nie mógł. Jakaś niewidzialna siła odebrała mu zdolność ruchu. Zaczarowała mnie ta dziewczyna, pomyślał, spoglądając na jej twarz. W powietrzu unosił się pył z książek. A czar Constance był tym silniejszy, że zupełnie nie zdawała sobie z niego sprawy.

- Księżna postawiła w moim pokoju bukiet z gałązek derenia - powiedziała.

Przestał bębnić palcami po stole.

- Słucham?

- Księżna Walii postawiła na toaletce w moim pokoju bukiet z gałązek derenia.

- Derenia? - Nagle przypomniał sobie to drzewo ze swych podróży do Ameryki. - Dereń z Wirginii. To bardzo do niej podobne, wyszukać coś specjalnie dla gościa.

- Czy ona zawsze i dla wszystkich jest taka życzliwa?

- Dla mnie tak. Zawsze zostawia mi na stoliku przy łóżku książki, które, jej zdaniem, powinny mnie zainteresować. Ostatnim razem, gdy składałem tu wizytę, był to „Towarzysz farbiarza”, podręcznik sprzed mniej więcej stu lat, w którym opisywano, jak produkować barwniki roślinne i zwierzęce. Innym razem była to księga z celtyckimi legendami.

Oboje stali w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co jeszcze powiedzieć, lecz przez cały czas pamiętając o tym, że są tylko we dwoje.

- Czy jest pani szczęśliwa, Constance? Ledwie go usłyszała.

- Ja... Nie wiem - odrzekła. - Ale w tej chwili jestem szczęśliwa.

Poczuła na policzku jego oddech. Joseph pochylił się ku niej, a ona zrobiła krok w jego stronę. Potem nagle ich usta złączyły się w pocałunku.

Constance nigdy nikogo nie całowała ani nie była przez nikogo całowana w taki sposób. Tamtej nocy w zrujnowanej oberży przeżyli intymne chwile, ale dwutygodniowa rozłąka jeszcze spotęgowała ich uczucia, doprowadziła je do gwałtownego wybuchu.

Constance wydało się, że podłoga usuwa jej się spod stóp, lecz mimo to stała, podtrzymywana męskim ramieniem. Nie była zakłopotana jak wtedy, gdy kilka razy całował ją Philip. Wówczas zawsze zdawała sobie sprawę z otaczających ich dźwięków, odległego ćwierkania ptaka, plaskania końskich podków.

Teraz myślała tylko o Josephie, była z nim wszystkimi zmysłami. Wdychała jego woń - czysty zapach męskiej skóry i świeżego powietrza, czuła na wargach dotyk jego ust, miękkich i bardzo ciepłych, aż dziwne, że męskich. Ale przede wszystkim czuła jego smak, a oddech Josepha pieścił jej policzek.

Poruszył się i przez ulotną chwilę bała się, że ją odepchnie. Ale nie, przeciwnie. Przyciągnął ją jeszcze bliżej, i przytulił, ani na chwilę nie przerywając pocałunku.

Zaraz potem poczuła w ustach jego język i aż drgnęła, ale uspokoił ją czułym ruchem ręki, po czym znów mocniej objął. Było jej cudownie, jakby nigdy nic innego nie robili.

Nagle Joseph się cofnął.

- Nie - szepnęła. - Nie.

Zdawało jej się że śni, czuła się tak, jakby dostała narkotyk. Nogi i ręce jej ciążyły, ale było to bardzo przyjemne.

- Constance, nie wolno nam! - Głos Josepha dotarł do jej świadomości, rujnując przyjemność, którą dopiero co odkryła.

- Proszę cię... - Czy to naprawdę ona mówiła tym ochrypłym, błagalnym głosem?

- Nie. - Odpowiedź zabrzmiała stanowczo, nie dawała szansy sprzeciwu.

Zanim Constance zdążyła coś powiedzieć, Joseph zatrzasnął okładki książki, którą czytał, i wyszedł z biblioteki.

Parę minut później Constance wciąż słyszała w myślach jego kroki na korytarzu. Zmierzchało, a ona znów została sama.

Joseph szedł przez trawnik sprężystym krokiem, chcąc trochę otrzeźwieć.

- Smith! Smith, ty łotrze! Przystaną i głęboko zaczerpną tchu.

- Witaj, Philipie - powiedział w końcu i zwrócił się do przyjaciela.

- Nie miałem pojęcia, że tu będziesz. - Philip tak się ucieszył z tego spotkania, że nie można było nie odwzajemnić I ego uśmiechu.

- Zdecydowałem się w ostatniej chwili.

- Rozumiem. - Philip wsunął ręce do kieszeni. - Piękny dzień, nie sądzisz?

- Tak. Wprawdzie większą jego część spędziłem w czterech ścianach, ale rzeczywiście jest piękny. Przepraszam cię, ale muszę iść.

- Pilne interesy? Mam nadzieję, że nie stało się nic złego. Wyglądasz na dość poruszonego.

- Nie, nie. Wszystko jest w najlepszym porządku.

- To dobrze. - Philip skinął głową, spoglądając na ziemię. Matka jest bardzo zadowolona, że mnie tu zaproszono. Joseph uśmiechnął się.

- Wyobrażam sobie. Ty też musisz być szczęśliwy.

Philip nie odpowiedział, tylko kopnął grudę ziemi czubkiem buta. Potem w charakterystyczny dla niego sposób otarł usta wierzchem dłoni, jakby wreszcie zdecydował, co odpowiedzieć.

- Na razie nie dzieje się tu nic wielkiego, prawda? - wyrzucił /. siebie.

Joseph nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

- Słucham?

- Chcę powiedzieć, że są tu ci sami ludzie, którzy spotykają się w Londynie, jak również w wielu innych miejscach.

- Zdumiewasz mnie, Philipie. Myślałem, że będziesz zachwycony pobyt w tym miejscu.

- Nie bardzo. Wydaje mi się to dość bezsensowne. Joseph zamrugnął.

- Philipie, nie wierzę własnym uszom.

- Przypuszczam, że nie przyjechałeś tu dla przyjemności, tylko w jakiejś sprawie.

- W pewnym sensie tak. A czemu pytasz?

- Lubisz swoją pracę, prawda?

- Nawet bardzo.

- Nigdy tego nie mówiłem, ale ci zazdrozczę. Chyba zawsze ci zazdrościłem. Masz cel, poczucie, że wiesz, w jakim kierunku chcesz pójść. Nawet jako dziecko już to wiedziałeś, chociaż nie mam pojęcia, skąd.

- Och, nie mam aż tak wyrobionego poczucia kierunku - wyznał Joseph, zaskoczony tym wyznaniem przyjaciela.

- Pod wieloma względami nadal nie wiem, co ja właściwie robię.

- Nie zrozumiałeś mnie. - Philip podniósł głowę i Joseph pierwszy raz zauważył ciemne kręgi pod jego oczami. - Ty możesz robić, co chcesz, widywać, kogo chcesz, iść swoją drogą przez ten świat.

Joseph milczał, zaskoczony wzburzeniem Philipa.

- Wiesz, Smith. Bardzo lubię Constance. Chcę, żebyś to wiedział. Cokolwiek się stanie, bardzo ją lubię.

Joseph przełknął ślinę.

- Jest piękna. Masz szczęście.

- Mówię całkiem szczerze, że ją lubię. Do diabła, ona zasługuje na kogoś lepszego ode mnie. Jest inteligentna i bardzo bystra.

- Owszem - przyznał Joseph.

- Czy wiesz, że przyjechała tutaj Viola?

- Nie. A przyjechała? Nie widziałem jej.

- Przyjechała. Podobnie jak ta jej okropna kuzynka.

- Abigail - powiedział Joseph prawie szeptem.

- Przepraszam, Josephie. Zapomniałem. W każdym razie Viola i Dishy znów się zaręczyli.

- Znów? Myślisz, że tym razem coś z tego będzie? Philip wzruszył ramionami.

- Kto wie? Ech, nie będę cię dłużej zatrzymywał.

- Poczekaj chwilę. - Joseph położył przyjacielowi rękę na ramieniu. - Co cię tak naprawdę gryzie? Jesteś w Sandringham, masz piękną narzeczoną, a parlament właściwie stoi przed tobą otworem. Mimo to już dawno nie widziałem cię tak niezadowolonego. Przede mną nie musisz udawać, stanowczo za dobrze cię znam. Nie byłeś w takim nastroju, odkąd Scuffy Williams złamał twój kij do krykieta.

Philip nie uśmiechnął się na to wspomnienie.

- Powiedz mi, o co chodzi - nalegał Joseph.

- Do diabła! - burknął Philip. - Nie chcę być tutaj. Nie chcę żyć tylko dla matki. Chcę mieć prawo do popełniania własnych omyłek.

- No, to je popełniaj.

Philip roześmiał się z goryczą.

- To nie takie łatwe.

- Naturalnie, że nie. Ale czy z tym, co jest łatwe, nie czujesz się podle?

Philip wymownie pokiwał głową.

- Na miłość boską, Philipie, posłuchaj mnie. Musisz robić to, co jest ci potrzebne do szczęścia. Masz jeszcze czas, żeby urzeczywistnić swoje marzenia. Wiem, że marzysz o niejednym. Musisz się do tego wziąć, zanim marzenia zwiędną, a z ciebie zostanie wypalona skorupa. Idź tą drogą, którą musisz.

- Ale matka...

- Twojej matce nic się nie stanie.

- Ale mam zobowiązania...

- Wobec siebie. Nikomu poza tym nic nie jesteś winien. Philipie, jesteś dobrym człowiekiem. Ale jeśli nadal będziesz ignorował swoje prawdziwe talenty i pragnienia, zatracisz siebie. I już się nie będziesz mógł odnaleźć.

Philip wreszcie spojrział mu w oczy. Nie odezwał się już, tylko nieznacznie skinął głową i odszedł w stronę rezydencji.

A Joseph stał jeszcze dość długo na trawniku, zastanawiając się, czy wykład, który wygłosił przed chwilą, był przeznaczony dla przyjaciela, czy dla niego samego.

Popołudniowa herbatka była bardzo nieoficjalna, kolację natomiast wyreżyserowano choreograficznie niczym balet. Zaczęła się niemal ceremonialnym zgromadzeniem gości w salonie, gdzie podano sherry w kieliszkach z rżniętego kryształu. Tyle że po jednym kieliszku wzięcie następnego wzbudziłoby zgorszenie, nawet gdyby pozwolił sobie na to któryś z faworytów księcia. Gdy para książęca weszła do salonu, powitały ją ukłony i dygnięcia, po czym podjęto prowadzone wcześniej rozmowy.

Constance przez cały czas zdawała sobie sprawę z obecności Josepha. Wydawał jej się stanowczo najbardziej pociągający ze wszystkich mężczyzn, nie wyłączając księcia. W czasie gdy inni współzawodniczyli w zwracaniu na siebie uwagi gospodarza, Philip trzymał się z boku. Był nieobecny duchem i Constance zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zachorował. Zauważyła jednak, że często spogląda w stronę Violi Rathbottom, nawet gdy rozmawia z kim innym.

- Witam, panno Lloyd. - Joseph z uśmiechem stanął u jej boku.

We fraku i z czarną muchą wydał jej się olśniewający. Włosy miał zaczesane do tyłu i starannie wyszczotkowane, pierwszy raz widziała u niego tak wypielęgnowaną fryzurę. W każdym razie wynik był zgodny z jej oczekiwaniami. Joseph Smith był wręcz nieprzyzwoicie przystojny.

- Witam, panie Smith - odrzekła, nie mogąc się powstrzymać przed odwzajemnieniem uśmiechu.

- Pięknie pani wygląda, Constance - powiedział poważnie, lecz tak cicho, że nikt oprócz niej go nie usłyszał.

Na moment spuściła powieki.

- Dziękuję - odszepnęła.

Jej suknia z lśniącego jedwabiu, przesytego srebrzystymi niciami, mogła rywalizować z sukniami innych dam. Constance podziękowała za to w myśli apodyktycznej księżnej, która ją torturowała, zmuszając do wielu godzin nieruchomego stania podczas przymiarek.

Warto było. Joseph powiedział jej, że pięknie wygląda.

- Panno Lloyd. - Constance otworzyła oczy i ujrzała przed sobą okrągłą twarz księcia Walii.

- Wasza wysokość. - Dygnęła uważając, by nie wylać drinka na pantofelki.

- Mam nadzieję, że nie obudziłem pani, panno Lloyd - powiedział, wyraźnie puszczając do niej oko. - Pana też miło widzieć, Smith.

- Cała przyjemność jest jak zawsze po mojej stronie, wasza wysokość. - Joseph skłonił się, ale nawet w przybliżeniu nie tak głęboko jak pozostali mężczyźni. Z Philipem z pewnością nie mógłby współzawodniczyć.

- Znalazł pan potrzebne książki? - Książę pozornie zwracał się do Josepha, ale patrzył bez przerwy na Constance.

Jest całkiem sympatyczny, pomyślała, przyglądając się jego twarzy. Ale na pewno nie przystojny, z tymi wylupiastymi oczami, okrągłą twarzą, dość rzadkimi bakami i zanadto zauważalnym brzuchem. Akcent miał niezwykle, niemal gardłowy. Głoskę „r” wymawiał z chrapliwym, germańskim przy-dźwiękiem, toteż brzmiała ona dość obco, chociaż książę

Edward naturalnie urodził się w Anglii. Ale jego ojciec, książę Albert, był Niemcem, a on jako chłopiec żył w odosobnieniu, nie wolno mu było bowiem bawić się z brytyjskimi rówieśnikami.

- Znalazłem, sir - odrzekł Joseph.

Nie zatytułował księcia „jego wysokością” i przez chwilę Constance obawiała się, że zostanie za to skarcony. Książę nie zwrócił jednak na to uwagi.

- Wyśmienicie, Smith. Miło mi to słyszeć. - Potem skupił uwagę na Constance. - A jak pani się tu podoba, panno Lloyd?

- Bardzo, wasza wysokość.

Kątem oka zauważyła, że przygląda im się Philip. Zamiast jednak do nich dołączyć - bądź co bądź rozmawiała z następcą tronu - podszedł do Violi, która stała samotnie przy kominku.

- Niezmiernie się cieszę, panno Lloyd. Moja żona powiedziała mi, że znalazła dla pani bardzo szczególne kwiaty, czy to prawda?

- O, tak, wasza wysokość. - Uśmiechnęła się, a książę odwzajemnił uśmiech. - To była dla mnie cudowna niespodzianka. Nie widziałam i nie miałam okazji wahać derenia od czasów dzieciństwa.

Pośrodku salonu stanął lokaj w liberii i uderzył w gong.

- Wasze wysokości, panie i panowie, podano obiad.

- Doskonale - rzekł książę, odstawiając na tacę najpierw swój pusty kieliszek, a potem kieliszek Constance. - Pójdziemy? - Podał jej ramię, ale dopiero po chwili zrozumiała jego zamiar.

Książę Walii we własnej osobie chciał towarzyszyć jej w drodze do jadalni.

Poszli więc pierwsi, inni zaś ruszyli za nimi w porządku, jaki wynikał z hierarchii społecznej. Constance nie mogła powstrzymać chichotu.

- Co panią tak rozbawiło, panno Lloyd? - Książę pochylił się do niej, by móc usłyszeć odpowiedź.

- Szczerze mówiąc, wasza wysokość, obawiam się, że nie byłoby to stosowne, gdybym chciała zdradzić tę myśl waszej wysokości.

- Och, wobec tego musi pani to zrobić! Byłbym niezwykle rozczarowany, gdyby nie powiedziała mi pani natychmiast, co panią tak rozśmieszyło.

- Czy to jest rozkaz króla?

- Owszem! Pod karą... och, czegoś strasznego i bardzo nieprzyjemnego.

- W takim razie, wasza wysokość, wyznam wszystko. Otóż bardzo mnie rozbawiło, że w tej chwili idę z waszą wysokością na czele pochodu mnóstwa dostojnych parów.

- I to wszystko? - Wydawał się zawiedziony.

- Niezupełnie, wasza wysokość. Przyszło mi do głowy, że gdy ostatnio przestąpiłam próg przed tyloma osobami, wchodziłam jako guwernantka do dziecięcego pokoju.

- Mam nadzieję, że jesteśmy grzeczniejsi, panno Lloyd.

W tej właśnie chwili jeden z dżentelmenów cofając się przewrócił gong, który z głośnym brzękiem upadł na marmurowy stół.

- Niestety, wasza wysokość, nie jestem o tym do końca przekonana.

Zanim zdążyła rozwinąć temat, książę zatrzymał się tuż za progiem jadalni, odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

Nikt nie słyszał, co Constance powiedziała, chociaż większość brwi pytająco się uniosła, a rzucające się w oczy zauroczenie księcia towarzyszką skwapliwie odnotowano. Tylko jedna osoba w tym gronie uśmiechnęła się, widząc, jak szczerą przyjemność sprawia księciu rozmowa z uroczą Constance. Był to Walijczyk, Joseph Smith.

8

Pierwsza część posiłku minęła jak w srebrzystej mgle, obok Constance przesuwiał się bowiem półmisek za półmiskiem. Pośrodku stołu stał olbrzymi, wieloramienny świecznik z dziesiątkami świec, których blask odbijał się w srebrach. Kształtem świecznik przypominał groteskowe monstrum, bestię wyłaniającą się z morza jak w greckiej mitologii, i zasłaniał Constance drugą stronę stołu. Oceaniczne reminiscencje powracały przez cały czas, gdy spożywano pierwsze danie, na półmiskach wnoszono bowiem ryby, których szkliste oczy złowrogo przypominały wyrazem oczy niejednego z obecnych gości. Nawiasem mówiąc, służba poruszała się z taką szybkością, jakiej żadne z tych biednych stworzeń nigdy w życiu nie osiągnęło.

Srebro, porcelana, kryształy i serwetki były wprawdzie najwyższej jakości, lecz i wielkiej prostoty, bez złocen i zawitych zdobień. Lady Trent, dla której już popołudniowa herbata była celebracją wszystkiego, co na ziemi najlepsze, znów straciła głos na sam widok tego, co ją otacza. Przypominała kota śledzącego mysz. Minę miała tyleż zdumioną, co zachwyconą.

Potrawy szybko się zmieniały, każda pięknie podana i zawsze z sosem, który bez względu na barwę i składniki miał zawsze dwie cechy: był ciepły i słony.

Nie minęło wiele czasu, a konwersacja również zaczęła mieć słony smak.

Constance usiłowała nie zwracać na siebie uwagi, ale książę, siedzący zaledwie trzy miejsca od niej, nieustannie wciągał ją do rozmowy w swoim kręgu. Księżna Aleksandra, która tylko od czasu do czasu wychwytywała z gwaru jakieś słowo albo zdanie, rozumiała niewiele z tego, co się dzieje wokół niej, ale wydawała się w pełni usatysfakcjonowana towarzystwem sąsiadów po prawej i po lewej.

Książę Edward, w połowie jedzenia dość pokaźnego kawału polędwicy, nagle odezwał się dostatecznie głośno, by wszyscy goście go usłyszeli.

- Słuchajcie, gdy wchodziliśmy dziś wieczorem do tej sali, panna Lloyd powiedziała coś piekielnie śmiesznego.

Constance przełknęła ślinę i instynktownie zerknęła na Josepha. Siedział o cztery krzesła od niej z nieprzeniknioną miną. Philip zajmował miejsce naprzeciwko Josepha, Constance była jednak oddzielona od niego mityczną bestią pośrodku stołu. Widziała tylko czubek jego głowy i ruch prawego łokcia, który pracował z zadziwiającą sprawnością, by zapewnić Philipowi stały dopływ wina i dostawy jedzenia do ust.

Księżna usłyszała męża.

- Niech więc wasza wysokość nam powtórzy, co powiedziała panna Lloyd.

Głowy odwróciły się od księcia, siedzącego przy jednym końcu stołu, do księżnej przy drugim końcu stołu, by po chwili znów zwrócić się do księcia, jak na meczu tenisowym.

- Ledwo przekroczyliśmy próg, a ona mówi: „Mam wrażenie, że to całe towarzystwo jest równie źle wychowane, jak wszystkie te dzieci, z którymi miałam do czynienia jako guwernantka.” - To powiedziawszy, książę z twarzą poczerwieniałą od tłumienia wybuchu radości, wreszcie bezkarnie parsknął śmiechem.

Constance nieznacznie otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Tymczasem wszyscy wpatrywali się w nią z marsowymi minami, wyrażającymi niezrozumienie. Doleciały ją strzępki zdań z różnych stron części stołu.

- A cóż to ma znaczyć?

- Co w tym zabawnego, do pioruna?

- Do stu diabłów, co ona chciała przez to powiedzieć?

- Ale błyskotliwy dowcip, co?

- To jest Amerykanka, wie pani...

Joseph pochylił się do przodu, wciąż z obojętną miną. Spojrzał na Constance ze zdziwieniem i z powrotem zajął poprzednią pozycję.

- Niech pani nam powie, panno Lloyd, co pani miała na myśli. - Księżna, zapewne dość zmieszana podejrzeniem, że nie zrozumiała dowcipu przez swój osłabiony słuch i niedoskonałą angielszczyznę, rozejrzała się po twarzach gości. Chyba jej ulżyło, gdy i tam dostrzegła ślady zakłopotania. Tylko księżę, wciąż rechoczący z tego, co powiedział, wydawał się w doskonałym humorze.

- Tak, panno Lloyd - podchwyciła prośbę Abigail Merrymeade. Niech pani nam to wyjaśni. Obawiam się, że reszta towarzystwa nie jest taka dowcipna, jak pani i księżę.

Mąż lady Merrymeade, najwyraźniej wyczerpany podróżą, siedział obok Constance. Był to chyba najstarszy człowiek, jakiego zdarzyło jej się widzieć, w zasadzie tylko zarys mężczyzny, chodzące wspomnienie kogoś, kim kiedyś musiał być. Nawet teraz, o stosunkowo wczesnej porze i w gwarze, starszy pan smacznie spał. Ale zamknięte oczy i słyszalne niekiedy chrapnięcia były jedynymi cechami, które dzieliły go od większości biesiadników.

I wtedy stało się coś dziwnego. Abigail Merrymeade spojrzała na Josepha wzrokiem zarówno wyrażającym zażyłość, jak wyzywającym. Constance natychmiast zorientowała się, że to ta kobieta musiała złamać mu serce. Jedno spojrzenie na Josepha potwierdziło jej domniemanie. Usta miał zaciśnięte tak mocno, że wargi prawie mu pobieleły. Widziała też jego dłoń, kurczowo ściskającą serwetkę.

- Eee... - zająknął się Philip, próbując pospieszyć jej z odsieczą. - Moja droga narzeczona chciała powiedzieć, że w Ameryce dzieci nie są nawet w przybliżeniu tak dobrze wychowane jak tutaj.

Ciekawe, ile wypił sherry i bordeaux.

Constance z najwyższym trudem powstrzymała się przed daniem nura pod stół.

Już otworzyła usta, żeby wyjaśnić swoje intencje, gdy odezwał się Joseph, podsuwając nowy temat.

- Panna Lloyd i ja mieliśmy porywającą przygodę, gdy towarzyszyłem jej w drodze do Hastings House.

Gdyby było to możliwe, Constance poświęciłaby wszystkie swoje stroje, z tym, który miała na sobie włącznie, by podłoga okazała jej litość i się pod nią rozstała. Czy podczas tej kolacji mogło się stać coś jeszcze gorszego?

- Opowiedz, Smith - entuzjastycznie zareagował Philip.

- Było tak - zaczął Joseph, starannie unikając wzroku Constance. - Gdy jechałem z panną Lloyd z Cowes do Hastings House, banda rzeźmieszków napadła na nasz powóz. Uratowały nas refleks i pewna ręka panny Lloyd.

- Panie Smith - sprzeciwiła się Constance. - Zapomina pan o swojej roli w tym zdarzeniu. - Zwróciła się do pozostałych gości: - Pan Smith zdołał rozbroić i unieszkodliwić kilku mężczyzn, czyhających w zaroślach. Gdyby nie jego odwaga i sprawność, nie byłoby mnie dziś tutaj.

- Jak to? - Książę był tak poruszony, że aż odłożył widelec. - Czy chce pani powiedzieć, że oboje omal nie straciliście życia?

Joseph z wahaniem skinął głową.

- Widzi wasza wysokość, w swoim czasie nie zdawaliśmy sobie sprawy z prawdziwego zagrożenia. Rzecz w tym, że panna Lloyd w tej sytuacji okazała się warta tyle, co pięciu mężczyzn.

Sala zaszemrała podnieceniem. Philip skinął na służącego roznoszącego bordeaux; kiedy ten posłusznie napełnił mu kieliszek, spojrzął na Violę, a ona natychmiast odwróciła wzrok.

- Opowiedz nam o tym, Smith! - zagrział głos księcia. Joseph zawahał się i znów pochylił ku Constance. - Niestety, wasza wysokość, obiecałem panie Lloyd nikomu o tym nie opowiadać. Jestem człowiekiem honoru.

- Dużo mi to pomoże - mruknęła pod nosem Constance.

- Panno Lloyd - zażądał książę. - Proszę pozwolić panu Smithowi opowiedzieć całą historię. Chciałbym posłuchać o tej przygodzie.

- Obawiam się, że pan Smith przesadził z pochwałami, wasza wysokość - powiedziała, mnąc serwetkę w dłoniach.

- Dyrzymały! - Książę uderzył mięsistą pięścią w stół, przez co srebrna bestia stojąca pośrodku zagrzecotała, a kryształły zadrżały. - Smith, jak tu siedzi, jest zawsze szczerzy. Rzekłbym nawet, że czasem aż zanadto. Wydobyć z niego czeokolwiek bywa bardzo kłopotliwe.

- To dlatego, że pan Smith ma mnóstwo sekretów - wtrąciła zalotnie Abigail Merrymeade. Constance nagle wyobraziła sobie z dużą przyjemnością, jak bestia ze środka stołu pożera Abigail.

Joseph zwrócił się do Constance:

- Panno Lloyd, czy pozwoli pani opowiedzieć o naszej przygodzie?

Nie miała wyboru, musiała na to przystać. A Joseph, który dotąd wykazywał się wielką oszczędnością w słowach, nagle zaczął snuć opowieść z zadziwiającą swadą. Nawet Constance słuchała zafascynowana.

Niczego nie opuścił. Wspomnił i o ostrągach, po których był chory, i o zestrzeleniu kapelusza jednego ze zbójów. Wreszcie wystąpił z opowieścią, która przeczyła logice, lecz całkowicie zadowoliła słuchaczy, a dotyczyła tego, jak Constance opanowała sytuację i zmusiła rabusiów do ucieczki. O swoim udziale w tym wszystkim wspomnił tylko mimochodem.

- Krótko mówiąc - podsumował - panna Lloyd zmusiła dziewięciu uzbrojonych ludzi do rzucenia broni i panicznej ucieczki przed piękną kobietą, ubraną w elegancki kostium podróżny, i wytwórcą barwników, obezwładnionym przez mięczaka nie pierwszej świeżości. W czasie tej opowieści nikt się nie poruszył. Nawet służący tak się zasłuchali, że mięsiwa stygły, a lód zamienił się w wodę. Po ostatnim zdaniu Smitha książę Edward radośnie zarechotał.

- Wybornie, Smith! Dobrze opowiedziane, naprawdę dobrze! - Skinął na kamerdynera; ten dyskretnym gestem przekazał polecenie reszcie służby. Wnet pojawiły się smukłe kieliszki do szampana i zaczęły strzelać korki. - Wznieśmy toast - zaproponował przyszedły król Anglii. - Za Constance Lloyd, ozdobę każdego towarzystwa i prawdziwy kwiat wśród kobiet.

Wszyscy z wyjątkiem Constance unieśli kieliszki, jeśli nie liczyć lorda Merrymeade, któremu właśnie pociekła ślina z lewego kącika ust. Wszyscy też wydawali się wzburzeni i dość zrezygnowani. Rozumieli bowiem, że oto jest wśród nich nowa wybranka księcia, nowa faworyta. Joseph Smith swą poetycką i pochlebczą opowieścią wykrzesał romantyczną iskrę z człowieka, który dorastał mając za towarzystwo jedynie swą wyobraźnię. Spotkania oko w oko z niebezpieczeństwem i wychodzenie z nich zwycięsko były poza zasięgiem możliwości księcia. Zawsze trzymano go z dala od takich emocji.

Constance Lloyd, egzotyczna piękność z Ameryki, uosabiała jego wciąż żywe marzenia z dzieciństwa. Zdawało mu się, że za jej pośrednictwem może doświadczyć czegoś ekscytującego, czego tak długo mu odmawiano.

Słowa Josepha Smitha podniosły jej rangę z miłej towarzyszkii kolacji na obiekt pożądania. Nie pierwszy raz książę wybrał kobietę, którą chciał otoczyć względami. Gdyby i ona zechciała, to po ślubie z Philipem mogła się znaleźć w tym samym - dość zmiennym - gronie kobiet, co złej sławy Kręgielek.

Constance uświadomiła sobie, że ten jeden toast przysporzył jej mnóstwo potencjalnych wrogów.

Joseph Smith, siedzący o cztery miejsca dalej, w milczeniu przeklinał swoje gawędziarskie talenty.

Gdy po kolacji panie przeszły do salonu, panowie zostali w jadalni, by wypalić po cygarze, napić się porto i przedyskutować różne męskie sprawy. Nie ulegało wątpliwości, że potrzebują trochę czasu na wyrażenie swoich mniej szlachetnych uczuć i omówienie mniej wyrafinowanych poglądów. Po co zaś obrażać albo trwożyć damy tym, co jest właściwe tylko mężczyznom?

- Uważam, że panna Lloyd ma niezwykle atrakcyjne suknie, nie sądzą panowie? - Lord Trent uśmiechnął się, wzięwszy od kamerdynera wonne cygaro. - I bardzo ładną fryzurę.

- To prawda - przyznał lord Collins, okręcając w palcach kieliszek porto i podziwiając swoje palce, widoczne przez szkło oraz warstwę płynu. - Jak nazwałby pan to uczesanie?

- Moim zdaniem, jest w charakterze dość klasyczne, podobne do tych, jakie się widzi na zdobieniach antycznych amfor - rzekł inny dżentelmen, obcinając koniec cygara narzędziem, które miał w kopercie zegarka. - Dodałbym jeszcze, że wstążki bardzo ładnie kontrastują z odcieniem jej włosów.

Słuchając tej konwersacji, książę po prostu się uśmiechał, jakby to jego chwalono. Philip był zajęty swoim porto, poza tym bardzo pilnował, żeby kamerdyner nie sprzątnął mu kieliszków po szampanie i bordeaux, póki jest w nich jeszcze choć kropla płynu.

Joseph Smith był w zasadzie wyłączony z konwersacji. Przesuwał palcem po krawędzi kieliszka i zastanawiał się, jak może być takim skończonym głupcem.

Proszę mi powiedzieć, panno Lloyd, jaki rodzaj artylerii najbardziej pani odpowiada? - odezwała się lady Collins, biorąc od służącej filiżankę herbaty.

- Prawdę mówiąc, lady Collins, w czasie tej przygody z napadem to był tylko celny strzał, nic więcej.

Constance zdawała sobie sprawę z wlepionych w nią spojrzeń kobiet, które zostały bez towarzystwa mężczyzn. Miny wszystkich były wyzywające i wyrażały najrozmaitsze domysły. Jedyny wyjątek stanowiła księżna Aleksandra, niezmiennie promienna i uprzejma. W pewnej chwili Constance pochwyciła krzepiący uśmiech księżnej. Była jej za niego serdecznie wdzięczna.

- Słyszałam kiedyś o pewnym człowieku w Afryce - ciągnęła lady Collins. - Strzelił tygrysowi dokładnie między oczy, a potem zjadł jego mięso. Wspaniałe wyobrazenie, prawda. Mężczyzna władający dziczą.

- Czy zastrzeliła pani kiedyś coś żywego? - spytała lady Merrymeade.

Constance poczuła, że robi jej się słabo. Pokręciła głową z nadzieją, że ktoś zmieni temat.

- Daj spokój, Abigail - wtrąciła się Viola. - Sądzę, że panna Lloyd ma dość tej rozmowy. Mówmy o czym innym.

- Niech pani nie będzie taka skromna, panno Lloyd. - Abigail Merrymeade nie udawała nawet, że sładzi herbatę albo bierze filiżankę do ręki. Siedziała na wprost Constance z rękami ułożonymi na oparciach krzesła i wpatrywała się w nią przenikliwym wzrokiem. - Znam Josepha bardzo dobrze. Naprawdę bardzo dobrze. Nigdy nie słyszałam, żeby tak opowiadał. Zupełnie, jakby chciał wycisnąć wszystkim łzy z oczu, czyż nie, lady Collins?

- Też odniosłam takie wrażenie. Panno Lloyd, czy pani kiedyś strzelała podczas waszej wojny?

Constance poczuła się tak, jakby kopnięto ją w brzuch.

- Ja... To było już bardzo dawno.

- Nie tak bardzo - zaoponowała lady Merrymeade. - W gruncie rzeczy minęło zaledwie kilka lat. Ale wracając do rzeczy, Joseph był pod wrażeniem pani talentów, panno Lloyd. Zawsze gdy widzę go w takim otoczeniu jak to, przypomina mi się jego pochodzenie.

- Co pani ma na myśli, lady Merrymeade? - zapytała księżna. Abigail zawahała się nieznacznie, ale nie przerwała wywodu.

- Mam na myśli, wasza wysokość, że pan Smith jest tu nie w swoim żywiole.

- Mój mąż bardzo sobie ceni jego towarzystwo - odparła księżna. - Pan Smith jest obeznany z nauką i technologią, co bardzo interesuje księcia Edwarda, podobnie jak interesowało jego ojca, księcia Alberta.

- Nie ma chyba co dodawać, wasza wysokość, że pan Smith potrafi bardzo zajmująco opowiadać! - wtrąciła lady Barrington. - I jest niezwykle przystojny. Zawsze uważałam, że mężczyzna powinien być przystojny, a zarówno lord Hastings, jak i pan Smith wydają mi się bliscy ideału męskiej urody.

- I są dobrymi przyjaciółmi - podjęła wątek Viola, dyskretnym puszczaniem oka dając Constance znak, że udało się zmienić temat. - Znam pana Smitha od lat i od lat Philip zaprasza go do siebie na wakacje, mimo że zawsze wydawali się dość osobliwą parą.

Rozległ się szmer potwierdzający tę opinię. Abigail wpatrywała się w Constance. Ta nagle poczuła się słabo. Zauważyła złośliwość bijącą z jej oczu. Najczystsza i bezinteresowna.

- Panno Lloyd, a wracając do broni palnej, musi pani zrobić przyjemność obecnym tu przedstawicielkom płci pięknej i jutro rano wziąć udział w polowaniu! - odezwała się lady Barrington.

- Och, nie wydaje mi się...

Ale księżna usłyszała tę propozycję.

- Co za wspaniały pomysł. Panno Lloyd, prosimy, niech pani spróbuje, zgoda?

- A jeśli ona naprawdę źle strzela i zabije któregoś z mężczyzn? - spytała jedna z kobiet.

- To mogłoby być całkiem korzystne. - Abigail Merrymeade powiedziała to lekkim tonem, więc panie zachichotały, ale jednocześnie w jej głosie było słychać wyraźnie złowieszcą nutę.

Constance potoczyła wzrokiem po salonie, uświadomiwszy sobie, że chyba nie wypada jej opuścić tego miejsca, póki księżę nie wróci z mężczyznami i wraz z żoną nie uda się na spoczynek.

- Naprawdę... - zaczęła jedna z kobiet, ale urwała w pół zdania. - Wielkie nieba, słyszę, że nadchodzą panowie!

- Pospieszyli się - powiedziała księżna.

Jedyną kobietą, której wydawało się to nie przeszkadzać, była lady Trent, upajająca się akurat miękkością draperii. Przedtem dokonała szczegółowych oględzin porcelanowego ptaszka z półki.

Mężczyźni weszli do salonu, otoczeni chmurą dymu, mimo że już nie palili cygar. Zaciągając się ostatni raz, każdy z nich wciągnął do płuc tyle dymu, że mógł go wydmuchiwać przez następny kwadrans.

Księżna zorganizowała dla chętnych grę w pokera, wista i brydża. Część gości wołała konwersować w grupkach, inni rozsiedli się po kątach z książkami lub po prostu chłonili atmosferę przestrzennego salonu.

Philip usiadł na krześle i podobnie jak lord Merrymeade zapadł w sen.

- Constance. - Joseph znalazł się za jej plecami. - Proszę mi wybaczyć.

Zaczerpnęła tchu i dalej czytała tytuły na grzbietach książek z półki. Nie wiedziała, jak zareagować, więc po prostu pominęła słowa Josepha milczeniem.

- Myśli pan, że powinnam spróbować jeszcze raz szczęścia z Byronem? Nigdy tak naprawdę...

- Constance, proszę panią.

Powiedział to tak błagalnym tonem, że się do niego odwróciła. Był bardzo zdenerwowany, blizna na jego lewym policzku wydawała się wyjątkowo widoczna. Może sprawiło to światło świec? A może wyraz jego twarzy?

Bardzo chciała zapytać go, skąd ma tę bliznę. Czy to pamiątka z dzieciństwa? Czy może ślad znacznie bliższych czasów? Rana musiała być bolesna, chociaż jej pozostałości zwykle prawie się nie zauważało.

- Constance, niech pani na mnie spojrzy.

- Patrzę.

- Nie. Pani myśli błędą gdzie indziej. A ja próbuję panią przeprosić za moje wystąpienie podczas kolacji. Wie pani, że za nic nie chciałbym pani zranić. Ale zacząłem opowiadać i mnie poniosło. Poniosły mnie moje własne słowa. Słucha mnie pani?

- Josephie, nie czuję się najlepiej.

Natychmiast wyciągnął ręce, żeby ją podtrzymać, ale bardzo ostrożnie, tak by nie zwrócić powszechnej uwagi.

- Co się stało?

Na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo.

- Chcą, żebym jutro poszła na polowanie z mężczyznami. Ale ja nie mogę. Nie mogę strzelać. Przez to, co się stało podczas wojny. Był Jankes. Było gorąco, droga, wszystko potoczyło się tak szybko. Nie mogę strzelać dla zabawy, Josephie. Nie mogę i nie będę mogła, bo kiedyś zabiłam człowieka.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszył ją. Bardzo chciał wziąć ją w ramiona. Jakoś nie zdziwiło go to wyznanie, jakby dobrze wiedział, że Constance ma swoje sekrety. Wszyscy mają głęboko ukryte tajemnice. - Coś wymyślę, żeby pani nie musiała tego robić.

Wyprostowała się, jakby nagle zdała sobie sprawę, gdzie są. W salonie znów rozległ się gwar rozmów. Constance pokręciła głową.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Może jednak da pani szansę Byronowi? Biedak tak wiele wycierpiał za swą sztukę.

Wieczór jakoś minął.

Abigail Merrymeade, mimo podniecenia wywołanego grą w karty z księżną, nie przeoczyła najdrobniejszego szczegółu tego, co działo się między Constance i Josephem, chociaż była za daleko, by usłyszeć cokolwiek z ich rozmowy. Jej uwagę zwróciło skupienie, z jakim rozmawiają, ich bliskość, aura, która bynajmniej nie otaczała panny Lloyd, gdy ta stała przy narzeczonym, zawsze roześmianym lordzie Hastingsie.

Gdy księżę i księżna z ociąganiem udali się na spoczynek, Constance podeszła do Josepha, który stał wsparty o gzyms kominka.

- Dobranoc - szepnęła.

Spojrzał w lustro nad kominkiem i tam ich oczy się spotkały. Constance stała bardzo blisko Josepha, ramieniem prawie dotykała jego klatki piersiowej. Oboje wpatrywali się w swoje odbicia, jakby to był ślubny portret. W twarzach mieli coś dziwnego, może promień nadziei, coś, co utrzymywało tę chwilę na zawsze.

I chociaż tego wieczoru sprawy trochę się pokomplikowały, to Constance i Joseph, gdy tak stali obok siebie, wydawali się pasować do siebie wprost doskonale.

9

Wszystkich oczekiwano w pokoju śniadaniowym, jeśli nie dokładnie o ósmej trzydzieści, to w każdym razie przed wpół do jedenastej. Mężczyźni wdziali kurtki myśliwskie, kobiety olśniewały nowymi sukniami, uszytymi specjalnie na ten jeden posiłek, po którym kreacje miały trafić w zawoje z bibułki i gazy i nie ujrzeć już światła dziennego do wyjazdu ich właścicielek z Sandringham. Przy długim stole pod ścianą, na którym stały poprzykrywane półmiski, flirtowano, prowadzono beztroskie rozmowy i ściszonymi głosami rozprawiano o tym, co przyniesie dzień, jaką pogodę na lunch pod gołym niebem i jakie trofea myśliwym.

Constance z włosami ufryzowanymi przez Stellę zeszała do pokoju śniadaniowego akurat w samą porę, ubrana w suknię w biało-zielone paski. Philipa nie było, co zresztą nie zwracało uwagi, bo brakowało jeszcze wielu gości.

Constance przeszła z talerzem w dłoni, mijając cynaderki, jajka w majonezie, przepiórki, bażanta krojonego w plastry, bekon i owsiankę, aż w końcu zdecydowała się na bułkę i filiżankę kawy.

- O, panno Lloyd, jaka piękna suknia - szepnął jej do ucha Joseph.

Uśmiechnęła się, ale na niego nie spojrzała. Nie było potrzeby.

- Czy nie sądzi pan, że w biało-zielonych paskach wyglądam jak chodząca markiza znad drzwi?

- To prawda, ale jeszcze nie widziałem tak atrakcyjnej markizy. Masło?

- Poproszę.

- A pani nic nie powie o moim eleganckim stroju? Sam go uszyłem.

Dopiero teraz na niego spojrzała. Był w pięknie skrojonym, brązowym tweedowym surducie z obciągniętymi skórą guzikami. Miał świeżo zaczesane włosy i w porannym oświetleniu prezentował się znakomicie.

- Naprawdę sam pan go uszył?

- Nie. Ale wiedziałem, że pani osłupieje z wrażenia. A ja dzięki temu mogę bezpiecznie sięgnąć po jajka.

Oboje wybuchnęli śmiechem, reszta gości spojrzała na nich niezbyt przytomnie, nikt bowiem jeszcze nie dopił pierwszej filiżanki kawy czy herbaty.

- Czy zaszczyci mnie pani towarzystwem i wybierze się ze mną na przejażdżkę? - Joseph wrócił do bufetu.

- Na przejażdżkę?

- Tak. Myślę, że to dobry pomysł, zważywszy, że inni będą w tym czasie strzelać albo siedzieć w salonie, szkalując ludzkie charaktery. Philip również z nami pojedzie. Zaproponowałem mu to wczoraj, gdy już wszyscy udali się na spoczynek.

- A pan nie chce wybrać się na polowanie?

- Dzisiaj nie. Wolałbym konną przejażdżkę, lord Hastings z pewnością też.

- Dziękuję - szepnęła.

- Niech mi pani nie dziękuje, póki nie zobaczy mnie pani na koniu. - Mrugnął do niej i podszedłszy do wielkiego stołu, usiadł między dwoma dżentelmenami. Przez chwilę przyglądała mu się, zachowywał się bardzo swobodnie i był niezwykle towarzyski. Bez trudu umiał się znaleźć do każdej sytuacji.

A przecież dopiero co zmienił plany tylko po to, żeby ona nie musiała polować. Zastanawiało ją w tej chwili tylko jedno.

Kim właściwie jest Joseph Smith?

Przed jedenastą Constance i Joseph znaleźli się w stajniach, gdzie przyszli wybrać wierzchowce. Constance się wahała, zakładała bowiem, że Joseph musi niezbyt dobrze jeździć konno. Wszak w młodości nie miał okazji się tego nauczyć. Tymczasem biegłość w konnej jeździe zdobywa się przez lata praktyki. Właśnie miała mu zasugerować wybór spokojnego, łagodnego konia, gdy nadszedł Owen, służący Philipa.

- Panno Lloyd, panie Smith, lord Hastings z żalem zawiadamia państwa, że nie czuje się najlepiej. Prosi o wybaczenie, ale nie będzie mógł państwu towarzyszyć.

- Ojej. - Constance zapięła skórzaną rękawiczkę, nie wypuszczając z dłoni szpicruty. - Muszę do niego iść, zobaczyć, co mu jest.

- Lord Hastings chce pozostać w samotności, szanowna pani. Jego dolegliwość jest, hm, niezwykle delikatnej natury.

Constance wyobraziła sobie Philipa w takim stanie i uznała, że nie chce mieć nic wspólnego z takim obrazem ani w wyobraźni, ani w rzeczywistości. Przyczyny „choroby” nietrudno było dociec, jeśli wziąć pod uwagę ilość i różnorodność wina, wypitego przez Philipa poprzedniego wieczoru.

- Rozumiem.

- Proszę przekazać lordowi Hastingsowi nasze najszczerze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia - powiedział Joseph do Owena. Młodzieniec przestępował z nogi na nogę, jakby chciał jeszcze dodać jakąś informację. W końcu jednak skłonił się, odwrócił i odszedł, wciskając czapkę na głowę.

Constance umknęła wzrokiem przed spojrzeniem Josepha.

- Cóż - bąknęła. - Zdaje się, że potrzebujemy tylko dwóch wierzchowców. Ten Philipa jest dość krnąbrny, ale już osiodłany.

- Niech będzie. Pojadę na nim.

- Czy jest pan pewien, Josephie? Możemy znaleźć panu spokojniejszego wierzchowca, jeśli pan sobie życzy.

- Nie, dziękuję. Ten Philipa będzie dobry. O, idzie stajenny z końmi.

Chłopak wsunął wodze pierwszego wierzchowca w rękę Constance.

- Będziemy potrzebować tylko dwóch koni. - Constance uśmiechnęła się i poklepała swojego po pysku. - Jakie piękne zwierzę - powiedziała przymilnie, tyleż do konia, co do stajennego.

- To prawda, proszę pani. A tu jest koń dla pana. - Chłopak podał Josephowi wodze wielkiego czarnego ogiera. Koń poruszył nozdrzami i parsknął. Potem przewrócił oczami, jakby się spłoszył, i uderzył przednimi kopytami w ziemię.

- Dobry konik - rzekł Joseph, stając na odległość ramienia od zwierzęcia. Zaraz jednak się cofnął, bo koń wykonał nagły ruch w bok.

- Och, Josephie, jest piękny. - Constance pogłaskała ogiera po grzywie. - Może wolałbyś klacz? - spytała cicho, tak żeby stajenni nie usłyszeli. Tymczasem nadeszli również inni goście, i zaczęli wybierać wierzchowce.

- Nie. Ten ogier mi się podoba i jest osiodłany. Poza tym nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym jeździć na damskim siodle. - Skinął głową wskazując klacz. Obok przechodził właśnie stajenny z wiadrem pełnym owsa. - Przepraszam, jak ten koń się nazywa?

- Ta klacz? Liryka, proszę pana.

- Liryka? - wykrzyknęła Constance. - Jakie urocze imię. Doskonałe imię dla takiej ślicznej klaczy. Jesteś śliczna, prawda? Na pewno! - Ucałowała pysk Liryki, a zwierzę, jakby chcąc odwzajemnić okazane uczucie, otarło pysk o policzek Constance.

- A ogier? Jak ma na imię ten ogier?

- O, to jest Lucyfer, potomek Belzebuba.

- Bez wątpienia dobry znajomy szatana - mruknął Joseph.

- Słucham pana? - nie zrozumiał stajenny.

- Nic takiego. - Prawdę mówiąc, Joseph nie przepadał za końmi. Były dla niego wielkimi, samowolnymi zwierzętami, z którymi obchodził się tak samo, jak z nie chcianym partnerem w interesach: bez manifestowania ciepłych uczuć i władczo.

Lucyfer wyrwał do przodu, rzucając łbem, Joseph musiał więc wybiec za nim na dziedziniec. Gdy tylko znaleźli się na dworze, ogier zaczął zarzucać kopytami.

Constance wyprowadziła na dwór Lirykę.

- Lucyfer wyraźnie tęskni do swej codziennej porcji galopu - stwierdziła.

Joseph musiał chwycić wodze w obie ręce i zaprzeć się nogami, żeby przytrzymać konia w miejscu.

- Dość tego. Nie będziesz mi się tu popisywać - syknął Lucyferowi do ucha. Koń przestał się wrywać i spojrzął na Josepha złym wzrokiem. - Tak, do ciebie mówię.

- Słucham? - zainteresowała się Constance.

- Mówiłem do konia.

- Aha. - Z pomocą stajennego Constance wkrótce znalazła się w siodle i poprawiając spódnicę, klepała Lirykę po bokach.

Joseph przyglądał jej się z niekłamanym podziwem. Kostium jeździecki Constance, w ciemnym odcieniu leśnej zieleni, znakomicie uwydatniał krągłości ciała. Cylinder z niewielką woalką, włożony na bakier, zwracał uwagę na jej ciemne włosy, połyskujące w słońcu.

Była wcieleniem wdzięku i elegancji; blaskiem zaćmiłaby najbardziej wyrafinowane debutantki. Zwróciła się do niego i uśmiechnęła. Nie mógł nie odpowiedzieć tym samym.

Była urocza.

- Jedziemy, panie Smith! - zawołała.

- Naturalnie. - Przestał rozmyślać o tym, jak ładnie wygląda Constance. Z determinacją zaczął wdrapywać się na konia, ale ponieważ akurat przypomniawszy mu się jej uśmiech, nie trafił stopą w strzemień. - Co pani mówiła, panno Lloyd?

Bardzo ostrożnie zmusił Lucyfera, żeby podszedł bliżej do klaczy, i zniemacka zatrzymał go mocnym szarpnięciem wodzy. Poklepawszy konia po karku, pytająco zerknął na swą towarzyszkę.

- O! - zdziwiła się Constance, którą Joseph Smith po raz kolejny zaskoczył; niewątpliwie umiał jeździć konno. Lucyfer nie był potulnym kucykiem, lecz wielką bestią, bez przesady można powiedzieć, że niebezpieczną. A mimo to Joseph okiełznał ogiera, choć zdawało się, że zrobił to czystą siłą woli. - Jedziemy? - spytała jeszcze raz Constance, przypinając kapelusz do włosów dodatkową szpilką.

- Pani pierwsza. - Skinął głową z przesadną galanterią, więc znów uśmiechnęła się do niego. Siedziała swobodnie w siodle, lekko przytrzymując na podołku wodze i szpicrutę. W tej właśnie chwili rozległ się odgłos wystrzału; myśliwi rozpoczęli współzawodnictwo na odległej rubieży.

Najwidoczniej jednak nikt nie poinformował Liryki, tej najspokojniejszej z klaczy, o planach na ten ranek. Po pierwszej serii strzałów Liryka puściła się galopem. Szpicruta Constance upadła na kamienie dziedzińca, wodze zwiślały przy szyi klaczy.

Zanim Constance albo Joseph zdążyli zareagować, zwierzę wypadło za ogrodzenie, zostawiając za sobą bramę, kołyszącą się na zawiasach.

- Do diabła! - zaklął Joseph, wbijając pięty w boki Lucyfera. Koń, zaskoczony nagłym zamieszaniem, przesadził ogrodzenie tuż przy bramie i pogalopował śladem klaczy.

Joseph zmrużył oczy, oślepione słońcem. Constance mignęła mu pod szczytem pobliskiego wzgórką. Kurczowo trzymała się grzywy Liryki, usiłując jednocześnie chwycić za wodze i pozostać w siodle.

- Naprzód, Lucyferze! - nakazał Joseph i ogier, kładąc uszy po sobie, pogalopował jeszcze szybciej, jeśli w ogóle było to możliwe. Wkrótce Joseph zrównał się z Constance.

Nie krzyknął do niej, uznał bowiem, że tętent kopyt i tak wszystko zagłuszy, a nie chciał jeszcze bardziej spłoszyć klaczy. Podjechał więc najbliżej Constance, jak tylko mógł, i nagle ujrzał wyrastający przed nimi kamienny mur. Zrozumiał, że to ostatnia chwila na zatrzymanie klaczy. Miał jedną, jedyną szansę.

Pochyliwszy się w prawo, chwycił luźno zwisające wodze i mocno za nie szarpnął. Klacz natychmiast się zatrzymała, wyrzucając Constance z siodła.

- Prr! - Joseph zatrzymał Lucyfera i zeskoczył na ziemię. - Constance?

Leżała na trawie, twarzą w dół. Delikatnie ją obrócił, lękając się tego, co może zobaczyć.

Oczy miała otwarte, a na jej umazanej ziemią twarzy malował się wyraz skrajnego zażenowania.

- Strasznie mi wstyd, panie Smith - szepnęła.

Uśmiechnął się szeroko; dopiero teraz uświadomił sobie, że z wrażenia wstrzymał dech.

- Potrzeba trochę czasu, żeby przyzwycząić się do nowego wierzchowca, panno Lloyd. -

Delikatnie pomógł jej usiąść, wygładził nieco jej spódnice i oczyścił ją z gałązek.

- Nie jestem pewna, czy Liryka zasługuje na miano wierzchowca. - Constance zaczęła z powrotem przypinać kapelusz, ale szybko się rozmyśliła i go zdjęła. - Nie byłam na jej grzbiecie dostatecznie długo, by można było użyć tego słowa. Spojrzała na twarz Josepha. Na skroni pulsowała mu żyła. - Dziękuję - odezwała się cicho.

Chciał odpowiedzieć, ale tylko z mchu warg można było odczytać: „Nie ma za co”. Wciąż wpatrywał się w Constance.

Nagle wstał i wyciągnął do niej rękę. Przyjęła pomoc, a gdy się podniosła, Joseph ją przytulił.

Przez chwilę stali nieruchomo tak blisko siebie, że czuli ciepło swoich ciał.

- Constance... - Nie dokończył.

- Słucham.

- Nie jestem wobec pani uczciwy. Muszę...

- Hej tam, Smith, panno Lloyd! - Na szczycie wzgórze ukazał się zmierzający w ich stronę żywym krokiem lord Collins. Joseph cofnął się o krok i opuścił ręce. Collins trzymał u boku strzelbę.

- Udało mi się, że was spotkałem, hm?

- Pieskie szczęście - mruknął Joseph pod nosem, a potem rzekł głośno: - Witaj, Collins.

- Dzień dobry. - Constance skinęła głową nachodzącemu mężczyźnie.

- Czy nie widzieliście ciężko rannego bażanta? Postrzeliłem jednego, ale temu przekłętemu bydlęciu zachciało się bawić w chowanego.

- Niestety, nie widzieliśmy bażanta - odrzekł Joseph.

- Nie? To szkoda. Myślałem, że ten jest już mój. Wracacie do Sandringham? Zbliża się lunch.

- Nie wiem... - bąknęła Constance.

- Tak. Rzeczywiście, panno Lloyd, powinniśmy wrócić - zdecydowanie powiedział Joseph.

- Naturalnie - przyznała, choć słowa więzły jej w gardle.

- No, więc jak? Idziemy razem?

- Zgoda. - Joseph ujął wodze Lucyfera i po prawie niezauważalnym wahaniu podał wodze Liryki Constance.

- Dam sobie radę - odpowiedziała na nie postawione głośno pytanie, a Joseph się uśmiechnął.

- Jak pani znajduje syna królowej? Morowy chłop, prawda? - Lord Collins przeszedł w towarzystwie Constance i Josepha całą drogę do stajni, bardzo zadowolony z jednostronnej konwersacji.

Constance tyle chciała powiedzieć Josephowi. Ale uznała, że tak chyba jest lepiej. Może tak było w ogóle najlepiej.

Constance nie zeszła na lunch, wymawiając się silnym bólem głowy, którego zresztą wcale nie wymyśliła.

Stella chciała przynieść jej tacę do pokoju, ale sama myśl o jedzeniu budziła w jej pani żywiołową niechęć. Constance chciała tylko w spokoju zebrać myśli i uporządkować zamęt uczuć.

Co się stało tam, na wzgórzu?

Dlaczego poczuła się tak dziwnie? Zamroczyło ją i zbierało jej się na mdłości. Nie był to tylko skutek wstrząsu po upadku. Constance przeżyła niejedno podobne doświadczenie, wiedziała więc, że jej objawy mają niewiele wspólnego z wysadzeniem z siodła.

W głębi duszy знаła przyczynę tego stanu. Dzięki Josephowi zakosztowała szczęścia, prawdziwego szczęścia, a zdarzyło jej się to pierwszy raz od niepamiętnych czasów.

Znów przypomniała sobie, czym jest radość, zachwyt, przyjemność z każdej chwili. Pierwszy raz od ponad dziesięciu lat myślała o przyszłości, nie żyła z dnia na dzień, nie miała poczucia winy, że się roześmiała.

Powód był dla niej zrozumiały i dlatego gryzł ją niepokój.

Zakochała się w Josephie.

Ale była zaręczona z Philipem.

- Och, nie - westchnęła i przewróciła się na wznak.

Uczucia rodziły się powoli, ale nagle wszystko zaczęło się dziać w oszaleńcującym tempie, jakby gwałt znalazł się na szczycie góry i teraz staczał się w dół, nabierając zawrotnej szybkości. Constance wiedziała, co to miłość, ale nigdy dotąd nie była zakochana. A teraz zakochała się po uszy w najlepszym przyjacielu narzeczonego.

Ich przyjaźń była niewątpliwie dziwna. Philip i Joseph nie mieli ze sobą wiele wspólnego, jeśli nie liczyć wspomnień ze szkolnej ławy. Mimo to łączyła ich niezaprzeczalna więź, po prostu się lubili. Nie wolno jej było stawać między nimi, zresztą wcale tego nie chciała.

Poza tym nawet nie mogła. A to z tej przyczyny, że Joseph Smith nie zwracał na nią uwagi. Lubił ją, rzecz jasna. Były nawet chwile, gdy uczucia ponosiły go dalej. Natychmiast jednak wycofywał się, uświadamiając sobie fałszywy krok.

To wszystko zamierzała mu powiedzieć właśnie wtedy, gdy nadszedł lord Collins. To dlatego Joseph tak skwapliwie podchwycił propozycję powrotu. Co za upokorzenie.

Los przeznaczył jej więc małżeństwo z Philipem i widywanie Josepha raz na kilka miesięcy podczas jego wizyt w Londynie. Bez wątplenia się ożeni, raczej prędzej niż później, a potem zacznie wozić ze sobą rodzinę. Jego żona pewnie będzie blondynką. Elegancką, bystrą. Będzie baczenie mu się przyglądać, wypatrywać zmian nastroju, kłaść mu dłoń na dłoni, gdy powie coś zabawnego przy stole.

A on będzie otulał ją szalem w chłodne wieczory, trzymając przez chwilę ręce na jej ramionach. Będzie dotykał jej włosów, gęstych, lśniących, a palcem czule obwodził zarys delikatnych ust, zamykając oczy, by skupić się na dotyku.

Nienawidziła jego przyszłej żony.

Nagle usiadła. Musiała iść na spacer, żeby przestać się dręczyć takimi myślami.

Szybko się ubrała, nie trudząc Stelli prośbą o pomoc, wy-szczotkowała i upięła włosy, a potem obmyła oczy zimną wodą, żeby nie było widać, że płakała. Jej suknia z żółtawego jedwabnego brokatu była o wiele za ładna, by marnować czas na smutki, a odbicie, które Constance zobaczyła w stojącym lustrze, powinno było natychmiast ją pocieszyć.

Ale Constance tylko wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju. Wędrowała długimi korytarzami, zastanawiając się, ile czasu spędziła ostatnio na chodzeniu po nieznanym wnętrzu.

Sandringham robiło duże wrażenie. Constance ziewnęła i mimo woli się uśmiechnęła.

Oto ona, Constance Lloyd, jeszcze miesiąc temu skromna guwernantka w domu na wyspie Wight, ziewa, chodząc po rezydencji księcia Walii. Sytuacja była w najwyższym stopniu absurdalna. Krok Constance odzyskał nieco sprężystości.

Nagle zobaczyła postać pochyloną nad czymś na progu. To był bez wątpienia on. Ten sam surdut, te same rudawe błyski we włosach. To był Joseph.

Zareagował zupełnie tak, jakby zawołała go w myślach. Poderwał głowę i natychmiast wstał.

- Panna Lloyd. - Wydał jej się zakłopotany.

- Tak, panie Smith - odrzekła, królewskim gestem nieznacznie skłaniając głowę. Czas zacząć się zachowywać tak jak należy, pomyślała.

Chciała go wyminąć, choć zdawała sobie sprawę, że Joseph się w nią wpatruje. Kątem oka zauważyła u jego stóp skórzaną torbę z zestawem próbek, jakichś przyborów i kawałków materiału. Przeszła jeszcze kilka kroków i przystanęła.

- Co pan robi? - Ciekawość okazała się silniejsza od jej postanowienia.

- Stoję w sieni. Nawiasem mówiąc, straciła pani pyszny lunch. Książę skonsumował nader liczną rodzinę przepiórek.

- Dokąd wszyscy poszli?

- Niektórzy ucinają drzemkę na górze, inni prowadzą życie towarzyskie na trawniku. Obawiam się, że w większej odległości od rezydencji nie jest bezpiecznie, bo Collinsowi udało się zebrać grupę chętnych do poszukiwania bażanta.

Starła się ukryć uśmiech.

- Biedny bażant padnie z wyczerpania, a nie z upływu krwi.

- Nagle spoważniała. - Dziękuję jeszcze raz za wszystko, co zrobił pan dla mnie dziś rano.

- Nie ma za co. Czy dobrze się pani czuje? Skinęła głową.

- Już lepiej, dziękuję. Gdzie pan się nauczył tak jeździć konno?

- Wiem, że nie jestem doskonałym jeźdźcem, ale...

- Och, nie. Miałam na myśli, że pan jeździ wspaniale. Naprawdę.

Chyba sprawiła mu przyjemność.

- Cóż, właściwie nie wiem. - Wzruszył ramionami, dając znak, że to wszystko, co ma do powiedzenia na ten temat.

Constance chciała odejść, ale nagle nasunęło jej się pytanie.

- Co pan chciał powiedzieć dziś rano? Zanim nam przerwano. Bo zaczął pan coś mówić.

- Naprawdę? Nie pamiętam. - Z jego miny mogła jednak bez trudu wyczytać, że doskonale wie, co chciał powiedzieć.

- Philipa nie było na lunchu.

- Nie?

Joseph pokręcił głową.

- Zdaje się, że Viola zaniósł mu tacę do pokoju.

- To bardzo uprzejmie z jej strony. Myślę, że oni bardzo się przyjaźnią. Cieszę się, że Philip ma taką przyjazną duszę.

- Ja też, Constance, bo i ja jestem jego przyjacielem. I pani przyjacielem. - Wyciągnął do niej rękę. - Może najlepiej będzie, jeśli zapomnimy o dzisiejszym poranku. I o tym, co stało się w bibliotece, również. Będziemy przyjaciółmi?

Skinęła głową.

- Przyjaciółmi.

Dlaczego nagle zebrało jej się na płacz? Nie chciała się z nim rozstać, jeszcze nie. Pragnęła z nim pobyc jeszcze chwilę. Jeszcze kilka chwil.

- Co pan tu robi? - Wskazała ręką skórzaną torbę i probówki.

- Nic. Po prostu stoję.

- Nie. Mam na myśli tę sakwę, czy jak to nazwać. Niech pan mi powie, co pan robił.

Uśmiech mu zgasł.

- Proszę panią, Constance, niech pani wyświadczy przysługę nam obojgu i o tym również zapomni.

- Teraz dopiero mnie pan zaintrygował! Nigdzie stąd nie pójde, dopóki mi pan wszystkiego nie wyzna. - Zerknęła jeszcze raz na torbę. - Co pan robi? Wkłada pan coś do środka czy wyjmuje?

- Mówię poważnie. Constance, niech już pani idzie.

- Hmm. Cokolwiek pan robi, nie chce pan, żeby o tym wiedziano.

Nie odpowiedział.

- A służba? Czy służba wie, co pan robi?

- Do widzenia, Constance. Niech pani stąd idzie. Natychmiast.

- Chwileczkę. - Spojrzała mu prosto w oczy. Pan mówi poważnie?

- Owszem.

- Ale to nie wpędzi pana w kłopoty?

- Nie, jeśli będzie pani milczała.

- Josephie, to pachnie czymś niebezpiecznym. - Chciała dokładniej przyjrzeć się probówkom, ale zastąpił jej drogę.

- Nie chcę, żeby pan napisał sobie biedy.

- Ja też nie chcę.

W sieni panowała cisza, dywany na podłodze głużyły wszystkie odgłosy. Byli sami.

Patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Znów zaczęła mu pulsować żyła na lewej skroni. Constance zapatrzyła się w to miejsce i nie mogła oderwać od niego wzroku. Zwróciła na nie uwagę już wcześniej, tamtego ranka w oberży, gdy pomógł jej wstać. Teraz bardzo wolno podeszła do Josepha i dotknęła tego miejsca palcem.

Trwał w bezruchu.

- Ma pan tutaj żyłę - powiedziała cicho. - Pulsuje. Ani mrugnął.

- To się zdarza tylko wtedy, gdy jestem... - przełknął ślinę - gdy jestem czymś poruszony.

- Czy teraz jest pan poruszony?

Skinienie głowy, którym odpowiedział, było tak nieznaczne, że nie dostrzegłaby go, gdyby nie trzymała palca na skroni Josepha.

- To bardzo dziwne uczucie. - Spojrzała mu w oczy i przez chwilę w nie patrzyła, póki nie cofnęła ręki. - Niech pan na siebie uważa, Josephie. Niech pan uważa.

Odwróciła się i odeszła.

- I pani też, moja... - Urwał. - Moja przyjaciółko.

Nie spojrziała za siebie, ale i bez tego czuła na plecach jego wzrok. Ulżyło jej, gdy wreszcie skręciła za załomem korytarza.

10

Czy pani rysuje, panno Lloyd?

Abigail Merrymeade spojrziała na Constance z dziwnym uśmiechem. Było w nim coś nienaturalnego. Nie pasował do twarzy, która wyrażała nieustającą pogardę dla ludzi.

Kobiety zbierały się w salonie na popołudniową herbatę. Większość mężczyzn wciąż jeszcze była na świeżym powietrzu, gdzie puszyła się trofeami z całego dnia albo odpoczywała w specjalnym namiocie dla myśliwych.

- Nie, lady Merrymeade. Moje talenty nie obejmują rysowania, bynajmniej nie dlatego, żebym nigdy nie próbowała.

Może Abigail chce pokonwersować bez żadnego ukrytego celu, pomyślała Constance, wracając spojrzeniem do wielkiego atlasu, który przeglądała.

- A może pani szydełkuje albo haftuje?

- No cóż. - Constance śledziła palcem bieg Missisipi. - Próbowałam i tego, i tego, ale, niestety, osiągnęłam wyniki niewspółmierne do wysiłków.

- Może wobec tego pani mocną stroną jest muzyka, panno Lloyd.

Constance wzruszyła ramionami.

- Uwielbiam muzykę.

- Na jakim instrumencie pani gra?

- Na fortepianie, ale niezbyt dobrze. Wystukuję palcem dziecięce melodyjki.

- Och, niech pani nie będzie taka skromna. Jesteśmy tu wśród przyjaciół. Czuję, że pani ma przede mną sekrety.

- Nie mam sekretów, lady Merrymeade. Trochę gram na fortepianie.

Lady Trent, która była zajęta studiowaniem pejzażu wykonanego akwarelą, zwróciła się do Abigail i Constance:

- Fortepian jest cudownym instrumentem. Czy widziały panie, jaki znakomity fortepian jest w pokoju muzycznym?

- Nie, lady Trent. Nie widziałam. - Abigail znów spojrziała na Constance. - Czyli gra pani na fortepianie? To wspaniale. Nie sądziłabym, że guwernantka może grać na fortepianie. Przypuszczam więc, że nauczyła się pani tego we wczesnym dzieciństwie. - Ton jej głosu wyraźnie wskazywał, że Abigail ma złe zdanie o dzieciństwie Constance.

- To prawda. - Constance wciąż była w żółtej sukni. Nie przebrała się, bo nie była na lunchu, więc nikt oprócz Josepha tej sukni nie widział.

- A niech mi pani powie, czy zechce pani zagrać dla nas w Sandringham?

- Obawiam się, że nic z tego nie będzie. Potrafię grać tylko piosenki dla dzieci.

- To zabawne, panno Lloyd. Ale przypuszczam, że jako guwernantka, która grywa na fortepianie i jest zaręczona z młodszym synem księcia, ma pani duże możliwości rozwinięcia talentu do opowiadania.

- Raczej nie mam zwyczaju nikomu opowiadać żadnych historii, chyba że bajki dla przyjemności dzieci. Czy chce pani posłuchać?

Lady Collins zdołała zamaskować chichot, bardzo przekonująco upozorowawszy atak kaszlu.

- Przepraszam.

- To dopiero ucieszne. - Abigail próbowała się uśmiechnąć, ale w rezultacie tylko zaprezentowała wszystkim swoje wystające, pożółkłe zęby i szybko zamknęła usta, zanim można było ocenić urodę uśmiechu.

Do salonu weszła Viola Rathbottom.

- Księżna zaraz do nas przyjdzie - oznajmiła.

- O, panna Rathbottom. Jak się czuje lord Hastings? - spytała Constance.

Viola spłonęła rumieńcem, a Abigail tym razem się uśmiechnęła.

- Słyszałam, że była pani tak uprzejma i zaniósła mu lunch na tacy. Bardzo dziękuję. Nie czułam się dobrze, więc nie mogłabym tego zrobić. Czy lord Hastings już ma się lepiej?

Viola wyglądała tak, jakby jej ulżyło.

- Bez wątpienia tak, panno Lloyd. Odniosłam wrażenie, że jego zdrowie szybko się polepsza. Przepraszam, bo niezupełnie dobrze zrozumiałam, co pani miała na myśli.

Constance przygryzła wargę, patrząc, jak Viola siada obok lady Trent. Abigail nadal się uśmiechała.

Zanim księżna przyszła na herbatę, wybiła szóstka i do salonu zaczęli się schodzić również mężczyźni. Constance usłyszała głos narzeczonego; Philip roześmiał się z czegoś, co powiedział księżę, a co najwyraźniej tylko on uznał za śmieszne.

Na dźwięk znajomego głosu Constance poczuła, że serce jej zamiera. To był jej przyszły mąż, ten pusty śmiech, nijaki głos. Rozum się z tym pogodził, ale uczucia gwałtownie się burzyły przeciwko tej myśli.

To dziwne, ale zdawało jej się, że teraz zna go jeszcze mniej niż wtedy, gdy tańczyli w Cowes. Dawniej, gdy widziała, jak konno przejeżdża drogą, wyobrażała sobie jego charakter, próbowała z wyglądu odgadnąć osobowość. Dlatego poczuła, że jest jej bliski, choć w rzeczywistości bliska była tylko jej własna wizja Philipa.

Z Josephem było zupełnie inaczej. Poznawała go stopniowo, jakby zdzierała skórę po skórcie z cebuli, a każda warstwa ujawniała więcej siły charakteru.

Nad Lucyferem zapanował samą siłą woli i dzięki temu ją uratował. Podobnie osiągał inne cele. Siłą wewnętrzną i wolą.

- Panno Lloyd? Lady Collins zadała pani pytanie. Zdaje się, że była pani gdzieś bardzo daleko od nas. - Lady Trent uśmiechnęła się do Constance.

- Przepraszam. Czy mogłaby pani powtórzyć pytanie, lady Collins?

- Och, to nie było nic ważnego. Pytałam, czy pani i lord Hastings ustaliliście już datę ślubu?

- Ślubu? Tak. To znaczy ustalonej daty jeszcze nie ma. Księżna chciała poczekać z tym do naszego powrotu z Sandringham.

Viola znieruchomiała. Wprawdzie udawała, że zainteresowała ją trójwymiarowa podobizna Koloseum w Rzymie, ale przysłuchiwała się tej wymianie zdań z wielką uwagą.

- Wnoszę, że do tego ślubu jest bliżej niż dalej. - Lady Trent promieniała. - Ach, narzeczeństwo. Coś wspaniałego, czyż nie?

Constance znów uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale wcale nie czuła, by narzeczeństwo było czymś wspaniałym.

W drodze na kolację księżciu towarzyszyła do jadalni Abigail Merrymeade. Przyjęła ten zaszczyt z wystudiowaną elegancją, tylko niezwykle blask w jej oczach świadczył, że wybór ją zaskoczył i bardzo jej pochlebił.

Księżna, która uprzejmie słuchała opisów zabijania zwierząt na polowaniu, weszła do jadalni z dżentelmenem, który akurat był po jej lewej ręce. Los padł na Philipa.

Constance przez chwilę stała sama, zaraz jednak u jej boku pojawił się Joseph.

- Można? - Podał jej ramię.

- Naturalnie. Ale mamy mnóstwo czasu. Muszą wejść wszyscy dostojni goście, a ponieważ jesteśmy tylko panną Lloyd i panem Smithem, możemy spokojnie zrobić tymczasem coś pożytecznego.

- Ma pani rację. Może napiszemy powieść?

- No, czas na to mamy. Ale może zdecydujemy się na coś bardziej pożytecznego. Na przykład spróbujemy wynaleźć lekarstwo na przeziębienie.

- Albo odkryjemy, dlaczego ludzie toczą wojny.

- Albo znajdziemy sposób na to, żeby politycy stali się nieprzekupni.

- I żeby ryba sprzed tygodnia pachniała jak słodycze. - Joseph roześmiał się.

Przez cały czas Constance wyraźnie czuła ciepło jego ciała, dotyk ramienia. Joseph zerknął na nią i chciał coś powiedzieć, ale zamknął usta.

- Josephie - szepnęła.

Jego wzrok nabrał niezwykłej ostrości. Zdawało się, że nie zatrzymuje się na rysach twarzy, lecz przenika głębiej, aż do duszy.

Przystanęli, Joseph odrzucił głowę do tyłu, jakby chciał przegnać niepożądane myśli.

- Nasza kolej - rzekł całkiem zmienionym tonem, ochryple. Patrzył prosto przed siebie.

Posadzono ich na sąsiednich miejscach, chociaż potem Constance nie miała innego wyjścia, jak wdać się w długą wymianę zdań z lordem Trentem na temat przepiórczych jaj w galarecie i krojenia ich w taki sposób, żeby nie przypominały gniewnie spoglądających oczu. W połowie jedzenia ryby uświadomiła sobie, że coś leży pod jej talerzem. Okazało się, że to karteczka.

Najpierw Constance myślała, że do spodu talerza przylepił się kawałek starego jadłospisu. Ale jadłospisy były kremowe, a nawet w migotliwym świetle dziesiątek świec było widać, że karteczka jest biała.

Postanowiła zachować ostrożność. Powoli przesunęła stopę w kierunku Josepha i stuknęła kilka razy czubkiem pantofelka w jego but. Joseph odpowiedział leciutkim stuknięciem w jej pantofelek, ale poza tym ani drgnął.

Księżę snuł budującą opowieść o zwycięstwie Anglików w wojnie krymskiej, powtarzał ją zresztą już nie pierwszy raz przed tym samym audytorium, jako że niewielu obecnych znało te wydarzenia z własnych doświadczeń. Zdobył grono słuchaczy, a wkrótce opanował cały stół, gdyż pozostałe rozmowy wygasły, a wszystkie głowy zwróciły się w stronę następcy tronu.

- Więc pułkownik i porucznik, mimo cierpieli z powodu szkorbutu, mimo odniesionych ran...

Nie odwracając głowy, Joseph skupił wzrok na Constance. Wysunęła rozek kartki spod talerza, żeby go zobaczył. Joseph nieznacznie poruszył głowę. Najwyraźniej nie wiedział, co to jest.

Stół nakryto wcześniej, więc ktoś musiał wsunąć tę kartkę celowo, specjalnie dla niej.

- Poderwał się i ostatkiem sił... - Księżę był w wyśmienitej formie, chociaż nawet odtwarzając burzliwe wydarzenia, nie był w stanie powstrzymać się przed jedzeniem. W czasie dramatycznych pauz nieustannie napełniał usta.

Constance powoli pociągnęła za kartkę, żeby sprawdzić, co na niej jest. Początkowo wydało jej się, że jedynie kilka linijek przypadkowych bazgrołów. Zmarszczywszy czoło, wysunęła większy kawałek papieru. I wtedy zobaczyła.

Był to starannie wykonany rysunek; przedstawiał nagiego mężczyznę.

Joseph, który właśnie przytknął do ust kieliszek bordeaux, zaczął się krztusić, a Constance szybko wsunęła kartkę z powrotem pod talerz.

Zdażyła zobaczyć, że nagi mężczyzna tańczy na fortepianie i trzyma nad głową flagę Konfederacji. Twarzy nie widziała, zresztą nie twarz była najważniejsza na tym rysunku.

Księżę niczego nie zauważył, wciąż bez reszty pochłonięty swą opowieścią.

Constance wbiła wzrok w ścianę. Co mógł znaczyć ten rysunek? Któż mógłby...

Abigail Merrymeade.

Constance zerknęła na drugi koniec stołu i zobaczyła lekki uśmieszek na wargach Abigail. Wydawała się zasłuchana w słowa księcia.

W tej właśnie chwili do Constance podszedł lokaj i chciał zabrać pusty talerz. Wyciągnęła rękę i z całej siły zacisnęła palce na krawędzi talerza. Lokaj pociągnął mocniej, nie chcąc robić sceny. Constance kurczono trzymała.

- Proszę pani - syknął.

Udała, że nie słyszy, uśmiechem wyrażając zadowolenie z pointy opowiadania księcia.

- Pani talerz, proszę. Muszę go sprzątnąć.

Znów udała niewiniątko, chociaż od wysiłku pobieleły jej knykcie.

Joseph zaczął się dławić.

Przerażona Constance patrzyła na sąsiada, wydającego z siebie straszne dźwięki. Lokaj przestał domagać się talerza, a przy stole rozległ się szmer głosów wyrażających troskę o pana Smitha.

- I co teraz?

- Ojej, jak głośno.

- Uderzcie go w plecy i będzie po wszystkim. Uderzcie w plecy.

Constance wpadła w panikę. Próbowała rozluźnić Josephowi fular, ale musiała poprosić o pomoc. Wreszcie na chwilę skrzyżowali spojrzenia i wtedy Joseph zupełnie jednoznacznie mrugnął do niej, zwracając jej uwagę z powrotem na talerz.

- Och - westchnęła i w czasie, gdy damy zerwały się z miejsc i wachlowały pana Smitha, a mężczyźni kolejno uderzali go między łopatkami, wyciągnęła kartkę spod talerza, złożyła ją pod stołem i schowała do torebki.

Josephowi polepszyło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Dziękuję. O, tak, dziękuję panu. Nie, nie, mam tu wodę.

Posiłek trwał dalej, ze zdezorientowanym księciem przy jednym końcu stołu, niewzruszoną jak zawsze księżną przy drugim i uszczęśliwionym lokajem, który wreszcie przejął talerz po rybie Constance.

- Biedak. - Lord Collins westchnął. - Jakoś nie wydaje mi się, żeby to był udany weekend dla pana Smitha.

- W rzeczy samej przyznała jego żona. - Zdaje się, że czarne chmury gromadzą mu się nad głową. Najdroższy, zrób coś dla mnie, dobrze?

- Naturalnie.

- Jeśli pan Smith będzie jutro brał udział w polowaniu, postaraj się zająć stanowisko jak najdalej od niego. Wolę nie myśleć o broni w jego rękach.

- Dobrze, kochanie. Będę trzymał się z dala od tego biedaka.

Pukanie do drzwi obudziło Constance dobrze przed świtem.

Przez większą część nocy i tak nie mogła spać, a przy okazji ze zdziwieniem stwierdziła, że bezsenność w pięknym pokoju, pod puchową pierzyną i w eleganckiej pościeli jest nie mniej przykra niż w pokoiku guwernantki na poddaszu.

Włożyła szlafrok i znieruchomiała. Może jej się wydawało, że ktoś pukał. Może to był sen.

Za drugim razem pukanie było odrobinę głośniejsze i bardziej natarczywe.

Stanąwszy przy drzwiach, zawahała się. Wielokrotnie słyszała kuchenne plotki na temat obyczajów w wiejskich rezydencjach. Było normalne, że gospodarze przymykają oko na częste odwiedziny w środku nocy, a nawet pomagają w cudzołóstwie, rozmieszczając pary kochanków w niedalekich pokojach. Współmałżonkowie zazwyczaj byli w tym czasie zajęci swoimi rozrywkami.

Ale w mrocznych, starych, chłodnych korytarzach goście nieraz się gubili. Opowiadano o przygodzie pewnego parlamentarzysty, który poczekał na umówioną godzinę, przeszedł ciemnym korytarzem, wślizgnął się do cudzego pokoju i skoczył na łóżko z głośnym okrzykiem:

- Kukuryku!

Na nieszczęście jego kochanka zamieniła się na pokoje i nie uprzedziła go o tym kroku. Parlamentarzysta wylądował więc na zdumionym arcybiskupie.

Niezręczne momenty zdarzały się tylko wtedy, gdy mąż albo żona po skończonej schadzce, idąc na palcach korytarzem, przypadkiem natrafiali na współmałżonka skradającego się z drugiej strony. Panowała opinia, że w takiej sytuacji należy raczej zrezygnować z uprzejmego pozdrowienia, koniecznego przy innej okazji.

Ściskając jedną ręką poły szlafroka, Constance uchyliła drzwi. Na korytarzu stał Joseph, ubrany jak w dzień.

- To pan?

- Ja... - Przez chwilę uważnie jej się przyglądał i mimo szlafroka Constance poczuła się nagle tak, jakby była naga.

- Co pan tu robi? - szepnęła. Było całkiem możliwe, a nawet prawdopodobne, że wkrótce na korytarzach zacznie się ruch, inni goście będą wracać przed świtem do swoich pokoi.

- Wyjeżdżam - oświadczył. - Chcę się pożegnać. Nie mógłbym pani opuścić, nie powiedziawszy „do widzenia”.

- Jak to? - bąknęła zmieszana Constance. - Jak może pan wyjechać przed niedzielą?

- Muszę. Dostałem pilną wiadomość, już po tym, jak wszyscy poszli spać.

- Czy to ma coś wspólnego z pana szklanymi fiolkami? Nie odpowiedział, ale spojrzał na nią bardzo wymownie.

O tym nie należało mówić.

- Josephie. - Wyciągnęła przed siebie rękę, nagle uświadamiając sobie, że być może już nie będzie miała okazji zobaczyć go przed swoim ślubem. -Będzie mi pana brakować.

Te słowa zabrzmiały banalnie, zupełnie nie przekazywały chaosu dławiących ją uczuć.

- Mnie też. - Uścisnął jej dłoń. - Mnie też będzie pani brakować. Życzę pani jak najwięcej szczęścia, Constance. Z całego serca. Samej radości w życiu.

Pocałował ją w rękę, zatrzymawszy wargi przy jej dłoni nieco dłużej, niż wymagały tego konwenanse.

- Do widzenia - szepnął.

- Do widzenia, Josephie.

Odszedł kawałek, ale nagle przystanął.

- Och, zapomniałbym. Jutro, a najpóźniej w poniedziałek powinna pani dostać paczkę. To jest spóźniony prezent z okazji pani zaręczyn.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego.

Zdawało jej się, że zawróci i znów stanie obok niej. Ale Joseph wcisnął tweedową czapkę na głowę, dotknął daszka i jeszcze raz skinął jej głową.

Constance patrzyła za nim, póki nie znikł za załomem korytarza. Potem jeszcze długo stała w miejscu, jakby samym pragnieniem chciała sprowadzić go z powrotem.

11

Następnego ranka niewielu gości zeszło na śniadanie. Mimo że bufet uginał się od smakołyków, pokój śniadaniowy był prawie pusty, gdy Constance zjawiła się w nim tuż przed dziewiątą.

Przystanąła zaskoczona, myśląc, że może pomyliła pomieszczenia albo zegar w jej pokoju spieszny, tak jak wiele innych w Sandringham.

- Nie pomyliła się pani, panno Lloyd. Jesteśmy dziś rano sami - powitał ją lord Collins siedzący przy długim stole.

- Mam nadzieję, że to nie z powodu czegoś, co powiedziałam. - Uśmiechnęła się nieśmiało. Była bardzo zmęczona po nieprzespanej nocy. Przez ostatnie godziny myślała o Josephie, o minie, z jaką stał w sieni, i o jego barczystych, szerokich plecach, które oglądała, gdy odchodził.

Lord Collins parsknął osobliwym, szczekliwym śmiechem i wstał.

- Na pewno nie, moja droga. Mój służący mówił mi, że wielu gości czuje się dziś rano niezbyt dobrze.

- Naprawdę? Nie sądziłam, że wieczorne hulanki miały tyle ofiar.

- Nie w tym rzecz. Wygląda na to, że w nocy nastąpiła inna choroba. Niech mi pani powie, czy pani zjadła wczoraj wieczorem całą rybę.

- Rybę? Tak. Prawie całą.

- Byłem ciekaw. Moja żona też zjadła całą porcję i nie czuje się dziś najlepiej.

Constance naląła sobie filiżankę herbaty.

- Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej.

Lord Collins machnął ręką, bynajmniej nie zadając sobie trudu, by najpierw odłożyć kromkę chleba na talerz.

- Nie ma się czym martwić, moja droga. Doceniam pani troskę, ale wygląda na to, że ile razy spędzamy weekend u rodziny królewskiej, przynajmniej jedno z nas wraca z niego chore.

- Naprawdę? - Constance usiadła przy stole naprzeciwko lorda Collinsa.

- Owszem. Czy to jest pani pierwsza wizyta w królewskiej rezydencji?

Potwierdziła skinieniem głowy, a lord mówił dalej:

- Najbardziej niezdrowy wydaje się Windsor. Po naszej ostatniej wizycie w tym miejscu zarówno moja żona, jak i ja przez około dwa tygodnie cierpieliśmy na gorączkę brzuszną. Inni też mieli podobne kłopoty. A lord Ashberry... znała go pani? Miły człowiek, chociaż za

bardzo zajęty swoimi końmi, bez przerwy na nich jeździł. W każdym razie koniec końców poczciwy Ashberry zmarł.

- Biedny człowiek. - Constance myślała o czymś zupełnie innym. Sytuacja była dziwna, chociaż nie umiałaby powiedzieć, na czym ta dziwność polega. Na pewno stało się coś złego.

- Pozostaje nam się cieszyć, że nie jesteśmy w Balmoral. Tam jest dopiero siedlisko zarazy. To cud, że królewska para spędziła w Balmoral wakacje i przeżyła.

- Balmoral - powtórzyła Constance.

- Tak. W Szkocji. Aha, panno Lloyd, czy nie widziała pani śmietanki. Całkiem o niej zapomniałem.

- Owszem, widziałam. - Wstała i podała lordowi śmietankę.

Szkocja. Tam pojechał Joseph. I szklane fiolki, jego skórzana torba. Znajomość chemii. I do tego, co niebagatelne, jego niechęć do arystokracji.

Zaczęła jej drżeć ręka, więc odstawiła filiżankę z herbatą na spodeczek i odsunęła ją od siebie.

- A pani, panno Lloyd, też wygląda nietęgo.

Czy to możliwe, żeby Joseph był sprawcą tych chorób?

Przebiegła myślą ich rozmowy. Niewątpliwie był liberałem. Ale czy anarchistą?

Niemożliwe, pomyślała. Przypomniała sobie, z jaką pasją mówił o lepszych warunkach życia dla niższych klas. Przypomniała też sobie tych dziwnych ludzi, Crimmins i Walkera, którzy zjawili się znikąd i wysłali go do Szkocji.

Brown. Tak się nazywał człowiek, o którym mówili. Brown.

- Proszę mi wybaczyć, lordzie Collins. - Constance uśmiechnęła się. - Mam wrażenie, że ja też nie najlepiej się czuję.

- Niech więc pani już idzie, moja droga. Proszę na siebie uważać.

Z nieznacznym skinieniem głowy opuściła salon.

- Zaraz, zaraz - mruknął lord Collins. - Czy dobrze mi się wydaje, że widziałem szynkę obok jaj w majonezie?

Goście zaczęli wyjeżdżać z Sandringham wczesnym popołudniem.

Odjazdy były zaplanowane na późniejsze godziny, ale przyspieszono je o kilka godzin. W hallu stały niezliczone pudła na kapelusze, kufry i futerały na strzelby. Służba krzątała się nieustannie, bezszelestnie przemierzając miękkie dywany. Przed frontowym wejściem zatrzymywały się powozy, a odjeżdżający goście szepotali między sobą.

- Muszę wracać do Londynu - oświadczył lord Trent. - Mnóstwo spraw na mnie czeka.

- Mój najmłodszy syn chyba się przeziębił, bo przysłał po mnie - wyjaśniła lady Barrington. Nikt nie powiedział głośno, że jej najmłodszy syn dawno już skończył czterdzieści lat.

Lordostwo Merrymeade również oczekiwali swojego powozu. Lord usiadł w kącie na krześle, spuścił cienkie jak papier powieki i już po chwili smacznie drzemał. Abigail Merrymeade spojrzała na Constance przez siatkę woalki modnego kapelusza.

- A gdzie jest drogi pan Smith?

Constance omal nie palnęła głupstwa i nie powiedziała, że wyjechał wcześniej. Na szczęście w porę się zorientowała i tylko wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, lady Merrymeade. Ostatnio widziałam go wczoraj wieczorem.

Nie znosiła kłamstwa, nawet w tak drobnych sprawach.

- Zdziwiałe. Nie pozostaje nic innego, jak wyrazić przypuszczenie, że znalazł się wśród tych, którzy odjechali najwcześniej.

- Przepraszam, lady Merrymeade. Muszę poszukać narzeczonego.

Prawdę mówiąc, nie widziała Philipa od rana, więc chociaż nie jemu poświęcała większość myśli, to sumienie trochę ją gryzło i przypominało jej, że powinna go poszukać.

Właśnie wtedy Philip zjawił się w hallu z Violą i Owenem. Obaj mężczyźni szli bardzo chwiejnym krokiem i byli bladzi. Mimo to Philip miał imponująco wy pudrowane faworyty i buty lśniące jak lustro.

- Jak się pan czuje, Philipie? - Naprawdę wyglądał źle.

- Zdarzało mi się już czuć lepiej - przyznał, nieznacznie się uśmiechając. Było w nim coś bezradnego, co budziło w Constance instynkt opiekuńczy.

- Szybko zajedziemy do domu, niech się pan nie martwi - pocieszyła go, przesyłając uśmiech Violi.

Klepiąc go po dłoni, zrozumiała nagle, dlaczego uczucie, jakim darzyła Philipa, wydawało jej się znajome. Podobnie odnosiła się do swoich podopiecznych jako guwernantka; Philip był jak dziecko.

Nadeszła Stella; miała kilka pytań związanych z pakowaniem, więc Constance z ulgą zajęła uwagę czymś konkretnym. Stanowczo nie chciała rozmyślać o tym, że ślub z Philipem będzie dla niej oznaczał jedynie zmianę jednej posady opiekunki na drugą.

Pogłoski o incydencie w Sandringham szybko rozeszły się wśród londyńskiej elity, mówiono o tym w modnych klubach i najlepszych salonach, a także podczas przechadzek i przejazdów po Hyde Parku.

Nie było to w gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego, wiele przyjęć w wiejskich rezydencjach kończyło się nieznaną chorobą uczestników. Kilka lat wcześniej zjazd licznej gromady parów, którzy zamierzali spędzić tydzień, polując na cietrzewie, przerwano już drugiego dnia, a w następnym tygodniu ponad dziesięcioro gości oraz służących zeszło z tego świata.

Ale zdarzenie w Sandringham było czymś szczególnym. Zaszło nie tylko w rezydencji rodziny królewskiej, lecz również w domu księcia Walii, przyszłego króla Anglii.

Krążyły plotki, że w odróżnieniu od podobnych przypadków, historia z Sandringham mogła być skutkiem czyjejś celowej działalności. Żaden z gości nie wyczuł stęchłego odoru, jaki zwykle towarzyszył stojącej, zepsutej wodzie.

Lawina plotek rosła, podsycana głównie przez tych, którzy w Sandringham nie byli. Zwracano uwagę, że chociaż większość gości stanowili bywalcy Marlborough House, to przecież przyjechało tam również kilka osób zupełnie nowych.

Była wśród nich Amerykanka, guwernantka, według wszystkich relacji całkiem urodziwa, choć dość tajemnicza. Jej przyszłego męża, młodszego syna sławnego „człowieka kreta”, znano przede wszystkim z wybryków, których nie zaprzestał, mimo osiągnięcia wieku męskiego. Wprawdzie w zachowaniu tych dwojga nie zaobserwowano nic, co wydawałoby się groźne, ale stanowili intrygującą parę.

Osobą, która prowokowała do najczęstszych spekulacji, był bogaty Walijczyk, Joseph Smith. Chociaż nieraz widywano go w londyńskich klubach, na balach i przyjęciach, to nikt tak naprawdę nie znał tego człowieka. Był zagadką. Niby spotykano go tu i ówdzie, ale nikt z towarzystwa nie mógł się pochwalić, że jest jego dobrym znajomym. Wyjątek stanowił młody

lord Hastings, kojarzony bardziej z umiejętnością jazdy na koniu w stanie całkowitego zamroczenia alkoholem niż z bystrością czy inteligencją.

Ponadto lady Merrymeade, dokładnie o to wypytywana, wspomniała, że w ów weekend pan Smith opuścił Sandringham pierwszy. Wyjechał na długo przed świtem, czego była pewna, bo widziała jego odjazd z okna.

Zaczęto stawiać pytania, najpierw szeptem, potem coraz głośniej, wreszcie przybrały one formę ostrożnie redagowanych artykułów wstępnych w poczytnych gazetach. Jak ten człowiek doszedł do wielkich bogactw? Skąd pochodzi, skoro nawet najbardziej dociekliwi dziennikarze nie mogą odkryć żadnych szczegółów z pierwszych lat jego życia? W Oksfordzie, owszem, byli wykładowcy i bakałarze, którzy go pamiętali, ale opisywali poważnego młodzieńca, studiującego teologię.

W jaki sposób student teologii stał się fabrykantem, bogatym człowiekiem i do tego jeszcze chemikiem? Pan Smith wydawał się bowiem nadzwyczaj dobrze obeznany z najświeższymi odkryciami naukowymi, które opisywano we Francji i Niemczech. Było w nim coś dziwnego i bardzo niepokojącego.

Istniało tylko jedno logiczne wyjaśnienie: ktoś finansuje jego działalność. Ktoś pompuje pieniądze w firmę Josepha Smitha, jakaś organizacja albo - co bardziej prawdopodobne - zagraniczny kapitał. On zaś używa tych środków do sfinansowania diabolicznego planu zlikwidowania królewskiej rodziny.

Były też poważniejsze plotki, a w jednej z gazet opublikowano nawet artykuł na pierwszej stronie, w którym podano, że Josepha Smitha aresztowano pod zarzutem zdrady stanu. Uzupełniono go ilustracją przedstawiającą brodatego dżentelmena prowadzonego przez roślonych londyńskich policjantów. Po bliższym przyjrzeniu się ilustracji w brodatym mężczyźnie można było rozpoznać pewnego lekarza, którego cztery lata wcześniej oskarżono o zamordowanie żony; nie miało to jednak znaczenia. Tytuł głosił, że to Smith, więc większość mieszkańców Londynu w to uwierzyła.

Na nieszczęście dla gazety okazało się, że treść artykułu jest wyssana z palca.

Ale wtedy stało się coś nie mniej sensacyjnego.

Joseph Smith znikł. Wyglądało na to, że nigdzie go nie ma.

Philip był coraz bardziej zajęty swoją kampanią.

Wydobrzawszy po weekendzie w Sandringham, wpadł w wir zajęć. W Hastings House był gościem, przemykał korytarzami z nieprzytomną miną, zwykle w towarzystwie swego przyjaciela, Mortimera.

Kiedyś przybiegł chyłkiem do swego pokoju kuchennymi schodami, z nikim po drodze nie rozmawiając, a Owenowi kazał się wynosić i dręczyć kogo innego. Constance zobaczyła go jednak w przelocie i natychmiast zrozumiała, skąd ten pośpiech i wielka tajemnica. Philip był od stóp do głów pokryty skorupkami jaj, kawałkami pomidorów i soplami z białka i żółtka. Na ramieniu, niczym zielony epolet, pysznił się liść sałaty.

Najwidoczniej mowa, którą Philip wygłosił, nie spełniła pokładanych w niej nadziei.

Wciągnął do pomocy również kończącego kadencję parlamentarzystę, chociaż czcigodny Charles Beckersby wydawał się o wiele bardziej zainteresowany nadrobieniem braków we śnie niż wspieraniem ewentualnego następcy. Ale przeciwnikowi Philipa pozyskiwanie głosów pospólstwa szło, zdaje się, jeszcze gorzej, gdyż pan Jones, kandydujący z ramienia

liberałów, zazwyczaj przy okazji wystąpień nosił dziwaczne kapelusze i okulary, żeby uniknąć ataku tłumu.

Konkretną przewagę dawały Philipowi pieniądze rodziny i prozaiczny fakt, ten mianowicie, że egzystencja dużej części mieszkańców Ballsbridge zależała od Hastingsów. To stanowiło prawie stuprocentową gwarancję sukcesu.

Gdy wreszcie zaczęło się głosowanie, które trwało ponad trzy dni, Philip szybko wyszedł na prowadzenie i nie oddał go już do końca. Był teraz deputowanym do Izby Gmin z ramienia torysów i Hastings House świętował.

Dla Constance jednakże nic tak naprawdę się nie zmieniło. Jej dni znów ciągnęły się w nużącym rytmie, wyznaczanym przez przerażająco długie posiłki i napuszoną konwersację z rodziną Philipa. Jedyną osobą, z którą Constance czuła się całkiem swobodnie, był stary książe. On jeden rozjaśniał jej dni, nabrała więc zwyczaju codziennego picia popołudniowej herbaty w jego podziemnym salonie.

Potem wracała do swojego pokoju albo jeśli była ładna pogoda, szła na spacer po majątku. Kiedy jeszcze pracowała jako guwernantka, miała przynajmniej urozmaicenie, bo nie sposób było przewidzieć, co wymyślą dzieci.

Któregoś popołudnia, tuż przed porą herbaty, gdy Constance była w bibliotece, rozległo się pukanie do drzwi.

- Przepraszam, panno Lloyd. - Stella dygnęła przed nią. - Właśnie przywieziono dla pani paczkę z Sandringham. Ma bardzo dziwny kształt.

- Z Sandringham? Ciekawe, co to jest. Czy mogę zobaczyć?

Stella skinęła głową i po chwili wróciła z czymś w kształcie prostopadłościanu, owiniętym w szary papier. Constance przyjrzała się napisom na opakowaniu.

- To nie jest z Sandringham. Przysłano to dla mnie do Sandringham już po naszym wyjeździe, więc potem przesłano paczkę dalej. Nie ma ani nazwiska nadawcy, ani adresu.

Sięgnęła po nóż do papieru, przecięła sznurek i zaczęła rozwijać szary papier. Gdy wreszcie ujrzała zawartość, wybuchnęła śmiechem, bo nie wiedziała, jak inaczej zareagować.

- Co to jest? - spytała Stella.

- Deska do pisania na kolanach. Należała do mojej matki, ale ją zniszczono. A on dał ją do naprawy.

- Kto ją przysłał?

- Joseph. To znaczy pan Smith. Boże, prawie nie widać, gdzie była połamana. Popatrz, Stello, nawet w dobrym oświetleniu ma idealną powierzchnię. Jak on, u licha, znalazł kogoś, kto potrafił tak wspaniale to naprawić.

Dotknęła drewna, ciesząc się jego gładkością. Wydawało jej się, że deska jest jeszcze lepiej wypolerowana niż przedtem. Wolno otworzyła wieczko i kryształowe flakoniki z różnokolorowym atramentem zamigotały w słońcu. Były też pióra gęsie, dwa złote i nowy plik eleganckiego papieru listowego z jej inicjałami u góry.

- Ładne, proszę pani? - spytała Stella.

- Piękne. - Jeszcze raz dotknęła drewna. Nawet intarsja wydawała jej się aksamitna w dotyku.

- To niespodzianka, prawda? - domyśliła się Stella, powściągając szeroki uśmiech, cisnący jej się na usta, odkąd zobaczyła minę swojej pani. - Duża niespodzianka.

- O, tak. - Gdy Constance otworzyła jedną z szufladek, zauważyła coś złożonego. Pod spód była wsunięta koperta.

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego - rzekła Stella.
- Mhm, uroczy prezent. Po herbacie pójdę do mojego pokoju zająć się korespondencją. - Constance nie chciała, żeby ktokolwiek zobaczył list, który dostała. Był jej i tylko jej. Od Josepha. Nikt inny nie powinien go zobaczyć.
Ostrożnie złożyła kopertę i wsunęła ją do szufladki.
- Chyba pójdę teraz na dół. Czy wszyscy już tam są?
- Tak, panno Lloyd. Czy zejdzie pani do salonu?
Miała wielką ochotę wybrać jak zwykle towarzystwo księcia, a nie Dishy'ego, księżnej i Philipa. Ale zamiast szukać wymówek, tylko się uśmiechnęła.
- Myślę, że dzisiaj tak zrobię.
Razem ze Stellą opuściła bibliotekę, zostawiając tam deskę wraz z jej sekretami.

12

Philip, księżna i Cavendish nie byli sami.
Constance usłyszała kobiecy głos, cichy i spokojny, lecz mimo to doskonale słyszalny w korytarzu. Skądś go znała.
Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Philip. Twarz miał czerwoną, jakby spotkało go coś strasznego.
- Philipie?
Odwrócił się półprofilem do niej, starając się nie zwalniać kroku.
- Mam spotkanie z wyborcami. Nie chcę się spóźnić. - W pośpiechu skinął jej dłonią i znikł za załomem korytarza.
- Panna Lloyd?
Księżna usłyszała ich wymianę zdań, więc Constance nie miała innego wyboru, jak wejść do czerwonego salonu.
Znalazłszy się za progiem, zobaczyła najpierw księżną z promieniejącą twarzą; takiego zachwytu nie objawiła od czasu otrzymania zaproszenia dla Philipa do Sandringham. Dishy siedział na swoim ulubionym krześle, ze złożoną gazetą na kolanach. Kącik ust zdobiła mu odrobina bitej śmietany.
- Panno Lloyd, mamy wspaniałe nowiny!
Trzecią osobą w pokoju była Viola; siedziała na fotelu obitym niebiesko-złotą tkaniną. Uśmiechnęła się do Constance.
- Panna Lloyd już wie, wasza wielmożność.
- Powiedziałaś jej o waszych zaręczynach? A gdzie wy się, na miły Bóg, spotkałyście?
Constance już miała powiedzieć, że w Sandringham, ale coś ją powstrzymało. Viola prawie niezauważalnie pokręciła głową.
- Och, spotkałyśmy się... - zaczęła Constance.
- Tutaj, w sadzie. Panna Lloyd przysłała na spacer, a ja akurat malowałam akwarelę.
- Tak - potwierdziła Constance. - Miło mi znowu panią widzieć, panno Rathbottom. Jak w końcu udała się akwarela?
- Obawiam się, że nie najlepiej. Zaraz po pani odejściu zaczął padać deszcz i wszystkie moje dęby zamieniły się w jabłonie.
- I kto mówi, że mały deszcz nie czyni szkód? - Constance spojrzała na Violę, usiłując odgadnąć, czy jej wizyta w Sandringham stanowi tajemnicę wagi państwowej. Księżna

powinna oszaleć z radości na wieść, że obie jej przyszłe synowe były w gościnie u księcia Walii. Ale Dishy nie dostał zaproszenia, więc może stąd ta tajemnica.

- No, właśnie. Święta racja, panno Lloyd. Czasem nawet drobne kaprysy natury bywają niebezpieczne.

Rozmowa przybierała bardzo zagadkowy obrót.

- Nie zdążyłam jeszcze złożyć panu należnych gratulacji.

- Constance zwróciła się do brata Philipa. Dishy skinął głową i przewrócił gazetę na drugą stronę.

- Wygląda na to, że nie trzeba was sobie przedstawiać.

- Wiele o pani słyszałam, panno Lloyd - zaczęła Viola.

- Miło mi, że oficjalnie się poznałyśmy.

- O, tak. Spotkanie w...

- W sadzie. Spotkałyśmy się pod jabłonią.

- Naturalnie. To było całkiem nieformalne.

- O ile się nie mylę, moja kuzynka, lady Merrymeade, była w Sandringham jednocześnie z panią.

- Owszem. Miałam przyjemność poznać lady Merrymeade. Ona również ma artystyczne talenty. Widocznie to rodzinne.

Viola bardzo się zdziwiła.

- Abigail tam rysowała? To do niej niepodobne. W każdym razie ja również zawsze podziwiałam jej rysunki. Często żałuję, że nie mam jej talentu.

- Talentu na pewno jej nie brakuje.

Księżna poprosiła Violę o nalanie herbaty. Ta wstała i z wielką swobodą spełniła to życzenie, nie okazując najmniejszego zdenerwowania przed dostojnym obliczem księżnej. Constance patrzyła na nią z podziwem.

- Philip wyszedł w wielkim pośpiechu - powiedziała, upiwszy łyk herbaty.

- Tak, istotnie.

- Nic dziwnego, że nie chce być z tobą, Violu - odezwał się Dishy.

Constance obróciła się zaskoczona. Nie pamiętała, żeby Dishy z własnej woli wygłosił kiedyś tak długą uwagę. Viola spuściła wzrok.

- Jak możesz tak mówić, Cavendish?

- Nie żartuj. Dręczysz go od lat. Pamiętasz, jak wrzuciłaś go do jamy z pajęczynami? Siedziałby tam do dzisiaj, gdyby ten mały oberwaniec Joseph Smith nie przyjechał w odwiedziny. Dopiero on zauważył, że Philipa nigdzie nie ma.

Viola odstawiła na spodeczek filiżankę herbaty.

- To było bardzo śmieszne. Muszę się przyznać do tego pomysłu. - Zwróciła się do Constance, nagle zakłopotana, choć próbowała to zamaskować lekkim tonem: - Bo widzi pani, panno Lloyd, w towarzystwie bywającym w Marlborough House jestem znana z poczucia humoru. To ja w zeszłym roku dodałam mydła do zapiekanki serowej. I ja powiesiłam kałamarnicę nad drzwiami w czasie uczyty po polowaniu.

Na twarzy księżnej pojawił się wyraz zdumienia. Spojrzała na syna; on jednak nie odpowiedział jej tym samym. Założył nogę na nogę i obciągnął spodnie, wbijając wzrok w jakiś wyjątkowo interesujący artykuł.

- Moja droga - rzekł Dishy, wciąż wpatrzony w gazetę. - Może lepiej nie opowiadaj pannie Lloyd o swoich błazeństwach w towarzystwie.

- Bzdura. Zaraz wszystko jej wytłumaczę. Pannę Lloyd to na pewno rozbawi. Owszem, dręczyłam Philipa jeszcze długo po tym, jak przestał być dzieckiem. Ale tylko dlatego, że to chłopaczysko nigdy nie chciało na mnie nawet spojrzeć. Pozwalałam więc sobie na coraz śmielsze żarty, aż wreszcie doszło do tego, że zanim pierwszy raz poszłam na bal, mówiono o mnie, że jestem beznadziejnym przypadkiem.

Cavendish odchrząknął. Sprawiał takie wrażenie, jakby miał wielką ochotę wyjść z salonu. Nawet księżna była poruszona i mimo iż starała się zachować wyraz rozbawienia na twarzy, raz po raz ukradkiem zerknęła na Constance.

- Kiedyś nawet... Cavendish odłożył gazetę.

- Proszę cię, Violu. Już wystarczy.

- Muszę powiedzieć, że w rodzinie uważa się mnie za czarną owcę. Ale teraz, gdy zaręczyliśmy się z Dishym, rodzina wreszcie jest szczęśliwa, - Uśmiechnęła się. - Moje zaręczyny z Dishym zawsze ich uszczęśliwiają.

Constance spojrzała na księżną, ta z kolei spojrzała na syna. Wzruszył ramionami.

- Któregoś dnia, Violu, nauczysz się sztuki milczenia.

- Nie mam wątpliwości, Cavendish, że będziesz w tym znakomitym nauczycielem - odparła z taką słodką minką, że nie można było mieć do niej o to najmniejszych pretensji.

Pijąc herbatę, Constance zastanawiała się, jak Dishy i Viola wyobrażają sobie szczęście we dwoje. Los raczej nie sprzyjał żadnemu z nich z osobna, więc razem byli właściwie bez szans. Constance długo siedziała w swoim nowym pokoju, zwanym złotym, gdzie pozwolono jej się przeprowadzić po triumfie w Sandringham.

Zapadł zmrok, więc Stella przysłała, by zająć się lampami i rozpalaniem ognia w kominku.

- Czy chciałaby się pani położyć?

Constance początkowo nie odpowiedziała, ale w końcu pokręciła głową. Stella dygnęła i wyszła z bardzo zdziwioną miną. Znow rozległo się pukanie.

- Proszę - szepnęła Constance. Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich wicehrabia Cavendish z jej deską do pisania w ręce.

- Słucham pana. - Wstała z krzesła.

- Nie, nie - powiedział. - Nic takiego, ja tylko chciałem zwrócić pani ten przedmiot.

- Dziękuję. - Wzięła od niego deskę i położyła ją na łóżku. Zupełnie o niej zapomniała.

- Nie chcę przeszkadzać, panno Lloyd, ale czuję, że powinienem przeprosić za to popołudnie. Viola jest dość żywiołowa, a wydaje mi się, że niepokoi ją nasze coraz bliższe małżeństwo.

- To całkiem normalne, jak sądzę.

- Tak. W każdym razie dla nas na pewno. Mamy bogate doświadczenia, jeśli chodzi o zaręczyny. Wobec tego do zobaczenia podczas kolacji.

Niedbale skłonił głowę. Constance odpowiedziała mu skinieniem i Dishy zaczął zbierać się do odejścia. Przystanął na progu.

- Musi się pani wydawać, że to jest dziwny dom. Ale na swój sposób każdy z nas stara się jak może. Mam nadzieję, że nie patrzy na nas pani z tego powodu jak na grono dziwaków.

- Proszę się nie obawiać, sir. - Uśmiechnęła się. - Zapewniam, że nic z tego, co zostało dziś powiedziane, nie zmieniło mojej opinii o was.

Uśmiechnął się i wyszedł na korytarz, ale tam nagle przestał się uśmiechać. Chciał coś jeszcze powiedzieć, Constance przeszkodziła mu jednak wymownym gestem.

- Muszę się przebrać do obiadu - powiedziała z wdziękiem. I Dishy odszedł.

Przez chwilę nieruchomo przyglądała się zamkniętym drzwiom. Potem otworzyła wieczko deski, przesunęła palcami po delikatnym drewnie i sięgnęła do szufladki, w której schowała liścik Josepha. Najpierw pomyślała, że coś jej się pomyliło albo że szuka w złym miejscu.

Wkrótce jednak musiała się pogodzić się z bolesną prawdą.

Koperta znikła.

Kolacja była przyjemniejsza niż zwykle, przede wszystkim dlatego, że obecność Violi przy stole odwróciła uwagę księżnej od Constance. Poza tym Viola niesłychanie ożywiła towarzystwo. Niezwykła była też obecność Philipa, który wprawdzie wrócił późno, ale zdążył przebrać się w smoking, wyczyścić buty i zasiąść z wszystkimi, gdy podawano mięsa.

Także w Dishym zaszła wyraźna zmiana. Wprawdzie się nie przebrał, ale zaczął zwracać uwagę na Constance. Zachowywał się wobec niej uprzejmie i prowadził z nią rozmowę.

Gdy Philip usiadł przy stole, a na jego talerzu znalazło się jedzenie, księżna przemówiła:

- Jak wszyscy wiemy, nasz drogi Cavendish i Viola mają się pobrać.

Philip beznamiętnie wbił wzrok w talerz.

- A ponieważ Dishy jest dziedzicem i w przyszłości przejmie spadek, obyczaj każe, by jego ślub odbył się wcześniej niż ślub młodszego brata. Myślę, że sześć miesięcy przerwy będą właściwe. Najważniejsze, że zaręczyny Philipa zostały ogłoszone. Philip wygrał wybory, więc pospieszne małżeństwo teraz nic mu już nie da.

Pierwszy raz Constance miała szczerą chęć uściskać księżną.

Viola się wyprostowała.

- Nie, wasza wielmożność. To bardzo miły gest, ale nie sądzę, żebyśmy z Dishym musieli stanąć przed ołtarzem pierwsi. Philip zaręczył się przed nami, więc ma prawo pierwszeństwa.

Philip odłożył nóż i widelec.

- Nie.

Matka zamrugwała.

- Słucham?

- Nie, matko. - Philip też się wyprostował.

- Co masz na myśli, mówiąc „nie”? - Księżna najwyraźniej nie wiedziała, jak zareagować.

- Chcę powiedzieć, że o ślubie powinny decydować dwie osoby, narzeczony i narzeczona. Nikt inny. A na pewno nie matka pana młodego.

- Nie bądź śmieszny, Philipie - zrugła go księżna. - Z pewnością rozumiesz, że w tej sytuacji ich ślub jest ważniejszy niż twój. Dishy jest najstarszym synem. Gdybyście byli zaręczeni z panną Lloyd od dawna, wtedy mogłabym zrozumieć twój punkt widzenia. Ale jedno i drugie zaręczyny dzieli zaledwie kilka tygodni. Trzeba też pamiętać, że Dishy i Viola byli już zaręczeni trzy razy. Nie, oni stanowczo wezmą ślub pierwsi.

- Cztery razy - poprawiła księżną Viola. - Proszę nie zapominać o zaręczynach na balu w Boże Narodzenie.

- Wielkie nieba, rzeczywiście. Te zawsze wylatują mi z głowy. - Księżna znów się uśmiechnęła, wreszcie bowiem poczuła, że opanowała sytuację. - Chyba że urządzimy ślub dwóch par jednocześnie.

- Odmawiam. - Viola spojrzała na Constance. – Chcę powiedzieć, że naprawdę nie ma pośpiechu. Najważniejsze, żebyśmy wszyscy dobrze się poznali.

- Całe życie mieszkasz w sąsiedztwie - rzekł Dishy. - Czego jeszcze możesz się o nas dowiedzieć? I tak wiesz więcej niż ktokolwiek, pomijając członków rodziny. A może nawet więcej niż oni.

- Wybacz mi, droga Violu, ale wciąż jestem tu księżną. - Matka Philipa dość agresywnie dźgnęła kawałek poledwicy.

- Naturalnie, wasza wielmożność. - Viola uśmiechnęła się uroczo. - Zawsze tak myślę o waszej wielmożności.

- Panno Lloyd.- Księżna zwróciła się do Constance: - Co panna na to?

- Myślę...

- Dlaczego zawsze wszystkich chcesz uszczęśliwiać na siłę, matko? Dishy i ja jakoś to znosimy. Ale dlaczego musisz robić to samo z Constance? I z Violą? - Philip odsunął talerz i potracił kieliszek wina tak, że wino przelało się przez jego krawędź.

- Philipie! - skarciła go księżna. - To, co mówisz, jest bardzo niestosowne i nieuprzejme.

- Nie zgadzam się z tobą, matko. Niestety, jest to bardzo stosowne, a w porównaniu z tym, co myślę, całkiem uprzejme. Poza tym, zważywszy na sytuację, jest konieczne. Dishy, dlaczego narażasz się na następne upokorzenie? Matka nieustannie nami dyryguje. Nie masz jeszcze dość jej manipulowania?

- Przestań! - Księżna uderzyła pięścią w stół. - Możesz odejść, Philipie.

W jadalni zapadła martwa cisza. Nikt się nie poruszył.

- Powiedziałam, że możesz odejść.

- Dziękuję, matko, ale nie prosiłem o to. - Philip sięgnął po butelkę bordeaux i znów napełnił swój kieliszek.

Księżna spojrzała na młodszego syna bardzo rozgniewanym wzrokiem.

- Wyjdź z tego pokoju, póki...

- Póki co, matko? Co zrobisz? Przełożysz mnie przez kolano? Każesz mi iść do łóżka bez deseru?

- Wyrzucę cię z tego domu! - W chwili, gdy wypowiedziała te słowa, twarz jej spurpurowiała.

- Zrób to, matko.

- Philipie... - zaczął Cavendish.

- Ty się do tego nie wtrącaj - burknął Philip, mierząc palcem w starszego brata. - Skończyłem już trzydzieści lat. Jestem teraz deputowanym do parlamentu. I przejadło mi się to wszystko. Stanowczo przejadło.

Constance nagle poczuła się dumna z Philipa. Zupełnie jakby zobaczyła młodszego brata, który wspina się na drzewo, chociaż zawsze się tego bał. Albo Wade'a, który zdecydował się wstąpić do wojska.

- Co się panu przejadło, Philipie? - spytała zachęcająco, sama zaskoczona tonem swego głosu. Gdy zwrócił się do niej, rysy nagle mu złagodniały.

- Przejadło mi się bycie czymś narzędziem. Przejadło mi się to, że nie mogę robić nic po swojemu. I że muszę spełniać zachcianki innych, a przede wszystkim twoje, matko. - Zerknął przelotnie na księżną, potem na Constance, wreszcie na Violę.

- Powiem wprost. Na pomysł, że bym znalazł sobie narzeczoną jeszcze przed wyborami, wpadła matka. A ja jak zwykle zastosowałem się do jej życzenia.

- Philipie, to nie jest czas ani miejsce, żeby... - zaczął znowu Cavendish.
 - Przeciwnie. To jest doskonały czas i jedyne miejsce.
 - No, więc dobrze - stwierdziła księżna z satysfakcją.
 - Powiedziałaś, Philipie, co chciałaś, i wszyscy jesteśmy pod wrażeniem twoich słów. A teraz proszę, usiądź prosto, bo znowu się garbisz, i daj nam w spokoju dokończyć kolację. Widziałam w „Court Circular”, że...
 - Nie o to mi chodziło - odparł Philip. Zgarbił się nad swoim nakryciem. - Byłem arogancki i niezdolny, dlatego pierwszy panią przepraszam, Constance. Traktowałem panią nie jak człowieka, lecz jak zawadę. W czym, nie wiem, na pewno jednak zachowywałem się bardzo niewłaściwie. Powinienem przeprosić publicznie, ale to jest dopiero początek. Odtąd zacznę żyć prawdziwym życiem, a nie utkanym z kłamstw.
 - Philipie - ostrzegła go matka. - Żądam, żebyś zaprzestał tej rozmowy. Jest wybitnie niestosowna.
 - Tak samo niestosowna, jak dorosły człowiek, który robi wszystko pod dyktando matki - odburknął. - Przykro mi, ale weekend w Sandringham mnie otrzeźwił, jeśli można tak powiedzieć.
 - Jak to się stało? - zacięła się Constance. Pierwszy raz słuchała w Hastings House treściwej rozmowy i bez wątpienia miała pierwszą okazję, by zobaczyć prawdziwą twarz narzeczonego.
- Philip splótł dłonie, jakby się chciał pomodlić.
- Zobaczyłem, kim się stanę. I wreszcie zobaczyłem, kim jest Joseph, zwłaszcza w porównaniu z innymi ludźmi. Przez lata wytykałem mu nadmiar powagi, ale ostatnio spotkałem go wśród innych ludzi i pierwszy raz się zawstydzilem. Joseph ma swoją pasję, dąży do czegoś, postawił sobie cel. A reszta żyje od polowania do polowania, od posiłku do posiłku, od sezonu do sezonu. Jak też taki byłem. Na niczym mi nie zależało, częściej chodziłem pijany niż trzeźwy. Ale wierzę, że mogę to zmienić. A ironia losu polega na tym, że potrzeba było Constance, bym to zrozumiał.
 - Mówisz nedorzeczości, Philipie. Zawsze mówisz nedorzeczości po spędzeniu paru dni ze Smithem. - Księżna pociągnęła nosem. - To prawda, skorzystaliśmy z jego finansowej przenikliwości. Ale mimo wszystko nie jest to najlepsze towarzystwo.
 - Matko, Joseph ocalił ten majątek, doskonale o tym wiesz. A ja przemyślałem sobie wszystko i wiem już, że chcę być deputowanym. Lepszej drogi nie mogę wybrać. To nie będzie hobby. Poza tym chciałbym zająć się czymś jeszcze.
 - A czym? - Księżna machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. - Cóż takiego mógłbyś robić, mój drogi?
 - Wierzę, że mam prawdziwy talent.
 - Do czego, na Boga? - Cavendish aż uniósł się na krześle, ale usiadł z powrotem. - Studiowałaś literaturę angielską w Oksfordzie i ledwie zaliczyłaś kurs. Od tej pory jesteś duszą towarzystwa w najlepszych salonach Anglii. Do jakiego poważnego zajęcia przygotowało cię takie życie?
 - Właśnie, Philipie. Jaki to wielki talent ukrywasz przed światem? - spytała księżna. Potarła skroń i zniżyła głos, tak że zabrzmiał niemal łagodnie. - Przepraszam, Philipie. Ale bardzo nas zaskakujesz. Jak dotąd nie zdradzałaś żadnych talentów ani zainteresowań.

- Czymkolwiek lubisz się zajmować, możesz to robić w przerwach między sesjami parlamentu - dodał Dishy.

- Dlaczego mam wybierać? Joseph ma kilka zainteresowań i łączy je ku swojej satysfakcji. O ile wiem, nigdy nie czuł się znudzony ani nie zabrnął w ślepią uliczkę. A przyjrzyjcie się mojej sytuacji. Wydaliśmy setki funtów na kampanię i wygrałem wybory. Ale pensji nie będę dostawał. - Odkasznął i obwiodł kciukiem krawędź kieliszka. - Za to jestem przekonany, że jako malarz mógłbym zarabiać znaczne sumy.

- Malarz! - wykrzyknął Dishy. - Mój Boże, Philipie, zwariowałaś?

- Malarz? - Matka przenosiła wzrok z twarzy na twarz, całkowicie zagubiona. - Taki, który maluje ozdoby na domach?

Constance i Viola zachowały milczenie, obie jednak się uśmiechnęły.

- Co panią tak bawi, panno Lloyd? - burknęła księżna, gdy zauważyła minę Constance.

- Wreszcie wszystko układa mi się w całość. - Constance spojrzała na Philipa. - Założę się, że maluje pan od dawna, nawet w Eton pan malował. A gdy Joseph postanowił coś wytwarzać, zajął się czymś, co dzięki panu znał. Stąd barwniki.

Philip skinął głową.

- Owszem. Podkrażał mi farby do różnych eksperymentów. Boże, żebyście wiedzieli, jak śmierdzi przypalona farba.

- W czasie przerw między sesjami parlamentu możesz malować do woli - powtórzył Dishy zadowolony, że miał rację. - Zresztą podejrzewam, że nie robiłeś tego od lat. Być może jako student zdradzałeś oznaki przeciętnego talentu, ale teraz... no, cóż. Wszyscy wiemy, że talenty z dzieciństwa w dorosłym życiu są na nic.

- Niezupełnie, Dishy. Od ponad dziesięciu lat regularnie maluję w Londynie. Część laboratorium Josepha przerobiłem na pracownię. To taka ohydna klitka po drugiej stronie Tamizy, przy Waterloo Road. Podejrzewam, że Joseph trzyma to miejsce specjalnie po to, żeby się nade mną znęcać, ale tam i tak jest wspaniale.

Cavendish poprawił krawat.

- Nie miałem pojęcia, Philipie. Nawet się nie domyślałem. Nikt się nie domyślał.

- Niezupełnie - odparł Philip.

- Ja wiedziałam - odezwała się Viola. - Joseph też. No, i naturalnie księżę.

- Ojciec? - krzyknął Dishy.

- Kto? - spytała księżna.

- Mój ojciec, księżę. Mężczyzna, który mieszka pod nami, w tunelach. Joseph powiedział mi o tym przed wieloma laty i dobrze się stało, bo musiałem mieć jakieś miejsce, gdzie mógłbym magazynować gotowe płótna.

- Jak, u diabła, wniosłeś je tam bez naszej wiedzy? - zdziwił się Dishy.

- Naturalnie tunelami. - Philip upił łyk wina. - Niektóre wyjścia znajdują się daleko od domu, stąd są całkiem niewidoczne. Służba, rzecz jasna, nie pisnęłaby ani słówka. To jest prywatna armia ojca. Kiedy przyjeżdżałem w odwiedziny, mogłem wybrać drogę od tyłu i złożyć płótna w ukryciu, a potem zjawić się przed frontowymi drzwiami.

- To pan namalował te wszystkie obrazy, które wiszą u ojca w korytarzu? - spytała Constance.

- Nie wszystkie, ale niektóre tak. Ojciec ma dość irytujące upodobanie do wielkich mistrzów, poza tym nie jestem w stanie malować tak szybko.

- Pies w salonie?

Philip wybuchnął śmiechem.

- Samson? Naturalnie, Constance, to jest mój obraz.

- Och, jest wspaniały, przepiękny! I Viola. Portret Violi też jest twój, nie może być inaczej. - Constance spojrzała na Philipa, który wpatrywał się w Violę. Miał bardzo szczególny wyraz twarzy. Constance drgnęła, bo nagle wszystko zrozumiała. Miłość. Philip był zakochany w Violi.

- Porozmawiamy o tym później - powiedziała księżna, ale zdecydowanie straciła na pewności siebie.

Konwersacja potoczyła się dalej, a Constance poczuła tępy ból w głowie. Chciała być sama. Musiała pomyśleć, rozważyć wszystko, co zaszło. Wreszcie wstała.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie czuję się najlepiej.

- Nic dziwnego, panno Lloyd. Ja też nie czuję się dobrze. - Księżna przesłała młodszemu synowi przelotne, lecz bardzo wymowne spojrzenie.

Philip również wstał.

- Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję. Do rana na pewno poczuję się lepiej.

- Dobranoc, panno Lloyd. - Viola, nagle też zaczęła okazywać oznaki śmiertelnego zmęczenia.

Wreszcie wymiana wieczornych uprzejmości się skończyła i Constance mogła iść do swojego pokoju.

Joseph, myślała. Gdzie on się podziewa? Czy jest bezpieczny, czy na coś się naraził? Może w liściku, który zginął, była wiadomość, gdzie go szukać. Może jej potrzebował.

Musiała też zastanowić się nad Philipem. Czy zdawał sobie sprawę, że kocha Violę?

Czuła się tak, jakby życie wymknęło jej się spod kontroli i zaczęło uciekać z zawrotną szybkością.

- O Boże. - Bezwładnie opadła na łóżko. Myśl, nakazała sobie.

I nagle zobaczyła wszystko z zadziwiającą jasnością. Nie wolno jej było zostać w Hastings House ani jednego dnia dłużej. Musiała wyjechać tej nocy.

Niechcący wywołała chaos w tym domostwie. Musiała wyjechać, była im to winna, a szczególnie Philipowi.

Dokąd jechać?

Znaleźć Josepha. Pomóc mu. Wprawdzie istniała możliwość, że nie będzie jej chciał, ale dla niej to nie miało znaczenia. Musiała go znaleźć.

Weszła Stella, żeby pomóc jej się rozebrać, więc Constance pomyślała nawet, żeby jej o tym wszystkim opowiedzieć i dać liścik z wyjaśnieniem oraz przeprosinami dla Philipa. Ale wtedy Philip pojechałby za nią i sytuacja skomplikowałaby się jeszcze bardziej. Nie, nie mogła się przed nim zdradzić.

Księżę? Owszem, okazałby jej współczucie, to nie ulegało wątpliwości. Ale nie mogła stawiać go w niezręcznej sytuacji. Byłoby nieuczciwie uspokajać sumienie jego kosztem.

To, co miała zrobić, musiała zrobić sama.

Jeszcze raz Constance Lloyd była zdana tylko na siebie.

Logika nakazywała zacząć poszukiwania Josepha od Londynu.

Philip wspomniał, że jego pracownia mieści się przy Waterloo Road, po wschodniej stronie Tamizy. Tam więc Constance zamierzała jechać.

Wkrótce zdała sobie jednak sprawę z rozmiarów przedsięwzięcia.

Na każdym kroku napotykała przeszkody. Pierwszą i bez wątpienia najważniejszą była konieczność dostania się do Londynu. Pieszko iść nie mogła, nawet gdyby znała drogę. Mogłaby jechać konno, ale pod warunkiem, że postarałaby się o konia, w Londynie zaś oznaczałoby to konieczność opłacenia stajni i obroku, który byłby potrzebny także po drodze. Trzecią możliwość, chyba najlepszą, stanowiła jazda koleją. Należało tylko dostać się na najbliższą stację.

Innym słabym punktem w jej planie były pieniądze. Bez względu na wybrany sposób podróżowania, musiała ponieść określone koszty. Im bezpieczniejsza i wygodniejsza podróż, tym droższa. A za bramami Hastings House rzeczywistość brutalnie dawała o sobie znać. Potrzebna była gotówka, Constance nie miała zaś w kieszeni złamanego pensa.

Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju, wytężając umysł. Nie wiedziała, czy w takim stanie może ufać zmysłom, ale w pewnej chwili, wydało jej się, że słyszy płacz. Gdzieś w tym domu płakała kobieta. Szlochała rozdzierająco, jakby ogarniała ją bezbrzeżna rozpacz.

Constance pomyślała o służbie, bo zdawało jej się, że płacząca kobieta jest młoda, ale pokoje służby były w innym skrzydle domu. Nie mógłby stamtąd przeniknąć żaden dźwięk.

Naszła ją niespodziewana myśl. Może ten dwór jest nawiedzony. Może szuka spokoju duch dawno zmarłej kobiety, uwięzionej w tych czterech ścianach. A może zły duch daje jej, Constance, ostrzeżenie, każe wyjechać, zanim i dla niej nie będzie ratunku i nadziei ani w tym życiu, ani w przyszłym.

- Bzdura - powiedziała pod nosem.

Żaloszny szloch rozbrzmiewał nadal, ale Constance przestała na niego zwracać uwagę, częściowo dlatego, że tak dyktował jej zdrowy rozsądek, a częściowo z lęku, że zaraz zacznie płakać nie mniej rozdzierająco niż tajemnicza kobieta.

Otwierając szufladę, wciąż zastanawiała się, skąd wziąć pieniądze. Zaczęła układać bieliznę na łóżku i wtedy zorientowała się, że nie ma nawet torby podróżnej, do której mogłaby zapakować rzeczy. Do Sandringham jechała powozem, z kuframi i służbą. Teraz mogła zabrać tylko cynowe wiaderko od księcia i swoją deskę do pisania.

Ktoś cicho zapukał. Constance zawahała się, ale uchyliła drzwi.

Była to Viola, otulona falbaniastym białym szlafrokiem. Trzymała świecę; nos miała czerwony, oczy mokre od łez.

Constance pojęła, czyj płacz słyszała. Zdumienie, które odmalowało się na jej twarzy, musiało być bardzo widoczne.

- Nie chcę być natrętna, panno Lloyd - szepnęła Viola. - Ale czy mogę wejść i z panią porozmawiać?

Constance skinęła głową tylko dlatego, że prośba ją zaskoczyła i nie przyszło jej do głowy nic, co uchroniłoby ją przed tym najściem. ,-

Nie czekając na słowa zaproszenia, Viola weszła do pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi. Natychmiast zatrzymała wzrok na łóżku.

- Wybiera się pani w podróż? — Czekając na odpowiedź, postawiła świecę na komodzie.

- Nie, skąd. Ja tylko... Głos jej się załamał. Viola westchnęła.

- Proszę mi wybaczyć. - Zamknęła oczy. - Zdaje się, że obcesowość weszła mi w nawyk. Jest w tym domu coś takiego, od czego staję się niezdolna. Nawet mnie jest tu źle ze sobą, a to stwarza dość niezręczną sytuację, by nazwać rzecz delikatnie.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - spytała Constance, całkiem zmylona nocną wizytą i dziwnym zachowaniem narzeczonej Dishy'ego. - Nie wiedziałam, że pani tu nocuje. Myślałam, że pani pojedzie do domu.

- Zostałam pod pretekstem złego samopoczucia. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że uda nam się porozmawiać w cztery oczy.

- Czy to pani płacz słyszałam?

- Boże, słyszała pani? - Viola rozejrzała się po pokoju. - Ech, w tych starych domach wszystkie dźwięki się niosą. Trudno, przyznaję, że mój.

- Czy poczuła się pani lepiej? - Constance nie bardzo wiedziała, co w tej sytuacji powiedzieć.

- Czy mogę jakoś pani pomóc?

- Nie wiem. Proszę zrozumieć, to jest dla mnie bardzo trudne. Nigdy przedtem nie prosiłam nikogo o pomoc, a już na pewno nie w ten sposób.

- W każdym razie ma pani nade mną tę przewagę, że wie pani, o co chodzi. - Constance starała się utrzymać rozmowę w lekkim tonie. - Proszę powiedzieć to, co pani chce.

- Rozumiem, że pani była guwernantką. Przez chwilę Constance wpatrywała się w Violę, stojąc nieruchomo.

- Owszem. Pracowałam jako guwernantka przez prawie dziesięć lat. Czyli już pani to wie. Zaspokoiliam pani ciekawość.

- Wyminęła Violę, żeby otworzyć drzwi. Miała nadzieję, że ta da jej spokój i wyjdzie.

- Och, nie, pani źle mnie zrozumiała. - Nerwowym ruchem zawiązała pasek szlafroka, po czym rozwiązała go znowu. - Po prostu chcę się czegoś o pani dowiedzieć.

- Wolałabym porozmawiać o mnie innym razem, bo tymczasem...

- Czy pani go kocha? - wyrzuciła z siebie Viola.

- Słucham?

Viola trochę odzyskała pewność siebie, postąpiła krok naprzód.

- Spytałam, czy pani go kocha? Muszę to wiedzieć.

Constance skrzyżowała ramiona i zerknęła na łóżko, gdzie rozłożona bielizna milcząco ją oskarżała. Potem jej wzrok padł na deskę do pisania, prezent od Josepha. To ciągnęło się już za długo, stanowczo za długo. Miała dość udawania.

- Tak - przyznała, przymykając oczy. - Tak, bardzo go kocham.

- Och. - Viola zgarbiła się; nagle wydała się bardzo mała.

- Wobec tego przepraszam za najście. I życzę wam wiele szczęścia. - Przełknęła ślinę i sięgnęła po świecę. - Niech pani będzie szczęśliwa z Philipem - powiedziała cicho.

- Proszę zaczekać. - Constance podeszła do Violi. - Pani pytała, czy kocham Philipa?

Viola skinęła głową, siląc się na uśmiech.

Constance zastanawiała się, czy powiedzieć prawdę. Przyjrzała się rozmówczynie. Znow ogarnęło ją poczucie beznadziejnego uwikłania w kłamstwa wypowiedane w dobrej wierze. To nie mogło dłużej tak trwać. Zresztą postanowiła wyjechać, więc i tak nie miało to znaczenia.

- Nie kocham Philipa. Viola nie poruszyła się.

- Przed chwilą powiedziała pani co innego.

- Nie. Miałam na myśli Josepha.

- Josepha Smitha?

- Pst! Zbudzi pani cały dom.

Viola przytknęła dłoń do ust i wlepiła wzrok w punkt przed sobą. Potem wybuchnęła śmiechem.

- Cieszę się, że mogłam pani dostarczyć godziwej rozrywki - mruknęła Constance.

Viola machnęła ręką, ale nadal bezgłośnie się śmiała, aż trzęsły jej się ramiona. Wyglądała tak, jakby nagle przestała się pilnować. Jej sztywność zniknęła bez śladu. Viola znów zachowywała się tak samo jak w Sandringham. Upodobniła się do postaci z portretu namalowanego przez Philipa; była piękną młodą kobietą o szczerzej twarzy. • Constance odprężyła się i nawet odpowiedziała Violi słabym uśmiechem. Ten wybuch radości rozładował sytuację.

Wreszcie Viola zaczerpnęła tchu i przesunęła palcem najpierw pod jednym okiem, potem pod drugim, by otrzeć łzy.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Zdaje się, że przestałam nad sobą panować. Mam nadzieję, że pani mnie zrozumie. Bo to ja kocham Philipa.

Constance otworzyła usta ze zdumienia, a Viola uśmiechnęła się szeroko.

- Kocham go od dawna. Odkąd rzucił we mnie kamieniem, jak miałam pięć lat.

- Nic dziwnego. Gdyby to pani w nim nie rozkochała, to już nie wiem co innego by mogło - bąknęła Constance. Przeczesała dłonią ciemne włosy. - Kocha pani Philipa?

Viola skinęła głową.

- Szaleję za nim.

- To dlaczego jest pani zaręczona z Cavendishem?

- Pewnie z tego samego powodu, dla którego pani jest narzeczoną Philipa. Nie mam wyboru. Przez wiele lat robiłam z siebie widowisko, byleby tylko zwrócić na siebie uwagę Philipa, ale jak pani widzi, na próżno. Nawet ten okropny dowcip, który mu zrobiłam w dzieciństwie, był tylko po to, żeby zaczął mnie zauważać. Tymczasem został mu z tego na całe życie tylko lęk przed pajakami. A ja tyle wysiłku włożyłam w wymyślanie tych wybryków. Chciałam przynajmniej go rozzłościć, to już byłoby coś.

- Muszę chwilę nad tym pomyśleć, żeby zrozumieć.

- Wiem. Skomplikowane, prawda?

- Usiądźmy. - Constance odsunęła na bok swoją garderobę i obie przysiadły na krawędzi łóżka.

- Czyli pani jest zakochana w Josephie? Constance skinęła głową.

- Tak, ale do dziś nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo.

- Czy wie pani, gdzie on teraz jest?

- Nie. - Constance na chwilę zamilkła. - Prawdę mówiąc, zamierzałam wyjechać dziś w nocy, żeby go poszukać.

- Wyjechać? Dziś w nocy? Jak pani sobie to wyobrażała?

- Nie bardzo wiem. - Przy kąciku ust Constance pojawił się dołeczek. - Właśnie oswajałam się z realiami, gdy pani zapukała do drzwi.

- A ma pani pojęcie, gdzie może być?

- Nie bardzo. Wybierałam się do Londynu. Philip wspomniał coś o pracowni Josepha przy Waterloo Road, więc pomyślałam, że stamtąd zacznę.

- No, nie wiem. - Viola przygryzła wargę. - Bardzo wątpię, czy on jest w Londynie. Nikt go nie widział od wielu dni, a przypuszczam, że w tej chwili byłoby mu bardzo trudno ukryć się przed dosłownie wszystkimi.

- Wiem, że ostatnio był też na pewno w Szkocji. Może tam go znajdę.

- Panno Lloyd, Szkocja jest duża. Potrzeba nam więcej informacji niż tylko samo nazwisko Smith. Czy zna pani jego znajomych?

Constance zawahała się. Przecież tak naprawdę Viola była dla niej obcą kobietą. Może to wrogowie Josepha wymyślili taką sztuczkę, żeby znaleźć coś, co można by wykorzystać przeciwko niemu. Wprawdzie Constance wiedziała naprawdę niewiele, ale z taką ewentualnością powinna się liczyć.

- Niech się pani zastanowi, panno Lloyd. - Viola ze znużeniem potarła czoło. - Będę z panią szczerą. Jediną nadzieję na wyciśnięcie ze znajomości z Philipem czegoś więcej niż sprzeczka, którą widziała pani dziś po południu, opieram na tym, że pani stąd wyjedzie, by szukać szczęścia z Josephem Smithem. Nie rozumie pani? Gdyby to był ktokolwiek inny, Philip poruszyłby niebo i ziemię, żeby panią odnaleźć. Ale nie Smith. To jest jedyny człowiek, którego szczęście Philip przedłożyłby nad własne. Tylko że...

- Że co?

- Co myśli o pani Smith? Jestem żywym dowodem na to, że kobieta może czuć się idealną żoną dla mężczyzny, który nic o tym nie wie. Czy Smith odwzajemnia pani uczucie?

- Hmm... - Przypomniała sobie twarz Josepha, sposób, w jaki patrzył na nią w bibliotece w Sandringham i wtedy, gdy przyszedł się z nią pożegnać. - Przypuszczam, że też do mnie coś czuje. - Okazywał mi wyraźną sympatię. I przysłał mi to w prezencie. Obie spojrzały na deskę. Viola się uśmiechnęła.

- Taki prezent od Smitha należy traktować na równi z zawiadomieniem o zaręczynach w „Gazette”. Wobec tego, jakie nazwiska jego znajomych pani sobie przypomina?

Constance znów się zawahała.

- Proszę - przynagliła ją Viola. - Będę z panią całkiem szczerą. Muszę poślubić Cavendisha, ponieważ moi rodzice stracili poważną część majątku. W odróżnieniu od Ballsbridge nasz majątek jest stosunkowo niewielki, a przyległe ziemie są właściwie nieużytkami. Wszystko odziedziczy mój młodszy brat, a mnie rodzice dali wybór: albo wezmę ślub z Cavendishem, albo zostanę guwernantką.

- Pani... guwernantką?

- Nie mam innych możliwości. Za niecały miesiąc skończę trzydzieści lat. Wszyscy nie utrzymamy się z majątku. Naprawdę nie mam innych możliwości.

Constance była przekonana, że Viola mówi szczerze. Takie doświadczenie dla każdego jest upokarzające. Ona przynajmniej nie musiała zatrudnić się jako guwernantka na oczach wszystkich ludzi, wśród których dorastała w Richmond. Nie miała świadków utraty swej pozycji społecznej.

- W tej chwili wydaje mi się - ciągnęła Viola - że wolałabym zostać guwernantką niż żyć w małżeństwie bez miłości.

To było sedno sprawy. Constance wiedziała, że dokładnie z tego samego powodu nie powinna dłużej zostawać w Hastings House.

- Czy potrafi sobie pani wyobrazić, co byłoby za pięć lat? - mówiła dalej Viola. - Teraz mogę odnosić się do Cavendisha z fałszywą uprzejmością, chociaż przez cały czas myślę o Phi-

lipie, porównuję ich gesty, uśmiechy, sposób trzymania się w siodle. Ale jeśli poślubię Cavendisha... Chyba oszaleję. Chociaż wtedy nie będzie to już miało znaczenia, skoro i tak najpierw sprzedam swoją duszę.

- Crimmins i Walker.

- Słucham?

- Nie wiem, jakie mają imiona, ale takie nazwiska mieli dwaj dżentelmeni, którzy znają Josepha i towarzyszyli mi w drodze do Hastings House po tym, jak napadli na nas rabusie.

- Ach, tak. Cavendish mi o tym opowiadał. To było wspaniałe, panno Lloyd! Naprawdę wspaniałe! - Viola nagle wróciła do rzeczywistości. - Crimmins i Walker. Hm, to już coś. Jakieś inne nazwiska?

- Panno Rathbottom?

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu.

- Violu, teraz ja muszę być z tobą szczerą. Widziałam, w jaki sposób Philip na ciebie patrzy tutaj, i widziałam, jak patrzył w Sandringham. Założyłabym się o każdą sumę, że jest w tobie zakochany nie mniej niż ty w nim.

- Żartujesz. - Oczy Violi zdradzały jednak, że bardzo chce uwierzyć w słowa Constance.

- Nie żartuję z poważnych spraw. Viola zaczerpnęła tchu.

- Boże, mam nadzieję, że masz rację.

- Brown.

- Brown?

- Tak. Właśnie przypomniałam sobie jeszcze jedno nazwisko człowieka związanego z Josephem. Crimmins i Walker wspominali o jakimś Brownie. Zdaje się, że chodziło o Johna Browna. Jednemu z nich to nazwisko wyrwało się przypadkowo w powozie.

- John Brown. To nie jest... - Nagle Viola urwała. - John Brown? Czy ten John Brown ma coś wspólnego ze Szkocją?

- Tak sądzę. Woźnica wspominał, że zanim Joseph przyjechał po mnie, podróżował z człowiekiem ubranym w kilt.

Viola wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- A gdzie pan Smith po ciebie przyjechał?

- Do Cowes, na wyspie Wight. Czy to ważne?

- Cowes. A czy przypadkiem królowa nie była wtedy w Osborne House?

- A tak, była. Dlaczego pytasz, Violu? Czy coś się stało? -

- Myślę, że mogę ci powiedzieć, gdzie jest Smith.

- Gdzie? Proszę tego przede mną nie ukrywać.

- Widziałam ostatnio „Court Circular”. - Głos Violi był pełen zdziwienia. - Królowa zamierza spędzić wakacje w Balmoral, w Szkocji.

- Na Boga, co ma do tego królowa?

- Moja droga Constance. John Brown jest jej zaufanym lokajem. A to oznacza, że w cokolwiek jest zamieszany Joseph Smith, ma to związek z samą królową Wiktorią.

- Z królową Wiktorią? - Te słowa ledwie przeszły Constance przez gardło. - Chodzi o tego Johna Browna z pamfletów i karykatur w „Punchu”?

- Tak - potwierdziła Viola. - O królową Wiktorię i Johna Browna.

Kłopoty Constance i Violi zaczęły się nagle wydawać zadziwiająco błahe.

Dopiero gdy Constance znalazła się w pociągu do Szkocji i potem, gdy powozem pokonywała ostatnie trzydzieści kilometrów, dzielące ją od Balmoral, miała okazję spokojnie pomyśleć. Zastanawiała się, czy słusznie uległa odruchowi i wyruszyła w tę podróż, bo przecież było bardzo prawdopodobne, że nie uda jej się znaleźć Josepha. Zastanawiała się również, czy mieszkańcom Hastings House jej wyjazd przyniesie ulgę, czy też wywoła wśród nich panikę. Podejrzewała, że ich reakcje będą mieszane.

Z pomocą Violi napisała liścik do Philipa, tylko kilka linijek. Korzystając z odnowionej deski oraz papieru i atramentu, które były w środku, podziękowała mu za wszystko. Wy tłumaczyła, że go nie kocha, a on zasługuje na coś więcej. Zresztą on również bez wątpienia jej nie kocha, a któregoś dnia, zapewne już niedługo, uda mu się znaleźć szczęście z kobietą, z którą połączy go wzajemna miłość.

To ostatnie zdanie dopisała pod wpływem Violi, teraz zaś, myśląc o nim, wzdragała się, że wypadło tak melodramatycznie. Nic jednak nie mogła już zmienić.

W pociągu myślała też o starym księciu. Miała nadzieję, że jej wyjazd nie przysporzy mu zmartwień. Co do księżnej, Constance wiedziała, że zbyt ważne jest dla niej liczenie srebrnej zastawy i sprawdzanie, czy w szkatułkach z biżuterią niczego nie brakuje, by zauważyła zniknięcie narzeczonej syna. Pierścionek zaręczynowy Constance zostawiła w widocznym miejscu na toalecie, księżna powinna być więc zadowolona.

Najwięcej jednak myślała o Josephie.

Ostatnie godziny były dla Constance czymś wyjątkowym.

Wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie. Zdawało jej się, że odkąd Viola zapukała do drzwi jej pokoju, świat zaczął pędzić po równi pochyłej.

Gdy tylko ustaliły z Violą, kim najprawdopodobniej jest John Brown, błyskawicznie opracowały plan. Viola pojechała do domu, wślizgnęła się tam ukradkiem i opróżniając różne skrytki, zdołała zgromadzić prawie pięćdziesiąt funtów. Wyciągnęła między innymi pieniądze matki, schowane w sakiewce za marmurowym popiersiem królowej Anny. Potem wróciła kuchennym wejściem do Hastings House, przynosząc ze sobą również kostium podróżny, małą torbę i rozkład jazdy pociągów.

- Violu - powiedziała Constance; minęło już trochę czasu, odkąd zaczęły sobie mówić po imieniu - naprawdę nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie ma za co. - Viola studiowała rozkład jazdy. Wreszcie spojrzała na Constance. - Im szybciej stąd wyjedziesz, tym większą będę miała szansę poślubienia właściwego brata.

Constance przestała się uśmiechać.

- Co ja właściwie robię?

- Wyjeżdżasz, by odnaleźć kochanego mężczyznę.

- To szaleństwo.

- Wcale nie. - Viola chwyciła ją za nadgarstek. - Szaleństwem byłoby moje małżeństwo z Cavendishem. Szaleństwem byłoby twoje małżeństwo z Philipem.

- Nie ma gwarancji, że Joseph mnie zechce.

- Owszem. Ale nie ma też gwarancji, że Philip zechce mnie.

- I nie ma gwarancji, że Joseph jest w Balmoral. Jeśli londyńscy dziennikarze nie umieją go znaleźć, to jak ja mam tego dokonać?

- Przede wszystkim, moja droga Constance, londyńscy dziennikarze, nawet jeśli są sprytni i bezczelni, to nie mają tak pilnej potrzeby odszukania Josepha Smitha jak ty. Bo ty go szukasz

z miłości, a to jest o wiele ważniejszy powód niż zamówienie na artykuł. Owszem, nie wiemy, jak Smith zareaguje na twój widok. Co do tego nie ma pewności. Ale jedno jest pewne, i to mogę ci zagwarantować: pożałujesz, jeśli nie spróbujesz go znaleźć.

To była prawda. Wszystko, co Viola powiedziała, było prawdą. Ale czy właśnie w ten sposób szuka się drogi do szczęścia?

- Nie jestem przekonana, czy ta metoda jest słuszna -wyznała Constance. Nie spodziewała się, że tak nagle znajdzie powierniczkę. Od czasu rozstania z panią Whitestone nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć.

Nie. Właściwie od czasu rozstania z Josephem.

- A jaka inna metoda przychodzi ci do głowy? Na miłość boską, Constance, czas płynie. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli teraz nic nie zrobimy, będziemy płacić za to do końca życia? W dodatku zasłużymy sobie na to, jeżeli przynajmniej nie spróbujemy.

- Nie jestem pewna...

- Może ty nie, ale ja jestem. - Viola zniżyła głos. - Wymyślę jakąś historyjkę, byle co. Powiem wszystkim, że zaprosiłam cię do Rathbottom Grange.

- Rathbottom Grange? Viola uśmiechnęła się szeroko.

- Strasznie to brzmi, prawda? Ale tak się nazywa mój dom. - Znów spoważniała. - Mniejsza o to. Zostawię liścik z wiadomością, że wyjechałyśmy razem do Rathbottom Grange. Tymczasem Philip dostanie twój liścik. Znam go, wiem, że nie pojedzie za tobą od razu, tylko trochę poczeka. Będzie chciał najpierw przemyśleć sytuację i zdecydować, co robić. To opóźni pogoń. A gdy Philip przyjedzie się z tobą zobaczyć, a przyjedzie na pewno, gdy ułoży plan bitwy, postaram się jak najlepiej zapełnić mu czas.

- Co ja mu powiem, na Boga? Co ja mu powiem, jak go zobaczę?

- Rozumiem, że chodzi o Smitha.

Constance skinęła głową. Dopadł ją potworny ból głowy. Cały ten plan był palcem na wodzie pisany.

- Najpierw jedź do Szkocji, Constance.

- Ale jak mu wyjaśnię, skąd się tam wzięłam? „Dzień dobry, panie Smith. Cieszę się, że pana widzę. Akurat zwiedzałam królewskie rezydencje w Wielkiej Brytanii. To niesamowity zbieg okoliczności, że pana spotykam. Nie sądzi pan?”

- Masz przed sobą wiele godzin w trzęsącym się pociągu na wymyślenie czegoś naprawdę błyskotliwego. Ale jeśli wkrótce nie znajdziesz się na stacji, to całe myślenie na nic.

- A jak ty wyjaśnisz swoją nieobecność, Violu?

- W którym miejscu? W domu myślą, że jestem tutaj, a tutaj pomyślą, że pojechałam do domu. Przekupię jednego ze stajennych ojca, żeby nas zawiózł na stację. Chłopak wróci, zanim ktokolwiek się zorientuje.

- Mam bardzo złe przeczucia w związku z tym pomysłem.

- Czy gorsze niż poślubienie Philipa i spędzenie reszty życia w towarzystwie księżnej?

- Nie aż takie.

- To dobrze. Wobec tego do roboty. - Viola otworzyła torbę i po pokoju rozniósł się zapach stęchlizny. - Najpierw trzeba podjąć bardzo ważną decyzję: niebieski czepek czy zielony?

Konstance nigdy nie przestała się dziwić, że królewska rodzina w Wielkiej Brytanii, ponoć najpotężniejszym imperium świata, zamieszkuje rezydencje, które można nazwać jedynie bądź dziwacznymi, bądź mało eleganckimi.

Jej pierwsze wrażenie z Balmoral było podobne do pierwszego wrażenia z Osborne House, które z kolei zadziwiająco przystawało do pierwszego zapamiętanego obrazu Sandringham. Wszystkie te budowle były bardzo solidne. Masywne. Budowniczości nie starali się nikogo olśnić pięknem, jakby piękno szkodziło poczuciu celowości i rozsądkowi, czyli wartościom, na których wyeksponowaniu królowej bardzo zależało.

Constance słyszała, że królowa Wiktorja miała kiedyś zupełnie inny gust, lubiła rzeczy urokliwe, lecz niepraktyczne. Potem poślubiła Alberta, który wniósł do tego małżeństwa wartości cenione przez Niemców i pogardę dla wszystkiego, co nie jest praktyczne. Po jego śmierci królowa go w tym przerosła, popadła bowiem w manię dopasowywania wszystkiego do upodobań zmarłego. Chciała widzieć wszystko takie, jakie by mogło zyskać aprobatę księcia małżonka.

Balmoral było jednym z takich miejsc. Alfred osobiście zaprojektował rezydencję w eklektycznym stylu, który rodzinie królewskiej chyba szalenie się podobał. W jej murach można było znaleźć architektoniczne detale z wszelkich epok, nawet takich, których historycy sztuki dotąd nie zidentyfikowali. Dach był wprawdzie kalenicowy, nawiązujący do gotyku, ale drzwi - georgiańskie; salon, jak wszyscy twierdzili, miał swój pierwowzór w Wimbledonie.

Wystrój nie był jedynym dziwactwem Balmoral. Rezydencja zyskała famę miejsca rozrywek pod gołym niebem, od długich spacerów i jazdy konno po polowanie i obiady na świeżym powietrzu, zaczęto ją więc traktować jak rodzaj uzdrowiska w szkockich górach. Niejednemu tamtejsza atmosfera kojarzyła się z Marią Antoniną, która w Petit Trianon usiłowała wcielić się w wiejską pasterkę, z tym, że dla królowej Wiktorji przeznaczono rolę dostojnej, szkockiej matrony. Gościom proponowano odwiedzenie miejscowego kościoła i słuchanie słowa Bożego ramię w ramię z poczciwymi, prostymi ludźmi. Na dziedzińcu dojono krowy, żeby parowie mogli zachwycić się tą czynnością. Czytywano na głos książki Roberta Burnsa i sir Waltera Scotta, zawsze przy ogniu trzaskającym w kominku i zawsze z wielkim uczuciem. Gości namawiano też do noszenia tartanów, a mężczyźni, nawet chudonogich i z obwisłymi brzuchami, wbijano w kilty. Kobiety ubierały się w jaskrawe pledy, a do nich wkładały najnowsze czepki prosto z Paryża. I wszyscy, ale to absolutnie wszyscy, mieli po takiej kuracji wyjechać z Balmoral oczyszczeni i odrodzeni.

Większość jednak wyjeżdżała, narzekając na bóle stawów, królowa nie uważała bowiem za konieczne palenia w kominkach przez cały dzień, w dodatku monotonia dworskiego życia była uciążliwa. Wielu gości używało więc terminu „balmoralność”.

Księżę Walii nienawidził Balmoral.

Nie tylko dlatego, że zamek reprezentował wszystko, co wydawało mu się nudne, lecz przede wszystkim dlatego, że najbardziej znienawidzony przez niego człowiek w królestwie uważał Balmoral za swoje prywatne terytorium.

Tym człowiekiem był John Brown.

Jego właśnie przyjechała zobaczyć Constance, od niego bowiem chciała się dowiedzieć, gdzie jest Joseph.

Wysiadła z powozu u podnóża wzniesienia, gdzie zaczynała się droga do zamku. Woźnica uznał zapewne, że ma do czynienia z zaproszoną lady albo wyróżnioną damą do towarzystwa, którą sprowadzono na dwór królowej. Constance zapłaciła mu, a on odjechał, tylko trochę zdziwiony jej życzeniem, by resztę drogi pokonać pieszo, a nie powozem.

Constance zaczerpnęła tchu i zebrała swoje bagaże, małą torebkę oraz torbę pożyczoną od Violi. Spakowała też wiaderko od księcia, na szczęście, choć tym razem nie miała w nim ciasteczek, którymi mogłaby się pokrzepić.

Idąc krętą dróżką, pomyślała, że jeśli kiedykolwiek w życiu potrzebowała szczęścia, to niewątpliwie właśnie teraz.

14

Znalazłszy się w miejscu, z którego było widać zamek, pokonawszy niewygodną, skalistą, wijącą się dróżkę, na której bez przerwy trzeba było oganiać się od owadów wielkości małych ssaków, Constance stwierdziła, że nie bardzo wie, co robić dalej. Prawdę mówiąc, w ogóle nie spodziewała się, że zdoła dotrzeć tak daleko, nie zatrzymana przez krzepkich strażników albo ukrytych w zaroślach tajnych agentów królowej. Na razie nie zauważyła, by w Balmoral stosowano jakiegokolwiek środki bezpieczeństwa. Owszem, mijała ludzi idących z grabiami, którzy uchylali przed nią czapki, spotykała kobiety z koszami i wiadrami; uśmiechały się do niej rumianymi, okrągłymi buziami i szły dalej swoją drogą. Ale w przeciwieństwie do Osborne House, nie było żołnierzy na straży. Balmoral bardziej sprawiało wrażenie wielkiego, dobrze utrzymanego prywatnego domostwa niż rezydencji jednego z najpotężniejszych monarchów Europy.

Ruszyła ku bramie, która wyglądała na główną. Przez cały czas spodziewała się, że ktoś wyskoczy z zarośli, by ją zatrzymać, chwycić w pole i przewrócić na ziemię.

Nic takiego się nie stało. Nikt nie stanął jej na drodze, a jeden z mężczyzn niosących grabie nawet odsunął na bok stertę śmieci, żeby mogła przejść. Po krótkim wahaniu ruszyła prosto do części mieszkalnej.

Tam wreszcie ktoś ją zatrzymał.

Nie zaprotestowała i nie przestraszyła się, przeciwnie: poczuła ulgę.

- Ktoś ty, kobieto? - zagrzemiał jej tuż przy uchu męski głos.

- Chcę się zobaczyć z panem Brownem - odparła najspokojniej jak mogła, uświadomiwszy sobie, że jej stopy straciły kontakt z ziemią. Miała wrażenie, że dostała się w objęcia wielkiego, pijanego barana. Owionął ją zapach mokrej wełny i whisky.

- Jak się nazywasz, kobieto?

Uścisk trochę osłabł; wreszcie mogła zaczerpnąć tchu.

- Constance Lloyd. Przyjechałam tutaj zobaczyć się z panem Josephem Smithem. Może pan przypadkiem wie, gdzie on przebywa?

- Zamilcz, kobieto!

- Bardzo przepraszam! - Chciała się obrócić, żeby zobaczyć, kto z nią rozmawia, ale nie miała swobody ruchów. - Nie zachowuje się pan w sposób godny dżentelmena, sir.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem dżentelmenem, kobieto - burknął. - A ty weszłaś bezprawnie na teren posiadłości królowej Anglii.

- Wiem - syknęła tak głośno, jak tylko pozwalał jej na to uścisk. - Nie jestem całkiem głupia.

- Dowody na razie na to wskazują, kobieto. Będziesz grzeczna, jeżeli cię puszczę?

- Też coś, naturalnie. Czegoś takiego jeszcze nie słyszałam!

- Cóż to za akcent?

- Sama się nad tym zastanawiałam, sir. Pańska wymowa wydaje mi się bardzo szkocka.

- Co ty wiesz, kobieto? - Postawił ją na ziemi i wreszcie zobaczyła napastnika. Był olbrzymem. Nie ze względu na wzrost - nie był bowiem wyższy od Philipa czy Josepha - lecz był zbudowany tak, że wydawał się wyjątkowo potężny.

Twarz mężczyzny, gdy Constance wreszcie dosięgła jej wzrokiem, okazała się całkiem przyjemna. Rysy miał wyraziste i regularne, skórę opaloną; pojawiały się na niej pierwsze ślady częstego kontaktu z wiatrem i deszczem. Mężczyzna nosił czapkę z daszkiem i emblematem, pięknie skrojony granatowy frak i śnieżnobiałą koszulę. Ale jej uwagę zwrócił przede wszystkim kilt z tak włóchatym sporranem, że Constance nie była pewna, czy torba za chwilę nie zaszczeka. Zaintrygowały ją również grube wełniane skarpety, przede wszystkim dlatego, że podkreślały obwód łydek mężczyzny.

Nogi miał wyjątkowo krzepkie. Constance widywała już dęby z cieńszymi pniami. Za to nigdy nie widziała takich kończyn, nawet u zwierząt w zoo. Niezwykły stojak na parasole, zrobiony z nogi słonia, który kiedyś oglądała, nie wydał jej się tak imponujący. Te nogi należały z pewnością do człowieka, ale nie było łatwo w to uwierzyć.

- Mówię do ciebie, kobieto.

Skrzyżował ramiona. Zapewne tylko dzięki bezbłędnemu krojowi fraka nie zauważyła dotąd, że Szkot ma ramiona równie muskularne, jak nogi.

- Zdaje mi się, że jeszcze nigdy nie widziałam tak wielkiego mężczyzny - powiedziała Constance.

Pierwszy raz się uśmiechnął i ku swemu zaskoczeniu Constance uświadomiła sobie nagle, że gigant z gór jest nie tylko ogromny, lecz również przystojny.

- Dziękuję. Ale akcent mam gaelicki.

- Słucham?

- Powiedziałaś, kobieto, że mam szkocki akcent. Może i mam, ale szkocka jest whisky, a akcent gaelicki.

- Serdecznie przepraszam.

- A gdzie ty byłaś w młodości, kobieto?

- Gdzie? W Wirginii, sir.

- To znaczy, że naprawdę jesteś Constance Lloyd. - Skłonił się przed nią. - John Brown do twoich usług, kobieto.

- Pan jest Johnem Brownem?

- A kogoś się spodziewała, dzikiego kozła?

- Proszę mi wybaczyć. - Wyciągnęła do niego rękę. - Miło mi pana poznać, sir.

- Mnie też miło, kobieto. Smith opowiedział mi o tobie.

- Czy on tu jest? Przyjechałam do niego.

Brown cofnął się i, ku zażenowaniu Constance, zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, bynajmniej tego nie ukrywając. Potem wolno unióśł dłoń do twarzy i mrużąc oczy, pogłaskał się po skroni, na której się pojawiły pierwsze siwe włosy.

- Nic ci nie powiedział, prawda?

- Pan Smith? Brown skinął głową.

- Nie, panie Brown. Niestety, nic mi nie powiedział. Dlatego gdy zaczęły krążyć plotki, że jest w tarapatach, postanowiłam go poszukać. Pomyślałam, że może będę w stanie mu pomóc. Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

- Jak, kobieto?

- Patrzy pan na mnie tak, jakbym stanowiła zagrożenie dla racji stanu.
 - Właśnie o tym w tej chwili myślałem. - Nadal gładził włosy na skroniach. - Jesteś zaręczona z innym mężczyzną, prawda?
 - W zasadzie...
 - A przedtem byłaś guwernantką, tak?
 - Owszem, ale...
 - I twój narzeczony, kobieto, pozwolił ci wyjechać samej i włóczyć się po Szkocji, żebyś znalazła sobie innego?
 - Nie! To wcale nie jest tak! - Splotła dłonie. - On nie wie, gdzie jestem.
 - Twój mężczyzna?
 - Nie mam mężczyzny, panie Brown. W każdym razie nie bardziej, niż pan ma kobietę.
- Już w chwili, gdy to powiedziała, zorientowała się, że popełniła błąd. Oczy mu podejrzenie zabłyśły, na usta wystąpił niemiły uśmiešek.
- Nie to miałam na myśli, panie Brown, i pan świetnie o tym wie. - Zaczepnęła tchu i wbiła wzrok w góry, których sylwetki rysowały się w oddali. Przez chwilę przyglądała się niskim chmurom napływającym nad szczyty, podziwiała soczystą zieleń, jaskrawy fiolet i żółć jesiennych kwiatów. - Mój Boże, jak tu pięknie.
 - A pięknie, pięknie.
- Odwróciła się z powrotem do Browna. Już się nie uśmiechał.
- Proszę, niech mi pan powie. Czy pan wie, gdzie można znaleźć pana Smitha?
 - Nie.
 - Nie?
 - Powiedziałem wyraźnie, kobieto. Nie.
 - Czy to znaczy, że jechałam tak daleko na próżno? Wzruszył ramionami.
 - Niekoniecznie. Chcesz się napić herbaty i zjeść placek? Uśmiechnęła się.
 - Dziękuję, panie Brown, chętnie. Ale czy mogę najpierw o coś pana spytać?
 - Możesz mnie pytać o wszystko, to pewne. Nie wiem, czy odpowiem, ale pytać możesz o wszystko.
 - Co robi pan Smith? I czy jest w niebezpieczeństwie?
 - Nie powiem ci, kobieto, co robi. Nie mam do tego prawa. Ale byłabyś niemądra, gdybyś sądziła, że nie jest w niebezpieczeństwie. Bardzo niemądra.
- Przymknęła oczy.
- Dziękuję.
 - Herbaty?
 - Poproszę.

Brown podał jej ramię, a drugą ręką wziął z ziemi jej torbę.

Herbatę podano jej w części rezydencji przeznaczonej dla służby. Po okresie kontaktów z gośćmi Hastings House i Sandringham Constance z wielką ulgą znalazła się- znów po drugiej stronie, wśród ludzi, którzy osądzali ją według tego, co widzą. Niestety, zobaczyli w niej niezrównoważoną Amerykankę z Południa, która przejechała całą Wielką Brytanię, by odnaleźć mężczyznę, który znikł jak kamień w wodę, a w dodatku nie był jej narzeczonym. Zważywszy jednak na fakty przedstawione jej przez Browna, i tak zachowywali się wobec niej bardzo sympatycznie.

Constance nie była w stanie rozszyfrować hierarchii służby, widziała tylko, że pan Brown traktowany jest przez resztę z szacunkiem należnym starszemu klanu. Wprowadził ją do kuchni i w wydzielonym kącie zaczął z namaszczeniem szykować dla niej posiłek, jakby przygotowywał się do odprawiania eucharystii.

- Herbata dla królowej - szepnęła mu w pewnej chwili starsza kobieta w koronkowym czepku. Dopiero po wyjściu Browna służba zaczęła swobodnie rozmawiać. Constance z upodobaniem przysłuchiwała się ich pogawędkom, prowadzonym z pięknym, śpiewnym akcentem i ciepłem, tak charakterystycznym dla mieszkańców szkockich gór. Do niej odzywano się niewiele, ale Constance zwróciła uwagę, że jeśli już ktoś to robił, to starał się mówić wolniej i głośniej.

Mimo chłodnej kamiennej podłogi część kuchni przeznaczona do odpoczynku była bardzo wygodna i przytulna.

- Szuka pani Smitha? - Pytanie zadała jej kobieta w koronkowym czepku. Constance skinęła głową, a kobieta spojrzała na jej filiżankę. - To dobry człowiek, ten Smith.

- Tak - zaryzykowała Constance. - Czy był tu ostatnio?

Kobieta już miała odpowiedzieć, ale rozległo się głośne cmoknięcie, wydane przez jednego z pomocników ogrodnika.

- Nie pamiętam - powiedziała, choć z jej tonu należało wnosić, że doskonale pamięta, gdzie i kiedy ostatnio widziała Smitha, w co był ubrany, a nawet jaka była wtedy pogoda.

- Rozumiem. ~ Constance ostrożnie odłamała kawałek placka.

- Po co właściwie pani go szuka? - spytała młoda służąca. Mogła mieć najwyżej siedemnaście lat. - Brown mówi, że pani jest narzeczoną wielkiego księcia.

Constance była w stanie jedynie zaprzeczyć ruchem głowy. Przez cały czas zastanawiała się, co ją opętało, że wybrała się do Szkocji. Nagle ten pomysł wydał jej się całkiem niedorzeczny, wręcz komiczny. Constance Lloyd, była guwernantka, cudem ucieka od luksusów Hastings House, mimo że człowiek, który ją kocha, a w każdym razie tak sądzi, chce jej dać swoje nazwisko i bogactwo. Ale ona ukrywa się pod schodami w rezydencji królowej Wiktorii, łudząc się płonną nadzieją, że uda jej się zdobyć miłość walijskiego fabrykanta barwników, Josepha Smitha.

Rzeczywiście cud.

Zacząła się bezgłośnie śmiać, a służba wymieniała zakłopotane spojrzenia. Od czasu pierwszego przyjazdu królowej przed ponad piętnastoma laty widzieli mnóstwo dziwnych zachowań. Całe otoczenie królowej wydawało się im dość dziwne.

- Czy pani dobrze się czuje?

Brak snu i troska o Josepha wzięły nad nią górę. Była w obcym kraju; szukała człowieka, który mógł być w ogóle nie do odnalezienia. Jej śmiech nagle przerodził się w płacz.

To wszystko było beznadziejne, całkiem beznadziejne.

- Proszę pani, może wypije pani kropelkę whisky na nerwy?

Wydało jej się szczególnie zabawne, że whisky ma być lekarstwem na jej rozpacz. Naszły ją wspomnienia z lat wojny, zobaczyła syna starej pani Witherspoon, który sprzedał cały dobytek rodziny, mający jakąkolwiek wartość, i za wszystko kupował whisky Jankesów. Może poczciwy Purvis Witherspoon wiedział, co robi. Znów zachciało jej się śmiać, ale zamiast śmiać się, płakała.

Nie mogła przestać. Wszystko, co latami starannie chowała w sobie, nagle się z niej wylało, od odoru śmierci na jej podwórzu, przez przerażoną twarz Jankesa, któremu strzeliła w głowę, chorobę morską w drodze do Anglii, po koszmary, które musiała uciszać nocami, żeby nie oszaleć.

Nic z tego nie miało teraz znaczenia.

Nagle zobaczyła przez łyzy, że wszyscy z wielkim przejęciem krzątają się po kuchni. Ktoś podał jej lnianą chustkę, po chwili ktoś inny wymienił tę pierwszą na suchą. Wszyscy mówili teraz głośno i bardzo niezrozumiale, nie starając się dłużej ukrywać, że rozmowa dotyczy jej osoby. Ale jej było wszystko jedno, zresztą nie potrafiłaby nadać tym słowom żadnego sensu, nawet gdyby bardzo chciała.

- Spokojnie, proszę pani. - Ktoś poklepał ją po dłoni.

- Rzecz w tym - powiedziała nagle złamanym głosem, jakby była w środku zupełnie normalnej rozmowy. - Rzecz w tym, że go kocham, a nie wiem, gdzie jest, nie wiem, czy jest cały i zdrowy, czy mnie nie potrzebuje. Gdyby tylko ktoś mógł mi to powiedzieć, zaraz bym odeszła.

W kuchni zapadła dziwna cisza, ale Constance tego nie zauważyła. Wykręciła w dłoniach przemoczoną chustkę i dalej mówiła, jakby do siebie:

- Nie widziałam go, odkąd byłam w Sandringham, i nie wiem, jak mam żyć, nie wiedząc...

Czyjeś ręce znalazły się na jej ramionach.

- Moja droga dziewczyno.

Wyprostowała się i nagle uświadomiła sobie, że służba wyszła z kuchni.

- Nie miałem pojęcia, że pani uczucia dla Hastingsa są takie głębokie. - Głos był męski i miał znajome brzmienie.

Gdy łyzy trochę Constance obeschły, stwierdziła, że patrzy prosto w oczy księcia Walii.

- Wasza wysokość. - Zerwała się na równe nogi i głęboko dygnęła.

- Moja droga, kiedy nie ma nikogo innego w pobliżu, możesz mówić do mnie po prostu „proszę pana”. - Miał na sobie myśliwskie ubranie i pachniał pieczenia wołową.

- Proszę o wybaczenie - bąknęła.

- Nic z tego! Gdybym przypadkiem nie szedł tędy, przez kuchnię, zamiast od frontu, nigdy nie dowiedziałbym się ani słowa o pani uczuciach do Hastingsa. Buty mam mokre. - Wykrzywił usta w dziwnym grymasie, jakby językiem próbował wydłubać coś spomiędzy zębów. Wielki, natarty pomadą wąs zaczął wykonywać kolisty ruch, zsynchronizowany z ruchem ust. - Tylko dlaczego pani jest tutaj?

- Bo... bo...

- Ty niemądra, porywczą, romantyczną dziewczyno! Już rozumiem. Chcesz, żeby twój młody koziołek przybiegł tu za tobą. - Klasnął w dłonie, jakby chciał nagrodzić udaną kwestię w sztuce. - Mamy go zawiadomić, gdzie pani jest, czy niech się sam domyśli? Co za pyszna rozrywka. Przepyszna.

Księżę był nad wyraz zadowolony. Mówiąc, kołysał się na stopach. Nieporozumienie zaszło za daleko.

- Nie wiedziałam, że wasza wysokość tu będzie. Słyszałam, że wasza wysokość jest w Londynie.

- Owszem, byłem jeszcze wczoraj rano. Ale przyjechałem tutaj... No tak, miałem tu pewną sprawę do załatwienia i musiałem...

- Panno Lloyd. - Tego głosu nie można było nie poznać. John Brown stał na progu kuchni, a dokładniej mówiąc, do kuchni wpadł jego cień. - Wasza wysokość. - Skłonił głowę przed księciem, ale bardzo nieznacznie. Księżę tylko spiorunował go wzrokiem.

- Proszę o wybaczenie waszej wysokości, ale panna Lloyd jest zmęczona po podróży - rzekł Brown. - Pani Robinson była tak miła i przygotowała dla niej pokój.

- Chyba nie w pomieszczeniach dla służby? - spytał poirytowany księżę.

- Tak, wasza wysokość. - Brown potrafił zwracać się do księcia w taki sposób, że jego słowa zdawały się znaczyć zupełnie co innego, niż znaczyły. - W miłym pokoiku będzie jej bardzo wygodnie.

- To jest bezczelność, Brown. - Głos księcia brzmiał obojętnie, wyczuwało się w nim jednak ledwie skrywaną wściekłość. - Pannę Lloyd należy natychmiast przenieść na górę. Jest moim gościem, więc tam jest jej miejsce, a nie w pokojach dla służby.

- Za pozwoleniem waszej wysokości. - Brown zerknął na swe paznokcie i wytarł je o kilt. - Panna Lloyd jest niezamężna. Może mieć doskonale maniery i mnóstwo wdzięku, ale to nie zmienia faktu. Ponadto panna Lloyd nie była jeszcze przedstawiona królowej. Dlatego nie może być oficjalnym gościem w królewskiej rezydencji.

Księżę wydał podejrzany gulgot, ale nie powiedział ani słowa. Brown ciągnął spokojnym, beznamiętnym tonem:

- Wasza wysokość musi rozumieć, że na razie panna Lloyd, jako niespodziewany gość, musi pozostać tam, gdzie jest, zwłaszcza że jej wysokość księżna wciąż jeszcze przebywa w Londynie.

Twarz księcia przybrała niezwyklej odcień czerwieni; znów wydał bardzo dziwny, charczący dźwięk. Nie patrząc na Constance, kopnął stołek z plecionki, wzdrygnął się z bólu po niespodziewanym uderzeniu w goleń i opuścił kuchnię. Szedł sztywno wyprostowany z czapką mocno naciągniętą na uszy.

Po wyjściu księcia Constance zwróciła się do Browna:

- Dziękuję panu.

Uśmiechnął się ciepło i współczująco. Ale ten uśmiech prawie natychmiast znikł i gdyby Constance przez chwilę nie widziała wyraźnie zębów Browna, zdawałoby jej się, że tylko sobie wyobraziła ten uśmiech.

- Musi pani wybaczyć synowi królowej. - Brown nie starał się ukryć swej dezaprobaty. - Nie nabrał jeszcze dostatecznej ogłady. Staramy się temu zaradzić.

Reszta służby pojedynczo wracała do kuchni; nikt się nie odzywał, ale wszyscy od czasu do czasu spoglądali na Constance i dodawali jej otuchy dyskretnymi gestami.

Constance czuła głębokie zażenowanie swoim zachowaniem, ale przyjmowała te wyrazy sympatii od służby. Nawet tu, pod schodami, była na cenzurowanym, do tego miejsca też nie pasowała, tak samo jak gdzie indziej.

Kiedy ostatnio czuła się swobodnie, była sobą, wiedziała, że nikt nie patrzy na nią karcąco ani w milczeniu nie mierzy jej wzrokiem?

Z Josephem. Nawet w Sandringham jej niepokój cichł, gdy tylko Joseph był w pobliżu. Nawet tamtej nocy, którą spędzili w wilgotnej oberży z zerwanym dachem, czuła się przy nim bezpieczna, przekonana, że może powiedzieć wszystko, co jej przyjdzie na myśl, ujawnić wszystkie uczucia.

Skoro jednak wiedziała już, jak jest z Josephem, pytanie brzmiało, jak ma żyć bez niego.

Pokój, który przygotowała dla niej pani Robinson, był schludny i czysty, o wiele wygodniejszy od komnat, w których sypiała ostatnio.

Całe umeblowanie składało się z łóżka przykrytego barwną kołdrą, jednego krzesła i stojaka z przyborami do mycia. W małym kominku wesoło trzaskał ogień, a okno było zasłonięte wykrochmaloną białą zasłonką.

Poczuła się tam jak w niebie.

Nie było nawet komody ani szafy. Na ubrania musiał wystarczyć wieszak, pomalowany na zielono.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Constance usiadła na łóżku, próbując zebrać myśli. Nie miało sensu zostawać w Balmoral. Może powinna zadać panu Brownowi jeszcze kilka pytań, żeby ustalić, gdzie jest Joseph Smith.

Ręce i nogi zaczęły jej ciążyć, przyłożyła więc głowę do poduszki i w skupieniu rozmyślała dalej. Poduszka pachniała sosnami, świeżym powietrzem i strumieniem z lodowatą wodą. To wszystko było niemal na wyciągnięcie ręki. Nawet z malutkiego okna w pokoiku dla służby było widać urodę tej ziemi. Pobliskie góry okryły się zielenią w trudnym do opisanía odcieniu, miejscami na zboczach wystawały ostre krawędzie skał lub pojawiały się plamy ziemistego brązu, a szczyty nikły we mgle.

Constance szybko zapadła w sen. Przyśnił jej się walc. Partner wirował z nią, trzymał ją w objęciach. Jego twarz zamazywała się w ruchu, muzyka stawała się coraz szybsza. A ona była ubrana w złocistą suknię z krynoliną i głębokim dekoltem. Takich sukni nie nosiło się już przynajmniej od dziesięciu lat. Gdy była jeszcze dzieckiem, podobnie ubierała się jej matka. Constance przypomniała sobie dotyk tamtego jedwabiu, refleksy płomieni na tkaninie, krynolinę z wielorybich fiszbinów, szelest halek i zapach lawendy.

We śnie nosiła gałązkę lauru, choć przed kilkoma tygodniami porzuciła ten zwyczaj. Czubek jednego z liści drapał japo szyi, było jej więc niewygodnie.

Taniec trwał, partner przyciągnął ją do siebie, żeby mogła nadażyć za muzyką; zabolaty ją ramiona, chciała zaprotestować, ale słowa nie przechodziły jej przez gardło. Muzyka rozbrzmiewała coraz szybciej i głośniejsz. Constance poczuła, że traci równowagę, pada, jej spódnice zaczynają się wydymać, a ona jest coraz bliżej ziemi. Partnera już nie było, ale muzyka dalej grała, grzmiała. Nogi Constance uniosły się w powietrze.

Pod nią był już nie parkiet, lecz twardy skalisty grunt. Na skałach leżały zakrwawione ciała w nienaturalnych pozach, mężczyźni w mundurach i kobiety w balowych sukniach.

Czyjaś dłoń zakryła jej usta.

Krzyknęła i zaczęła się wyrywać; uświadomiła sobie, że trzyma ją mężczyzna. Jej partner? Nie, to było coś innego...

To już nie był sen.

Jeszcze raz spróbowała krzyknąć, ale tym razem dłoń jej przeszkodziła. Constance nie słyszała słów mężczyzny, zagłuszało je paniczne bicie serca. Nawet nie mogła poznać tego głosu.

Ogień na kominku dawno wygasł, pokój był pogrążony w absolutnej ciemności.

- Constance, przestań...

Napastnik przyciągnął ją do siebie, więc zebrała wszystkie siły i zamachnęła się nogą. Wbiła kolano w jego tułów i wreszcie uścisk osłabł. Już miała krzyknąć o pomoc, gdy dotarły do niej wyraźne słowa.

- Boże wszechmogący. Chyba zwymiotuję.

Constance znieruchomiała, usłyszała urywany oddech mężczyzny i dotknęła ręką jego włosów. W ciemności wydały jej się miękkie i gęste. Zsunęła dłoń na policzek, gładki, dokładnie ogolony...

- Joseph?

- Tak - jęknął. - Już znasz imię swojej ofiary. Zakasłał, usłyszała, jak przetacza się na bok.

- Josephie, to ty?!

- Trzymaj się z daleka ode mnie! Na miłość boską, trzymaj się z daleka...

- Nie chciałam cię skrzywdzić. Och, Josephie, szukałam cię. Po to tu przyjechałam. - Znów jęknął, więc chciała go poklepać po ramieniu, ale w ciemności nie trafiła i poklepała go po twarzy.

- Au! - zawołał.

- Przepraszam. Miałam zły sen.

- Tak mi się zdawało. - Oddech trochę mu się wyrównał. - Mój Boże, Constance, jak pani kopie.

- Gdzie pan był? - Zatrzymała dłoń na jego policzku, ciesząc się gładkością i ciepłem skóry.

- Przed chwilą prawie na tamtym świecie, z bólu.

- Skąd pan wiedział, gdzie jestem?

- Brown pokazał mi pani pokój. Boże, chyba poprzestawiała mi pani wszystko w środku.

- Przepraszam. To znaczy, że był pan tutaj przez cały czas. Zastanawiam się, dlaczego Brown mi o tym wcześniej nie powiedział.

- Dopiero przyjechałem. To ciekawe.

- Co ciekawe?

- Zdaje się, że trafiła pani w mięsień, o którego istnieniu w ogóle nie wiedziałem.

- Przepraszam. Ale gdzie pan był?

- W swojej pracowni w Londynie. Teraz z kolei ja zapytam: co pani tu robi?

- Szukałam pana, Josephie. Martwiłam się o pana.

- Nie było powodu. Czy przysłał panią Philip?

- Nie,

- Czy on wie, gdzie pani jest?

- Przypuszczam, że tak, w każdym razie w tej chwili powinien już wiedzieć. Zostawiłam mu list.

- Wspaniale. Wobec tego natychmiast wróci pani do Hastings House. Jestem pewien...

- Nie.

- Nie?

- Nie wrócę tam.

- Spokojnie, Constance. Wiem, że księżna jest trochę zanadto władczą, ale z pewnością w swoim czasie nauczy się pani, jak z nią postępować.

- Czy sądzi pan, że właśnie o to mi chodzi?

- Sądzę... Nie, Constance. Niech pani mi powie.

- Nie jestem już zaręczona z Philipem.

Głośno nabrał tchu, a ona tymczasem mówiła dalej:

- To było postawione na głowie, Josephie. Z wielu powodów, a pierwszy jest taki, że ani ja go nie kocham, ani on mnie. Philip jest zakochany w Violi.

- W Violi? Pani chyba oszalała, Constance. Viola Rathbottom jest od niepamiętnych czasów przekleństwem jego życia. Gdyby miała pani pojęcie, jakie wybryki...

- Mam pojęcie. Viola wszystko mi opowiedziała ostatniej nocy przed moim wyjazdem. Zachowywała się tak, żeby zwrócić na siebie uwagę Philipa.

- Udało jej się. Philip ją znienawidził.

- Nieprawda. Kocha ją, ale do tej pory był tak zajęty myśleniem o kleksach z atramentu, które robiła ludziom na głowach, i o okrawkach mydła w serze, że nie miał okazji sobie tego uzmysłowić.

- A co z Dishym?

- Viola zgodziła się go poślubić tylko po to, żeby nie zostać guwernantką. I dlatego do tej pory nie doszło do ich ślubu. Viola miała nadzieję, że Philip w końcu jej się oświadczy.

- Muszę spokojnie o tym pomyśleć. To niesamowite, absolutnie niesamowite.

- Niech pan sobie przypomni, jak oni na siebie patrzą. Czy zwrócił pan na to uwagę? W Sandringham ledwie mogli oderwać od siebie oczy.

- A ja myślałem, że on przez cały czas się pilnuje, żeby wiedzieć, kiedy zrobić unik. - Machinalnie pogłaskał japo dłoni.

- Wie pani, Constance, właśnie coś sobie przypominałem. Pracownia, z której razem korzystamy, jest pełna jej portretów, rysunków i obrazów. Myślałem, że on ją maluje, bo dobrze zna jej twarz. Ale pani musi mieć rację. Niech to diabli! Viola i Philip.

Pokręcił głową, a po chwili roześmiał się.

- Och, Constance, gdyby widziała ją pani w dzieciństwie. Niesamowicie długie ręce, niesamowicie długie nogi i wielka kokarda we włosach. Nazywaliśmy to jej przebraniem. Inni myśleli, że była dziewczynką, ale my dwaj wiedzieliśmy swoje. Była francuskim agentem, który chciał nas wszystkich pozabijać. Raz próbowała uderzyć Philipa, ale przypadkiem trafiła mnie w policzek.

- Czy stąd ma pan tę bliznę? - Constance uśmiechnęła się i dotknęła policzka Josepha. - Zawsze myślałam, że to skutek pojedynku.

- W pewnym sensie tak. Ona walczyła o niego. To zadziwiające. Ona walczyła na całego, a my nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

Constance przeczesła dłonią włosy, potargane podczas snu i szarpaniny z Josephem.

- Czy miała pani dobrą podróż?

Jego głos zabrzmiał dziwnie, oddech musnął jej szyję. Co za osobliwe pytanie, pomyślała.

- Tak, dziękuję. - Nie bardzo już pamiętała, o co ją spytał.

W ciemności wyciągnęła rękę i znów go dotknęła, początkowo ostrożnie, potem jednak, gdy zorientowała się, że Joseph jest bliżej, niż sądziła, zaczęła wodzić palcami po jego twarzy. Głaszcząc policzek, zatrzymała na chwilę dłoń, a gdy obwodziła palcami zarys jego ust, Joseph chwycił ją za rękę.

- Constance - szepnął.

- Joseph. - Przygryzła wargę, jakby chciała cofnąć to słowo i wszystkie swoje uczucia.

Nagle ich wargi się zetknęły.

I to był koniec takiego świata, jaki Constance знаła do tej pory. Ujęła w dłonie twarz Josepha z czułością, o jaką nawet się nie podejrzewała.

- Joseph... - zaczęła znowu, ale on nie pozwolił jej powiedzieć nic więcej.

Czuła jego ciało, przygniatający ją ciężar, każdy oddech. Ich intymna bliskość wydawała jej się cudem. Chciała, by to trwało wiecznie.

Wreszcie rozkoszowała się jego zapachem, znanym jej z niewielu chwil, które spędzili blisko siebie. Ujęła Josepha za ramiona i nie mogła się nadziwić, że są tak muskularne. Najbardziej zdumiała się jednak wybuchem uczuć, jakie wywołało w niej dotknięcie jego ciała.

Kolejne zdumienie przeżyła, gdy Joseph bez trudu poradził sobie z zapięciami sukni i poczuła jego dłonie na swym nagim ciele. Wcale nie ogarnął jej strach ani zażenowanie, przeciwnie, zrobiło jej się bardzo przyjemnie.

Chwyciła zębami koniuszek jego ucha.

Reszta była wielkim wirami, który porwał ich dłonie, oddechy, dotyk. Znalazła się nagle w innym świecie, w którym Joseph był razem z nią.

Dotknął jej piersi z taką czułością, że pieszczota całkiem odebrała jej siły.

- Constance - szepnął.

Zatraciła się w jego dotyku, zapachu, w byciu razem.

Zatraciła się w nim.

Nie było dla niej ratunku.

Leżeli w ciemności, rysy Josepha wciąż skrywał mrok. Poglaskał Constance po głowie, ucałował kosmyk jej włosów, a potem powiedział:

- Nie powinniśmy byli tego robić. Ja nie powinienem. Trzeba było poczekać.

- Pragnęłam cię. - Westchnęła. - Bardzo, bez względu na wszystko. Chciałam, żebyśmy to zrobili. - Cmoknęła go w ramię. - Czy mogę ci zadać poważne pytanie?

- Próbujesz zmienić temat.

- Obiecujesz, że powiesz mi prawdę? Wydał długie westchnienie.

- Na tyle, na ile będzie to możliwe - zastrzegł się.

- Josephie, czy to jest prawda, co mówią? Że próbujesz otruć królewską rodzinę?

Odezwał się dopiero po chwili.

- Prawdę mówiąc, wcale nie muszę.

- Mój Boże, co chcesz przez to powiedzieć?

- Próbowałam jedzenia w Sandringham. Tamtejszy francuski kucharz bardzo się stara dokonać tego samodzielnie.

- Mówię poważnie, Josephie. Miałaś te fiołki, znasz się na chemii. Słyszałam, z jaką pasją bronisz poglądów republikanów.

- Widzę, że i ty czytałaś jakieś szmatławie londyńskie gazety.

- Kilka - przyznała.

- Tę, która opublikowała zdjęcie lekarza mordercy zamiast mnie, zamierzam pozwać do sądu. Jestem dużo przystojniejszy niż tamten człowiek. I nie noszę brody.

- Josephie, proszę cię, przestań żartować. Muszę to wiedzieć. Co ty robisz? Dlaczego współpracujesz z Brownem? Dlaczego zniknęłaś?

Odkaszlnął, jakby miał na końcu języka gładki, lecz nieprawdziwy wykręt, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

- Nie jestem pewien, czy postąpiłbym słusznie, gdybym ci powiedział. To jest ciężar. Wielki ciężar. Ostrzegam cię. Czy nadal chcesz wiedzieć?

- Naturalnie!

- No, więc dobrze. Powiem ci, nie tyle ze względu na mnie, ile na Browna. Są ludzie, którzy z radością przyjęliby jego upadek.

- Nie obchodzi mnie, dlaczego mi powiesz. Po prostu chcę wiedzieć. - Westchnęła.

- Brown zwrócił się do mnie przed kilkoma miesiącami - zaczął wolno, głaszcząc ją kciukiem po policzku. - Słyszał o moich naukowych zainteresowaniach, szczególnie o pracach nad zapobieganiem chorobom. Na wiosnę zaproponował mi spotkanie i zdaje się, że zaufał celtyckiemu krajanowi.

- W jakiej sprawie się do ciebie zwrócił?

- Jak wiesz, był już niejedyn zamach na życie królowej. Próbowali tego najrozmaitsi uzbrojeni anarchiści i im podobni.

- Na szczęście w odróżnieniu od naszego Bootha, wasi szaleńcy mają słabe oko.

- Na szczęście. Ale Brown niepokoi się, że nasi szaleńcy zrezygnowali z broni palnej i przetrzucili się na środki mniej zauważalne, za to bardziej radykalne.

- Nie bardzo rozumiem.

- Muszę cofnąć się w czasie. W ostatnich latach dokonano wielkich odkryć w medycynie. Wasza wojna domowa bardzo wzbogaciła naszą wiedzę. Jeszcze niedawno nikt nie słyszał o zarazkach i nie łączył tego pojęcia z chorobami. Na polach bitew chirurdzy dokonywali amputacji nóg, ostrząc noże o buty, i dziwili się, dlaczego mimo udanego cięcia pacjent umierał. Zabijali pacjentów nie samym ostrzem, lecz chorobą, którą przenosiły ich brudne ręce i instrumenty, których używali do ratowania ludzkiego życia.

- To ma związek z twoimi zainteresowaniami, prawda? Zapobieganie chorobom przez higienę i oczyszczanie wody.

- Właśnie! - Zamknął palce na jej dłoni i Constance uznała, że to wyjątkowo przyjemne. - Brown usłyszał o moich pomysłach, bo służba przekazuje sobie informacje znacznie sprawniej niż najlepiej zorganizowana siatka szpiegowska na świecie, poprosił więc, żebym pobrał próbki w różnych królewskich rezydencjach, szczególnie próbki wody. Wiesz chyba, że wśród gości rodziny królewskiej zdarzały się przypadki chorób, a nawet śmierci. Jeśli sobie dobrze przypominasz, nawet sam książe przed trzema laty omal nie pożegnał się z tym światem.

- Przypominam sobie uroczystości dziękczynne, były imponujące.

- Właśnie. Dlatego, gdy królowa w zeszłym roku zachorowała, Brown zaczął się zastanawiać, czy to jest przypadek. Czy to tylko zrzędzenie losu, że członkowie rodziny królewskiej tak często zapadają na zdrowiu.

- A co ze śmiercią księcia małżonka?

- To inna sprawa. Brownowi nie dawało spokoju to, że książe Albert tak szybko poddał się gorączce brzusznej.

- To było jeszcze przed odkryciami w medycynie.

- Owszem, ale mogło komuś podsunąć pomysł.

Constance pokręciła głową, oszołomiona tym, co usłyszała, a Smith mówił dalej:

- Wiemy, że gorączką brzuszną jeden człowiek może zarazić drugiego. A gdybyś chciała kogoś zarazić celowo? Jak byś postąpiła? Naturalnie mogłabyś skazić zapasy wody do picia. Wiele rezydencji królewskich, podobnie jak inne domy, ma bardzo niedoskonały system odpływowy. W stojącej wodzie gromadzą się zarazki. Brown chciał, żebym odwiedził rezydencje i sprawdził, czy nie ma śladów celowego skażenia. Stąd moje próbki.

- Jakiego rodzaju?

- Przede wszystkim wody, lecz również farby, gruntu, jedzenia, tkanin, prawie wszystkiego, co można sobie wyobrazić. W Sandringham zastałaś mnie właśnie na pobieraniu próbek farby. Pracuję również nad sposobem pobierania próbek powietrza, ale jeszcze nie doszedłem do wiarygodnej metody.

- Josephie, dlaczego nie robisz tego jawnie?

- Bo nie chcemy podsuwać pomysłów potencjalnym Boothom w tym kraju. To byłoby straszne, Constance. Teoretycznie można zaszantażować całe miasto, grożąc zatruciem wody. Nie, podanie tego do publicznej wiadomości nic by nie dało. A poza tym...

Zawiesił głos, jakby się zastanawiał, czy mówić dalej.

- Możesz mi zaufać - powiedziała cicho.

- Wiem. To wiem. Nie wiem tylko, czy zdradzenie ci reszty jest bezpieczne. Już i tak mogłem narazić cię na niebezpieczeństwo.

- Czyli nic gorszego nie może się stać. Proszę cię, Josephie. To nie jest uczciwe.

- No, więc my, to znaczy ja i John Brown, chyba wiemy, kto stoi za tą intrygą.

- Dlaczego nie poinformujecie o tym policji i nie doprowadzicie do aresztowania tego człowieka?

- Bo, och, do diabła... bo to jest księżę Walii. Otworzyła usta i pokręciła głową, nie mogąc w to uwierzyć.

- Księżę Walii? Niemożliwe! Dlaczego miałby otruć swoją rodzinę? Boże, i dlaczego miałby otruć siebie?

- Ani pierwsze, ani drugie nie jest jego zamiarem. Muszę ci to wyjaśnić. Księżę Walii chce obciążyć kogoś winą za domniemaną zbrodnię, gdy takowa zostanie wykryta. Sądzę, że prawdziwym autorem tej intrygi jest osobisty pokojowiec księcia, a nie sam książę. On od lat nie znosi się z Brownem, więc wpadł na taki pomysł. A książę skwapliwie udaje, że o niczym nie wie. Przynajmniej taka jest moja teoria.

- Ależ on jest przyszłym królem! Jak mógłby to zrobić?

- Jest przyszłym królem, który bardzo chciałby zyskać szacunek matki. Bo matka nie pozwoli mu rządzić niczym oprócz śmietanki towarzyskiej. Dlatego książę jest zawiedziony i żywi zapiekłą urazę, a swój gniew zwraca przeciwko osobie, która cieszy się szacunkiem i względami królowej, czyli tym, do czego mu tęskno. A to jest John Brown. Według niego, między nim a matką stoi wyłącznie John Brown.

- Czy królowa o tym wie?

- Skądże. Zwróć uwagę, że książę nie chce nikogo skrzywdzić. Dlatego zaproszono mnie do Sandringham. Książę woli, żebym na wszelki wypadek miał sytuację pod kontrolą. Podejrzewam, że sam się trochę boi swojego pokojowca. Bo książę chce tylko wyeliminować Browna, inaczej mówiąc, oskarżyć go o zdradę stanu. Niestety, jego pokojowiec jest bardziej niefrasobliwy.

- Czyli królowa nie ma pojęcia, co się dzieje tuż pod jej nosem.

- O ile wiem, to nie. Ale ufa we wszystkim Brownowi. A on nie chce jej niepokoić. Uważa, że to jest jego i tylko jego sprawa.

- I twoja.

- No, tak. I moja.

- Czy bierzesz pieniądze za to zlecenie? Przecież na szali jest twoja reputacja, może nawet życie.

Pokoik wypełnił się śmiechem Josepha.

- Obawiam się, że tym razem okazałem się bardzo złym człowiekiem interesu. Między innymi dlatego Brown zwrócił się do mnie, a nie do jakiegoś biednego profesora. Po pierwsze, jestem zapraszany w miejsca, w których mogę spokojnie wykonywać swoją pracę; po drugie Brown wie, że nie zażądam za to pieniędzy. I nikt nie będzie uważał mojej obecności w tych miejscach za coś niezwykłego. To znaczy nikt oprócz mnie.

- W ten sposób Brown może zachować tajemnicę i nie musi informować o tej sprawie premiera ani nikogo innego.

- Zgadza się. Chociaż teraz tajemnicę znają już trzy osoby, a nie dwie.

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję, że mi powiedziałeś.

- Nie ma za co. - Oparł się o poduszkę, jakby poczuł się swobodniej. - Wiesz, ulżyło mi, że wszystko wiesz. Nie chciałem, żebyś źle o mnie myślała.

- Nigdy nie pomyślałabym o tobie źle.

- Dziękuję ci.

Długo milczeli. Mimo to oboje ani na chwilę nie zapominali o tym, jak są blisko siebie. Ich ciała były oddalone zaledwie o centymetry, miejscami nawet się stykały, a między nimi przepływało ciepło.

Joseph opierał się o wezłowie łóżka. Constance wolno przysunęła się do niego i położyła mu głowę na piersi. Objął ją i czule pocałował w czoło. Przez chwilę zatrzymał tam wargi; jego oddech połaskotał ją w skroń.

- Co zrobimy? - spytała szeptem. Zanim odpowiedział, zaczerpnął tchu.

- Muszę doprowadzić tę sprawę do końca nie tylko ze względu na Browna, lecz również na przyszłego króla. Książę postępuje lekkomyślnie, korzysta ze złych rad, ale to nie jest jego wina. Ponieważ jednak kiedyś zostanie królem, musi zrozumieć, że tego rodzaju intrygi są nie do przyjęcia.

- Pytałam, co zrobimy, kiedy to się skończy?

- Nie mogę ci nic obiecać, Constance. Nie mam pojęcia, co się zdarzy, do czego to wszystko doprowadzi. Staram się jak umiem, ale robię wszystko na ślepo. Mogę tylko powiedzieć, że... Czuję coś takiego... Jeszcze nigdy...

- Słucham cię.

- Dobranoc, Constance.

Zrozumiała, że Joseph nie powie już ani słowa, w każdym razie nie tej nocy. I tak okazał jej zaufanie, powiedział więcej, niż się spodziewała, dał więcej, niż sądziła, że w ogóle można dać.

- Dobranoc - szepnęła. - Dobranoc. - A potem ciszej dodała: - Kocham cię.

Nie było odpowiedzi, ale Constance uśmiechnęła się zadowolona, że wreszcie miała okazję mu to powiedzieć.

Do diabła z nim - mruknęła jeszcze raz.

Joseph znikł, nim wstał świt. Po przebudzeniu Constance chciała objąć Josepha i cały świat, ale jego nie było. Zostawił tylko liścik i kwiat. Nic więcej.

Już się na dobre ocknęła, wszystkie jej romantyczne złudzenia wyschły z poranną rosą.

Ale róża była piękna.

Podniosła ją, uśmiechając się nieznacznie. Nie mogła pojąć, skąd Joseph wziął różę w połowie jesieni w górach Szkocji. Pachniała przepięknie. Płatki miała jak uperfumowany jedwab.

- Do diabła z tobą - powtórzyła, ale już nie tak zapalczywie.

Wreszcie wzięła do ręki liścik. Była to zwykła złożona kartka, bez imienia na wierzchu. Zmusiła się, by ją rozłożyć. „C. - wróć. J.”. A na dole był jeszcze dopisek: „Ja też cię kocham”.

- Do diabła z tobą. - Wreszcie szeroko się uśmiechnęła. I zaraz zaczęła się zastanawiać, kiedy Joseph wróci. Miała nadzieję, że nastąpi to bardzo, bardzo niedługo.

15

W skrzydle zamieszkanym przez służbę dzień zaczynał się wcześniej. Zewsząd rozlegały się dźwięki spieszych kroków w korytarzach, stukot butów o stopnie schodów dla służby, szmer mioteł zamiatających podłogi i czyszczących kominki. Te hałasy nie docierały do głównego hallu rezydencji, choć w mających gołe posadzki i bielone ściany korytarzach, które łączyły pomieszczenia dla służby, ich echo było niemal ogłuszające.

Constance schowała głowę pod poduszką, ale dźwięki nie przestały do niej dolatywać.

Zastanawiała się, czy ostatnia noc nie była snem. Czy Joseph naprawdę był w jej pokoju?

Był. Na prześcieradle i poduszce mogła jeszcze wyczuć jego zapach, mieszający się teraz z zapachem pieczonego chleba i mgły.

Miała też liścik Josepha i piękną czerwoną różę. Na myśl o nim przeciągnęła się, a potem wstała z łóżka.

Szybko się ubrała, kilka razy przesunęła szczotką po włosach, upięła je w dużym pośpiechu i zeszła na dół.

Kilka osób ją pozdrowiło, inni uśmiechnęli się i skinęli głowami. Na dużym, masywnym stole leżały bochny chleba, stały garnki z dżemem i masłem, była też kawa i herbata.

- Czy pan Brown już zszedł? - spytała Constance młodego, jasnowłosego człowieka.

Chłopak na chwilę przestał przeżuwać.

- Tak, zszedł i poszedł na górę. Królowa źle się czuje, więc pewnie do zmroku już go tu nie zobaczymy.

Nagle dzień wydał jej się znacznie mniej wspaniały. Królowa źle się czuła. Naturalnie powód mógł być zupełnie zwyczajny.

A może książę i jego pokojowiec przygotowywali swój następny ruch.

Constance miała dziwne uczucie obcości, mimo że służba odnosiła się do niej bardzo przyjaźnie, a wokół niej toczono zwyczajne, poranne pogawędki. Constance wiedziała jednak za wiele, za dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że codzienny gwar może w każdej chwili ulec zakłóceniu.

Nagle straciła apetyt, więc wyszła z kuchni, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Znalazłszy się z powrotem w swoim pokoiku, poprawiła ręcznik wiszący przy stojaku z miednicą, wygładziła narzutę na łóżku i spakowała wszystkie rzeczy do torby.

Znów zeszła na dół. Doskwierala jej beczynność, zawodziły ją nerwy.

- Może pani obejrzeć okolicę - zasugerowała kucharka, z którą rozmawiała poprzedniego dnia, sympatyczna kobieta z wielką drewnianą chochłą, która wydawała się przedłużeniem jej ramienia. Wskazała w stronę okna, a białe krople opadające z chochli wytarła fartuchem. - Niech pani idzie. - Uśmiechnęła się. - Spacer dobrze pani robi.

Constance skinęła głową, uświadomiwszy sobie, że krążąc bez celu po kuchni, po prostu przeszkadza. Wyszła na dwór, nawet nie zadając sobie trudu, by wziąć czepek z pokoju.

Powietrze było bardzo orzeźwiające, choć dość ciepłe. Dotarła na tyły rezydencji, podziwiając po drodze piękno dzikiego krajobrazu. Samo przebywanie w takim otoczeniu sprawiało, że wracały siły; było jak balsam dla duszy. Czuło się tu, że człowiek jest tylko częścią większego zamysłu, że sam nie mógłby stworzyć czegoś takiego. To pomagało spojrzeć na życie z innej perspektywy. Rąbek jej spódnicy szybko nasiąkł wodą, bo w trawie była jeszcze rosa, ale nie miało to większego znaczenia. Dookoła rosły polne kwiaty i mnóstwo, mnóstwo wrzosu. Im dalej Constance odchodziła od rezydencji, tym było piękniej.

- Dzień dobry. - Męski głos doszedł ją, nie wiadomo skąd. Drgnęła zaskoczona. - Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem pani przestraszyć.

Szczupły mężczyzna ubrany w ponury czarny surdut i pomarańczową kamizelkę wstał z kamiennej ławki. Na szyi miał łańcuszek z okularami. Poruszał się z trudnością. Constance zauważyła laskę ze srebrną gałką, opartą o ławkę.

- Proszę, niech pan nie sprawia sobie kłopotu - powiedziała szybko.

Mężczyzna usiadł z powrotem z taką miną, jakby sprawiło mu to ulgę, lecz jednocześnie go zakłopotano.

Dostrzegła coś znajomego w postaci tego człowieka z nienaturalnie czarnymi włosami, które zwracały uwagę, zwłaszcza w zestawieniu z bledością twarzy. Skórę miał wysuszoną, pokrytą siatką bruzd, choć bez fałd. Podbródek lekko wysuwał do przodu, nawet gdy się uśmiechał.

Była to nietuzinkowa twarz.

Mężczyzna wolno uniośł okulary i spojrzał na Constance przez soczewki.

- Muszę przeprosić panią za ten przejaw złych manier. Wzrok mnie zawodzi, więc zdarza mi się czynić afronty dobrym znajomym. Chciałem się upewnić, czy nie jest pani moją ulubioną kuzynką lub, broń Boże, żoną.

Gdy się roześmiała, zaciekawienie, widoczne na jego twarzy, ustąpiło miejsca zadowoleniu.

- Czy uczyni mi pani ten honor i usiądzie tu ze mną? - Elegancko się przed nią skłonił, mimo że nie wstał z ławki.

- Dziękuję, ale nie chciałabym swym natręctwem rozpraszać pańskiej samotności.

- Ależ skąd. - Jego oczy sprawiały wrażenie znacznie młodszych niż reszta ciała. Były ciemnobrązowe, otoczone czarnymi rzęsami. Błyskały humorem. - Będzie mi niezmiernie miło. Właśnie miałem zrobić coś bardzo złego i tylko pani obecność sprawiła, że ze wstydu tego zaniechałem.

Constance uśmiechnęła się.

- Nie jestem pewna, czy powinien pan ujawniać przede mną niemoralne szczegóły.

- Nie powinienem, ale ujawnię. - Wskazał jej miejsce na ławce obok siebie. Constance usiadła. - Właśnie miałem oddać się czemuś, co zniszczyło niejednego romantyczny związek.

- Teraz jestem już pewna, że nie powinien mi pan ujawniać niczego więcej - odparła tak pogodnym tonem, że dżentelmen uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Chodzi o tytoń.

- Tytoń?

- Tytoń - potwierdził. - Mam w kieszeni wyśmienite cygaro. Ale palenie jest wulgarnym obyczajem, a do tego mój lekarz twierdzi, że dla człowieka w moim wieku i słabej kondycji fizycznej byłoby samobójcze.

- A który z tych dwóch powodów prędzej powstrzymałby pana przed uleganiem nałogowi: niebezpieczeństwo wydania się wulgarnym czy popełnienia samobójstwa?

- Naturalnie niebezpieczeństwo wydania się wulgarnym. Samobójstwo, jeśli odpowiednio popełnione, może być całkiem eleganckie.

Constance roześmiała się, a mężczyzna znów bacznie jej się przyjrzał, tym razem bez pomocy okularów, przez co oględziny wypadły niemal komicznie.

- Czyżbym odkrył charakterystyczny akcent? Pani uroczy głos przywodzi na myśl magnolie i, proszę mi wybaczyć, tytoń. Pani pochodzi z południa Stanów Zjednoczonych. Może z Wirginii?

- Jest pan niezwykle spostrzegawczy. - Zrobił tym na niej duże wrażenie. Większość Anglików, których poznała, była zdania, że określanie kobiety mianem Amerykanki jest niestosowne, a wypytywanie jej o niefortunne miejsce urodzin graniczy z obrazą.

- Bóg dał mi dobre uszy do dialektów, aczkolwiek w zestawieniu z kiepskim wzrokiem niewielki z tego pożytek. Zwykle oznacza to, że umiem poznać po głosie kogoś, kogo nie jestem w stanie zobaczyć. Pani akcent poznaję bez wątpienia. Poczytuję sobie za zaszczyt, że mam wśród przyjaciół wielu pani rodaków. Czy zna pani Ashtona Johnsona?

- Nie, ale znał go mój ojciec. Czytałam jego artykuły o Konfederacji. Oprócz generała Lee nie było podczas wojny drugiego człowieka, który cieszyłby się takim szacunkiem.

- To dobry człowiek, uczciwy. - Przez chwilę mężczyzna wydawał się zatopiony w myślach, potem znów zwrócił się do Constance: - Czy pani jest gościem królowej?

- Ja? Nie. Nie jestem. - Mówiąc, wygładzała spódnice. - Przyjechałam, by kogoś tu odnaleźć.

- Ach, już rozumiem. Teraz rozumiem doskonale.

- Słucham?

- Pani przyjechała tu za głosem serca, prawda?

- Ja... hm... - W starszym panu było coś bardzo krzepiącego, dlatego czuła się przy nim całkiem swobodnie. - Chyba tak było, chociaż teraz wszystko się skomplikowało.

- Proszę tak nie mówić. Oboje żyjecie, prawda?

- Chyba pana nie zrozumiałam.

- Powiedziałem, że oboje żyjecie, pani i pani luby. Czy tak?

- Tak, naturalnie.

- Wobec tego wszystkie problemy można rozwiązać.

- Ma pan bardzo optymistyczne podejście do życia - powiedziała Constance. - Ale bywają bardzo zawiłane problemy.

- Skądże. Czy mogę pani opowiedzieć krótką historię?

- Proszę bardzo.

Mężczyzna zachichotał i usiadł wygodniej, ostrożnie zakładając nogę na nogę.

- Podagra - wyznał.

- Przykro mi. Czy mogę panu jakoś pomóc?

- Niestety, moja droga. Zresztą mimo że teraz jest to bolesne, przeżyłem wspaniałe chwile, nabawiając się tej dolegliwości. Gdzie to my byliśmy?

- Przy podagrze?

- Nie. Miałem uraczyć panią opowiadaniem. Dawno, dawno temu był sobie młody człowiek. Trochę dandys, trochę próżniak, który miał mnóstwo uroku, lecz niewiele rozumu.

- Zdaje mi się, że to dosyć częste zestawienie.

- Słusznie. W każdym razie młody człowiek był o krok od znalezienia się w więzieniu za długi. Miał znane nazwisko, które wyrobił sobie, pisząc popularne powieści, wie pani, romans i walka ze złem, no i, rzecz jasna, zło zawsze na końcu ukarane, żeby dobrzy chrześcijanie nie poczuli się obrażeni. Była też pewna znana mu kobieta, dość niemądra, jak uważał, a przy tym sporo od niego starsza. Ta kobieta niedawno owdowiała. I nasz młodzieniec był zdecydowany ją poślubić.

- Dla pieniędzy?

- Częściowo. Na początku rzeczywiście był to jego główny powód. Tymczasem zdołał uniknąć więzienia, zdobywając mandat do Izby Gmin. Nawiasem mówiąc, wybory wygrał dosłownie o włos. Ale jak pani zapewne wie, deputowanego do parlamentu nie wolno aresztować za długi. Mimo wszystko młody człowiek nadal był zdecydowany poślubić wdowę, przede wszystkim dlatego, że tak obiecał, a trochę również dlatego, że wdowa się do ślubu nie paliła.

- Bo młody człowiek był biedny?

- Nie. Bo miał taki charakter, jaki miał. Wie pani, był hulaką, wciąż wdawał się w najbardziej niestosowne romanse z niemoralnymi kobietami. Wdowa wcale nie chciała stać się jeszcze jednym jego trofeum. Poza tym zawsze marzyło jej się, że poślubi kogoś z tytułem. A młody człowiek był „czcigodny” tylko w tym sensie, że miał prawo do używania przed nazwiskiem tego tytułu z racji zasiadania w parlamencie.

Constance uśmiechnęła się, a mężczyzna poklepał ją po dłoni wielką, chudą ręką.

- Było mnóstwo przeszkód, więc młody człowiek po prostu parł naprzód. Pisał do wdowy listy, a każdy zaczynał zwrotem „Moja droga żono”. W końcu wdowa się poddała i odbył się ślub.

- Czy było to dobre małżeństwo?

- Okazuje się, że tak. Wiele lat później ktoś spytał tę kobietę, czy to prawda, że jej mąż ożenił się z nią dla pieniędzy. A ona odpowiedziała: „Tak. Ale drugi raz ożeniłby się ze mną z miłości”. I miała rację. Właśnie tak by było.

Constance przez chwilę zastanawiała się nad słowami starszego pana.

- To piękna historia - powiedziała w końcu. - A czy prawdziwa?

- Co do słowa. Najciekawsze, że potem młody człowiek otrzymał tytuł, więc w końcu oboje z wdową mieli wszystko, czego chcieli.

- To wspaniałe. Zazdroszczę im. Znaleźli szczęście, którego szukali.

- Tak. Właściwie tak. - W jego głosie zabrzmiało dziwne wzruszenie. Mężczyzna patrzył w dal, za plecy Constance. Zatrzymał wzrok na odległej górze, chociaż Constance podejrzewała, że w rzeczywistości niewiele wid/i. - Niedługo miną dwa lata, odkąd ją straciłem, moją Mary Annę.

- To pan był tym młodym człowiekiem. - Wcale jej nie zaskoczył. - Gorąco panu współczuję.

- Dziękuję. - Zacerpnął tchu i zwrócił się do Constance:

- Jak więc pani kłopoty można porównać z naszymi? A jednak w końcu odnieśliśmy triumf. Czy pani historia może być jeszcze bardziej poplątana i nieprawdopodobna niż moja?

- W tej sytuacji rzeczywiście muszę przyznać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Po prostu odczuwam pewien niepokój.

- To naprawdę nie jest wielki kłopot, proszę pani. Gdyby wątpiła pani w jego uczucia albo gdyby coś zagrażało waszemu związkowi, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale z tej strony nic pani nie grozi. Dlatego nie ma kłopotu.

- To się wyda panu dziwne, ale jeszcze niedawno byłam zaręczona z zupełnie innym człowiekiem. Z synem księcia.

- Mój Boże, tylu jest synów książąt. Niektórzy nawet spokrewnieni z rodziną królewską. Weźmy na przykład księcia pleciugę.

- Księcia pleciugę?

- Proszę mi wybaczyć, to było niegrzeczne. Ale chodziło mi o księcia Walii. - Nagle starszy pan skrzyżował ramiona i spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. - Ale to nie on, broń Boże, jest przedmiotem pani uczuć, prawda? Straciłbym wszelką wiarę w człowieka, gdyby powiedziała mi pani, że przyjechała pani za pleciugą do Szkocji.

- Och, nie! Skądże! - Zachichotała, rozbawiona tą myślą, a mężczyzna zawtórował jej serdecznym śmiechem. Dopiero teraz zauważyła, że ma sztuczną szczękę, i to nie najlepiej wykonaną.

- Chodzi po prostu o to, że jego tutaj nie ma, a ja czuję się samotna.

- Więc gdzie jest pani luby?

- Nie wiem.

- Uciekł gdzieś?

- Tak bym tego nie nazwała. Po prostu na pewien czas wyjechał.

- Jeśli wybaczy mi pani śmiałość, to może mógłbym w czymś pomóc?

- Pan?

- Tak. Nie jestem pozbawiony wpływów, moja droga. A nie ma bardziej godnego celu, o który należy walczyć niż prawdziwa miłość.

- Zawstydz mnie pan swoją życzliwością... - zaczęła. W tej chwili, nie wiadomo skąd, pojawił się lokaj.

- Bardzo przepraszam, milordzie, ale wzywa pana królowa.

- Naturalnie, naturalnie. Już idę. - Starszy pan chwiejnie wstał; Constance go podtrzymała. - Dziękuję pani, moja droga. Ten młody człowiek na pewno pomoże mi wrócić do rezydencji.

- Tak, milordzie.

Nastąpiła chwila zamieszania z laską, potem lokaj wsparł mężczyznę ramieniem.

- Było mi bardzo przyjemnie z panią porozmawiać. Zmęczyła mnie polityka, więc z przyjemnością rozmawiam o miłości i młodości. Kiedyś miałem mnóstwo i jednego, i drugiego, więc zawsze będę tęsknił do ich powrotu - powiedział do Constance. -1 proszę mi wybaczyć, że się nie przedstawiłem. Nazywam się Beaconsfield. Dziś po południu wyjeżdżam, ale gdyby pani mnie potrzebowała, jestem w Londynie na Downing Street.

- Beaconsfield - powtórzyła tępo. - Lord Beaconsfield. Naturalnie. Dlatego wydał jej się znajomy. Widziała go na rycinach w londyńskich gazetach, choć żywego człowieka nigdy nie spotkała. Beaconsfield.

- A jak się pani nazywa, moja droga?

- Och, przepraszam - bąknęła. - Lloyd. Constance Lloyd.

- Panno Lloyd, bardzo dziękuję za towarzystwo. Niech wszystko się ułoży się jak najlepiej dla pani i pani lubego. Do widzenia, moja droga.

Lokaj i starszy pan razem odeszli, a Constance ciężko usiadła na ławce. Beaconsfield. Jeszcze nie mogła uwierzyć w to zadziwiające spotkanie. Constance Lloyd, była guwernantka, właśnie spędziła ponad pół godziny w towarzystwie lorda Beaconsfielda, lepiej znanego pod nazwiskiem Benjamin Disraeli... premiera Anglii.

Gdy Constance wróciła do zamku, w części dla służby panował nieopisany rejwach. Zamiast gładkiego, choć dość szybkiego ruchu dobrze nasmarowanej maszyny, której widziała wcześniej, zastała absolutny chaos. Jej wejście zaakcentował upadek na podłogę dużej misy, ale mało kto zwrócił na to uwagę.

Jedna z kucharek na jej widok krzyknęła:

- Wróciła! Powiedźcie panu Brownowi, że właśnie wróciła.

- Co się dzieje? - spytała Constance.

- Wszystko się wali, ot, co się dzieje! Ludzie przyjeżdżają i wyjeżdżają, księżę bardzo się o coś złości. Wszystko się wali - stęknęła kucharka.

Wszedł ogrodnik w ubłoconych butach, zerknął raz na Constance i uciekł.

- Przyprowadzę Browna - rzucił przez ramię.

- Czy ktoś zachorował? - Constance zwróciła się do trzech pokojówek, te natychmiast uciekły.

- Nikt nie zachorował - odrzekła kucharka, złowrogo kiwając głową.

- Czy nikt mi nie powie, co się stało?

- Pan Brown powie... o, on powie...

- Gdzieś ty się podziewała, kobieto? - Od charakterystycznego barytonu Johna Browna omal nie popękały szyby w oknach.

- Byłam na spacerze. Boże, co się tymczasem stało?

Brown ujął ją za ramię i odciągnął na bok tak gwałtownie, że jej stopy na chwilę straciły kontakt z ziemią.

- To boli, panie Brown.

- Nie zamierzałem sprawić pani bólu - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Powiem wprost. Smitha aresztowano.

- Aresztowano? Pod jakim zarzutem?

- Zdrady stanu.

- Zdrady stanu? - powtórzyła, choć ledwie przeszło jej to przez gardło.

- Owszem, zdrady stanu. Ale niech pani słucha, kobieto... Zanim to się stało, chciałem, żebym coś pani przekazał.

- Zdrady stanu - powtórzyła tępo, nie mogąc pogodzić tych całkiem zwyczajnych słów z ich przerażającym znaczeniem.

- Na miłość boską, kobieto, niech pani słucha. Nie mam czasu.

- Płasnął dłonią we framugę drzwi, aż Constance podskoczyła.

- Zanim go aresztowano, prosił mnie, żebym pani powiedział, że jest mu bardzo przykro, ale jeszcze raz przemyślał to, co napisał w liściku. Pomylił się, a pani podobno wie, o co chodzi. Jest mu przykro, jeśli wyrządził pani w jakikolwiek sposób krzywdę.

- Co takiego? Nie rozumiem. Nie mogę zebrać myśli.

- Do diabła, kobieto, on pani nie kocha!

- Nie. To nieprawda. - Przecierając oczy, próbowała opanować chaos myśli. - On powiedział tak tylko po to, żeby mnie chronić. Nie chce, żebym na niego czekała, aleja będę czekać.

- Czy pani jest niemądra? Powiedziałem przecież, że rozmawiał ze mną na chwilę przed aresztowaniem. Przed! Niech pani słucha, kobieto!
- Nie. Pan na pewno jest w błędzie.
- Nie mam czasu bawić się w niańkę - burknął i wyszedł z kuchni.

16

Constance patrzyła na plecy odchodzącego Johna Browna, kipiąc ze złości.

- Niech pan poczeka! - zawołała, sama zaskoczona siłą swego głosu.

Brown wolno się odwrócił. Jedna z jego gęstych brwi uniosła się na znak niedowierzania.

- Pan może temu przeszkodzić. - Podeszła do niego. - Pan jeden wie, że Joseph nie spiskował. Dlaczego nie próbował pan zapobiec nieporozumieniu? Dlaczego nie zrobił pan w ogóle nic?

Brown zerknął przez ramię i upewnił się, że nikt nie słucha. Wszystkich wciągnęła w wir gorączkowa krzątanina, spowodowana nieoczekiwanym przyjazdem i równie nieoczekiwanym wyjazdem księcia Walii oraz premiera, z czym wiązało się żądanie natychmiastowego podania posiłku.

- Najgorsze, co mógłbym teraz zrobić, proszę pani, to wziąć stronę Smitha. Wtedy nie byłoby żadnej nadziei. Czy pani tego nie rozumie?

- Przecież razem pracowaliście nad zapewnieniem bezpieczeństwa królowej i jej rodzinie. Z pewnością są na to dowody. Znow chwycił ją za ramię i wciągnął do spiżarni.

- Nic nie rozumiesz, kobieto - powiedział zapalczywie. - Oni próbują posłużyć się Smithem, żeby skończyć ze mną.

- Kto?

Tuż przy jej uchu rozległ się ponury śmiech Browna.

- Nie wiesz? Wielu z radością zobaczyłoby, jak dyndam na szubienicy, a przynajmniej wypadam z łask. Nie widziałaś tego pamfletu?

- Słyszałam o nim. - Zaczęła się szarpać, więc Brown trochę rozluźnił uścisk, ale jej nie puścił.

- Odświeżę ci pamięć. To było ohydne pomówienie, w którym dano do zrozumienia, że jestem kochankiem królowej. Miało to tytuł „Pani Brown”. Nic ich nie obchodzi, że ta kobieta co wieczór każe przygotowywać ubrania księcia małżonka, jakby wciąż żył. Nie obchodzi ich, że śpi z wielką pośmiertną podobizną jego twarzy, powieszoną nad łóżkiem. To są ci sami ludzie, którzy nie mogą znieść, że mam łatwy dostęp do królowej.

- Wiem. Joseph wszystko mi opowiedział. Ale mimo wszystko powinien mieć pan radę na to, co się dzieje.

- Pomieszało ci się w głowie, kobieto? Ona jest królową Anglii. Ci, którzy chcą się z nią spotkać, a dobrze wiesz, o kogo mi chodzi, muszą uzgodnić to ze mną. Czy to nie jest dostateczny powód do nienawiści?

- Ale ona pana potrzebuje. Musi mieć kogoś zaufanego, więc odkąd straciła męża, zwraca się do pana.

Brown pokręcił głową.

- Właśnie. Ja tak to widzę i królowa też. Nie chcę zostać królem, na miłość boską. Ale w jej rodzinie są tacy, którzy widzą we mnie zagrożenie dla swojej potęgi. I są ludzie spoza rodziny, którzy uważają mnie za niebezpiecznego obcokrajowca.

- Ja też jestem obcokrajowcem - szepnęła.

- To prawda. I Smith też. Ale pani ma przewagę, bo jest kobietą, w dodatku piękną i pochodzącą z Ameryki. Smith i ja jesteśmy godnymi pogardy Celtami. Dlatego on ma więcej szans bez mojej pomocy. To wiem na pewno. Wreszcie puścił jej ramię.

- Jak go aresztowano? - Z głosu Constance biło znużenie. - Dlaczego?

- Ponieważ zatrzymano go na terenie posiadłości królowej. To ja miałem być na jego miejscu, chodziło o to, żeby mnie oskarżyć o zatrucie wody. Ale zamiast mnie w pułapkę wpadł Smith.

Constance nagle ogarnął przyływ nadziei.

- Może królowa mogłaby się wstawić za Smithem.

- Nie. Ona nawet o nim nie wie. Trzymałem ten plan w tajemnicy, bo nie chciałem jej postawić w kłopotliwej sytuacji. Ona nie wie, a ja jej nie powiem. Tym bardziej nie teraz, gdy królowa źle się czuje.

- Co możemy zrobić, panie Brown?

- Nie wiem. Moim zdaniem, najlepiej, żebyśmy trzymali się z dala od niego. Sam próbowałbym go z tego wydostać, gdybym sądził, że to mu coś pomoże. Ale tylko przyspieszyłbym jego klęskę.

- Wobec tego niech pan opowie o tym świecie. Niech pan powie wszystkim, co się dzieje.

- Mhm. Niech pani pomyśli, co by się wtedy stało. Jawne wystąpienie przeciwko księciu nie tylko byłoby samobójstwem, lecz również zdradą stanu, tym razem prawdziwą. To też tylko by przyspieszyło koniec Smitha.

Constance skrzyżowała ramiona na piersi, jakby chciała zasłonić się przed następnymi ciosami.

- Co możemy zrobić?

- Najlepsze, co może zrobić pani, to wyjechać. Natomiast ja powinienem udawać, że nic się nie stało, zupełnie nic.

- Nie godzę się z tym. Na pewno możemy coś zrobić.

- Dla Smitha nic się teraz nie da zrobić. Musi się sam oczyścić z zarzutów. Gdybyśmy próbowali mu pomóc, tylko byśmy go pograżyli.

- Nie mogę zrobić tak, jak pan mówi - powiedziała Constance. - Kocham Josepha.

- Musi pani o nim zapomnieć. - Głos Browna złagodniał, nabrał delikatności, o jaką nie podejrzewałaby tego mężczyzny. - On pani nie kocha. To jest przykre, wiem, ale prawdziwe. Niech pani wraca do Ameryki. On pani nie kocha.

- Myli się pan. Nie zna go pan tak jak ja.

- Znam go lepiej, bo Smith i ja jesteśmy z jednej gliny. Obaj wolimy samotność od towarzystwa. Idziemy przez życie bez rodziny, z nielicznymi przyjaciółmi. Im szybciej pani o nim zapomni, tym lepiej pani na tym wyjdzie, i Smith też. Pani przyszłość jest gdzie indziej. Proszę zapomnieć o tym wszystkim dla dobra was obojga.

- Nie mogę.

- Musi pani. Wszyscy mamy swoje kłopoty sercowe. Niektórzy większe niż inni. Najlepsze, co może pani zrobić nie tylko dla siebie, lecz i dla Smitha, to wyjechać. Zostając, tylko zwraca pani na niego uwagę. I w głębi duszy wie pani, że tak jest.

Nagle wszystko wydało jej się jasne. Ogarnęła ją trwoga. Brown miał rację.

- Boże. - Zasłoniła usta dłonią i spojrzała na Szkota. - Co ja zrobiłam?

- Nie, nie, tylko nie tak. - Poklepał ją po ramieniu, ale nie /wróciła na to uwagi. - Polecę komuś odprowadzić panią na stację. Przed wieczorem powinien być pociąg na południe.

- Co ja zrobiłam? - powtórzyła.

Brown patrzył, jak Constance wolno odchodzi do swojego pokoiku na górze; jej turkusowe oczy były pełne łez. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać płacz.

271

JUDITH O'BRIEN

- Pytanie brzmi, co ja przed chwilą zrobiłem - mruknął pod nosem Brown.

Philip czekał na nią na stacji w Ballsbridge.

Wstrząs Constance na jego widok byłby dużo większy, gdyby po podróży spędzonej z chustką przy oczach nie była śmiertelnie wyczerpana. Słowa Browna dźwięczały jej w uszach jak monotony werbel. Prawda domagała się przyjęcia.

Wielki mąż stanu Disraeli tym razem się pomylił. Zapewnił ją przecież, że skoro oboje żyją, to wszystko dobrze się ułoży.

Tymczasem w ciągu zaledwie kilku minut zrozumiała, że nie ma dla niej przyszłości z Josephem.

W pewnym sensie Disraeliemu się udało. Chociaż nosił żałobę po śmierci żony, przynajmniej miał za sobą szczęśliwe dziesięciolecia, które mógł wspominać. Poza tym nie musiał ukrywać żałoby, a wszyscy rozumieli jego smutek.

Constance miała do zapamiętania tylko kilka wspaniałych chwil, to dotyk, to pieśczość, to spojrzenie, to pocałunek. Swą stratę musiała przeżywać w absolutnej samotności. Nie wiadomo, co mogłoby się zdarzyć, gdyby los potraktował ją uczciwie.

- Constance - powiedział łagodnie Philip. Był wspaniały i elegancki jak zawsze, w granatowym surducie z czarnymi klapami. Ale wyraz jego twarzy się zmienił. Philip był... szczęśliwy. Odprężony. Wypoczęty.

- Skąd pan wiedział, że tu będę?

- Dostałem telegram od Johna Browna z Balmoral. Zdaje się, że pani ledwie żyje.

- Philipie... - Nie wiedziała, od czego zacząć. - Przeczytał pan list, który zostawiłam.

- Tak. Muszę przyznać, że był on powodem dużego poruszenia w Hastings House.

- Bardzo pana przepraszam. Nie chciałam...

- Nie. Źle mnie pani rozumiała. - Philip przecesał dłonią włosy, potem spojrzał na Constance. - Po przeczytaniu tego listu rzeczywiście wpadłem we wściekłość. Biegałem po domu, kopałem meble, przeklinałem niebiosa i przysięgałem, że odpłacę pani pięknym za nadobne. Tak było.

- Philipie... - Nieznacznie poruszyła głowę.

- Ale potem poszedłem na długi spacer i zatrzymało się koło mnie staroświeckie lando. W środku siedziała Viola. Odegrała rolę dobrej sąsiadki i... Wie pani, Constance, ona wcale nie jest taka, jak pani myśli.

- Nie jest?

- Nie. Ma w sobie wiele ciepła i współczucia. Pozwoliła mi wylać z siebie wszystkie żale, otworzyć duszę. Zwierając jej się, zrozumiałem, jak wiele sam o sobie nie wiedziałem. W każdym razie, gdy kończyliśmy tę przejażdżkę, byłem już pewien, że ją kocham, chyba zawsze ją kochałem. Miała pani rację, Constance. Nie wiem, jak mam dziękować. Nie zdołam się pani odwdziaczyć nawet przez milion lat. Miała pani rację.

- Bardzo się cieszę z pana szczęścia, Philipie. Bardzo.
- Wszyscy wydają się raczej zadowoleni, poza Dishym. Mój brat szaleje ze złości, ale mniej niż zwykle, na pewno mniej niż po zerwaniu poprzednich zaręczyn.
- To wspaniale. - Constance uśmiechnęła się nieznacznie.
- A pani? Jak mogę pani pomóc? Jestem gotów zrobić wszystko.
- Nie wiem. Chyba powinnam sobie znaleźć nową posadę.
- Jako guwernantka?
- To umiem robić. Myślę, że wrócę do domu.
- Na wyspę Wight?
- Nie, do mojego prawdziwego domu. Do Ameryki. Ale zawsze będę panu wdzięczna za propozycję małżeństwa. Pan i pańska rodzina okazaliście mi mnóstwo życzliwości i wydaliście na mnie góry pieniędzy. Obiecuję, że zwrócę koszt wszystkich strojów.
- Constance, proszę, niech pani tego nie robi. Może pani wrócić do Hastings House i zostać tam tak długo, jak pani chce. Nie musi pani decydować o swojej przyszłości natychmiast. Niech pani trochę odpocznie, żeby spojrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy.
- O to chodzi, Philipie. Już widzę z odpowiedniej perspektywy. Dlatego muszę wyjechać. Czy tam stoi pociąg do Londynu? - Wskazała na drugą stronę peronu.
- Sądzę, że tak. Dlaczego pani pyta?
- Chciałabym załatwić kilka spraw w Londynie, a potem odpocząć parę dni na wyspie Wight. Pani Whitestone będzie na pewno tak miła i przyjmie mnie na kilka dni pod swój dach. A potem wrócę do domu.
- Nie może pani tak zwyczajnie wyjechać. Zostawia tu pani ludzi, którzy się o panią martwią. Proszę się jeszcze zastanowić, Constance. Co pani ma za oceanem? Ani rodziny, ani pozycji. Niech pani się za bardzo nie spieszy.
- Słyszałam, że w Ameryce jest dużo możliwości. Pojechałabym na Północ, do Nowego Jorku albo do Bostonu. Kraj się odbudowuje. W najgorszym razie znów zostanę guwernantką, ludzi już na to stać. Przecież długo mnie tam nie było. Myślę, że naprawdę czas wrócić do domu.
- Constance... - zaczął Philip. Urwał i delikatnie odciągnął ją na bok. - Po co zaczynać walkę jeszcze raz od nowa?
- Nie. - Uśmiechnęła się. - Muszę jechać do domu. Wreszcie Philip podał jej torbę.
- Proszę pamiętać, że może pani w każdej chwili zmienić zdanie. I wtedy może pani wrócić.
- Dziękuję.
- Nie powinna pani podróżować samotnie. Proszę pozwolić, że będę pani towarzyszył.
- Nie, dziękuję. To naprawdę nie ma znaczenia. Jestem zdeklarowaną starą panną, Philipie. Nikt nie zwróci na mnie uwagi.
- Gdzie pani się zatrzyma w Londynie?
- Prawdę mówiąc, jeszcze o tym nie pomyślałam.
- Mam dom w Knightsbridge, niedaleko Hyde Parku. Czy ma pani kawałek papieru?
- Wyjęła z torebki kartkę i ołówek, a Philip szybko nagryzmołił jej adres.
- Zatelegrafuję do gospodyni, będzie pani oczekiwać.
- Dziękuję. Bardzo jest pan uprzejmy, Philipie.
- To nic takiego. A, przepraszam, czy ma pani pieniądze?
- Trochę. Dosyć, żeby dojechać do Londynu, a potem na wyspę Wight.
- Proszę. - Sięgnął do kieszeni. - Mam tu kilka banknotów. Proszę je wziąć.

- Nie, dziękuję. I tak nie będę w stanie spłacić długów, które u pana zaciągnęłam.

- Długów? Nie jest mi pani nic winna. To ja jestem pani dłużnikiem. Proszę wziąć. Nalegam. Z ociąganiem pozwoliła mu wsunąć banknoty do torebki.

- Dziękuję.

- Naprawdę nie ma za co. Proszę pozwolić, że odprowadzę panią do wagonu.

W milczeniu pomógł jej wsiąść do pociągu. Potem podał Constance skórzaną torbę i zamknął za nią drzwi. Gdy pociąg ruszał ze stacji, zastanawiała się, czy nie popełniła właśnie wielkiej omyłki.

Zaraz jednak się uśmiechnęła. Nie. Tak było najlepiej. Jeśli nawet nie dla niej, to dla wszystkich innych.

Constance nie była w Londynie kilka lat, od czasu gdy pojechała tam z Whitestone'ami kupować stroje dla Melody na jej pierwszy sezon w towarzystwie. Wydało jej się, że miasto jest jeszcze brudniejsze, jeśli to w ogóle możliwe. Jezdnie i chodniki były upstrzone końskim nawozem i ludzkimi ekskrementami, a po kilku chwilach spędzonych na londyńskiej ulicy Constance oblepiła warstewka sadzy.

Dopiero dojeżdżając do Londynu, przeliczyła pieniądze, które wsunął jej Philip, i aż wytrzeszczyła oczy z wrażenia. Doliczyła się dwustu funtów; więcej, niż wynosiła jej czteroletnia pensja guwernantki. Razem z pieniędzmi od Violi, po odliczeniu za przejazd zostało jej ponad dwieście trzydzieści funtów.

Tyle pieniędzy w życiu jeszcze nie miała.

Pod stacją King's Cross wynajęła powóz do Knightsbridge, gdzie istotnie powitała ją gospodyni. Wyjaśniła, że przygotowuje już dom dla Philipa, który wkrótce przyjedzie na otwarcie sesji parlamentu.

Po niespokojnej nocy i wielkim, pysznym śniadaniu, które ledwie zjadła, Constance znów wsiadła do wynajętego powozu.

W Londynie miała tylko jeden cel, pracownię Josepha, miejsce, w którym prowadził swoje doświadczenia. Tam na pewno był dowód na to, że Joseph tylko pobierał próbki i wcale nie zamierzał otruć królewskiej rodziny.

Philip powiedział, że pracownia jest przy Waterloo Road. Constance była zdecydowana znaleźć ją jak najszybciej.

Zarówno ruch pieszych, jak powozów był bardzo ospały, każdy bowiem przemieszczał się jak chciał, powozy grzęzły w błocie, a woźnice kłócili się zawzięcie nad głowami koni, kładących uszy po sobie. Uliczni sprzedawcy raz po raz przejeżdżali z wózkami na drugą stronę jezdni, nie dbając o to, że zatrzymują pojazdy. Zależało im wyłącznie na skłonieniu przechodniów do zakupu najrozmaitszych rzeczy, od zwiędłych warzyw, przez malowane lalki i instrumenty muzyczne, po żywe kocięta. Wszyscy zachwalali swoje towary jak najgłośniej, przekrzykując konkurentów i inne uliczne hałasy.

Na rogu ulicy grała cygańska orkiestra, zebrał się spory tłum gapiów, słuchających skrzypiec, gitary i tamburynu i przyglądających się tancerce, która wirowała w tęczowej spódnicy. Mężczyźni stali ze znużonymi minami, podczas gdy kobiety, trzymające pudła na kapelusze bądź inne pakunki, toczyły ożywione rozmowy; ich czepki miarowo stykały się z sobą jak dzioby kaczek, a jeśli były to akurat kapelusze, zawadzały jeden o drugi piórami.

Mali sprzedawcy gazet zajmowali swoje ciężko wywalczone pozycje na rogach i wykrzykiwali najnowsze wiadomości. Constance kazała woźnicy kupić trzy gazety, ale w żadnej nie znalazła wzmianki o Josephie i jego aresztowaniu.

- Dziwne - mruknęła, ścierając z palców farbę drukarską. Jeszcze przed kilkoma dniami każdy ruch Josepha był podejrzany i dlatego chętnie komentowany przez prasę, a teraz nie było dosłownie nic na temat aresztowania. Może wiadomość jeszcze nie dotarła do Londynu, zastanawiała się Constance. Może Brown swoją obojętnością zwiódł dziennikarzy i utrzymał ich z dala od sprawy.

Powóz przejechał mostem Waterloo na drugą stronę Tamizy. Smród rzeki był trudny do zniesienia, gęsty i odrażający tak samo, jak zawiesina niesiona przez wodę. Na dnie Tamizy pełno było gnijących resztek zwierząt, potłuczonej zastawy, resztek mebli i starych wózków. Constance widziała, jak spod mostu wypłynęło krzesło bez jednej nogi, a chłopak w spodniach L dziurami na kolanach starał się kijem ściągnąć skarb na brzeg.

Kazała skręcić w Waterloo Road. Woźnica spojrzął na nią dość niespokojnie, najwyraźniej nie był zadowolony z tego, co widział, ani z kierunku wybranego przez Constance. Nie była to modna część Londynu. Przechodnie nie nosili tu już pakunków i wyglądali tak, jakby się nigdzie nie spieszyli.

Wszystkie budynki przy tej ulicy były podobne, nie miały zdobień ani finezyjnych szczegółów. Constance poprosiła woźnicę, żeby zaczekał, i wysiadła. Przez chwilę zdawało się, że woźnica chce jej pomóc, ale gdy rozejrzał się po okolicy, rozmyślił się i został na koźle.

Constance nieufnie podeszła do kilku budynków, niestety bez powodzenia. Już miała zrezygnować, gdy doszła do kolejnego domu, niższego niż pozostałe. Zapukała do drzwi; otworzył jej młody człowiek.

- Proszę wybaczyć - zaczęła - szukam pracowni pana Josepha Smitha. Czy wie pan może, gdzie to jest?

- Było tutaj - odrzekł chłopak.

- Tutaj? - Znalazła! - Czy mogę wejść? Jestem znajomą pana Smitha i...

- Powiedziałem „było”, proszę pani. Już nie jest.

- Nie rozumiem.

- Pan Smith już nie korzysta z tej pracowni. Zabrał wszystko ze sobą. Nie ma go.

- Czy mogę zobaczyć pomieszczenia? - Może została tam jakaś poszlaka, coś, co pomogłoby oczyścić go z zarzutów.

- Przykro mi, ale nie, proszę pani. Wynajął je już ktoś inny. Do widzenia.

Chłopak zamknął drzwi; Constance usłyszała charakterystyczny trzask zasuw.

Należało się zastanowić i znaleźć jakiś inny sposób. Wiedziała, że już nigdy nie zobaczy Josepha, ale przed opuszczeniem Anglii na zawsze musiała mu pomóc. Tyle przynajmniej była mu winna.

Dobrze się spisałem, sir” - spytał chłopak.

Starszy pan skinął głową.

- Bardzo dobrze.

Za swe wysiłki chłopak dostał złotego suwerena. Tyle pieniędzy w życiu nie widział.

- Dziękuję. Dziękuję, panu! - Chłopak wyszedł, zostawiając dżentelmena w laboratorium.

Ten znów wziął się do przeglądania probówek, próbek i notatek, zostawionych tu przez poprzedniego użytkownika pracowni, Josepha Smitha.

Bez względu na dalszy rozwój wypadków, wydawało się wysoce nieprawdopodobne, by Joseph Smith miał jeszcze kiedyś wrócić do swojego laboratorium w East Endzie.

Dżentelmen uśmiechnął się, potem zdjął płaszcz i kapelusz.

Zaiste było to wysoce nieprawdopodobne.

17

Została jej tylko jedna możliwość.

Następnego ranka Constance ubrała się nadzwyczaj starannie. Zdawała sobie sprawę, że jej plan jest wyjątkowo śmiały i być może świadczy o złym stanie jej umysłu. W porannej gazecie znów nie znalazła wzmianki o Josephie Smithcie, aczkolwiek zrozumiała już, że to niewiele znaczy poza tym, że londyńscy dziennikarze nie są tacy bystrzy albo nie mają kontaktów na tak wysokich szczeblach, jak utrzymują.

Przed wyjściem z domu wysłała liścik do Harriet Whitestone, zawiadamiając o swej krótkiej wizycie w Cowes. Potem już nic nie odwracało jej uwagi od najważniejszego zadania.

Pocieszała się myślą, że cokolwiek się stanie, ona wkrótce opuści Anglię na zawsze i więcej już tych ludzi nie spotka. Wkrótce miał ją dzielić od nich ocean.

Miała do przejścia niewielki kawałek, cel, do którego zmierzała, znajdował się bowiem w West Endzie, tak samo jak dom Philipa. Po tej stronie Tamizy wszystko wyglądało inaczej, było szacowne, przyzwoite, dobrej jakości, a przynajmniej takie sprawiało wrażenie.

Zbliżyła się do ponurej budowli na Downing Street, mocno skupiona na doprowadzeniu zadania do zwycięskiego końca. Numer na domu - dziesiątka - był mosiężny, duży, choć jednocześnie niezbyt lśniący, jakby chciał powiedzieć przechodniom: „Jeśli musisz pytać, czyja to rezydencja, nie masz po co pukać”.

W okolicy przechadzało się wielu porządnie ubranych ludzi, niektórzy z wyrazem optymizmu na twarzach, inni zmęczeni i zawiedzeni nie spełnionymi nadziejami, już nieco pogodzeni z losem. Stali w zbitych grupkach, łokieć w łokieć, wzajemnie dodając sobie otuchy i odstraszać członków innych grupek.

Mężczyźni w milczeniu odsunęli się, żeby przepuścić Constance. Kilku na jej widok znacząco mrugnęło albo szturchnęło towarzyszy łokciem. Constance pewnie ujęła za mosiężną kołatkę, choć bardzo nadrabiała miną.

Drzwi otworzyły się.

- Słucham panią - odezwał się lokaj w pudrowanej peruce. Nie wyglądał na całkiem przytomnego, a tym bardziej zdolnego do przekazania wiadomości.

Constance się wyprostowała.

- Chcę się widzieć z lordem Beaconsfieldem.

- Przykro mi, ale chwilowo jest niedostępny. - Mężczyzna miał wypracowaną do perfekcji metodę mówienia bez mimiki. Poruszał mu się jedynie podbródek, zresztą bardzo opornie.

Drzwi zaczęły się zamykać, więc Constance postawiła stopę na progu.

- Proszę wybaczyć. Niedawno gościłam w Balmoral w czasie, gdy był tam lord Beaconsfield, więc chcę zapytać o jego zdrowie.

Oczy mężczyzny otworzyły się nieco szerzej.

- Jeśli chce pani zostawić bilet wizytowy, może to pani zrobić.

- Nie mam biletów. W każdym razie nie przy sobie. Zostawiłam je... w pałacu. - Uśmiechnęła się z nadzieją, że bije od niej pewność siebie.

Drzwi zaczęły zamykać się ponownie.

- Proszę powiedzieć lordowi Beaconsfieldowi, że chcę porozmawiać z nim o tej samej sprawie.

- O tej samej sprawie?

- Tak. W Szkocji poświęciliśmy dużo czasu pewnej sprawie. - Zerknąwszy za siebie, stwierdziła, że inni podeszli bliżej i próbują podsłuchać jej słowa. - Wolałabym nie wspominać tematu rozmowy - szepnęła. - Nie posłużyłoby to dobrze ani mnie, ani lordowi Beaconsfieldowi.

Senne oczy lokaja otworzyły się odrobinę szerzej.

- To możliwe. A pani nazwisko?

Czy będzie pamiętał jej nazwisko? - zastanawiała się Constance. Było więcej niż zuchwałością oczekiwać, że premier Anglii zechce poświęcić swój czas na rozmowę o sprawach osobistych.

Z drugiej strony przez ostatnie dwa tygodnie Constance zachowywała się w niewybaczalny sposób prawie bez przerwy.

Niedługo wyjadę z Anglii, pocieszyła się w duchu.

- Nazywam się Constance Lloyd.

Tym razem nie próbowała przeszkodzić w zamknięciu drzwi. Pozostało jej czekać i mieć nadzieję, podobnie jak czekały i miały nadzieję dziesiątki ludzi stojących na Downing Street ze swymi pilnymi sprawami. Może nawet ze sprawami życia lub śmierci.

Właśnie tak jak ona.

Po kilku minutach ludzie ci przyzwyczaili się do jej obecności i znów zaczęli swobodnie wymieniać poglądy. Usłyszała strzępki rozmowy o bezprawnym wypasie na zachodzie kraju i o wysokich podatkach lokalnych na południu. Jeden z mężczyzn zajadłe krytykował wysokie cła na francuskie wina.

Drzwi otworzyły się i zgromadzeni zamilkli w oczekiwaniu na nazwisko szczęśliwca, który zostanie przyjęty na audiencji.

- Panna Lloyd?

Constance wystąpiła z tłumu mężczyzn, śledzących ją wzrokiem, w którym ciekawość mieszała się z zawiścią. Ją jedną wpuszczono do domu oznaczonego numerem „dziesięć” na Downing Street.

- Proszę, niech pani spocznie - powiedział lokaj z ceremonialnym smutkiem, gdy znaleźli się w sieni. Constance usiadła na kanapie z czerwonym obiciem i znów musiała czekać.

Z pokoiów na górze wychodzili mężczyźni; na schodach poprawiali krawaty i otrzepywali kapelusze. Rozmawiali przyciszonymi głosami, nie mogąc wyrazić prawdziwych opinii o tym, co przed chwilą zaszło, póki nie wrócą do swych klubów lub do zajazdów.

Constance przekładała rękawiczki z ręki do ręki i zaczęła liczyć słupki podtrzymujące poręcz. Doliczyła się trzydziestu czterech. Potem policzyła paski na tapecie w korytarzu. Była właśnie przy sto dziesiątym, kiedy ją wezwano.

- Tędy, panno Lloyd. - Lokaj schylił przed nią głowę.

Weszła za nim na piętro i skręciła w lewo. Były tam uchylone drzwi.

- Panna Lloyd, milordzie - zaanonsował, nie wchodząc do środka.

- Panna Lloyd? Proszę bardzo - rozległ się chrapliwy głos, ten sam, który pamiętała z Balmoral. - Zechce mi pani wybaczyć, że nie wprowadzam osobiście. Podagra.

Weszła do gabinetu, a on nieznacznie uniósł się z krzesła. Biurko miał zasłane papierami, a w pomieszczeniu królował powierzchownie uporządkowany chaos.

- Cieszę się, że widzę panią w dobrym zdrowiu - powiedział i z powrotem usiadł na krześle.

- Dziękuję, pan również dobrze wygląda - odrzekła, choć było to dalekie od prawdy. Skóra lorda Beaconsfielda miała zielonkawy odcień, a pod jego oczami malowały się ciemne półkola. Podobnie jak w Szkocji, przy naturalnym świetle, jego cera wydawała się bardzo niezdrowa przez kontrast z nienaturalnie czarnymi włosami. Taki kolor zwróciłby uwagę u każdego, ale u starszego człowieka karnacji Disraeliego farbowane i kręcone włosy wyjątkowo rzucały się w oczy. Pojedynczy kosmyk, będący w wyraźnej niezgodzie z resztą, opadał mu na czoło.

- A więc uwolnij mnie, moja droga, od spraw wagi państwowej i wprowadź w sprawy serca.

- Jak zapewne pan pamięta, milordzie - zaczęła - poprzednim razem rozmawialiśmy o pewnej sprawie. Wyraził pan pogląd, że dopóki on i ona żyją, wszystkie problemy można rozwiązać.

- Tak, tak. Przypominam sobie takie słowa i nadal głęboko w nie wierzę. - Przyłożył dłoń do ust i na chwilę się odwrócił.

Constance uświadomiła sobie, że przesunęła mu się sztuczna szczęka.

Kiedy zęby wróciły na miejsce, zebrała odwagę i mówiła dalej:

- Milordzie, problem polega na tym, że jedno z nich może już długo nie pożyć.

- Boże drogi, czyżby pani była chora?

- Nie. To nie ja jestem w niebezpieczeństwie.

- Czyli chodzi o pani lubego. Przykro mi to słyszeć. Jakiej natury jest jego choroba?

- Jakiej natury? On, milordzie, cierpi z powodu niesłusznego oskarżenia o zdradę stanu.

Minę premiera w tej chwili można by nazwać komiczną, gdyby sytuacja nie była aż tak poważna. Constance krótko zrelacjonowała wydarzenia, nie ukrywając nazwiska Josepha ani roli Johna Browna. Wspomniała też o księciu Walii i jego pokojowcu.

Disraeli słuchał, a gdy skończyła mówić, wolnym ruchem splótł dłonie na biurku.

- Moja droga, doceniam odwagę, na którą musiała się pani zdobyć, żeby tu przyjść i wystąpić w sprawie Smitha. Szczerz mówiąc jednak, nic o tym nie słyszałem. Byłem w Balmoral w czasie rzekomego zajścia, ale nikt mnie o nim nie powiadomił.

Constance nic z tego nie rozumiała. Ale zachowanie premiera i zdumiony wyraz jego twarzy, który był reakcją na kolejne szczegóły historii, świadczyły o tym, że Disraeli raczej mówi prawdę.

- Gdzie on jest wobec tego? - spytała kręcąc głową. - I dlaczego Brown miałby mnie okłamać?

- Moja droga, może nie zdaje sobie pani sprawy z natury szkockich górali. Puszczenie plotek i pogłosek jest dla większości z nich największą radością w życiu. I nie ma znaczenia, czy są one prawdziwe, czy nie. Brown mógł paść ofiarą takiej opowiastki i przekazać ją pani, zanim się zorientował, że jest bez pokrycia.

- Ale co z Josephem? - Przyszło jej do głowy coś strasznego. Coś tak strasznego, że zapało jej dech.

- Czy jest możliwe, że pani darzy go silniejszym uczuciem niż on panią? - Wypowiedział te słowa niewiele głośniejszym szeptem, lecz mimo to omal nie rozerwały jej uszu.

- Nie zastanawiałam się nad tym do tej pory. - Zaciśnęła dłonie. Po ich nocy w Balmoral? Czy to możliwe?

Zamknęła oczy, przypomniała sobie bowiem swoje zachowanie. Było godne zwykłej ladacznicy. Gorsze. Ależ musiał nią gardzić.

Potem przemknęła jej przez głowę inna myśl. Joseph z pewnością sam namówił Browna do wymyślenia tej historii. To był z jego strony rozpaczliwy wysiłek, by się jej pozbyć raz na zawsze. A ponieważ wiedział, jak bardzo jej na nim zależy, starał się, by historia była przekonująca.

Musiał być nią bardzo znużony i jeszcze bardziej się nad nią litować.

A ona była głupia. I nie tylko głupia. Ona, Constance Lloyd, która zawsze starała się przyzwoicie zachowywać. Przyjechała, by pokazać Anglikom, że Amerykanka może mieć nie gorsze maniery i nie mniej gustu niż oni. I co zamiast tego zrobiła?

Jak strasznie wstydziłoby się jej rodzice, gdyby o tym usłyszeli. Dzięki Bogu, takie sprawy już ich nie obchodziły. Pierwszy raz, odkąd odeszli z tego świata, cieszyła się, że już nie mogą zobaczyć, co ich lekkomyślna córka zrobiła ze swoim życiem.

- Panno Lloyd? Czy pani dobrze się czuje?

- Tak, tak. Dziękuję. - Niepewnie wstała. - Nie mogę dłużej trwonić pańskiego czasu, milordzie. Dziękuję za pańską uprzejmość. Bardzo dziękuję.

Wyszła z gabinetu, patrząc prosto przed siebie, przejęta do głębi swym upokorzeniem. Nie widziała nikogo, ani lokaja, ani premiera, który kawałek ją odprowadził.

Nie widziała też starszego mężczyzny, mijającego ją na schodach. Przystanął na chwilę i spojrzął za nią, gdy zbliżała się już do podnóża schodów.

- Ach, więc to pan jesteś nowym premierem? - powiedział dżentelmen z szerokim uśmiechem. - Szkoda. Zastanawiam się, jak my to, u licha, przeżyjemy.

- Ballsbridge! Na Boga, jak to dobrze zobaczyć pana znów w Londynie! Jak tam pana tunele?

- Znakomicie. Dodałem salę balową pod sadem.

- Wspaniale. Proszę, niech pan wejdzie! Kiedy usłyszałem, że chce pan mnie odwiedzić, postarałem się o wolne popołudnie, żebyśmy mogli razem zjeść spóźniony lunch. Tylko proszę chwilę poczekać. Nowe zęby bardzo mi dokuczają.

- To niedobrze. I dziękuję, sir. Moja sprawa dotyczy tej młodej damy, która przed chwilą wyszła, i pewnego młodego człowieka.

- Niech pan wejdzie. Na Boga, Ballsbridge, dobrze zobaczyć I pana znów w Londynie!

Cowes, wyspa Wight. Listopad 1874 r.

Czy jesteś pewna, Constance, że chcesz tego wszystkiego? - spytała jeszcze raz Harriet Whitestone, nalewając herbatę do filiżanek. - Środek wydaje mi się bardzo radykalny.

Constance uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Nie jest tak źle, Harriet. - Dziwnie się czuła, nazywając po imieniu byłą chlebodawczynię. - Po prostu jadę do domu, to wszystko.

- Wcale nie do domu. Jedziesz do Nowego Jorku, który /nasz nie lepiej niż Indie.

- Gdyby udało mi się zdobyć posadę guwernantki w Indiach, to jestem pewna, że pojechałabym i tam. Naprawdę, Harriet, tak jest najlepiej.

- Zaczynam się zastanawiać, czy słusznie postąpiłam, dając ci takie wspaniałe referencje.

Constance wybuchnęła śmiechem.

- Naturalnie! Dziękuję ci z całego serca. Pułkownik z żoną, to brzmi bardzo dobrze, nawet jeśli są Jankesami.

- Przynajmniej są bogatymi Jankesami. - Harriet podeszła do Constance i dotknęła jej ramienia. - Dlaczego nawet nie próbujesz skontaktować się z panem Smithem? To jest zupełnie do ciebie niepodobne, Constance. Zawsze tak śmiało dążyłaś do tego, czego pragnęłaś.

- Obawiam się, że za śmiało - mruknęła pod nosem.

- Słucham?

- Nic takiego, Harriet. Nie, nie mogę napisać do pana Smitha. O tym już nie ma mowy. Nie skończyło się to dobrze dla mnie, ale miejmy nadzieję, że przynajmniej dla niego skończy się dobrze.

- Wczoraj była wzmianka o nim w gazecie.

- Naprawdę? - Starła się powiedzieć to całkiem obojętnie. - I co tam napisali?

- Niewiele. Zdaje się, że zaproponowano mu przewodniczenie jakiemuś rządowemu komitetowi zajmującemu się problemami biedy w miastach.

- Tak? To wspaniale. Jestem pewna, że chętnie się tego podejmie.

Myślenie o nim sprawiało jej ból. Cierpiała na sam dźwięk jego nazwiska, przynajmniej jednak dowiedziała się, że z Josephem jest wszystko w porządku. Premier miał rację. Pogłoski o aresztowaniu okazały się bezpodstawne. A ona wyszła na głupią, błagając o życie człowieka, który wcale nie był w niebezpieczeństwie, tylko chciał uniknąć kłopotliwych umizgów guwernantki.

Krótko mówiąc, minione miesiące były dla niej katastrofalne.

- O, jest jeszcze coś interesującego. Lord Merrymeade umarł we śnie. Czy znałaś tego dżentelmena?

- Tak, znałam. - Pomyślała o Abigail i zaczęła się zastanawiać, czy znowu będzie próbowała zdobyć Josepha. To miałyby sens. Przynajmniej oboje byłiby szczęśliwi.

- Constance, co się stało? Nie czujesz się dobrze?

- Wszystko w porządku, Harriet. Masz jeszcze te ciasteczka?

Dwaj mężczyźni siedzieli w eleganckiej sali klubu! Ściany kryła orzechowa boazeria. Panowie popijali brandy z wodą sodową z pięknych kryształowych szklaneczek.

- A więc stało się - powiedział Joseph, trąc skroń. Ostatnio dręczyły go nieustanne bóle głowy, których nijak nie mógł zwalczyć.

- Tak, przyjacielu. - Philip uśmiechnął się i odstawił szklaneczkę na stolik.

- Co na to Cavendish?

- Jest w nie najlepszym nastroju, jak możesz się domyślić. Niby miał już podobne doświadczenia z Violą, więc należałoby sądzić, że się przyzwyczaił, a jednak trochę go to gryzie. Na szczęście, matka nie zdążyła jeszcze dać ogłoszenia w gazetach, więc przynajmniej tego upokorzenia nie musi znosić.

- Dzięki Bogu - przyznał Smith. - Czy twoja matka próbowała publikować następne nekrologi ojca? Ostatnio nie widywałem jego nazwiska. A zawsze miło znaleźć w gazecie wzmiankę o kimś znajomym. Philip się roześmiał.

- Zdaje się, że na razie zrezygnowała z tego fortelu, chociaż po moim ślubie zapewne wróci do niego z nową energią. Matki zawsze potrzebują czegoś godnego uwagi, żeby zapełnić

sobie czas. Ale może moja zajmie się szukaniem narzeczonej dla Dishy'ego, skoro ta poprzednia jest już zajęta.

Joseph się uśmiechnął.

- Smith, nie masz nic przeciwko temu, że coś ci powiem?

- Skądże. A co takiego?

- Źle wyglądasz.

- Za ciężko pracuję - odrzekł Joseph. - Jak zorganizujemy już komitet, będę mógł trochę odpocząć. W tym cała rzecz.

- Nie sądzę. Chodzi o Constance, prawda?

Joseph pokręcił głową, potem zamknął oczy. Ten ruch był zdecydowanie przykry. Uporczywy ból w głowie odezwał się znowu.

- Wiem, gdzie ona jest. Znalazła sobie nową posadę, postanowiła zwrócić nam pieniądze, które wydaliśmy na jej stroje przejazdu - powiedział cicho Philip. - Może napiszesz do niej list?

- Nie.

- Czyżbyś sądził, że jestem zły na ciebie z powodu tego, co się stało? Powinieneś wiedzieć, że nie jestem. Ani trochę. Gdyby nie Constance, nigdy nie dowiedziałbym się, że Viola Rathbottom kocha się we mnie od dawna. To dlatego robiła e wszystkie dziwne kawały. Wiesz, o czym myślę.

- O kałamarzu nad drzwiami? O zjeżdżaniu ze schodów na srebrnych tacach? O wojnie na syfony? Przy okazji mogę ci powiedzieć, że widziałem któregoś dnia Violę w parku razem z Abigail Merrymeade. Obie wyglądały tak, jakby coś sobie zrobiły w nogę. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Coś sobie zrobiły w nogę? - powtórzył Philip i zachichotał. - Kulały, tak?

- Tak, Philipie. Dla mnie wyglądało to prawie tak, jakby obie były kalekie.

- Och, nie. To jest najnowszy krzyk mody. Nazywa się „chromaniem Aleksandry”, na cześć księżnej Walii. Wszystkie eleganckie damy naśladują jej chód. To jest wielka atrakcja towarzyska.

- Oszalałeś? Mamy naśladować wszystkie niedoskonałości rodziny królewskiej? Co przyjdzie potem? Stylowy rżęzący kaszel czy moda na łupież?

- Masz całkiem niezłe pomysły, Smith. Ale wracając do Constance...

- Proszę cię, przestań, Hastings. Boli mnie głowa.

- Nie kocham jej. Myślę, że nigdy jej nie kochałem, chociaż zawsze będę jej wdzięczny za to, co dla mnie zrobiła. To śmieszne, ale zanim poznałem Constance, zdawało mi się, że wszystko wiem najlepiej. Dopiero ona wskazała mi pytania, których nigdy nie postawiłem, bo nie przyszły mi do głowy.

- Dość tego, Philipie. Idę. Joseph wstał, a przyjaciel za nim.

- Wiesz, Josephie, diabelnie mi się udało, że mam takiego przyjaciela jak ty.

Joseph uśmiechnął się.

- Mam podobne odczucie.

- Czy wobec tego wyświadczysz mi przysługę?

- A już szansa na ucieczkę była tak blisko. - Joseph cofnął rękę. - Co mam zrobić tym razem? Zapolować na wściekłego lwa? Wypróbować nowy smak arszeniku? Powiedz.

- Chcę, żebyś pojechał do Constance.

- Raz to zrobiłem, Philipie. Drugi raz tego nie zrobię. Do zobaczenia, przyjacielu. - Zaczął się oddalać, wsunąwszy rękę do kieszeni.

Hastings nigdy się nie poddawał. Gdy wbił sobie coś do głowy, trudno się było od niego opędzić.

- Wiesz, ona uratowała ci życie. - Głos Philipa rozległ się w wyłożonym dywanem korytarzu klubu.

Joseph się odwrócił.

- Dobrze wiem. Wtedy na drodze. To stare dzieje. Do widzenia, sir.

- Nie wtedy. Poszła do Disraeliego, kiedy cię aresztowano. Joseph zatrzymał się i zawrócił do Philipa.

- Co ty powiedziałeś?

- Pojechała do Londynu błagać o twoje życie.

- Myślałem, że zrobił to twój ojciec. Dziękowałem mu wielokrotnie. Przecież to twój ojciec poszedł do Disraeliego.

- Mój ojciec sam nic by nie zdziałał. Nie znał całej sprawy. Dopiero gdy Disraeli połączył to, co usłyszał od Constance i twojego ojca, zorientował się, że ten incydent był po prostu wynikiem przepychanki między księciem i Brownem, a ty znalazłeś się pośrodku. Dalej, Smith. Czekają cię ważniejsze sprawy niż wysłuchiwanie starych wiadomości.

Philip usiadł z powrotem na krzesło, Joseph również zajął swoje poprzednie miejsce. Zamówili po następnej szklaneczce brandy z wodą sodową i siedzieli w klubie jeszcze wiele, wiele godzin.

18

Nowy Jork, kwiecień 1875 roku

Dzieci państwa McKenzie jak zawsze tryskały humorem. Ich radość była zaraźliwa, gdy patrzyło się, jak biegną w stronę Piątej Alei; Lidia z rozpiętymi guziczkami rękawiczek, Gunther z jeszcze nie zawiązanymi sznurowadłami.

Constance radziła sobie z nimi coraz sprawniej i umiała przewidzieć powtarzające się wykroczenia. Prawdę mówiąc, bardzo lubiła te dzieciaki, mimo że niekiedy bywały nieznośne, a Gunther seplenił. Kamienica z czerwono-brązowego piaskowca, położona na wschód od Central Parku, zawsze pulsowała życiem. Pani McKenzie nieustannie biegała na zebrania i przyjęcia różnych organizacji charytatywnych, a pułkownik sprowadzał do domu przyjaciół z Wall Street.

Na wszystkich gościach, którzy poznawali Constance, duże wrażenie robił jej akcent, powszechnie uważany za bardzo elegancki.

- Wie pani, ona jest z Anglii - usłyszała przypadkiem Constance któregoś dnia, gdy pani McKenzie wychodziła z domu z przyjaciółką na spotkanie Stowarzyszenia na Rzecz Nieszczęsnych Dzieci Pozbawionych Domu. - O ile wiem, miała wyjść za mąż za księcia.

- No, cóż - odrzekła przyjaciółka. - Lepiej być guwernantką w Ameryce niż księżną w Anglii. Zawsze to mówiłam.

- To prawda - przyznała pani McKenzie. - Święta racja, pani Appleton.

Constance czuła, że lepiej nie zwracać uwagi na drobne uprzedzenia pań. Podobnie jak będąc guwernantką w Anglii, korzystała ze statusu półdzikiej Amerykanki, tak tutaj dobrze się czuła w roli niedoszłej żony księcia.

Naturalnie, w Nowym Jorku nikt nie znał prawdy.

Tego ranka Constance otrzymała jednak nokautujący cios. Viola, od niedawna lady Hastings, napisała do niej kolejny liścik z ploteczkami.

- Wolniej, Lidio - przestrzegła Constance, gdy dziewczynka wydostała się poza zasięg jej rąk i zbliżyła do krawężnika.

- Lepiej idź wolniej, bo jak nie, to panna Lloyd wsadzi cię do Tower i zginiesz w męczarniach jak mali książęta. Czy nie tak? - Gunther spojrział na Constance.

- Za tę karę nie ja byłam odpowiedzialna, Gunther. - Rączka chłopca zacisnęła się w piastkę w dłoni Constance. - To sprawa mojej praprababki.

Małec szerzej otworzył oczy, przejęty podziwem.

Przecięli Piątą Aleję i znaleźli się w jasnozielonej parkowej oazie. Szli po brukowanej alejce, wymijając powozy, omnibusy, bryczki i eleganckie dorożki, z których wysypywali się na drogę pasażerowie. Domy po wschodniej stronie ulicy lśniły w wiosennym słońcu. Każdy wyrastał na małym skrawku ziemi, bijąc w oczy wystawnością marmurów i ostentacyjną solidnością kamienia, każdy próbował zwrócić na siebie uwagę.

- Lidio, koń! Uważaj na konia! - zawołała Constance, gdy dziewięcioletnia dziewczynka beztrąsko wybiegła na ulicę.

- Tower będzie jak nic - mruknął sześciolatek Gunther.

- W najlepszym razie. - Constance się uśmiechnęła. Chłopiec odwzajemnił jej uśmiech.

Zoo w parku było pełne dzieci z wesołymi buziąmi, radujących się jednym z pierwszych wiosennych dni. Woń prażonej kukurydzy, słonych orzeszków, lepkich karmelków i jabłek w cukrze mieszała się ze zwierzęcymi zapachami zebr i starego lwa, któremu do szczęścia wystarczało, że może się położyć na grzbiecie i spać.

Gdy dotarli do klatek z małpami, Lidia i Gunther zaczęli chichotać na widok dokazujących zwierząt, a Constance mogła wreszcie usiąść i zastanowić się nad listem od Violi, który dostała poranną pocztą. Wyciągnęła go z torebki i jeszcze raz przeczytała najważniejszą część.

A teraz największa niespodzianka, droga Constance! Przyjechała moja droga Abigail, która, jak wiesz, ostatnio owdowiała. Ale w Hastings House nie ma śladów smutku i Żałoby, bo Abigail jest bliska połączenia się małżeńskim węzłem z kimś, kogo bardzo dobrze znasz! Czy możesz w to uwierzyć? Będzie moją najlepszą przyjaciółką również w małżeństwie. Żałuję tylko, że nie ma tu Ciebie, żebyś mogła dzielić z nami tę radość...

Tyle jej wystarczyło. Naturalnie, cieszyła się ze szczęścia Violi, ale czytać o Josephie i Abigail nie była w stanie, nawet w tak piękny dzień.

Gunther odwrócił się do niej, prezentując niepokojąco wierną kopię zachowania małpy. Podbródek wysunął do przodu, a lewym ramieniem, opartym o czubek głowy, złapał się za prawe ucho.

- Tylko tak dalej, drogi Guntherze, to na pewno zrobisz furorę na scenie dla debiutantów - powiedziała Constance.

Lidia uśmiechnęła się do niej przez ramię i z powrotem zwróciła się ku zwierzętom.

Constance pomyślała, że naprawdę ma powody do radości.

Wróciła do Ameryki, chociaż właśnie ten kraj wydawał jej się dziwny i obcy, panował tu wszechobecny pośpiech i Constance obawiała się, że nie wytrzyma tempa zakupów na odcinku Broadwayu zwanym „damską miłą”, a nawet tempa przechodzenia przez Broadway.

Ludzie mówili niesłychanie szybko, mężczyźni dbali o maniery, ale wydawali się niecierpliwi i nieszczerzy. Kobiety, bez względu na pozycję, były zajęte od rana do wieczora.

Zdawało się, że nikt nie ma czasu na chwilę usiąść.

Constance stwierdziła, że z wolna nabiera tych samych przyzwyczajęń. Nie dlatego, żeby spoczywał na niej nadmiar obowiązków, bo państwo McKenzie bardzo szczerze dawali jej wolne. Znajdowała sobie jednak jak najwięcej zajęć dodatkowych, tylko po to, by przez cały czas mieć co robić. Nie chciała za wiele rozmyślać o Josephie.

W ciągu dnia ta metoda się sprawdzała, myśli o nim nachodziły ją bowiem tylko w chwilach spokoju, gdy siedziała z dziećmi w parku albo brała je na popołudniowe przedstawienie do teatru. Wtedy pozwalała sobie na zadumę, przypominała sobie coś, co Joseph powiedział, jakiś jego wyraz twarzy albo uśmiech. Albo dotyk.

Ale nawet gdy była bardzo zmęczona, gdy wieczorami do upadłego wspomagała panią McKenzie w działalności dobroczynnej, po położeniu się do mosiężnego łóża zamykała oczy i natychmiast widziała Josepha. Wyobrażała sobie jego twarz z taką ostrością, że prawie mogła jej dotknąć, przesunąć palcem po bliźnie na policzku. Wtedy jednak wracała do rzeczywistości.

A rzeczywistość była taka, że Constance nigdy więcej nie miała dotknąć jego twarzy ani nawet go zobaczyć. A teraz, na domiar złego, zbliżał się ślub Josepha z Abigail Merrymeade.

- Panno Lloyd! Panno Lloyd! Czy mogę dostać lukrecjową pałeczkę? - zawołał Gunther.

- Ja też, panno Lloyd! Ja też! - zawtórowała mu Lidia.

Coś ścisnęło ją za gardło na widok tej rozpromienionej dwójki. Wiedziała bowiem, że swoich dzieci nigdy mieć nie będzie. W jej życiu będą się pojawiać kolejne dzieci innych kobiet, będzie uczestniczyć w szczęściu każdej rodziny do czasu, gdy dzieci dorosną i trzeba będzie poszukać następnej rodziny z młodszymi dziećmi, którymi można się zaopiekować, które można kochać jak własne.

Ale własnych dzieci mieć nie będzie.

- Czy coś się stało, panno Lloyd? - Lidia podeszła do Constance; na jej dziecięcej buzi malowało się szczere zatroskanie. - Czy w tym liście są smutne wiadomości?

- Och, nie. - Constance złożyła kartkę i schowała ją do torebki. - Lukrecja, tak?

Dzieci skinęły głowami.

- Ale pod jednym warunkiem. Znów oboje skinęli głowami.

- Musicie mi obiecać, że będziecie bardzo, ale to bardzo grzeczni, póki nie skończycie osiemnastu lat.

- Będziemy! Obiecujemy! - krzyknęli unisono. Constance roześmiała się i wzięła oboje za ręce.

- No, więc dobrze. Chodźmy poszukać lukrecji. Ruszyli dalej. Dzieci chyba nie zdawały sobie sprawy, że

blask niebieskich oczu Constance wcale nie wyrażał radości oczekiwania na lukrecję. Jej oczy błyszczały od łez.

Constance starannie zaadresowała kopertę do Hastings House. Zawierała ona dwa dolary, stanowiące kolejną, wysyланą co dwa tygodnie ratę spłacanego długu.

Obliczyła, że w tym tempie zakończy spłatę w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym.

- Tego dnia urządzę sobie święto - mruknęła pod nosem, ściągając bibułą nadmiar atramentu z koperty.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Proszę. - Uśmiechnęła się, oczekując kogoś z dzieci. Tego wieczoru położyła je do łóżek wcześniej, żeby odpoczęły po dniu pełnym wrażeń w parku.

- Constance? - Była to jednak pani McKenzie, pięknie ubrana w lśniącą suknię na ramiączkach, z deseniem w pawie pióra. We włosy miała wpięte niebieskie pióro.

- Och, jak pani ładnie wygląda!

- Dziękuję, moja droga. Wprawdzie nie przyszedłam tu po komplementy, ale musisz mi przypominać, żebym robiła to częściej.

Constance wstała od biurka.

- Czy mogę w czymś pomóc, pani McKenzie?

- Myślę, że tak. Wprawdzie jesteś po długim, męczącym dniu z dziećmi, ale pułkownik przyprowadził na przyjęcie niespodziewanego gościa, dżentelmena. Jest bardzo sympatyczny, lecz, niestety, rujnuje układ przy stole. A ja tak bardzo się starałam, żeby było na przemian: mężczyzna, kobieta. Czy zechciałaby pani przebrać się i zejść do nas na dół? Jeśli nie ma pani nic odpowiedniego, to mogę pani pożyczyć suknię.

- Mam zejść przy stole z dorosłymi?

- Tylko raz. - Pani McKenzie roześmiała się. - Ale poproszę cię o pomoc przy krojeniu pieczeni dla pułkownika. Zgodzisz się, Constance? Zechcesz do nas zejść?

- To dla mnie zaszczyt, pani McKenzie. Z przyjemnością zejdem.

- Wspaniale! Czy potrzebujesz sukni?

- Nie, dziękuję. Mam jedną, która się nadaje.

- Jesteś prawdziwym klejnotem. Przyjdź do salonu, jak tylko będziesz gotowa. Aha, przysłać Kathleen, żeby pomogła ci ułożyć fryzurę?

- Dziękuję, nie. Sama sobie poradzę. Pani McKenzie? Jej chlebodawczyni przystanęła na progu.

- Dziękuję - powiedziała Constance.

Pani McKenzie się uśmiechnęła.

- Nie, najdroższa. To tobie należy się podziękowanie. Zejdź na dół, jak będziesz gotowa.

Constance wolno szła po schodach, nasłuchując śmiechów, dobiegających z salonu, i cichego brzęku naczyń. Kathleen, pokojówka, krążyła po salonie ze srebrną tacą, podtykając gościom smakołyki.

Było to mgliste przypomnienie innego życia, którego Constance zaznała przez krótkie kilka miesięcy. Ten dom nie był taki imponujący, schody też nie, ale miała na sobie tę samą suknię, co ostatniego wieczoru w Sandringham, gdy była z Josephem.

Nie potrafiła rozstać się z tymi sukniami, choć na pewno nie objawiła w tym praktycyzmu, bo nie spodziewała się, by jeszcze kiedykolwiek miała okazję włożyć którąkolwiek z nich. Zostawiła je na pamiątkę czaru, któremu na chwilę uległa, swojego życiowego interludium.

Suknie przypominały jej o Josephie.

Przystanęła w sieni i zmierzyła wzrokiem swoje odbicie w wysokim lustrze przy drzwiach do salonu. Wyglądała podobnie jak w Hastings House lub Sandringham. Te same rysy, włosy wciąż ciemne i trochę zbyt gęste, by łatwo je było ułożyć. Może odrobinę wyszczupiała, ale tylko tyle.

Nie. Jeszcze oczy. Oczy też jej się zmieniły.

Ależ zazdrościła Abigail Merrymeade.

Czuła się dość dziwnie w sukni ze srebrzystego jedwabiu która tak podobała się Josephowi w Sandringham. Wszak prze ostatnie miesiące nosiła niezmiennie stroje guwernantki. W włosy wpięła stroik ze sztucznych pereł. Imitacja była całkiem dobra, pochodziła naturalnie z Broadwayu.

Zaczerpnęła tchu i weszła do salonu. Pokój wydał jej się przepiękny ludźmi, choć było tylko dwanaście osób, z nią włącznie.

- Panno Lloyd! - Pułkownik znalazł się u jej boku. Siwiejący wąsik miał perfekcyjnie natarty pomadą. - Jak nam miło! Proszę pozwolić, że przedstawię panią naszym gościom...

Constance ścisnęła dłonie w rękawiczkach, sama również włożyła rękawiczki. Starła się zapamiętać nazwiska i trwale połączyć je z twarzami, ale po trzeciej parze się poddała. Wszyscy goście byli podobni, dobrze odżywieni i zadowoleni z siebie. Gazowe oświetlenie nadawało ich twarzom sinawy odcień, czerwone suknie wydawały się fioletowe, a białe krawaty - szare.

- A to jest pan Jerediah Baxter z żoną, oboje z Albany. I wreszcie nasz przyjaciel zza wielkiej sadzawki, pan Joseph Smith...

Constance zachwiała się, spojrzała mu bowiem w oczy i przez chwilę zastanawiała się, czy to nie sen. Ale Joseph ją podtrzymał.

- Ojej, panna Lloyd źle się poczuła...

- Czy ktoś ma sole trzeźwiące?

- Ona jest guwernantką. Może to za dużo dla tej biedaczki?

Słyszała gwar i gorączkowe rozmowy, wydawały jej się jednak dalekie, jakby dochodziły z innego świata.

- Joseph - szepnęła, gdy wreszcie była w stanie cokolwiek powiedzieć.

- Constance. - Wciąż patrzył jej w oczy.

- Pułkownikowi McKenzie, oni chyba się znają!

- Ona jest przecież Angielką.

Chwyciła Josepha za ręce i poczuła ich siłę, tę siłę, której, jak sądziła, już nigdy nie będzie miała okazji poczuć.

- Spokojnie - szepnął. - Chodźmy, usiądziesz.

A już myślała, że nigdy więcej nie usłyszy tego głosu z uroczym zaśpiewem.

Joseph.

- Jak... dlaczego... och, Josephie - wybąkała.

A on się do niej uśmiechnął; właśnie ten uśmiech widziała wiele razy oczyma duszy, tylko teraz był jeszcze wspanialszy, bo prawdziwy.

- Odpowiem na wszystkie twoje pytania, tak ekonomicznie wyrażone. Po pierwsze: jak. Statkiem. Constance, sądzę, że sama potrafiłabyś to odgadnąć. Mam zleconą przez rząd pewną pracę, przyglądam się jak wy, Amerykanie, radzicie sobie z problemem biedy i czy w ogóle sobie z nim radzicie. Poza tym muszę dopilnować kilku inwestycji na Wall Street. A drugie pytanie brzmiało: dlaczego. To bardzo proste. Z twojego powodu.

- Jak... - zaczęła znowu i zamknęła oczy.

- Myślałem, że już na to odpowiedziałem. Ach, rozumiem. Jak się dowiedziałem, że tu będziesz?

Skinęła głową.

- To też proste. Byłaś na tyle uprzejma, by regularnie przesyłać Philipowi pieniądze. Obliczyliśmy, że utrzymując ten rytm, spłacisz dług w roku...

- Tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym.

- Tak jest. W każdym razie twój adres zwrotny był na wszystkich kopertach, pisanie go jest zresztą bardzo amerykańskim obyczajem. Pozwoliłem sobie również skontaktować się z panią Whitestone, która opowiedziała mi o okolicznościach, w jakich wyruszyłaś w podróż.

- O wszystkich?

- O wszystkich.

Pozostali goście podjęli przerwana rozmowę i całkiem przestali zwracać uwagę na Josepha i Constance, siedzących na żółtej kanapce. A Joseph trzymał jej dłoń w swoich wielkich rękach.

- Boli mnie głowa. - Westchnęła trąc skroń.

- Mnie też ostatnio często bolała. Miałem nadzieję, że będziesz moim lekiem.

- To niemożliwe.

- Wcale nie. Jestem tutaj. Wydaje mi się, że dopóki oboje żyją...

- Disraeli! - krzyknęła całkiem mimo woli, ale jej głos przebił się przez gwar rozmów. Wszyscy zgromadzeni w salonie spojrzeli na nią, niektóre kobiety z lekkim niepokojem.

- To taka gra towarzyska - wyjaśnił Joseph obecnym. Bardzo popularna w Anglii. Nazywa się „Premier”. Panna Lloyd właśnie przebiła mojego Gladstone’a.

Nastąpił moment ciszy, po czym wszyscy podjęli przerwane tematy. Parze na kanapce poświęcano tylko przelotne spojrzenia.

- Uratowałaś mnie, Constance. Ocaliłaś mi życie! - powiedział ochryplym głosem i pochylił się do niej. Poczwała na szyi jego oddech.

- Nie rozumiem.

- Posłuchaj mnie, i nigdy więcej nie będziemy już do tego wracać. W Balmoral naprawdę mnie aresztowano.

- Josephie...

- Aresztowano mnie pod zarzutem zdrady stanu. Naturalnie było to kolosalne nieporozumienie, ale niewiele brakowało, a wydarzenia wymknęłyby się spod kontroli. Coś, co zaczęło się jak pasjonujące zadanie, omal nie skończyło się dla mnie utratą życia.

- Wciąż nie rozumiem. Brown powiedział, że już mnie nie kochasz...

- Aresztowano mnie. Znając ciebie, byłem przekonany, że będziesz próbowała czegoś bardzo lekkomyślnego. Zresztą, dzięki Bogu, rzeczywiście spróbowałaś.

- Czy to znaczy, że nie powiedziałaś mu tego przed aresztowaniem?

- Rzecz jasna, nie. Ale potem byłem gotów na wszystko, byle nie mieć żadnego związku z tobą i prawie wszystkimi mieszkańcami Anglii. Nie chciałem, żebyś ucierpiała tylko z tego powodu, że mnie znasz. Niestety, sytuacja była taka, że tylko ty i Brown wiedzieliście wszystko.

- I ja poszłam do Disraeliego - zaczęła Constance. - Najpierw próbowałam dostać się do twojej pracowni, żeby zdobyć dowód tego, co naprawdę robiłaś, ale przeniosłaś pracownię.

- Skądże. Wszystko było na miejscu, przy Waterloo Road.

- Ale chłopak powiedział mi tam, że przeniosłaś pracownię.

- To możliwe. Ale tylko dlatego, że tego chłopaka opłacił książę Ballsbridge.

- Ojciec Philipa? Opuścił swoje tunele i przyjechał do Londynu?

- Wziął klucze Philipa i przyjechał do Londynu w tym samym celu co ty. Wcześniej służba powiedziała mu, że prawdopodobnie mnie aresztowano, a wiedziała o tym, bo syn ogrodnika księcia pracuje w Balmoral. Wiesz, w jakich stosunkach jest książę ze służbą. Mówią mu absolutnie wszystko, chociaż w swoim czasie nie zdawałem sobie z tego sprawy. Książę przez cały czas uzupełniał Philipowi zapasy farb i płótna, o czym nie wiedziałem, a przy okazji, na szczęście, wykazał dość ciekawości, by rzucić okiem na moje papiery i przyrządy. Mógł więc zabezpieczyć dowód w postaci notatek, które spisywałem w dzienniku. Ale to nie wystarczyłoby do uwolnienia mnie z aresztu. Do tego potrzebni byliście oboje, ty i książę, i oboje przyszliście mi na pomoc. Nigdy nie będę mógł ci się odwdziżyć. Nigdy.

- Josephie. - Uśmiechnęła się do niego, wciąż zdumiona jego obecnością w Nowym Jorku.

- Mam prawdziwych przyjaciół, lepszych, niż mógłbym się spodziewać. Obawiam się również, że lepszych, niż sobie na to zasługuję.

- Och. - A więc przyjechał do niej z wdzięczności. Nagli przypomniała sobie Abigail Merrymeade. Cóż. Przyjechał na krótko do Nowego Jorku w innej sprawie, a przy okazji jako prawdziwy dżentelmen przyszedł jej podziękować. - Rozumiem, że można ci pogratulować.

- Dziękuję. - Joseph się rozpromienił. - Doceniam te gratulacje. Nie każdemu udaje się wykręcić z oskarżenia o zdradę stanu w taki sposób, żeby ani słowo nie przeciekło do prasy. Ale to dlatego, że miałem szczęście. Gdy mnie aresztowano, londyńscy dziennikarze byli akurat bardzo zainteresowani skandalem...

- Miałam na myśli twoje małżeństwo. Wszystkiego najlepszego.

- Jeszcze raz dziękuję, chociaż wydaje mi się to wyjątkowo niekonwencjonalne.

- Co mianowicie?

- O ile wiem, zwyczaj nakazuje, by najpierw kandydat na męża oświadczył się wybrance, a potem inni ludzie mają miły obowiązek złożenia im życzeń. Z pewnością nie należy to do przyszłej panny młodej. Ale i tak dziękuję.

Zakręciło jej się w głowie.

- Ja miałam na myśli Abigail Merrymeade. Nie jesteś z nią zaręczony?

Uśmiech wreszcie znikł z twarzy Josepha.

- Z Abigail Merrymeade? Skąd, na Boga, przyszło ci to do głowy?

- Wiem od Violi. Napisała do mnie list...

- Viola?

- Tak.

- Nie, kochanie. Dostałaś złą informację. Uroczą wdówką Merrymeade rzeczywiście wychodzi za mąż, ale jej wybrankiem jest nasz pocziwy Cavendish.

- Dishy! - znów mimo woli krzyknęła i w pokoju zapadła cisza.

Joseph uśmiechnął się do gości.

- Przepraszam, to jeszcze jedna gra salonowa. W tej chodzi o odpowiadanie na pytania słowem „Dishy”. - Wyjaśnienie przyjęto z kamiennymi minami. - To bardzo dobra zabawa na deszczowe dni.

Tym razem nikt nawet nie próbował przybrać zdziwionej miny. Wszyscy po prostu wrócili do swoich rozmów.

- Więc jak, Constance? Zgodzisz się?

- Na co?

- Czy zgodzisz się mnie poślubić? - szepnął. - Proszę cię. Tylko jeszcze raz. Ocal mnie tylko jeszcze ten jeden raz. Zostań moją żoną.

- Tak! - zawołała, ale tym razem ciszej, a Joseph wziął ją w ramiona. - Tak. Ale mylisz się, Josephie.

Trochę odsunął się od niej i pogłaskał ją wierzchem dłoni po policzku. Constance zamknęła oczy i pocałowała go w rękę.

- Bardzo się mylisz - powtórzyła. - To ty mnie ocaliłeś.

Kątem oka zobaczyła ich odbicie w wielkim lustrze na ścianie: mężczyzna z kobietą trzymali się za ręce, a ich twarze były tak blisko siebie, że czoła prawie się stykały jak w delikatnym, czułym pocałunku.

Wyglądali tak, jakby byli dla siebie stworzeni. Zawsze tak wyglądali.

Następnego dnia wszyscy uczestnicy przyjęcia u państwa McKenzie wciąż z podnieceniem komentowali wypadki poprzedniego wieczoru. Bądź co bądź, nie codziennie zdarza się, że rodzina traci guwernantkę w zamian za zaproszenie na ślub, zanim jeszcze służba zdąży podać zupę.

A o której miał tu być? - spytała Lidia McKenzie. Jej matka uśmiechnęła się.

- Pan Smith obiecał przyjechać po pannę Lloyd o dziesiątej, a zegar właśnie wybił dziesiątą. Jestem pewna, że należy się go spodziewać w każdej chwili.

Lidia wspięła się na miękkie krzesło przy oknie.

- Och, panno Lloyd, jaki on jest przystojny! Jak książę. Constance wybuchnęła śmiechem.

- Lidio, wierz mi, że widziałam księcia. Joseph, dzięki Bogu, wcale nie wygląda tak jak on.

Pani McKenzie wzięła do ręki szydełko.

- Powinnam być na ciebie zła, Constance. Jesteś zdecydowanie najlepszą guwernantką, jaką kiedykolwiek mieliśmy.

- Przepraszam, pani McKenzie. Okropnie mi przykro z tego powodu.

- Bzdura! Będiesz bardzo szczęśliwą żoną i matką, nie mam co do tego wątpliwości. To jest o wiele lepsze niż bycie guwernantką. Wiem, co mówię.

- Naprawdę? - spytała Constance.

- Naprawdę, mam? - Lidia przerzuciła nogi przez poręcz krzesła.

- Naprawdę - potwierdziła pani McKenzie. - A jak myślicie, co robiłam, zanim poznałam pułkownika? O, słyszę powóz.

- Spóźnił się dwie minuty. - Constance uśmiechnęła się i wetknęła szpilkę we włosy.

- Skreśl go natychmiast! - zawyrokowała pani McKenzie.

Kathleen zaanonsowała Josepha. Wszedł do salonu; twarz miał prawie szarą.

- Josephie, czy coś się stało? - Constance natychmiast znalazła się u jego boku, a Joseph uniósł ramię i ją objął. Przez chwilę milczał.

- Kathleen - poleciła pani McKenzie. - Przynieś, proszę, wody panu Smithowi. A może woli pan whisky?

- Wody. - To słowo ledwie przecisnęło mu się przez gardło.

- Josephie, przerażasz mnie. - Constance zauważyła pulsowanie żyły na jego skroni. - Co cię tak poruszyło?

Skinął głową, potem sięgnął do surduta i wyciągnął z kieszeni telegram.

- Och, nie - powiedziała Lidia. - Ktoś umarł. Zawsze tak jest, gdy przychodzi telegram. Ktoś umarł nagle, pewnie zginął w jakimś strasznym wypadku albo dostał okropnej choroby.

- Cicho, Lidio - skarciła ją pani McKenzie.
- Przeczytaj to - powiedział Joseph nieco mocniejszym głosem. - Proszę, Constance. Przeczytaj głośno.
- Dobrze – zgodziła się niepewnie. Serce waliło jej jak młotem - Pan Joseph Smith pod adresem klubu Union...
- Nie to, niżej. Czytaj głośno.
- Przebiegła wzrokiem żółty papier.
- No, to do dzieła. „Niniejszym powiadamia się szanownego pana o śmierci księcia Millingtona”. Księcia Millingtona? Josephie, czy znałeś księcia Millingtona?
- Pokręciła głową i z wdzięcznością przyjął od Kathleen szklankę wody.
- Czytaj dalej – powiedział, upiwszy łyk.
- Zaraz, zaraz... coś o zawieraniu, może o zacieraniu... Nie wiem, tu jest nieczytelne. Ale tu już wyraźnie, o: „... powiadomić pana Josepha Smitha z...”. Nie mogę wymówić tej nazwy.
- To jest moje rodzinne miasto w Walii. Czytaj dalej.
- „... pana Josepha Smitha z jakiegoś niewymawialnego miasta w Walii, że jest jedynym dziedzicem tytułu, majątku i wszystkich związanych z tym obowiązków i przywilejów...” – Urwała. – Josephie – szepnęła – jesteś księciem.
- Kathleen, przynieś, proszę, szklankę wody pannie Lloyd! – zawołała pani McKenzie.
- Jedna Lidia promieniała.
- Poczekajcie, niech no tylko opowiem Amy van der Bruen, że moja guwernantka jest księżną!
- Constance zamrugła i wyciągnęła rękę do Josepha.
- Mam nadzieję, że to nie jest jeszcze jedna gra salonowa.
- Pokręcił głową i chciał coś powiedzieć, ale zobaczył, że Constance się chwieje. Na szczęście zdążył ją złapać, zanim osunęła się na dywan.
- Wszystko tak jak trzeba – oznajmiła Lidia – Arystokraci zawsze mdleją. – Potem zachichotała, przyglądając się, jak Joseph delikatnie głaszcze Constance po policzku, Kathleen przynosi wodę, a pani McKenzie w zdumieniu kręci głową.
- Poczekajcie, niech no tylko opowiem o tym Amy van der Bruen!

19

Londyn, Pałac świętego Jakuba

Czy jesteś pewien, że nie możesz tam wejść ze mną?

- Constance ujęła męża za rękę. Przez drugie ramię miała przerzucony metrowy tren eleganckiej sukni.
- Uśmiechnął się do niej, do swojej Constance.
- Nie. Musisz zrobić to sama. Tam jest teraz mało ludzi, bo księżę Walii zabrał większą część dworu do Indii. Przeżyjesz. Mnie też się to udało. A musiałem włożyć ozdobne spodnie do kolan i trzewiki z klamrami.
- Wyglądałeś wspaniale.
- Jestem tego samego zdania.
- Jak błękitny chłopiec z obrazu Gainsborough.
- Jeśli nie będziesz uważać, wyciągnę ci pióro z włosów - ostrzegł. Lekko dotknął piór, wpiętych w jej fryzurę i przytrzymywanych platynowym grzebykiem, który podarował jej tego ranka.

- Proszę, zrób to.

Głośny śmiech księcia Millingtona odbił się echem o ściany galerii, gdzie przyszli koryfeusze eleganckiego towarzystwa oczekiwali, by przedstawiono ich królowej Wiktorii. Wszyscy zwrócili się w jedną stronę i z zainteresowaniem spojrzeli na przystojnego, młodego księcia. Od dłuższego czasu wypytywano się nawzajem, kim jest ten człowiek. I w jaki sposób tak łatwo wszedł do towarzystwa.

Niewątpliwie nie bał się ciężkiej pracy. Był przedsiębiorczym, młodym człowiekiem; poświęcał czas, by ułatwić życie tym, którzy mieli w nim mniej szczęścia. Owszem, w przeszłości działo się coś niedobrego, był jakiś szum wokół jego osoby, ale wszystko dawno szczęśliwie się skończyło. Nikt już nie pamiętał, o co właściwie chodziło. Najwidoczniej była to burza w szklance wody, rozpętana przez jakąś londyńska gazetę.

Najważniejsze u księcia wydawało się niezwykle rozwinięte poczucie obowiązku wobec społeczeństwa. Ostatnio jeszcze zdwoił swoje wysiłki, zawarł bowiem dość osobliwy sojusz i młodszym synem księcia Ballsbridge, wybranym niedawno do Izby Gmin i wyróżniającym się w czasie posiedzeń oratorską swadą i wigorem. Razem stworzyli tandem, który stał się niebagatelną siłą polityczną. Nawiasem mówiąc, lord Hastings zasłynął również w świecie artystycznym. Jego obrazy przyjęto na najbliższą wystawę w Królewskiej Akademii Sztuki.

Ludzi bardziej jednak pasjonowała postać młodego księcia Millingtona. Po jego cichym ślubie z Constance wszyscy nagle zapragnęli zaprzyjaźnić się z tą oryginalną parą. Powszechnie zastanawiano się, dlaczego nikt wcześniej nie zwrócił uwagi na wyjątkowo przystojnego mężczyznę, póki nie przejął tytułu po tak dalekim krewnym, że dziedzica szukano przez rok. Wścibskie mamusie nie mogły odżalować bezpowrotnie straconej szansy, a ich córki wzdychały na widok spojrzeń, którymi książę obdarzał swą piękną małżonkę.

- Dlaczego muszę nosić suknię z takim dużym dekoltem? - szepnęła Constance.

- Z tego samego powodu, z jakiego ja musiałem włożyć spodnie do kolan i trzewiki z klamrami. - Przez chwilę zatrzymał dłoń na nagim ramieniu żony, głaszcząc kciukiem jej smukłą szyję.

Constance zapało dech w piersiach. Popatrzyła na męża.

- Josephie - powiedziała cicho.

- Constance - odszepnął chrapliwie, udając, że sprawdza zameczek przy perłowym naszyjniku. - Czy sądzisz, że zwrócono by uwagę na naszą nieobecność?

Delikatnie dotknął wargami jej policzka, a ona zamknęła oczy.

- Constance, księżna Millington! - zagrzmiął głos z końca galerii.

- Księżna Millington zaraz zwróci śniadanie na trzewiki męża - jęknęła cicho.

- Ani mi się waź. To jest moja pierwsza para tego rodzaju, w dodatku trzeba było aż bogatej żony księcia, żebym je dostał.

- Josephie, naprawdę jest mi niedobrze.

- Spokojnie. Po prostu idź za tym dżentelmenem w niedorzecznych atłasach. Już o tym rozmawialiśmy, Constance. Poczekam na ciebie przy wyjściu, a potem idziemy na bal.

- Jeśli przedtem się nie rozchoruję.

- No, tak. To byłoby smutne.

- Josephie...

Bardzo ostrożnie ujął ją za podbródek i zwrócił jej twarz ku sobie, a potem przez chwilę wpatrywał jej się w oczy.

- Pamiętaj jedno, Constance. Kocham cię. Właściwie nie żyłem, dopóki cię nie poznałem, dopóki nie uratowałaś mnie przed samotnością w otoczeniu księżek i próbówek. Podziwiam cię ciałem i duszą i zawsze będę podziwiał.

Oczy zaczęły jej się zasnuwać mgłą łez, ale Joseph się uśmiechnął.

- A teraz zrób to dla mnie i idź powiedzieć Wiktorynce dzień dobry.

Uśmiechnęła się, a dworzanin ze świty królowej wprowadził ją do sali tronowej.

Nie rozchoruj się, nie wdepnij na tren, powtarzała sobie w myśli, starając się z jak największym wdziękiem pokonać długą drogę do królowej. Dworzanin ujął jej tren i rozpostarł go za nią. Constance zbliżyła się do monarchini siedzącej na tronie.

W pierwszej chwili pomyślała, że zaszła pomyłka. Malutka, pulchna kobieta w czarnej sukni, nosząca, na skos przez pierś czarno-niebieską wstęgę Orderu Podwiązki, chyba nie mogła być potężną Wiktorią, królową Anglii. Po chwili Constance podeszła na tyle, że mogła przyjrzeć się rysom twarzy władczyni. Uprzytomniła sobie, że księżę Walii ma podobne rysy, tylko jakby w powiększeniu: małe oczy, okrągłą twarz, długi nos.

Ale królowa miała piękną cerę, jak młoda kobieta.

Nie rozchoruj się, nie wdepnij na tren, dalej powtarzała sobie w myśli Constance.

Gdy podeszła jeszcze kilka kroków, dworzanin podał jej bilet wizytowy lordowi szambelanowi, ten grzmiącym głosem oznajmił:

- Constance, księżna Millington.

Teraz nastąpiła najtrudniejsza część: ukłon. Constance zgięła się przed tronem najgłębiej jak umiała, skromnie spuściwszy wzrok, tak jak ją uczono.

Powoli wyciągnęła rękę do królowej. Na próbach ceremoniału wytłumaczono jej, że królowa położy dłoń na jej obnażonej ręce i wtedy należy królewską dłoń ucałować.

Ale coś się pomyliło. Królowa nie zareagowała na wyciągnięcie ręki.

Constance bardzo chciała, żeby był z nią Joseph, ale naturalnie go nie było.

Z wahaniem, bojąc się upadku na podłogę, czym groziło dalsze pozostawanie w zgiętej pozycji, Constance zerknęła na monarchinię.

Królowa Wiktorja się uśmiechała.

Jeszcze nigdy Constance nie widziała, żeby uśmiech tak zmienił czyjąś twarz. Z wyniosłej monarchini królowa stała się nagle kobietą, z którą chciałoby się zaprzyjaźnić, poplotkować przy filiżance herbaty.

- Mój poczciwy Brown opowiedział nam o pani.

- Wasza wysokość - zdołała wybąkać Constance. A potem królowa się pochyliła.

- Wasza wysokość - syknął ostrzegawczo lord szambelan. - Proszę jej nie całować. Ona nie jest prawdziwą damą.

- Mylisz się - odparła królowa dostatecznie głośno, by cała świta ją usłyszała. - Z pewnością jest damą.

Z tymi słowami pocałowała Constance w czoło.

Constance zamrugała, lordowie i damy głośno nabrali tchu. Pocałunek przysługiwał jedynie członkom rodziny królewskiej oraz szlachetnie urodzonym parom.

Constance jakoś zdołała wyjść z sali tronowej, nie potknąwszy się o tren, nie rozchorowawszy się i nie zemdlawszy.

Gdy wyszła i drzwi się za nią zamknęły, para ramion chwyciła ją w pól.

- I co? - spytał Joseph, okręcając żonę, żeby na niego spojrzeć.

- Pocałowała mnie! Joseph się uśmiechnął.

- Wcale się nie dziwię. To mądra kobieta. - Stał tak, by szerokimi plecami zasłonić ją przed wzrokiem innych osób czekających w galerii. - Mam nadzieję, że nadal będziesz chciała przyjmować moje pocałunki, mimo że pocałowała cię królowa we własnej osobie.

- Och, Josephie - westchnęła Constance. - Już po strachu.

Po południu najświeższa plotka obiegła już wszystkie męskie kluby w Londynie. Księcia Millingtona widziano, jak całuje żonę za palmą przy wyjściu z sali tronowej w chwilę po przedstawieniu lady Millington królowej. Opowiadanie wywołało ostre komentarze i kilka pochopnych ocen, ale większość słuchających reagowała uśmiechem.

Pewien mężczyzna, słysząc kolejną wersję tej plotki, uśmiechnął się w zadumie i samotnie wrócił do swego domu na Downing Street.

Orkiestra zaczęła grać następną melodię i tancerze zawirowali na lśniącej marmurowej posadzce. Mężczyzna stanął przy białym krześle, zajmowanym przez wyjątkowo urodziwą kobietę. Wyciągnął do niej rękę, ale ona pokręciła głową.

- Nie wiem, czy mogę zatańczyć z waszą wielmożnością jeszcze jednego walca. To byłoby bardzo niestosowne.

- A co tam, Constance! To jest wspaniałe!

- Myślałam, że nie znosisz tańczyć.

- Och, Constance, przecież ty uwielbiasz taniec - nieustępliwie zachęcał ją książę Millington.

- Josephie, dochodzi czwarta rano, jesteśmy na piątym balu i dlatego osobiście zamorduję wszystkich Straussów w Wiedniu, jeśli będę musiała zatańczyć jeszcze jednego walca.

- Chodź. - Wyciągnął do niej rękę, więc odpowiedziała mu uśmiechem i przyjęła zaproszenie. Wśród tancerzy byli również Philip z Violą, która dyskretnie ziewała za zasłoną wachlarza, oraz Cavendish z Abigail. Constance uważała, że przemiana, jaka dokonała się w tych ludziach, jest zadziwiająca, zwłaszcza w Dishym i Abigail. Nawet matka Philipa wydawała się w końcu zadowolona. Nie dość, że obaj synowie się ożenili, to młodszy robił prawdziwą karierę. Ostatnim razem, gdy Constance widziała księżną, ta zachowywała się w sposób, który można by nazwać prawie przyjaznym. Nawet śmiała się z niektórych zdarzeń, które przedtem wydawały jej się katastrofą.

Joseph skomentował to ze śmiechem, mówiąc, że nawet największy malkontenci stają się nagle wzorem uprzejmości w towarzystwie bogatej kobiety z tytułem. Constance dopiero po chwili zorientowała się, że mowa o niej.

Minęła ich kolejna wirująca para i kobieta uśmiechnęła się do Constance. Harriet Whitestone wyglądała tego wieczoru uroczo, a tańczyła z eleganckim oficerem. Odkąd przyjęto ją do londyńskiego towarzystwa jako dobrą znajomą księżnej Millington, rzadko zdarzało jej się spędzać samotny wieczór w domu nad robótkami ręcznymi i tomikiem poezji.

- Josephie - odezwała się Constance, zadowolona, że wyczuwa dłoń ciepło ramienia męża. - Chciałam cię o coś zapytać.

- Odpowiedź brzmi „nie”.

- Słucham?

- Chciałaś mnie zapytać, czy kiedykolwiek brałem lekcje lanca, więc odpowiedź brzmi „nie”. Mam wrodzony wdzięk i poczucie rytmu.

Przy kąciku jej ust ukazał się dołeczek.

- Tańczysz wspaniale i dobrze o tym wiesz. Ale ja chciałam zapytać cię o liścik, który przesłałeś mi razem z deską.

Zmarszczył czoło, a jego bursztynowe oczy skupiły się na jej twarzy.

- Masz na myśli pięcioletni banknot?

- Nie. Sądziłam, że napisałeś coś osobistego. Przecież zadałeś sobie tyle trudu, żeby naprawić tę deskę mojej matki.

- Boże, Constance, ty się czerwienisz!

- Nie napisałeś czegoś w rodzaju... no, listu miłosnego? Bo liścik znikł. Co w nim było?

- Nie były to wyznania miłosne. Po prostu wyrównałem z tobą rachunki. Przecież założyliśmy się, nie pamiętasz? Gdy odwoziłem cię do Hastings House, a w każdym razie starałem się tego dokonać, założyliśmy się o pięć funtów, że znajdziemy jakieś suche miejsce w ciągu godziny. Przegrałem zakład, więc musiałem ci zapłacić.

- Nie. Tam musiało być coś więcej. Nie przysłałbyś mi tej deski bez jednego słowa. Gdybym wcześniej dowiedziała się wszystkiego, gdybym nie zaufała Brownowi, nasze sprawy mogłyby szybciej się ułożyć. Nie rozumiesz tego? Proszę cię, powiedz mi, co tam napisałeś? Przez chwilę miał taki wyraz twarzy jak pirat, zamierzający podważyć wieko skrzyni ze skarbem.

- Nie pamiętam.

- Pamiętasz! Powiedz mi, Josephie.

- Nie wiem, o czym ty mówisz, kobieto.

- Nie próbuj wykręcać się Johnem Brownem. Wyznaj szczerze, co było w tym liście.

- Szczerze mówiąc, zdaje mi się, że zawiąłem pięć funtów w kawałek papieru ze starym wzorem barwnika. A co myślałaś?

- Nie wiem. - Spojrzała za plecy męża, wyobrażając sobie, jakie cudowne słowa mogły tam być napisane, słowa zrodzone z namiętności. - Może, że mnie kochasz. Że mam cię nie szukać, bo wolałbyś zginąć marnie niż narazić mnie na niebezpieczeństwo. Że dałbyś wszystko, co posiadasz, za kilka chwil ze mną.

- Skoro tak myślisz, to pewnie tak było, kochanie. - Wolno sprowadził ją z parkietu. - Pójdziemy do domu?

- Mmm - westchnęła, opierając głowę na ramieniu męża.

Joseph odebrał jej szal i swoją laseczkę. Constance twierdziła, że żaden szanujący się książę nie może wychodzić z domu bez laseczki, więc Joseph spędzał dni na zapominaniu laseczki w klubach, parlamencie i swoich firmach.

- Josephie, co naprawdę było w tym liście?

- Całkiem szczerze? Skinęła głową.

- Pięcioletni banknot zawiąnięty w kartkę ze wzorem na syntetyczny barwnik. Wypisałem ten wzór z niemieckiego podręcznika.

- Po co przysłałeś mi wzór barwnika?

- Zawsze używam papieru po kilka razy. Ten wzór był niedobry, barwnik okropnie brudził. Dlatego zawiąłem w tę kartkę pięcioletni banknot. A czy te pięć funtów dostałaś?

- Nie.

- Do licha. Nic dziwnego, że Hastings jest taki bogaty, jeśli dorabia sobie po pięć funtów.

- Josephie?

- Tak.
- Czy zrobisz coś dla mnie, jak wsiądziemy do powozu?
- Naturalnie.
- Pocałujesz mnie?

Zatrzymał się na schodach i zwrócił do żony:

- Czy już ci mówiłem, że cię uwielbiam?
- Ja też cię uwielbiam - odrzekła bez tchu.
- Do domu - powiedział w końcu. - Jedźmy wreszcie do domu.

Następnego ranka w plotkarskich kręgach rozeszła się następna opowiadka o księciu i księżnej Millington. Podobno widziano ich, jak całowali się na schodach po balu w Barrington House. W tę opowiadkę byli skłonni uwierzyć nawet najwięksi sceptycy.

Od autorki

Królowa Wiktoria naprawdę miała wśród lokajów szkockiego górala, Johna Browna. Pierwszy raz zwrócił uwagę jej i jej męża, księcia Alberta, w początkach lat pięćdziesiątych XIX w., gdy zaczynał służyć w Balmoral. Wkrótce stał się niezastąpionym człowiekiem podczas wizyt królewskiej pary w Szkocji, a po śmierci księcia Alberta w 1861 roku - wiernym sługą pogrążonej w żałobie królowej.

Johna Browna nienawidzono, lecz również kochano. Księżę Walii nie mógł znieść człowieka, który kiedyś wytargał go za uszy i zaskarbił sobie niekwestionowany szacunek królowej. Pod wieloma względami Brown łatwo osiągał to wszystko, czego nie był w stanie zdobyć księżę, co tego drugiego napełniało goryczą. John Brown był przystojny, księżę Walii nie był; Johna Browna radzono się w sprawach wagi państwowej, księciu nigdy nawet nie pozwolono spojrzeć na oficjalny dokument; John Brown miał prawie nieograniczony dostęp do królowej, syna natomiast królowa często unikała, zdarzało się nawet, że nie była w stanie znieść jego obecności w tym samym pokoju. Zawsze obarczała Edwarda winą za śmierć męża, ponieważ księżę małżonek nabawił się dolegliwości, która w końcu doprowadziła do jego zgonu, w czasie gdy próbował zatuszować jeden z licznych skandali wywołanych przez Edwarda. Służba księcia Walii często wadziła się z Brownem i jego ludźmi, czasem o błahostki, czasem o ważniejsze sprawy.

Krażyły plotki, że królowa Wiktoria poślubiła Johna Browna. Ukazał się nawet pamflet zatytułowany „Pani Brown”, którego anonimowy autor usiłował pokazać, kto w istocie sprawuje władzę w królestwie. Również rzekomy romans królowej z Brownem był łatwym i częstym celem kpin popularnych pism satyrycznych, takich jak „Punch” czy „Tomahawk”, szczególnie w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. W jednym z numerów „Puncha” opublikowano parodię dworskiego biuletynu, podającego najważniejsze wiadomości z Balmoral.

„Pan Brown przechadzał się po górach. Następnie pan Brown spożył haggis. Wieczorem pan John Brown z ukontentowaną miną słuchał gry dudziarzy. Pan Brown wcześniej udał się na spoczynek”.

Chociaż z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się to dość irracjonalne, domniemany romans Johna Browna stanowił zagrożenie dla monarchii, wciąż słabo ugruntowanej po rządach dość pobłażliwych królów z dynastii hanowerskiej. Wreszcie zamęt ucichł, ale trzeba było dopiero poważnej choroby księcia Walii, na którą zapadł dokładnie dziesięć lat po śmierci ojca, by udało się odzyskać poparcie szerokich rzesz dla królowej i jej rodziny.

John Brown był lojalnym sługą, temu nie można zaprzeczyć. Ale ponieważ jako młody człowiek wyróżniał się atrakcyjnym wyglądem, a królowa owdowiała w bardzo młodym wieku, plotki były nieuniknione. Wciąż trwają dyskusje, czy tych dwoje łączyło coś więcej niż głęboka przyjaźń, chociaż wydaje się lekką przesadą nadawanie Brownowi przydomku „Rasputina w kilcie”, jak to czynią niektórzy historycy.

Cokolwiek łączyło królową z jej szkockim lokajem, nigdy nie dowiemy się prawdy. Do końca swego długiego życia Wiktoria nosiła żałobę zarówno po nim, jak i po mężu. Gdy wreszcie odeszła z tego świata, jedną z pierwszych decyzji nowego króla było zniszczenie wszystkich popiersi Browna, spalenie jego podobizn i przerobienie apartamentu szkockiego górala w Windsorze na salę bilardową. W swoim czasie Edward wyjaśnił tym, którzy kwestionowali jego postępowanie, że Brown kiedyś wytargał go za uszy. Nienawiść jednakże sięgała niewątpliwie głębiej, niż tłumaczyłaby to często powtarzana historia z lat dzieciństwa. Chociaż nie ma absolutnie żadnych dowodów na to, że Edward intrygował przeciwko Brownowi, wydaje się, że gdyby książę usłyszał kiedyś o planach zaszkodzenia Brownowi, raczej nie starałby się przeszkodzić wprowadzeniu ich w czyn.

Królowa Wiktoria bardzo ceniła sobie piękno męskiego ciała. Jeśli się spojrzy na podobiznę młodego Johna Browna zapinającego pas kiltu, mającego włosy w nieładzie, muskularne ramiona i także nogi, każdemu nasuwa się tylko jedno: trudno byłoby mieć do niej o to pretensje...